

**MARTHA GRIMES**  
**POD HUNCWOTEM**

*Moja gospodyni, jak pani się miewa?  
Co z czystą Cicely, gdzie Prue się podziewa?  
Gdzież jest ta wdowa, co mieszkała na dole?  
Gdzie chłopiec stajenny, co śpiewał w stodole?*

*Ach, sir, niech ja umrę lub niech pójdę siedzieć,  
Jeśli wiem, na które z pytań najpierw odpowiedzieć.  
Od kiedyś wyjechał, wszystko się zmieniło:  
Prue dobrym ludziom dziecię podzuciła,  
Stajenny dawno wisi, za mąż wyszła wdowa,  
Cicely z sakwą gościa uciekła bez słowa.*

**Matthew Prior**

# 1

19 grudnia, sobota

Przed pubem „Pod Jackiem i Młotem” zawarczał pies.

W środku Melrose Plant, usadowiony względem okna w taki sposób, że miał zasłonięty widok na główną ulicę, popijał mocne ciemne piwo Old Peculier i czytał Rimbauda.

Pies warknął gardłowo i znów zaczął szczekać, a robił to z przerwami od piętnastu minut.

Przez bladobłękitne i ciemnozielone szkło okna witrażowego z motywem tulipanów do pubu przenikało słońce. Gdy Melrose Plant wstał, by wyjrzeć ponad odwróconymi inicjałami browaru Hardy's Crown, na stoliku, przy którym siedział, pojawiły się wszystkie kolory tęczy. Pies, zaniedbany terier, siedzący na śniegu przed pubem, należał do panny Crisp, która prowadziła sklep z używanymi meblami po drugiej stronie ulicy. Zwykle czekał, siedząc na fotelu ustawionym przed jej wystawą. Dziś jednak przywędrował na tę stronę i usadowił się przed pubem „Pod Jackiem i Młotem”. Nie przestawał ujadać.

- Pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę, Dick - odezwał się Melrose Plant - na dziwny przypadek psa dzienną porą.

W głębi pubu jego właściciel, Dick Scroggs, przestał na moment polerować ukośnie cięte lustro nad barem.

- Słucham, milordzie?

- Nic - rzekł Melrose Plant. - Parafrazuję sobie sir Arthura.

- Sir Arthura, milordzie?

- Conan Doyle'a. Sherlock Holmes, no wiesz. - Melrose Plant pociągnął łyk piwa i wrócił do Rimbauda. Ale zanim zdążył na nowo zagłębić się w lekturze, pies znowu zaczął szczekać.

- Właściwie chodziło chyba o psa nocną porą - Melrose z trzaskiem zamknął książkę.

Scroggs przyłożył ściereczkę do lustra.

- Nocną czy dzienną, niech ten cholerny pies prze stanie wreszcie ujadać. Doprowadza mnie do szału. Nie wystarczy, że mam nerwy w strzępach po tej zbrodni u Matchetta? - Dick mimo swego wzrostu i tuszy był osobnikiem bardzo nerwowym. Odkąd w Long Piddleton doszło do morderstwa, wciąż oglądał się za siebie i pa trzył podejrzliwie na każdego nieznanomego, który wszedł do pubu.

Melrose przypuszczał, że to właśnie ta zbrodnia przywiodła mu na myśl Conan Doyle'a. Morderstwo rzeczywiste nie było bynajmniej tak intrygujące jak morderstwo w wyobraźni. Jednak musiał przyznać, że ich lokalna zbrodnia miała pewien styl: głowę ofiary wepchnięto do beczki z piwem.

Pies ciągle szczekał.

Nie był to ten rodzaj szczekania, jakim psy pozdra wiają się nawzajem przez ogrodzenia, nie było też ono szczególnie głośne. Było za to nieznośnie uporczywe, jakby ten właśnie pies wybrał sobie stanowisko przed oknem pubu „Pod Jackiem i Młotem”, żeby tam trzymać wartę i przekazywać światu swój psi komunikat.

Dick Scroggs rzucił ścierkę i podszedł do rzędu okien wychodzących na główną ulicę, zaraz za stolikiem Planta. Otworzył jedno z nich, wpuszczając bokami smużki śniegu, i wrzasnął na szczekającego zwierzaka:

- Czekaj, zaraz tam przyjdę i kopnę cię w ten brudny, nędzny łeb!

- Jakie to okropnie nieangielskie z twojej strony, Dick - odezwał się Plant, poprawiając okulary w złotych oprawkach na wąskim nosie, i wracał do Rimbauda. Książka była prezentem, który zrobił sobie na czterdzieste urodziny. Wczesne wydanie *Les Illuminations*. Zapłacił za nie absurdalną cenę, wmówiwszy sobie, że na to zasługuje, a potem zastanawiał się dlaczego.

Jednak krzyki Scroggsa tylko pogorszyły sytuację, bo pies, uznawszy, że zwrócił czyjaś uwagę, zamierzał ją utrzymać. Dick Scroggs z impetem otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, żeby pokazać, że nie żartuje.

Plantowi udało się przeczytać kawałek *Enfance*, gdy usłyszał Scroggsa, który wykrztusił:

- Boże! Milordzie, niech pan tu szybko przyjdzie!

Plant podniósł głowę i ujrzał głowę właściciela pubu w obramowaniu ośnieżonego okna. Jego twarz, poszarzała i trupio blada, wyglądała jak powiększona wersja rzygaczy pod belką na zewnątrz pubu, które nadawały starym budynkowi osobliwie kościelny wygląd.

Plant wyszedł z pubu. Brnąc w śniegu po kostki, dotarł do miejsca, gdzie Dick Scroggs i mały terier stali obok siebie, ze wzrokiem skierowanym ku górze.

- Dobry Boże - wyszeptał Melrose Plant. Właśnie w tej chwili zegar wybił południe i kolejna gruda śniegu spadła z postaci umieszczonej u góry, na sterczącej nad chodnikiem belce. Postacią tą nie był zazwyczaj się tam znajdujący mechaniczny kowal, który symulował uderza nie młotem w kowadło.

- To ten pan Ainsley, który przyjechał wczoraj wieczorem, milordzie. Prosił o pokój - głos Scroggsa załamywał się ochryple. - Od jak dawna może tam tkwić?

Melrose Plant, zazwyczaj człowiek niezwykle opanowany, nie był pewien, jak zabrzmiał jego własny głos. Odchrząknął.

- Trudno powiedzieć. Może parę godzin, może całą noc.

- I nikt go nie widział?

- Dwadzieścia stóp nad ziemią i przysypany śniegiem, Dick. - Gdy to mówił, do ich stóp z mokrym plaśnięciem spadł kolejny kawał śniegu, roztopiony przez słońce. - Proponuję, żeby któryś z nas pobiegł na komisariat po posterunkowego Plucka.

Ale to nie było potrzebne. Szczekanie psa i obecność Planta i Scroggsa przy tej makabrycznej scenie najwyraźniej zbudziły ulicę z ośnieżonego snu. Ludzie wychodzili ze sklepów, pojawiali się w oknach, nadchodzili zaułkami i wydeptanymi ścieżkami. Melrose zobaczył, że posterunkowy Pluck wyszedł przed komisariat i wkłada swój ciemnoniebieski płaszcz.

- A moja pani - odezwał się Dick ochryłym szeptem - zastanawiała się, czy on będzie chciał śniadanie.

Melrose Plant odrzekł, przecierając szkła okularów:

- Powiedziałbym, że dla pana Ainsleya to już bez różnicy.

Pub „Pod Jackiem i Młotem” wciśnięty był pomiędzy sklep z antykami Trueblooda a pasmanterię o bezpretensjonalnej nazwie „Sklep”, której wystawa, pełna różnych nici, pokrowców na dzbanki z herbatą, rękawiczek i innych wyrobów pasmanteryjnych, ulegała zmianie tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Po drugiej stronie ulicy znajdował się warsztat samochodowy z jednym podjazdem, rzeźnik

Jurvis, mały ciemny sklep z rowerami oraz sklep panny Crisp. Kawalek dalej, tuż przed mostem nad rzeką Piddle, mieścił się posterunek policji w Long Piddleton.

Pub niegdyś pomalowany był na charakterystyczny kolor ultramaryny. Jednak jego najbardziej niezwykły element stanowiła pewna konstrukcja na froncie, od której brała się jego nazwa: na solidnej belce stał mechaniczny kowal, wyrzeźbiony z drewna, trzymający w dłoniach kopię siedemnastowiecznego młota. Gdy wielki zegar pod belką wybijał godziny, „Jack” podnosił młot i uderzał w niewidoczne kowadło.

Belka znajdowała się dwadzieścia stóp nad ziemią, miała około siedmiu stóp długości i dwóch szerokości i wystawała nad chodnik. Rzeźbiona figura (teraz nieobecna na belce) była prawie naturalnej wielkości. Początkowo miała jaskrawoniebieską kurtkę i akwamary-nowe spodnie, ale teraz farba spłowieła i odłaziła. „Jack” był ulubionym obiektem harców i brewerii, szczególnie wśród dzieci z miasteczka, które czasem go przebierały, a czasem w ogóle zdejmowały z belki. Drewnianą postać traktowano niemal jak trofeum w grze w rugby; młodociani przestępcy z pobliskiego miasteczka targowego Sidbury wywozili ją co jakiś czas, po czym równie młodociani przestępcy z Long Piddleton ją odbijali. W pewnym sensie figura była miasteczkową maskotką.

W tym roku w dzień Guya Fawkesa kilkoro dzieci zakradło się do pubu, gdy Dick i jego pani twardo spali. Dzieciaki weszły tylnymi schodami na górę, do pakamery nad belką, zdjęły „Jacka” z podtrzymującego go słupa (poluzowanego już przez lata wyglupów), zaniósły na cmentarz przy kościele Świętego Regulusa i tam zakopały.

Piątego listopada, kiedy pali się kukłę Guya Fawkesa na pamiątkę wykrycia spisku prochowego z 1605 r. {wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Bidny Jack - lamentowała pani Withersby ze swego stanowiska przy kominku w pubie „Pod Jackiem i Młotem” - zakopali go dzie bądź, nie po chrześcijańsku, coś takiego, nawet nie w uświęconej ziemi. Samo nieszczęście z tego przyńdzie, zobaczycie. Bidny Jack.

Jako że proroczą moc słów pani Withersby osłabiał nieco dżin, niewielu jej słuchało. Jednak faktycznie przyszło z tego samo nieszczęście. W wieczór przed odkryciem ciała pana Ainsleya, w pewnym zajeździe o mniej niż milę od głównej ulicy Long Piddleton, znaleziono jeszcze jedne zwłoki - niejakię pana Williama Smalla.

Gdy wzrosło się, że w okolicy grasuje zabójca, mieszkańcy miasteczka przestali wyściubiać nosy z domów, choć i tak z nich nie wychodzili z powodu opadów śniegu. Padało od dwóch dni w całym Northamptonshire, a dokładniej mówiąc, w całej Anglii. Był to uroczy, miękki śnieg, osiadający na dachach i zbierający się w rogach okien, których witrażowe szybki zamieniały się w złotorubinowe kwadraty rozświetlone ogniem z kominka. Z tym prószącym śniegiem i dymem unoszącym się z kominów Long Piddleton wyglądało jak bożonarodzeniowa kartka - mimo niedawnego morderstwa.

Rankiem dziewiętnastego grudnia śnieg wreszcie przestał padać, wyszło jaskrawe słońce i stopiło śnieg na tyle, że widać było, iż domki są pięknie i bogato pomalowane. Główna ulica, aż do mostu, zdawała się fascynująca, czarująca lub dziwaczna, w zależności od indywidualnego gustu. Wyglądała, jakby przeszła przez nią brygada szalonych malarzy. Być może, znudzeni tradycyjną bielą pełnego wapiennych skał Northamptonshire, urządzili sobie orgię barw jak z lodziarni: tu odrobina truskawki, tam ślad cytryny czy pistacji, a ówdzie plama szmaragdowej zieleni. Gdy słońce stało najwyżej, ulica wręcz się skrzyła. Światło słoneczne malowało koniec rdzawego mostu



na kolor tak głęboki, że przypominał mahoń. Dziecku idącemu tą ulicą musiało się wydawać, że kroczy między wielkimi cukierkami w stronę mostu z czekolady.

Osobliwe miejsce na morderstwo, a co dopiero na dwa.

- Zechce mi pan opowiedzieć, co zaszło, sir, przy bliżyc okoliczności, w jakich znaleziono ciało - poprosił komisarz Charles Pratt z policji hrabstwa Northampton, który przybył do Long Piddleton już wczoraj.

Gdy Melrose Plant składał wyjaśnienia, posterunkowy Pluck stał obok i skwapliwie sporządzał notatki. Był tak chudy, że wyglądał na niemal kompletnie wycieńczonego, ale miał różową twarz cherubinka, zarumienioną jeszcze bardziej od mrozu, przez co przypominał jabłko na patyku. W rzeczy samej dobry był z niego człowiek, choć może odrobinę plotkarz.

- Więc mówi pan, że o ile panu wiadomo, tego Ainsleya nikt nie znał w tych stronach. Podobnie jak tego drugiego - Pratt zajrzał do swojego notesu, a potem z trzaskiem go zamknął - Williama Smalla.

- O ile mnie wiadomo, tak - podkreślił Melrose Plant.

Komisarz Pratt przekrzywił głowę i spojrzał na Planta łagodnymi, błękitnymi oczyma, które wydawały się niewinne, jednak Melrose był pewien, że wcale takie nie są.

- Ale jednak ma pan powody przypuszczać, że ci mężczyźni nie byli tu obcy, sir?

Melrose uniósł brew.

- Oczywiście, komisarzu. A pan nie?

- Daj mi whisky, Dick - czystą, jeśli łaska.

Jako że Pratt już wyszedł, zabierając swoją ekipę, Melrose Plant i Dick Scroggs byli znów sami „Pod Jakiem i Młotem”.

- Sam się też napij, Dick.

- Bardzo chętnie - odrzekł Dick Scroggs. - Niezły bałagan, co? - Minęło kilka godzin, ale on wciąż był blady, odkąd asystował przy badaniu zwłok przez patologa i wynoszeniu ciała owiniętego w polietylenową folię. Komisarz polecił Pluckowi zostać i dopilnować zaplombowania pokoju ofiary. Tam zaszokowani odkryli, że morderca - kolejne groteskowe posunięcie - w łóżku ofiary umieścił mechaniczną figurę „Jacka”.

Nic dziwnego, że Dick Scroggs wciąż się trząsał, biorąc do ręki pięćdziesiąt pensów, które Melrose Plant rzucił na kontuar. Przez chwilę zapatrzyli się w swoje szklanki, każdy z nich sam na sam z własnymi myślami.

To znaczy, sam na sam, nie licząc pani Withersby, jednej z wielu osób, które przesłuchiwał Pratt. Pani Withersby czasem posługiwała u Scroggsa, żeby zdobyć pieniądze na alkohol. Teraz siedziała na swoim ulubionym stołku i pluła w ogień, który nie wygaszał od stu lat.

Kiedy zauważyła, że w użyciu jest coś mocniejszego, podniosła się ciężko ze stołka i podeszła do baru, szurając nogami i kłapiąc bamboszami o podłogę. W kąciku ust miała niedopałek papierosa i strużkę śliny. Niedopałek wyjęła dwoma palcami, ślinę otarta wierzchem dłoni.

- Jaśnie pan stawia? - zapytała, lub raczej krzyknęła.

Dick uniósł pytająco brew w stronę Melrose'a Planta.

- Naturalnie - rzekł Melrose i położył banknot funto wy na kontuarze. - Wszystko, co najlepsze, dla kobiety, z którą przetańczyłem całą noc w Brighton.

Gdy Dick nalewał małe piwo, pani Withersby zmieniła ton:

- Dżinu! Nalej mi dżinu, nie tych kocich sików.

- Usiadła przy barze obok ofiarodawcy. Jej splewiała,

pożółkłe włosy sterczały na wszystkie strony niczym przerażająca peruka. Patrzyła uważnie, czy Dick nalewa jej do pełna.

- Jakbyś dodał szczyptę zdechłego kreta do tego dzinu, żadne z nas nie dostałoby drzączki.

Zdechłego kreta? - zastanawiał się Plant, wyjmując wąską złotą papierośnicę, a z niej papierosa.

- Abo może malarii. Moja mama zawsze miała pod ręką szczyptę zdechłego kreta. Wypij go z dzinem rano przez dziewięć dni z rzędu, a będziesz zdrow jak ryba.

Albo zalany w pestkę, pomyślał Melrose, wyciągając papierośnicę w stronę pani Withersby.

- A czy odpowiadała pani na pytania komisarza Prata zgodnie z prawdą?

Powykręcane artretyzmem palce kobiety chwyciły dwa papierosy, z których jednego włożyła sobie do ust, a drugiego do kieszeni bawełnianej sukienki w drobną kratkę.

- Zgodnie z prawdą? Musowo, żem odpowiadała zgodnie z prawdą - odezwała się skrzeczącym falsetem.

- Czego ni mogę powiedzieć o naszej lali z sąsiedztwa.

- Wystawiła kciuk w kierunku sklepu z antykami Trueblooda. Seksualna orientacja jego właściciela od dawna była przedmiotem dyskusji w miasteczku.

- Niech pani nie rzuca nieodpowiedzialnych oszczerstw - rzekł Plant, zakupiwszy lek na drzączkę i mała rię, który kobieta podniosła do oszpeconych brodawkami ust. Zapalił jej papierosa, a ona w nagrodę dmuchnęła mu chmurą dymu prosto w twarz.

Nachyliła się bliżej, a jej tytoniowo-dżinowo-piwny oddech przetoczył się po nim jak fala morską.

- Jakiś świnięty morderca gania na wolności i wykańcza nas tu, niewinne ludziska. - Parsknęła. - To nie ręka ludzka. Wierście mi, ludzie, to sam antykryst. Ja żem wiedziała, że zdarzy się śmierć, już wtedy, co ten ptak

wpadł przez twój komin, Dicku Scroggs. I pięć lat nie było czuwania w wigilię świętego Marka\*. Umarli będą iść! Wspomnicie moje słowa! Umarli będą iść! - W podnieceniu o mało nie spadła ze stołka, tak że Melrose pomyślał, że może już jacyś umarli przechodzą właśnie koło nich. Kobieta uciszyła się, spojrzawszy na swój pusty kieliszek, na który nikt nie zwracał uwagi. Zapytała przebiegle:

- A jak tam droga cioteczka, milordzie? Hojna z niej kobitka, ni mogę powiedzieć. Zawsze mi stawia, kocha-  
neńka.

Melrose dał znak Scroggsowi, żeby ponownie napełnił jej kieliszek. Gdy dostała swój dzin, ciągnęła dalej:

- Żyje skromnie, bez fumów, co roku na Gwiazdkę przynosi prezenty...

Za które płacił Melrose. Podczas gdy kobieta nadal wychwalała zalety jego ciotki, on patrzył na ich odbicie w lustrze i zastanawiał się, kto z nich jest królową, a kto ropuchą. Już miał zacząć jeść śniadanie, gdy Dick dostał ataku gwałtownego kaszlu, na co pani Withersby miała gotowe remedium:

- Każ swojej pani przygotować kawałek pieczonej myszy. Na koklusz moja mama zawsze miała pod ręką pieczoną mysz.

Melrose spojrział na jajko rozmazane na swoim talerzu i uznał, że jednak nie jest głodny. Zapłacił za siebie - za nich - i uprzejmie pożegnał się z panią Withersby - naczelną uzdrowicielką miasteczka Long Piddleton, naczelną jego pijaczką i wyrocznią.

\* Od XVII do XIX wieku w wigilię świętego Marka w angielskich wsiach i miasteczkach ludzie siadywali w Kościelnej kruchcie między godziną 23.00 a 1.00 w nocy przez trzy lata z rzędu. Wierzono, że podczas trzeciego posiedzenia miały pokazywać się duchy tych, którzy umrą w danym roku.

## 2

20 grudnia, niedziela

- Te morderstwa - rzekł pastor - przypominają mi zajazd „Pod Strusiem” w Colnbrook. - Wgryzł się w ba beczkę, aż okruszki posypały się kaskadą na przód ciemnej marynarki.

Lady Agatha Ardry odezwała się znad okrągłego czekoladowego ciasteczka:

- Moim zdaniem, mamy prawdopodobnie do czynienia z nowym Rozpruwaczem.

- Kuba Rozpruwacz, droga ciociu - rzekł Melrose Plant - miał upodobanie tylko do kobiet. Wątpliwej reputacji.

Lady Ardry skończyła ciasteczko i otrzepała dłonie.

- Może ten jest pomyłecem. - Dokonała oględzin stołu. - Wziął pan ostatnią babeczkę, Denzilu. - Patrzyła na pastora oskarżycielsko.

Za wielodzelnymi oknami plebanii drobna angielska mżawka spowijała delikatnym welonem przykościelny cmentarz. Kościół Świętego Regulusa wraz z plebanią stał na wzniesieniu terenu niższym od wzgórza, tuż za głównym placem miasteczka, który znajdował się po drugiej stronie mostu, gdzie kończyła się główna ulica, więc panowała tu spokojniejsza atmosfera. Plac otaczały domy

w stylu Tudorów, kryte strzechą oraz dachówką holenderską, wszystkie wygodne i ciasno przytulone do siebie.

Melrose nie lubił brać udziału w podwieczorkach na plebani, zwłaszcza jeśli zaproszona była jego ciotka. Gospodyni pastora nie była najlepszą kucharką. Jej wypieki mogłyby się przydać w bitwie o Anglię, gdyby żołnierzom zabrakło bomb i kul. Melrose badawczo przyjrzał się piętrowej paterze na ciastka w poszukiwaniu czegoś jadalnego: twarde pierniczki niewątpliwie zasługiwały na swą nazwę; ciasteczka migdałowe wyglądały, jakby zostały z wesela królowej Wiktorii; bułeczki drożdżowe chyba przyszły tu na piechotę. Plant od niespełna dwóch godzin słuchał, jak jego ciotka i pastor rozprawiają o tych dwóch morderstwach, i zdążył już strasznie zgłodnieć. Z pewną obawą wyciągnął rękę po rurkę z kremem. Uprzejmie przy tym zagadnął:

- Mówił pan coś o zajeździe „Pod Strusiem”, pastorze?

Tak zachęcony Denzil Smith ciągnął skwapliwie:

- Tak. Otóż jego właściciel, gdy zobaczył zamożnego klienta, umieszczał go w pokoju, gdzie łóżko stało na zapadni. - Duchowny przerwał, by wybrać sobie z talerza bułeczkę, która wyglądała na czerstwą. - Gdy niczego nieświadomy gość smacznie spał, otwierała się kłapa w podłodze i nieszcześnie wpadał do kotła z wrzącą wodą.

- Sugeruje pan, że Matchett i Scroggs pozbywają się własnych gości, pastorze? - Lady Ardry, solidna, kwadratowa i szara siedziała na tle biblioteki jak cementowy blok. Krótkie nogi skrzyżowała, a tłuste palce czaiły się przy okrągłym ciasteczku porzeczkowym.

- Nie, nie - zaprotestował pastor.

- To najwyraźniej jakiś psychotyczny szaleniec - orzekła lady Ardry.

Plant już miał zauważyć, że to masło maślane, ale zamiast tego zapytał:

- Co daje ci pewność, że morderca jest psychotykiem, Agatho?

- Żartujesz sobie? Wtaszczyć ciało na belkę przed pubem? Przecież tam musi być ze dwadzieścia stóp. Któż by włókł ciało na górę?

- King Kong? - odpowiedział Melrose, pociągając rurkę pod nosem jak korek od starego wina.

- Zdaje się, że traktujesz tę okropną historię dość lekko, Melrose - wtrącił wielebny Denzil Smith.

- Nie oczekujemy współczucia od Melrose'a, pastorze - oznajmiła ciotka Agatha całkiem słusznie i zagłębiła się z powrotem w wielkim wiktoriańskim fotelu. - Mieszka w tym ogromnym domu zupełnie sam, tylko z Ruthvenem do pomocy - nic dziwnego, że jest nietowarzyski.

Właśnie że był szalenie towarzyski, przecież siedział z nimi przy podwieczorku. Melrose westchnął. Ciotka zawsze potrafiła zaprzeczyć oczywistości. Ostrożnie ugryzł rurkę i natychmiast tego pożałował.

- No więc? Melrose uniósł brwi.

- No więc co?

Czyniąc wiele drobnych gestów, ciotka dołała wszystkim herbaty z porcelanowego dzbanka, po czym gwałtownie go odstawiła.

- Sądziłam, że będziesz miał więcej do powiedzenia o tych morderstwach. W końcu byłeś tam ze Scroggsem.

- Jej rozgoryczenie było wyraźne. Dodała przebiegle:

- Chociaż właściwie to Dick Scroggs go znalazł. Więc oczywiście ty nie doznałeś strasznego szoku, który stał się moim udziałem, gdy zesłam do piwnicy i zobaczyłam tego Smalla, jak z w i s a z beczki...

- To nie ty go znalazłaś, tylko ta dziewczyna, Murch.

- Melrose przesunął językiem po podniebieniu. Krem

miał posmak zdecydowanie metaliczny. Ale kapsułka z trucizną byłaby lepsza niż słuchanie Agathy. - Czy jesteście pewni, że krem w tych rurkach nie jest zepsuty? Dziwnie smakują. - Odłożył rurkę na spodeczek i zastanawiał się, ile czasu minie, zanim przyślą karetkę.

- Był podobny przypadek w... zaraz... chyba w 1892 roku. Kobieta nazwiskiem Betty Radcliffe, właścicielka pubu „Pod Dzwonem”. To w hrabstwie Norfolk. Zamordowana przez kochanka. Zdaje się, ogrodnika.

Denzil Smith nie był człowiekiem szczególnie pobożnym, ale za to ciekawskim, co czyniło go idealnym towarzystwem dla lady Agathy Ardry. Byli od siebie zależni w taki mniej więcej sposób, jak dwa gibony, zajęte wzajemnym iskaniem pcheł. Pastor był w miasteczku istną kopalnią rozmaitych dawnych historii, zarówno związanych z miasteczkiem, jak i wcale go nie dotyczących, chodzącą księgą wspomnień.

Rozglądając się dookoła, Melrose pomyślał, że plebania to idealne otoczenie dla Denzila Smitha. Panował tu mrok; pomieszczenia były zakurzone, tak samo jak woskowane owoce spoczywające pod szklanymi kloszami. Na gzymsie kominka stała wypchana sowa z rozpostartymi skrzydłami. Spod obitych perkalem foteli i kanapy o szerokich poręczach wystawały absurdalnie zwierzęce łapy - Melrose miał wrażenie, że przyszedł na podwieczorek do „Trzech Niedźwiadków”. Powojnik i powój błąkały się swobodnie po oknach. Zastanawiał się, jak by to było zostać uduszonym przez powój. Z pewnością to nie gorszy sposób na zejście z tego świata niż udławienie się twardym pierniczkiem. Te myśli przypomniały mu, jak zginął William Smali: został uduszony drutem oplatającym korek w butelce od szampana.

Lady Ardry rozprawiała o spodziewanej wizycie Scotland Yardu.



- Policja z Northamptonshire wezwała Yard. Pluck mi powiedział. Ciekawe, komu powierzą tę sprawę.

Melrose Plant ziewnął.

- Pewnie staremu Swinnertonowi.

Ciotka nagle usiadła prosto. Jej głowę o mocno skręconych siwych włosach wieńczyły okulary, niczym gogle kierowcy wyścigowego.

- Swinnerton? Znasz tych z Yardu?

Żałował, że wymyślił to nazwisko - ale przecież chyba zawsze mieli jakiegoś Swinnertona? - bo teraz ciotka uczepi się tego jak pies nogawki. Jako że Melrose urodził się z tytułem szlacheckim (w odróżnieniu od ciotki, która tylko poślubiła posiadacza tytułu), lady Ardry była przekonana, że on zna wszystkich, łącznie z premierem. Odwrócił jej uwagę od sprawy słowami:

- Nie wiem, po co im tu potrzebny Scotland Yard, skoro mają ciebie, Agatho.

Ciotka uśmiechnęła się głupawo i podsunęła mu okropne ciasteczka w nagrodę za uznanie dla jej talentu.

- Tworzę intrygujące fabułki, nieprawdaż?

Long Piddleton ostatnio zaczęło przyciągać artystów, w tym pisarzy. Lady Ardry, która mieszkała tu od wielu lat, uznała się za twórczynię zagadkowych historii, godną przejęcia pałeczki po wielkiej damie powieści kryminalnej. Jak zauważył Melrose, nie zrobiła z tą pałeczką nic oprócz wymachiwania nią. Nigdy nie widział żadnego końcowego produktu: zakładał, że ciotka uważa swoje pisanie za ukochane dziecko, przypominające elfa, który pomyka z wdziękiem przez podwórko, ale nigdy nie puka, żeby przygotować mu kolację. Tak, z pewnością, lady Ardry nigdy nie ukończyła żadnej ze swoich „intrygujących fabulek”.

Uderzając pięścią jednej dłoni w drugą, Agatha rzekła:

- Oczywiście, Scotland Yard będzie chciał ze mną rozmawiać natychmiast...

- To ja już pójdę - przerwał Plant, lękając się wznowienia przez ciotkę opowieści o jej roli w tych morderstwach, co słyszał już kilka razy. Podniósł się i lekko skłonił.

- Sądziłam, że będziesz trochę bardziej zainteresowany - rzuciła Agatha. - Oczywiście, to Scroggs znalazł w a s z e ciało. - Nie chciała przyznać Melrose'owi więcej zasług, niż absolutnie musiała.

- A ściślej biorąc, mały terier. Bez wątpienia ci z Yardu przesłuchają go pierwszego. Do widzenia, Agatho.

Pastor odprowadzał Planta pod gotyckim łukiem biblioteki do drzwi wyjściowych; gdy znikali za rogiem w holu, gonił ich głos lady Agathy:

- Takie żarty w obliczu tej okropnej sprawy nie przystoją ci, Melrose. - Potem ciotka dodała donośniej: - Ale mogłam się tego spodziewać. - I jeszcze głośniej: - Pamiętaj, że wieczorem idziemy do Matchetta na kolację. Przyjdź po mnie o dziewiątej.

Słuchając, jak pastor relacjonuje makabryczne morderstwo barmanki w Cheapside sprzed kilku lat, Melrose Plant sam poczuł się potępiony.

### 3

Ardry End znany był mieszkańcom miasteczka jako Wielki Dom. Była to rezydencja pełna wież i wieżyczek, wzniesiona z piaskowca - o barwach od różowej do rdzawej, zależnie od kąta padania słońca. Dojazd do domostwa, równie elegancki jak ono samo, stanowił most z identycznego kamienia, przerzucony przez rzekę Piddle na drodze prowadzącej przez całe akry zieleni, teraz pełnej łąk śniegu. Położenie Ardry End - pośród strumyków, pasących się owiec i wzgórz lawendy - doprowadzało lady Agathę Ardry do łez, ponieważ posiadłość nie należała do niej. Fakt, że jej własny mąż nie był ósmym hrabią Caverness i dwunastym wicehrabią Ardry, zawsze stanowił piekącą ranę. Czcigodny Robert Ardry był za to bezużytecznym młodszym bratem ojca Melrose'a Planta. Jej bratanek Melrose porzucił tytuł lorda A r d r y , natomiast Agatha podniosła go i odkurzyła, stając się w ciągu jednego wieczoru „lady” Ardry. Stryj Melrose'a zmarł w pokoju gier w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, straciwszy ostatnie pieniądze, jakie mu zostały, więc lady Ardry pozostawała w pewnym stopniu zależna od hojności szwagra - co nie przydawało w jej oczach popularności Melrose'owi. Jego ojciec był aktywnym członkiem Izby Lordów i wiceprezesem firmy maklerskiej.

Bogatszy w chwili śmierci, niż się do tego przyznawał za życia, dopilnował, by wdowa po jego bracie otrzymała przyzwoitą rentę.

Tak więc w sytuacji, gdy marmury i parkiety Ardry End znalazły się na zawsze poza jej zasięgiem, Agatha nie przestawała robić pod adresem Melrose'a uwag o tym, że „dom potrzebuje kobiety”. Udawał, że wierzy, iż jej niedwuznaczne aluzje mają sugerować małżeństwo. Świetnie wiedział, że jego ożenek to ostatnia rzecz, jakiej pragnie ciotka. Przypuszczał, że gorliwie odlicza godziny do chwili, aż jakaś rzadka choroba spowoduje jego przedwczesne zejście z tego świata, a ona odziedziczy jego majątek - bo tego, że zostanie jej zapisany, była pewna, skoro nie istnieli inni krewni, o których by wiedziała. Wiedziała zaś o wszystkim, co dotyczyło stanu posiadania Melrose'a Planta - przynajmniej tak się wydawało.

On sam traktował ciotkę jak albatrosa, którego stryj ustrzelił i zawiesił bratankowi na szyi. A ustrzelił ją lord Robert w Milwaukee w stanie Wisconsin, gdy odbywał wycieczkę po Stanach Zjednoczonych. Agatha była Amerykanką. Jednak ukrywała to skrzętnie pod tweedowymi kostiumami, laskami do spacerów, praktycznym obuwiem, niezliczonymi półmiskami kanapeczek z ogórkiem i dobrym uchem do angielskiej wymowy, ale okropną głową do nazwisk.

Ciotka wykorzystywała każdy pretekst do pojawienia się w Ardry End, żeby spoglądać pożądliwie na porcelanowe figurki, portrety, tapety - chińskie i Williama Morrisa, kryształowy Waterford, park i łabędzie - wszystkie akcesoria statecznej rezydencji. Lady Ardry zjawiała się o każdej porze i w każdą pogodę, nieproszona. Człowiek mógł się wykończyć nerwowo, gdy wchodził o północy do gabinetu, którego okna chłostał deszcz w zimowym mroku, i widział na dworze przez oszklone drzwi postać

o białej twarzy, w czarnej pelerynie, oświetloną nagłą błyskawicą. Równie irytujące było, gdy postać wchodziła do środka, przemoczona do suchej nitki, zostawiając na perskich dywanach kałuże jak wielki pies i zachowując się, jakby to wszystko była wina Melrose'a - dlaczego ten krety kamerdyner Ruthven (zawsze błędnie wymawiała jego imię) nie otworzył drzwi wejściowych? Potem wzdychała i rozglądała się z wyrazem twarzy pod tytułem „nie było miejsca w gospodzie”, jakby to bratanek, człowiek o kamiennym sercu, był właścicielem gospody i kazał kobiecie nocować w stajence w miasteczku.

Jadąc rowerem, Melrose głęboko i z przyjemnością oddychał grudniowym powietrzem i rozmyślał o dwóch morderstwach popełnionych w odstępie dwudziestu czterech godzin. Dały one miasteczku temat do roztrząsań, wreszcie inny niż jego, Melrose'a, stan cywilny. I sprawiły, że mało kto odważyłby się uczynić to, co właśnie robił Plant - podróżować samotnie pustą drogą. Wcale nie miał wyjątkowo wiele odwagi, raczej sporo zdrowego rozsądku. Wydedukował schemat, do którego nie pasował jako ofiara. Oba morderstwa zdarzyły się w pubach i oba były groteskowe niemal do absurdu. Jakikolwiek plan miał morderca, był on jasno określony. Przestępca to najwyraźniej typ, który planuje diaboliczne zbrodnie, żeby zadowolić siebie samego. Przynajmniej wyglądało na to, że lubi efektowne przedstawienia.

Plant podprowadził rower do żelaznej bramy Ardry End. Bramy strzegły dwa pozłacane Iwy, umieszczone na szczycie wysokich kamiennych słupów. Jego ciotka często i głośno zastanawiała się, dlaczego Melrose nie trzyma kilku dużych, potężnych psów, żeby wybiegały i witały przybyłych; w latach młodości odcisnął na niej swoje piętno *Pies Baskerville'ów*. Melrose otworzył i zamknął

bramę i popychając rower po łuku podjazdu, spoglądał na rezydencję bystrym okiem swojej ciotki. Żywopłot z głogu po obu stronach był wysoki i porządnie utrzymany. Melrose musiał niemal walczyć z ogrodnikiem, żeby powstrzymać go przed strzyżeniem żywopłotu w fantazyjne kształty, jakie preferowała jego najbliższa sąsiadka, Lorraine Bicester-Strachan.

Chociaż posiadłość Ardry End nie przypominała pałacu Hampton Court, pan Peebles, ogrodnik, uważał, że tereny są na tyle rozległe, iż mogą się równać z dworem Hatfield House. Lady Ardry przyklaskiwała Peeblesowi we wszystkich jego próbach zamienienia Ardry End w atrakcję turystyczną. Tych dwoje rozumiało się jak łyse konie. W wyobraźni zwozili na tereny przy rezydencji całe sterty dekoracyjnych i egzotycznych roślin, żeby kształtować, formować i przetwarzać te połacie zieleni, które Melrose chciał zostawić wyłącznie siłom natury. Ciotka gustowała w „widokach”, jak na przykład miniaturowy panteon po drugiej stronie jeziora, z oślepiąco białymi w słońcu korynckimi kolumnami. Gdyby pozostawić decyzję ciotce Agacie i panu Peeblesowi, naturalne trawniki i lasek Melrose'a zostałyby zaduszone przez uporządkowane herbaria i stylizowane, schematycznie przycięte, karłowate bukszpany, ligustr i cis. Peebles, wspomagany przez ciotkę Agatę, wyszedł zwycięsko z batalii o staw z liliami wodnymi, z niewielką, dyskretną fontanną pośrodku, otoczony przyszczyżonym żywopłotem z cisów. Orodnik usiłował ukradkiem wpuścić do stawu sztuczne rybki, ale Melrose kazał mu je usunąć. Jako rekompensatę za rybki zgodził się na dwa żywe łabędzie i rodzinę kaczek. Ale łabędzie i staw były jedynym ustępstwem z jego strony. Lady Ardry i pan Peebles chętnie wypisaliby kwietnym pismem „Mountar-

dry-Plant" na frontowym trawniku, jak przed budynkiem użyteczności publicznej.

Drzwi do Ardry End otworzył lokaj, Ruthven. Powiedzieć, że Ruthven reprezentował starą szkołę, byłoby eufemizmem. Zdaniem Planta, u Ruthvena mogłoby pobierać nauki służący z całej Anglii. Melrose pamiętał go z czasów, gdy sam był berbeciem; Ruthven mógł mieć równie dobrze lat pięćdziesiąt, jak i sto - w oczach Melrose'a zawsze wyglądał tak samo.

Plant odziedziczył Ruthvena razem z portretami, papierami wartościowymi i tapetami Morrisa. W ciągu całej ich znajomości pan zrobił tylko jedną rzecz, która wytrąciła sługę z równowagi. Melrose parę lat wcześniej, po kilku sesjach w Izbie Lordów, zrzekł się tytułu szlacheckiego, przez co Ruthven omal się nie rozchorował. Informacja ta została przekazana kamerdynerowi pewnego ranka przy śniadaniu, od niechcenia, jakby ktoś podawał talerz, żeby nałożono mu jeszcze trochę śledzia: *Ach, a propos, Ruthven, od dzisiaj nie zwracaj się już do mnie „milordzie”*. A Ruthven stał jak wykuty ze skały, z wyrazem twarzy szlachetnie niezmiennym. *Wiesz, uznałem, że to niestosowne utrzymywać posiadłość i jednocześnie zachowywać ten krepujący tytuł*. Ruthven tylko się skłonił i podsunął mu srebrny półmisek, na którym spoczywały jajka smażone na maśle w obramowaniu pulchnych kielbasek. *A poza tym nigdy nie podobała mi się perspektywa zasiadania w Izbie Lordów. To by było cholernie nudne*. Gdy kielbaska pacnęła na talerz, Ruthven zapytał, czy może odejść, ponieważ nie czuje się zbyt dobrze.

Lady Ardry przyjęła tę wiadomość z o wiele bardziej mieszanymi uczuciami. Plusem tej sytuacji było, że wreszcie uzyskała przewagę nad Melrose'em: teraz ona miała tytuł, a on nie. Jeśli o to chodzi, nie posiadała się

z radości. Za minus uznała fakt, iż było to tak strasznie nieangielskie. Jak on ś m i a ł odrzucać coś, czego zdobycie wymagało takiej trwałości rodu i tak nienagannego wychowania? Przy tych rzadkich okazjach, gdy jej dalecy krewni zjeżdżali tu ze Stanów, lady Ardry rozkoszowała się pokazywaniem posiadłości „odziedziczonej po przodkach” oraz Melrose'a („mój bratanek, ósmy hrabia Caverness i dwunasty wicehrabia Ardry”), a oni wszyscy przyglądali mu się, jakby sam był jednym z *objets d'art*. Agatha znalazła się między młotem a kowadłem: z jednej strony, jakże przyjemnie było móc powiedzieć sobie: „mój bratanek, człowiek z gminu”, z drugiej, było to tak, jakby w obecności całej rodziny odchylić śliczny różowy kocyk i odkryć, że dziecku nagle wyskoczyły kurzajki.

W ten sposób tytuł stał się jedyną kategorią, w której nad nim górowała. Nie miała nic więcej do zaferowania w tej rywalizacji. Melrose był nie bardzo, lecz wystarczająco bogaty, nie bardzo, ale całkiem przystojny, nie bardzo, ale dość wysoki. Gdy zdejmował swoje nobliwe okulary w złotych oprawkach, żeby je wyczyścić, widać było, że jego oczy mają zdumiewająco zielony kolor. A jego uwaga o „utrzymywaniu posady” była niedomówieniem. Melrose miał katedrę romantycznej poezji francuskiej na Uniwersytecie Londyńskim, gdzie nauczał przez mniej więcej cztery miesiące w roku, przez pozostałe osiem odbijając się jedynie echem w ścianach uczelni.

A więc, jakby nie dość było tego wszystkiego, „profesor” Melrose Plant! Na samą myśl o tym lady Ardry dostawała dreszczy. Był jak kot o dziewięciu żywotach, jak Człowiek w Żelaznej Masce albo Scarlet Pimpernel, ten człowiek o wielu tożsamościach, które potrafił zostawiać za sobą niby karty wizytowe na srebrnej tacy.

I miał jeszcze jedną wadę, która nieustannie przysparzała jej cierpienia: był po prostu diabelnie inteligentny.



Plant potrafił rozwiązać krzyżówkę w „Timesie” w czasie krótszym niż piętnaście minut. Raz wyzwała go na pojedynek krzyżówkowy. Niestety, lady Ardry samo uporządkowanie haseł zabrało pół godziny, więc poddała się z niesmakiem, twierdząc, że to dziecinada i strata czasu. Ale przecież Melrose nie musi pracować, żeby zarobić na życie, prawda? Lady Agatha dawała do zrozumienia, że sama gra rolę nieszczęsnego Kopciuszka, którego omijają bale, skazanego na wymiatanie popiołu całego świata, żeby inni (jak Melrose) mogli tańczyć całą noc, a potem budzić się w atlasowej pościeli, ze śniadaniem na tacy i swoimi krzyżówkami w „Timesie”.

Plant westchnął, siadając z posępną miną przed kominem. A teraz ta makabryczna sprawa z morderstwem; jego ciotka z pewnością uruchomi niebawem wszelkie swoje (nieistniejące) talenty dedukcji. I wciągnie w to jego, wyłącznie z powodu powinowactwa. No cóż, przypuszczalnie i tak tkwił w owej sprawie, z tej przyczyny, że wczoraj rano znalazł się „Pod Jackiem i Młotem”. Ale naprawdę nie miał ochoty bez przerwy o tym mówić. Nie chciał też nic wiedzieć o drugim zamordowanym, Smallu, ale prawdopodobnie będzie zmuszony słuchać o obu ofiarach, i to przez resztę swego życia.

Bo Melrose o zdolnościach dedukcyjnych angielskiej policji również nie był najlepszego zdania.

## 4

21 grudnia, poniedziałek

Oślaniając oczy dłonią, jak człowiek patrzący prosto w słońce, inspektor Richard Jury zerkał podejrzliwie na nadinspektora Racera, który siedział po drugiej stronie nieskalanego biurka - zawsze szybko zwał z niego robotę na czyjeś inne - spokojnie paląc jedno ze swych ręcznie zwijanych cygar. Lewa ręka Racera bawiła się złotym łańcuszkiem, biegnącym z jednej kieszonki kamizelki do drugiej. Jego bładoniebieska koszula miała wywijane mankiety ze spinkami, a tweedowy garnitur był szyty na zamówienie. Inspektor Jury uważał swego zwierzchnika za trochę fircyka, trochę dyletanta i trochę - bardzo „trochę” - detektywa.

Rzecz nie w tym, że inspektor Jury łudził się, iż wszyscy jego koledzy w Nowym Scotland Yardzie są solidni, prawi i dobrotliwi londyńscy *bobbies* w wysokich hełmach i krótkich pelerynkach, chętnie udzielający wskazówek turystom. Czy też ważniejsi stopniem, tacy jak *on sam*, noszący schludne garnitury, lekko połyskujące w świetle nad drzwiami w ciemnym holu, gdy rzucali do gospodyni w szlafroku: „Rutynowe dochodzenie, proszę pani”. Nie, nie wszyscy byli opanowanymi, błyskotliwymi stróżami

prawa i porządku. Ale Racer w nader niewielkim stopniu wpisywał się w ten dawny, miły stereotyp. Siedział teraz, wyglądając doprawdy niesamowicie arystokratycznie, myślał pewnie o dzisiejszej kolacji lub swej ostatniej zdobyczy, która będzie mu przy tej kolacji towarzyszyła, i zostawiał takim jak Jury porządkowanie spraw tego świata. Jury spojrział spod dłoni przyłożonej do czoła.

- Człowiek z głową wepchniętą do beczki z piwem?  
- Wciąż miał nadzieję, że Racer powie mu, że to tylko kiepski żart.

Racer uśmiechnął się kwaśno.

- Nigdy nie słyszałeś o księciu Clarence, co? - Przełożony lubił rywalizować z inteligencją Jury'ego i- na podobieństwo prawdziwych masochistów i hazardzistów  
- nie ustawał w wysiłkach, choć nigdy nie wygrał.

- Został utopiony - a przynajmniej tak mówią - w beczce wina Małmsey - odparł Jury; tym samym uszczknął Racerowi odrobinę erudycji.

Poirytowany Racer pstryknął palcami, jakby przywoływał psa.

- Fakty, jakie mamy fakty?

Jury westchnął. Usłyszał raport na temat morderstw w Northamptonshire, a teraz oczekiwano od niego, że go odtworzy jak stenogram. Racer zawsze słuchał uważnie, żeby wyłapać błędy.

- Pierwsza ofiara, William Smali, znaleziony w piwnicy pubu „Pod Huncwotem”. Uduşony drutem, głowa wepchnięta do beczki z piwem. Właściciel od czasu do czasu warzy własne...

Racer przerwał:

- Zbyt wielu piwowarów przejmuje wszystkie te stare puby. Chciałbym mieć tyle domów za darmo... - Wyjął złotą wykalaczkę i zaczynając dłużyć w zębach trzonowych, nakazał gestem Jury'emu, żeby kontynuował.

- Druga ofiara, Rufus Ainsley, znaleziony „Pod Jac kiem i Młotem”, na drewnianej belce nad zegarem, na której stoi zazwyczaj rzeźbiona figura kowala... - Jury jeszcze raz spojrział na Racera, w nadziei, że ten przyzna się do żartu. Ale on siedział bez słowa, tyle że wyjął już wykałaczkę z ust. Wyglądał, jakby w nocy przyszły do niego elfy i zszyły jego suche wargi. Jury'ego wytrącał z równowagi fakt, że Racer nie widział w tej sprawie nic dziwnego. Najwidoczniej, skoro przydarzyło się to księ ciu Clarence, głowa w beczce z piwem nie była żadną osobliwością.

Jury kontynuował:

- Kelnerka w pubie - Daphne Murch - była osobą, która znalazła zwłoki Williama Smalla i zawołała właściciela, Simona Matchetta. W pubie było wielu ludzi - wszyscy twierdzili, że nie znają zabitego. Smali pojawił się, według słów właściciela, tego samego dnia, szukając noclegu. To pierwsza zbrodnia. Druga wydarzyła się dwa dzieścia cztery godziny później. Ciało Ainsleya zostało umieszczone na belce w miejsce tej mechanicznej figury...

- Jury zawiesił głos. Myśl, że morderca zabawiał się jak psotnicy w dzień Guya Fawkesa, mroziła mu krew w żyłach.

- Dalej.

- Ciało Ainsleya najprawdopodobniej zostało spuszczone z okna pakamery bezpośrednio nad belką. Z powodu tej wysokości i śniegu nikt nie zauważył go przez wiele godzin... - Zastanawiał się, czy nie śni. - Obie ofiary były nieznanne w Long Piddleton, obie przyjechały tu w odstępie dnia do dwóch...

- Dnia do d w ó c h ? Cóż to za bełkot, chłopcze? Co ty sobie wyobrażasz, Jury? Bawisz się w zgadywanke? Obstawiasz zakłady piłkarskie? Policjant ma być dokładny!

- Racer znów włożył grube cygaro do ust, wpatrując

się w Jury'ego. Zabrzęczał interkom. Nadinspektor nacisnął przełącznik. - Tak?

To była jedna z dziewcząt, które pracowały w C-4. Przyniosła akta morderstw w Northamptonshire.

- Dawaj - polecił Racer poirytowany.

Fiona Clingmore weszła do pokoju i, zgodnie ze swymi priorytetami, uśmiechnęła się ciepło do Jury'ego, a potem wręczyła teczkę z papieru manilowego Racerowi. Miała na sobie strój w stylu lat czterdziestych; najwyraźniej takie lubiła: czarne szpilki z paseczkiem zapinanym na guziczek na podbiciu, wąską czarną spódnicę i czarną nylonową bluzkę z długimi rękawami, co zawsze kojarzyło się z lekkim negliżem. Jak zwykle, dekolt był głęboki, a spódniczka krótka. Wydawało się, że Fiona nosi ubrania spuszczone do połowy masztu; być może to na znak żałoby po cnocie, pomyślał Jury.

Patrzył, jak wzrok przełożonego zdejmuje z dziewczyny ubranie jak łupinę z cebuli, warstwa po warstwie.

- To wszystko. - Racer odpędził Fionę gestem dłoni.

Wschodząc, mrugnęła do Jury'ego i obdarzyła go jeszcze jednym uśmiechem. Racer zauważył to i powiedział sarkastycznie:

- Niezły bawidamek z ciebie, co, Jury? - Potem warknął: - Może byśmy tak wrócili do sprawy? - Rozłożył kilka zdjęć wyjętych z teczki i popukał w pierwsze z nich palcem: - William Smali. Zamordowany między dziewiątą a jedenastą wieczorem we czwartek, siedemnastego grudnia, jak zdołali ustalić chłopcy z Northamptonshire. Ainsley, zamordowany jakiś czas po siódmej osiemna stego grudnia. W ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie zostali przez nikogo rozpoznani. Znamy ich nazwiska tylko dlatego, że się zameldowali. Smali wysiadł z pociągu w Sidbury, ale nie wiemy, gdzie do niego wsiadł. Nie ma nic, co łączyłoby ich z kimkolwiek w miasteczku. Tak

to wygląda. Bez wątpienia morderca to jakiś szaleniec. - Racer zaczął czyścić sobie paznokcie scyzorykiem.

- Szkoda, że nie wezwali nas od razu, teraz ślady są zatarte...

- No, ale nie wezwali, prawda, chłopcze? Więc idź tam i podejmij zatarty ślad. Oczekujesz, że będzie łatwo, Jury? Życie policjanta najeżone jest trudnościami. Czas się tego nauczyć. - Złożył z trzaskiem scyzoryk i zaczął czyścić sobie ucho małym palcem.

Jury pomyślał, że nic by się nie stało, gdyby jego szef dokończył toaletę w domu.

Wiedział, że Racer jest wściekły, że musi dać mu tę sprawę. Wszyscy w wydziale uważali, że to Jury powinien być szefem. Jemu samemu właściwie na tym nie zależało. Nie chciał kierować wydziałem i Bóg mu świadkiem, że nie miał ochoty spędzać czasu na rozpatrywaniu skarg przeciw innym policjantom. Jako że nie miał żony i dzieci na utrzymaniu, mógł się zadowolić mniejszą pensją, która wystarczała aż nadto na jego skromne potrzeby. A poza tym ile warta była cała ta nadbudowa? Jury znał zwykłych posterunkowych, równie bezcennych pod względem swojej wiedzy fachowej i umiejętności, jak ludzie na olimpijskich wysokościach komendanta policji.

- Kiedy mam tam jechać, sir?

- Wczoraj - warknął Racer.

- Mam jeszcze to morderstwo w Soho...

- Ta sprawa z restauracją żółtków?

Przerwał im dzwonek telefonu. Racer chwycił słuchawkę.

- Tak? - Słuchał przez chwilę, rzucając spojrzenia na Jury'ego. - Tak, jest tutaj. - Słuchał jeszcze chwilę, a na jego wąskich ustach igrał złośliwy uśmieszek. - Ponad sześć stóp, kasztanowe włosy, ciemnoszare oczy, ładne zęby i olśniewający uśmiech? - Głos miał niemal śpiewny.

- To nasz Jury, zgadza się. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Powiedz jej, że oddzwoni. Jesteśmy zajęci. - Racer trzasnął słuchawką, w wyniku czego podskoczyło kilka długopisów. - Poza „ośniewającym uśmiechem” ten opis mógłby pasować do konia.

Jury zapytał cierpliwie:

- Czy mogę wiedzieć, o co chodziło?

- Kelnerka z tej restauracji w Soho. - Racer spojrział na zegarek. Telefon musiał mu przypomnieć o jego własnych zobowiązaniach. - Idę z kimś na kolację. - Rzucił Jury'emu teczkę przez biurko. - Jedź do tej zakazanej dziury. Weź ze sobą Wigginsa. Nic nie robi, tylko bez przerwy smarka w chusteczkę.

Jury westchnął. Jak zwykle, Racer nawet go nie poprosił, żeby sam dobrał sobie sierżanta. Wiggins był młodym człowiekiem, robiącym wrażenie staruszka z powodu swojej hipochondrii. Dość sympatycznym i sprawnym w działaniu, lecz nieustannie na krawędzi omdlenia.

- Wezmę Wigginsa i pojedę tam wcześniej rano - rzekł Jury.

Racer już wstał z fotela i wkładał swój piękny, szyty na miarę płaszcz. Jury zastanawiał się, skąd jego szef ma pieniądze. Łapówki? Zresztą mało go to obchodziło.

- Bierz go więc. - Nadinspektor zerknął na swój wąski złoty zegarek. - Kolacja w „Savoyu”. Dziewczyna czeka. - Z lubieżnym uśmieszkiem nakreślił damskie kształty w powietrzu. Przy drzwiach odwrócił się i dodał:

- I na miłość boską, Jury, nie zapominaj, że tu pracujesz, dobrze? Gdy dotrzesz do tej zakazanej dziury, złóż jakiś raport.

Jury siedł korytarzem. Jakież bezbarwne były teraz korytarze ich siedziby w porównaniu z wiktoriańską elegancją starego budynku! Żadnych marmurów ani

mahoniów, oczywiście. Mimo że dawny budynek był ciasny i zatłoczony, Jury wolał stary Scotland Yard. Gdy dotarł do drzwi swego biura, zobaczył, że kręci się koło nich Fiona Clingmore, jakby znalazła się tam przez czysty przypadek. Zapinała czarny płaszcz.

- Koniec dyżuru, inspektorze Jury? - W jej głosie brzmiała nadzieja.

Jury uśmiechnął się, otworzył drzwi i sięgnął po swój płaszcz na wieszaku. Jego kolegów już nie było, więc zgasił światło i zamknął drzwi. Patrząc jej w twarz, nie tak młodą, jak można by się było spodziewać z pewnej odległości, i na wysoko upięte żółte włosy, które wieńczyły coś w rodzaju toczka, Jury powiedział:

- Fiono, czy wiesz, co mi przypominasz?

Ona pokręciła głową, ale patrzyła na niego z oczekiwaniem.

- Te filmy z czasów wojny, w których jankesi przybywają masowo do Londynu i zakochują się w angielskich dziewczynach.

Fiona zachichotała.

- Chyba mnie jeszcze nie było na świecie.

To była prawda. Może rzeczywiście nie miała czterdziestki, ale na pewno się do niej zbliżała.

- Nie sądzę, żeby mojemu Joemu się podobało, że pan w ten sposób do mnie mówi, inspektorze Jury - rzuciła kokieteryjnie.

Zawsze mówiła o swoim Joem, ale nikt go nigdy nie widział. Jury odgadł jakiś czas temu, że nie ma żadnego Joego. Może był kiedyś, ale teraz już nie. Spojrzał na uśmiechającą się do niego Fionę, dostrzegł, jak puste są jej oczy, i poczuł nagły przypływ empatii, nawet pewną więź.

- Posłuchaj - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Mam pewną sprawę do załatwienia w Soho. Ponieważ



jest to w restauracji, a ja jeszcze nie jadłem... co ty na to? Zjadłabyś kolację? Co do mnie, koniecznie muszę sobie zrobić przerwę.

Zapłonila się jak zorza. Potem spuściła wytuszone rzęsy i szepnęła:

- Och, nie wiem, czy mój Joe by się na to zgodził, ale...

- Joe nie musi wiedzieć, prawda? - Gdy podniosła wzrok, Jury puścił do niej oczko.

Była prawie północ, gdy Jury uwolnił się od restauratora z Soho i nieustannej paplaniny Fiony. Gdy wyszedł z przystanku metra Angel, był nieludzko zmęczony i absolutnie zniechęcony perspektywą łapania porannego pociągu do Northamptonshire. Pocieszył się myślą, że wyjazd z Londynu na parę dni - a nawet tygodni - może być przyjemny. I tak nie miał gdzie się podziać na Boże Narodzenie, mógł najwyżej pojechać do okropnego domku swojej kuzynki w Potteries i pozwolić się tarmosić dwojgu jej dzieciom.

Jury wyszarpnął „Timesa” spod cegły przy wyjściu z metra, rzucił parę monet na mizerny stosik i ruszył w stronę domu.

Zaczął padać śnieg - drobny, sypki śnieg, nie te mokre, grube płaty, które przyklejają się do rzęs i zostają na języku. Jury lubił śnieg, ale nie londyński, który tylko zapaskudzał ulice, szary i rozmiękły. Teraz padał gęściej, ziarnisty jak cukier, i kłuł go w twarz, gdy szedł Islington High Street w kierunku Upper. Skreślił w Camden Passage, który lubił o tej późnej porze; sklepiki były dziwnie ciche, a noc zakłócana tylko szelestem miotanego wiatrem papieru. „Camden Head” było zamknięte, a wszystkie niewielkie kramy, rozstawiane w dzień przez sprzedawców antyków, rozebrane. Za dnia ten interes na wolnym powietrzu przyciągał tłumy. Jury lubił tu spacerować

i obserwować złodziejasków przy pracy. Jego ulubiony kieszonkowiec, Jimmy Pink, preferował Camden Passage - potrafił niepostrzeżenie pozbawić człowieka kieszeni z całą zawartością. Jury przymykał go tutaj tyle razy, że powiedział mu kiedyś, iż równie dobrze mógłby rozstawić własny kram.

Wyszedł z pasażu na Charlton Place, stamtąd na Colebrook Row, uroczą uliczkę (nie miałby nic przeciwko temu, by na niej mieszkać), potem minął jeszcze kilka przecznic, aż dotarł do swego rzędu szeregowo stojących, niewielkich domów. Większość z nich została przerobiona wewnątrz na oddzielne mieszkania. Kamieniczki były trochę zaniedbane, ale całkiem przyjemne, ponieważ znajdowały się naprzeciw małego, ogrodzonego parku, do którego każdy lokator miał klucz.

Jury mieszkał na pierwszym piętrze. Było tam jeszcze pięć innych mieszkań, ale prawie nie widywał sąsiadów z powodu swoich nieregularnych godzin pracy. Znał jednak kobietę, która zajmowała mieszkanie w suterenie - panią Wasserman. Widział, że za ciężko okratowanymi oknami o grubych zasłonach pali się u niej światelko. Po obu stronach schodków, w zimie czy w lecie, stały dwie pelargonie. Pani Wasserman nie spała, jak zwykle.

Wszedł do siebie i zapalił górne światło. Jak zawsze, odczuł lekką panikę na widok bałaganu, przywodzącego na myśl mieszkanie, które właśnie splądrowali i opuścili w pośpiechu złodzieje. Głównie były to książki. Wylewały się z regałów i spadały ze stołów. Pod oknem wychodzącym na park stało biurko. Jury położył na nim teczkę i zdjął płaszcz. Potem usiadł i jeszcze raz przejrzał fotografie. Niewiarygodne.

Pierwsza została zrobiona w piwnicy pubu „Pod Huncwotem”. Była ciemna i ziarnista, pokazywała jednak z przerażającą dokładnością ciało niemal bez tułowia.

Ofiara została wciągnięta na sięgającą człowiekowi do pasa beczkę, używaną do domowego warzenia piwa, tak że głowa i ramiona znajdowały się wewnątrz, a reszta ciała zwisała z boku.

Jury nie mógł zrozumieć jednego. Skoro William Smali został uduszony drutem, dlaczego morderca zawracał sobie głowę tym groteskowym ozdobnikiem?

Fotografia z pubu „Pod Jackiem i Młotem” była jeszcze bardziej dziwaczna. Ciało Rufusa Ainsleya, bezwładne, kiedy już minęło zeszywnienie, podtrzymywał wąski metalowy pręt, który mocował rzeźbioną figurę do belki. Pręt biegł pod koszulą ofiary, owiązany liną w swojej środkowej części, a całość zakryto zapiętą na guziki marynarką. Na ramionach Smalla wciąż widniały czapy niestopionego śniegu. Ciało schowane więc było na widoku; najlepsze miejsce, by coś ukryć, jest pod nogami lub nad głową. Ofiara - niewysoki mężczyzna, pięć stóp, pięć lub sześć cali wzrostu - świetnie zastępowała rzeźbioną figurę. Trudno powiedzieć, ile czasu by minęło, zanim ktoś podniósłby na Smalla wzrok; a zresztą, ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć.

Ale znowu: dlaczego? Czemu miała służyć ta misterna sztuczka?

Zebrał zdjęcia, otworzył płytką szufladę biurka i wsunął teczkę do środka obok małej oprawionej fotografii, która leżała tam odwrócona. Jury zdjął fotografię z biurka, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby ją wyrzucić. Gdy był młodszy, nie myślał zbyt często o małżeństwie, dopiero teraz. W ciągu czterdziestu lat nie spotkał wielu wyjątkowych kobiet. Maggie była jedną z nich.

Zamykał szufladę na mały kluczyk, gdy usłyszał stukanie do drzwi.

- Inspektorze Jury - wyszeptała kobieta na klatce schodowej, splatając i rozplatając ręce - on znów tam jest. Nie wiem, co robić. Dlaczego on mi nie da spokoju?

- Dopiero wróciłem, pani Wasserman...

- Wiem, wiem, i bardzo bym nie chciała pana fatywować. Ale... - Rozłożyła ręce bezradnym gestem. Miała ociążałą sylwetkę, ubrana była w czarną sukienkę, spiętą na biuście kunsztownie zdobioną broszką. Czarne włosy ściągnęła do tyłu w ciasny kok, zwinięty jak sprężyna. Sama przypominała ciasno zwiniętą sprężynę, gdy tak wyłamywała dłonie i podciągała rękaw swetra nerwowym gestem aż do łokcia.

- Zejdę z panią na dół.

- To te same buty, inspektorze. Wie pan, zawsze potrafię poznać po butach. Czego on chce? Dlaczego on mnie nie zostawi w spokoju? Czy ta krata jest dość mocna, jak pan myśli? Dlaczego on ciągle wraca? - Zасыpywała Jury'ego pytaniami, gdy schodzili do jej mieszkania.

- Sprawdzę.

- Bardzo proszę. - Jej dłonie powędrowały do twarzy, jakby samo zerknięcie Jury'ego przez maleńkie frontowe okienko mogło im obojgu zagrozić. Okno znajdowało się naprzeciw jej drzwi, na tym samym poziomie co górny stopień oraz chodnik.

- Nie ma tam nikogo, pani Wasserman. - Jury wiedział, że nie będzie.

Zdarzało się to mniej więcej raz na dwa miesiące. Początkowo Jury usiłował przekonać ją, jak jest naprawdę: nikogo tam nie było. Pani Wasserman spędzała mnóstwo czasu, obserwując nogi na chodniku, bezcielesne nogi i stopy przechodzące przed jej oknem. Skupiła się na jednej parze tych stóp-butów, i twierdziła, że wciąż powracają, żeby ją dręczyć. Zatrzymują się. Czekają. Strasznie się bała Stóp.

Jury próbował ją przekonać, że nie ma tam żadnych Stóp ani żadnego Onego, aż uświadomił sobie kiedyś, że wprawia ją tym w jeszcze większe zdenerwowanie.

Sasiadka chciała w to wierzyć. Więc przez ostatni rok pomógł jej uczynić mieszkanie w suterenie niezdobytą fortecą: grubsze kraty, wpuszczane zamki drzwiowe, łańcuchy, alarmy przeciwwłamaniowe. Mimo to niezawodnie zjawiała się u jego drzwi. Za każdym razem znajdował jakąś radę - kolejny zamek, kolejny alarm - i za każdym razem zalewała ją fala ulgi. Zapewniał kobietę, że teraz prędzej ktoś splądruje siedzibę Nowego Scotland Yardu, niż dostanie się do jej mieszkania. Uznała to za zabawne. Jednak brakowało mu już pomysłów.

Wyrzał przez okienko, niczego nie spostrzegł, sprawdził pro forma kraty. Obserwowała go z niepokojem. Wiedział, że jeśli zbyt długo będzie się wahał, ona nabierze jakichś podejrzeń. Wyciągnął z kieszeni małe metalowe kółeczko i uniósł je w górę.

- Pani Wasserman, naprawdę nie powinienem tego robić, to nielegalne - uśmiechnął się, ona też, zadowolona ze wspólnego sekretu - ale podłączę to pani do telefonu.

- Wziął do ręki aparat i przyczepił krążek do metalowej podstawy. - Proszę. Teraz, gdy ktokolwiek będzie panią niepokoił, proszę po prostu podnieść słuchawkę i przesunąć to metalowe kółeczko w bok. Wtedy telefon zadzwoni u mnie. Rozjaśniła się. - Ale proszę posłuchać, niech pani używa tego tylko wtedy, gdy to będzie absolutnie k o n i e c z n e - w sytuacji awaryjnej - bo zabrzęczy w Scotland Yardzie i wpadnę w niezłe tarapaty.

Na jej twarzy odmalowała się ulga; był to żalony widok. Wiedział, że kobieta nie użyje urządzenia; stanowiło tylko pokrzepienie, którego potrzebowała, a on będzie miał spokój na najbliższe dwa miesiące. Potem napięcie znów wzrośnie i pani Wasserman kolejny raz zobaczy Stopy. Przypominało to reakcję dewianta seksualnego lub narkomana. A nie istniało właściwie nic, co mogłoby

wyleczyć kobietę z jej obsesji. Często zastanawiał się nad pustką jej życia. Czasem zaglądał w małe ciemne oczka i widział tam własne odbicie.

- Och, inspektorze Jury, co ja bym bez pana zrobiła? To taka pociecha, że pan tu mieszka, prawdziwy policjant ze Scotland Yardu. - Szybkim krokiem podeszła do kominka, w którym żarzyła się elektryczna kłoda, i zdjęła z białego gipsowego gzymsu jakieś zawiniątko. Wyciągnęła je w jego kierunku. - To z okazji Gwiazdki. No, niech pan otworzy. - Ponagliła go gestem.

- Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję. - Rozwiązał krótką wstążkę i odwinął cienką bibułę. Była to książka. Pięknie wydana, oprawiona w skórę, ze złoto tłoczonymi literami i czarną jedwabną wstążeczką-zakładką. *Eneida* Wergiliusza.

- Widziałam, jak pan kiedyś czytał na stacji Angel, pamięta pan? Wiem, że pan bardzo lubi czytać. Ja tam się nie znam na takich poważnych rzeczach. Dla mnie to prawdziwa chińszczyzna. Ja czytam magazyny filmowe, romanse, takie śmiecie, wie pan. Może być? - Wydawała się naprawdę zaniepokojona, czy kupiła mu odpowiednią książkę.

- Jest wspaniała, pani Wasserman. Naprawdę. Wesołych świąt. Da pani sobie już radę?

Idąc na górę po schodach z prezentem w ręce, Jury myślał: biedna kobieta. Z jakiego punktu obserwacyjnego widziała stopy Onego, który ją przerażał? Z poziomu podłogi? Dywanika? Łóżka? Czy musiała spuszczać wzrok, żeby unikać patrzenia w górę? Dla pani Wasserman lepiej było, że Stopy zatrzymują się tuż za jej okratowanymi oknami, niż żeby otwierały kopniakiem drzwi pamięci.

## 5

Angielski pub tkwi zasadniczo na skrzyżowaniu historii, pamięci i romansu. Kto w wyobraźni nie wychylał się z jego drewnianych galeryjek na brukowany dziedzińiec, żeby spojrzeć na zatrzymujące się tam powozy, na skłębione oddechy tupiących kopytami koni w ciemnym zimowym powietrzu? Któż nie czytał o tych długich, przysadzistych budynkach z oknami podzielonymi na kwadraty, o zapadniętych, nierównych podłogach, o masywnych belkach pod sufitem i ścianach obwieszonych miedzianymi kotłami, o kuchniach, gdzie niegdyś na rożnach obracały się półcie mięsa, a z sufitów zwisały szynki? Tam przy kominku podróżni niższej kategorii siadywali na drewnianych stołkach lub ławach, z kuflami ciemnego piwa w ręku. Tam zabiegana właścicielka gonila pokojówki do obowiązków. Zastępy służących z pachnącymi lawendą prześcieradłami, pomywaczki, lokaje, barmanki, stangreci i majster złota rączka nazwiskiem Boots usługiwali podróżnemu, towarzysząc mu do i od ciężkich dębowych drzwi. Często nie mógł on mieć pewności, czy znajdzie na podłodze wiązkę słomy lub czy po drodze na śniadanie nie będzie się potykał o leżące ciała, jeśli spał w wewnętrznej izbie. Na szczęście śniadanie z nawiązką wynagradzało niewygody nocy: cynaderki i gołębie

zapekane w cieście, gorące paszteciki z baraniną, kufle mocnego ciemnego piwa, słodkie bułeczki i herbata, jajka w koszulkach i grube plastry bekonu.

Któż nie wysiadał z panem Pickwickiem na dziedzińcu pubu „Pod Błękitnym Lwem” w Muggleton, kto nie jadł ostrego z Tomem Jonesem „Pod Dzwonem” w Gloucestershire lub nie cierpiał z Keatsem w zajeździe w Burford Bridge? Któż, głodny i spragniony, nie zatrzymywał się na małe piwo i kawałek błękitno żyłkowanego sera stilton, sera cheshire w płatach czy gomółki cheddara? Któż nie miał pewności, że mosiądz zawsze będzie błyszczący, drewno wypolerowane, ogień buzujący, piwo ciemne, gospodarz odziany w tweedy a na gorze korytarze ciemne i wąskie, przytulny pokój niemal nie do odnalezienia - dwa schodki do góry, trzy w dół, skręcić w prawo, pięć w górę, dziesięć kroków w przód - jak w zabawie w chowanego lub w wyliczankę? Nawet jeśli teraz z krochmalonych czepków zniknęły wstążki, a gospodyni jest bardziej obecna duchem niż ciałem, jak uśmiech kota z Cheshire - całe to bogactwo wspomnień niemal pozwala zapomnieć, że funt już nie rządzi światem.

Pub „Pod Huncwotem” nie stanowił wyjątku - był to zbudowany z muru pruskiego szesnastowieczny zajazd, przez którego zwieńczoną łukiem bramę właśnie wjeżdżał swoim bentleyem Melrose Plant, by zaparkować wóz na podwórze przed nieużywaną stajnią. Tędy przy wtórze kopyt mógł wjeżdżać dylizans z Barnet, aby zatrzymać się na brukowanym podwórze otoczonym galeryjką, skąd Molly Mog machała na powitanie i flirtowała z lokajami. Dla lady Ardry była to kwintesencja angielskiego pubu. W lecie powojnik rozciągał swe długie wąsy na frontowej ścianie budynku, rywalizując z pnącymi różami. Pub stał na wzgórzu i był zwrócony ku południu. Był to długi bu-



dynek, który sprawiał wrażenie, jakby pijany budowniczy zestawiał go z różnych elementów. Dach kryty strzechą wyglądał przy jego oknach jak kołnierzyk. Pośród pól zielonych i lśniących latem, srebrnych i zamglonych zimą, jego okna o szybkach w kształcie rombów spoglądały w stronę miasteczka Long Piddleton.

Gdy Melrose Plant i lady Ardry zajęli przed budynkiem, było ciemno, więc oświetlone wnętrze zajazdu wydawało się tym bardziej zachęcające. Pub ten był instytucją niezależną, a jego właściciel miał szczerzy zamiar nie dopuścić do wchłonięcia go przez któryś z browarów.

Właściciel, Simon Matchett, przywitał ich teraz w drzwiach wejściowych, Agathę uniżenie, ale Melrose'a Planta już nie tak bardzo; dla niego miał ledwie skinienie głowy i uśmiech, acz niezbyt szeroki. Melrose go nie lubił; wyczuwał w Matchecie snoba, któremu imponuje zarówno bogactwo, jak i pozycja człowieka o powierzchownej ogładzie, ale ukrytej wulgarności. By go nie skrzywdzić, zastanawiał się, czy może sam po prostu nie jest zazdrosny. Powodzeniu Matchetta wśród kobiet trudno byłoby zaprzeczyć. Uatrakcyjniał swoją postacią nawet drzwi, przez które wchodził. Melrose'a niepokoiło w dodatku wyraźne przywiązanie Matchetta do Vivian Rivington.

Prawdopodobnie nawet tragedia w przeszłości właściciela pubu - jakaś historia z jego zmarłą żoną i inną kobietą - mogła się przyczynić do romantycznego wizerunku tego człowieka, niczym blizna na twarzy kogoś, kto brał udział w pojedynku. Historia była tak stara, że nawet lady Ardry nie zdołała wygrzebać wszystkich jej szczegółów.

Stali teraz w niskim, słabo oświetlonym holu, obwieszonym rycinami o tematyce sportowej i wypchanym tactwem, a ciotka Agatha i Simon Matchett gawędzili

o wszystkim i o niczym, a zwłaszcza o niczym. Melrose oparł się o ścianę, czubkiem głowy muskając dość sfatygowaną parkę wypchanych bażantów. Przyglądał się zakurzonym rycinom po drugiej stronie, przedstawiającym powozy. Tu przewrócił się wesoły powóz i pasażerowie wpadli w zaspę. Tam z głośnymi okrzykami wjeżdżali na brukowany dziedziniec, a Betsy Bunt machała im z górnej galeryjki. Melrose zastanawiał się, dlaczego wtedy powozienie uważane było za sport, coś jak rugby czy kręgle. Patrzył, jak jego ciotka i Matchett wolnym krokiem zmierzają przez hol w kierunku baru, ignorując jego osobę. Melrose ruszył w przeciwną stronę, gdzie wąskie schody, wzdłuż których wisiało więcej obrazów przedstawiających pardwy i bażanty zawieszono za chude nogi głowami w dół, prowadziły do długiego korytarza z szeregiem niewielkich sypialni pod dwuspadowym dachem na piętrze. Po prawej była jadalnia. Belkowany sufit opierał się na kilku kamiennych podporach, które służyły zarazem do oddzielania wnęk na stoły. Kamień był grubo ciosany, a jego płyty sprawiały wrażenie zbyt słabo umocowanych między sufitem a podłogą, żeby oferować komfortową pewność. Ciotka uważała to pomieszczenie za staroświeckie, coś jak refektarz w starym klasztorze, którym prawdopodobnie było. Melrose zawsze miał tu wrażenie, jakby jadł w Stonehenge. Jednak ogólny efekt chłodu przelamywały orientalne dywany, świeże kwiaty, lampy o czerwonych kulistych kloszach na stolikach i polerowane mosiężne talerze na ścianach. Twig, stary kelner, starał się wyglądać na zapracowanego, gdy z przejęciem układał czerwone serwetki w pustych pucharach na wodę. Kelnerce, Daphne Muren, przypadała czarna robota. W tej chwili posuwała się powolutku z załadowaną tacą w kierunku dwóch wymuskanych starszych pań siedzących w jednej z wnęk. Klientów nie było dziś wielu; być może niektórych odstraszyło niedawne morderstwo.

Twig mamrotał reprimendę pod adresem Daphne Murch. Nieszczęsna dziewczyna zawsze wszystko robiła źle, nie mówiąc już o znajdowaniu zwłok w piwnicy.

- Melrose! - usłyszał głos ciotki dochodzący z baru.

- Cały wieczór będziesz się snuł pod drzwiami jadalni? Chodź, chodź!

Czy powinien odpowiedzieć: „Tak, ciociu”, i pobiec do niej w podskokach z patykiem i piłeczką?

Agatha usadowiła się przy niewielkim stoliku pod wykuszowym oknem, na jedynym wygodnym, wyściełanym krześle, pozostawiając Melrose'owi twardą ławkę. Matchett rozsiadł się po jej prawej stronie. Szybki okienne w kształcie rombów odbijały migotliwe światło monstrualnego kamiennego kominka po drugiej stronie pomieszczenia. Kominek był nieosłonięty i ogromne polana rozsypując się bezładnie, wypadały na kamienną podłogę. Płomienie wzbijały się, opadały i znów się wzbijały, jakby podsycane własnymi nieprzyzwoitymi myślami. Nieświadom bliskości bram piekielnych, tuż przy palenisku drzemał leniwie wielki pies niewiadomej rasy. Gdy usłyszał wchodzącego Melrose'a, otworzył jedno oko i odprowadził go wzrokiem przez salę. Melrose usiadł, a pies zwlókł się z legowiska i, długowłosy i niezgrabny, podszedł do ich stolika. Melrose nie mógł zrozumieć jego sympatii do swojej osoby, ponieważ nie odwzajemniał tej admiracji i usiłował psa ignorować. Jako że zwierzę sięgało mu do pasa, było to jak ignorowanie wełnistego mamuta. Pies wepchnął Melrose'owi nos pod pachę.

- Mindy, leżeć - rzucił Matchett bez większego przekonania.

Tymczasem przywlókł się Twig i przyjął zamówienie na drinki. Różowy dzin dla Agathy, martini dla Melrose'a. Ciotka skrzyżowała ramiona na obfitym biuście i rzuciła:

- A teraz, Matchett, mój drogi, zawołaj Murch. Może pamięta coś jeszcze. - Ciotka nabrała idiotycznego zwyczaju zwracania się do mężczyzn po nazwisku (Plant, mój drogi, Matchett, mój drogi), który Melrose uważał za pretensjonalny. Nikt już w ten sposób nie mówił, chyba że w świętym przybytku zakurzonego klubu dżentelmenów, gdzie stężenie pośmiertne wydawało się raczej przyczyną niż skutkiem zejścia śmiertelnego.

Melrose wiedział, że ciotka tylko czeka na okazję do przesłuchania Daphne Murch w sposób godny Scotland Yardu.

- Czemu nie zostawisz tej dziewczyny w spokoju? - zapytał, zapalając cygaro.

- Bo w odróżnieniu od ciebie interesuje mnie cała ta makabryczna sprawa! A dziewczyna może pamiętać jakiś osobliwy szczegół.

- Moim zdaniem, znalezienie jednego z gości z głową w beczce piwa było wystarczająco osobliwe. Czegoś bardziej osobliwego już sobie nie wyobrażam.

- Zostawmy ją - zgodził się Matchett. - To wszystko straszliwie ją zdenerwowało, Agatho.

Agatha nie była zadowolona. Wyraźnie pragnęła wstępu do relacji o własnej roli w znalezieniu ciała, którą udawało jej się za każdym razem bardziej upiększyć. Przynajmniej, pomyślał Melrose, ta Murch trzymała się za każdym razem tej samej wersji, obawiając się, być może, że jakakolwiek zmiana w zeznaniach zaprowadzi ją na ławę oskarżonych w sądzie Old Bailey.

Gdy Twig postawił przed nimi drinki, Matchett zapytał:

- A co pan sądzi o tej sprawie, Plant? - Zawsze udawało mu się tak wprowadzić Melrose'a do rozmowy, jakby wypatrzył go, niczym stare ubranie, na stojaku w sklepie z używanymi rzeczami, prowadzonym przez instytucję charytatywną.

Melrose przyglądał się swemu cygaru.

- Chyba zgadzam się z Oscarem Wilde'em. Morderstwo to błąd. Nie powinno się robić niczego, o czym nie można by porozmawiać po kolacji.

- Jakie to bezduszne z twojej strony... - zaczęła Agatha, ale Matchett przerwał jej, wstając, aby przywitać dwoje ludzi, którzy właśnie weszli do baru.

- Są Oliver i Sheila.

Melrose obserwował, jak ciotka próbuje kilku uśmiechów, żeby sprawdzić, który będzie pasował. Nie cierpiała zarówno Olivera, jak i Sheili, ale nie mogła tego po sobie pokazać. Choć Melrose dzielił jej niechęć do Olivera Darringtona, uważał, że Sheila to całkiem równa babka. Określano ją eufemistycznie jako „sekretnikę” Darringtona, ale wszyscy wiedzieli, że jest jego kochanką. I choć wydawała się niewiele więcej niż starletką uwieszoną ramienia producenta, Melrose podejrzewał, że ma dwa razy tyle szarych komórek, co Darrington - komplement zresztą nieszczególny, bo on nie miał ich wcale. Sheila koncentrowała się głównie na pokazywaniu swego ciała, które, razem z twarzą, tworzyło bardzo przyjemny zestaw. Melrose właściwie nie gustował w tym typie, choć potrafił zrozumieć, dlaczego gustuje w nim wielu mężczyzn. On lubił, gdy kobieta spoglądała na niego tak jasnymi i szczerymi oczyma - na przykład tak jak Vivian Rivington. Oczywiście były tak mocno obrysowane, że z bliska często miał wrażenie, iż patrzy na bardzo ładną fokę.

Sheila i Oliver przysunęli sobie krzesła, przerzucili przez nie okrycia i już byli gotowi rozprawić na ten jeden temat, którego Melrose miał powyżej uszu.

- Oliver ma teorię - rzekła Sheila.

- Tylko jedną? - zapytał Melrose, wpatrując się w łosia nad barem, którego popękane białe gipsowe wargi potrzebowały pomocy preparatora.

- Strasznie sprytnie to wymyślił - dodała Sheila.
- Posłuchajcie tylko.  
Melrose wolał studiować głowę łosia.
- Nie sądzisz, Mel? - Sheila szturchnęła go.
- Sądzę? O czym? - Melrose ziewnął. Burczało mu w brzuchu.

Sheila wydeła wargi.

- **O t e o r i i** Olivera. O tych morderstwach. Nie słuchałeś?

- Nie zwracaj uwagi na Melrose'a - rzuciła lady Ardry, poprawiając lisa na szyi. - On nigdy nie słucha.

- Melrose'owi zdawało się, że małe szklane oczka zwierzęcia patrzą na niego błagalnie. Od łosia do lisa. Czyżby stał się wielbicielem dzikiej zwierzyny?

Chcąc nie chcąc, musiał wysłuchać Sheili, która przechyliwszy się ku niemu przez stół, referowała teorię Olivera:

- Że to ktoś, kto żywi jakąś urazę do Long Piddleton. Ktoś, komu kiedyś nasze miasteczko wyrządziło krzywdę, i rana jątrzyła się i ropiała, aż znalazł sposób, żeby się zemścić.

- Czemu po prostu nie rzucił odznaki w piach? - zapytał Melrose, strzepując długi słupek popiołu z cygara.

- Tak robił Gary Cooper. - Melrose bardzo lubił stare westerny.

Sheila wyglądała na zakłopotaną, a Oliver przestał się inteligentnie uśmiechać.

- Mówiłam ci, Sheilo, nie zwracaj na niego uwagi. Udawaj, że go tu nie ma - zamknęła sprawę Agatha, po czym zamówiła kolejny różowy dzin.

Sheila jednak nie dawała za wygraną.

- Wiecie, Oliver pisze książkę. Coś w rodzaju fabularyzowanego dokumentu o takich rzeczach...

- **O t a k i c h** rzeczach? - zapytał uprzejmie Melrose.

- No wiesz, o szczególnie dziwacznych morderstwach...

- Przestań, Sheila, nie zdradzaj wszystkiego od razu - przerwał jej Darrington. - Wiesz, że nie lubię rozmawiać o nieskończonym dziele.

Agatha miała ponurą minę. W Long Piddleton Darrington cieszący się przez kilka lat skromną sławą autora kryminałów, był jej głównym rywalem. Sława ta (ku jej wyraźnemu zadowoleniu) po jego ostatniej książce spadała na łeb na szyję.

Oliver pytał teraz z lekceważącym śmiechem:

- Kto to powiedział: Jeśli będę chciał przeczytać dobrą książkę, napiszę ją sam?

Pewnie ty, pomyślał Melrose i wrócił do oglądania losia.

Simon Matchett usiłował grać rolę idealnego gospodarza, choć Melrose wiedział, że pogardza Darringtonem.

- To interesująca teoria, Oliverze. Motyw urazy - jednak przyznasz, że musiałby to być psychotyk.

- No cóż, dobry Boże, musi nim być, skoro topi ludzi w piwie i wsadza ich na drewniane belki. Chodzi o to, że ci dwaj mężczyźni byli zupełnie obcy w Long Piddleton; więc jaki m o ż l i w y motyw...

- Chcesz powiedzieć, że m y t w i e r d z i m y , że to obcy - wtrącił Melrose, mający dość przypuszczeń podawanych jako fakty.

Wszyscy spojrzeli na niego, jakby właśnie wyciągnął spod stołu węża.

- A cóż to ma znaczyć, Mel? - zapytała Sheila.

Melrose widział, jak położyła dłoń na dłoni Matchetta. Nawet myśląca tylko o jednym Sheila, która chętnie zabiłaby pół miasteczka, żeby zatrzymać przy sobie Olivera, nie mogła się oprzeć, by nie wykonać tego gestu.

- On chyba mówi, że ktoś w Long Piddleton musiał ich znać - wyjaśnił Simon, zapalając cygaro, po czym uśmiechnął się: - Więc czyja to sprawka, twoim zdaniem?

- Co?

Simon roześmiał się.

-Te m o r d e r s t w a , stary. Skoro najwyraźniej uważasz, że popełnił je ktoś z naszego pięknego miasteczka.

Czemu nie siedział cicho? Teraz będzie musiał kontynuować tę grę.

- Prawdopodobnie twoja.

Grupa osób przy stoliku zamarła w całkiem przyjemnej scenie: dłonie zatrzymały się w powietrzu, usta pozostały otwarte, jakby zacięły im się zawiasy; kieliszki zawahały się przy wargach, które wciąż trzymały papierosy. Tak naprawdę jedynym, który nie dał się zaskoczyć, był sam Simon. Śmiał się:

- Wspaniale! Pewnie broniłem honoru moich klientów, chroniąc je przed wstrętnymi im zalotami Smalla.

Melrose nie mógł się nadziwić, jak Matchett potrafi odwrócić kota ogonem i zmienić zniewagę w komplement.

- Uważam, że twoje poczucie humoru jest odrażające, Melrose - orzekła Agatha.

- Zawsze jest gorsze na pusty żołądek, droga ciociu.



## 6

22 grudnia, wtorek

Dwaj detektywi, główny inspektor Richard Jury i jego towarzysze, sierżant Alfred Wiggins, wysiedli z londyńskiego pociągu o drugiej zero pięć prosto w kłęb pary, z którego drugiej strony wynurzyła się jakaś widmowa sylwetka. Gdy para opadła, widmo przybrało postać posterunkowego Plucka z policji w Northamptonshire.

Pluck umieścił odrapaną walizkę Jury'ego w tyle jasnoniebieskiego morrisa i powiedział:

- Komisarz Pratt czeka na panów w Long Piddleton. Przeprasza, że nie wyszedł po panów osobiście, sir.

- W porządku, panie posterunkowy. - Gdy jechali w kierunku Sidbury, Jury zapytał: - Czy doszliście do jakichś wniosków, dlaczego ciało Ainsleya zostało umieszczone nad zegarem?

- Och, tak, sir. Te *morderstwa najwyraźniej popełnia* jakiś maniak.

- Maniak? Tylko tyle?

Wiggins siedział bez ruchu na tylnym siedzeniu i jedynie pociąganiem nosa zaświadczał, że wciąż jest wśród żywych.

Dojechali do zakorkowanego ronda, co nie odstraszyło Plucka, który wśliznął się nań, omal nie powodując

rozbicia jakiegoś Morrisa Mini na tyle Forda Cortiny. Kierowcy powstrzymali się przed użyciem klaksonów na widok niebieskiego koguta na dachu policyjnego samochodu.

- O mały włos - rzekł Pluck, sugerując, że była to wina wszystkich oprócz niego samego. Następnie wjechał na drogę Sidbury^Dorking Dean. Gdy skończyło się ograniczenie do dwudziestu pięciu mil na godzinę, zgarbił się nad kierownicą, doprowadził szybkościomierz do pięćdziesięciu i wyprzedził skręcającą ciężarówkę. Ledwo uniknął zderzenia z czarnym Mercedeseśm jadącym z przeciwnika. Gdy Jury oderwał od deski rozdzielczej dłonie o pobieliałych kostkach, Pluck uśmiechnął się promiennie i poklepał tablicę rozdzielczą.

- Fajne autko, prawda, sir? Dostałem je dopiero w zeszłym miesiącu.

- W następnym może go pan już nie mieć, panie posterunkowy, przy tej prędkości. - Jury zapalił papierosa.  
- Przypuszczam, że te sprawy przyciągnęły mnóstwo dziennikarzy.

- Dobry Boże, tak. Nazywają je „morderstwami w pubach”. I ludzie strasznie się niepokoją, boją się, że morderca\* może ich dopaść w ich własnym łóżku.

- Dopóki będą się trzymać z daleka od łóżek w pubach, być może nic im nie będzie.

- Święta prawda, sir. Szkoda, że nie podniosą tego cholernego Vauxhalla i nie pójda z nim na piechotę. - To było o starym zielonym samochodzie przed nimi, w którym siedziało dwoje sędziwych pasażerów o cienkich szyjach i który jechał dwadzieścia na godzinę, co niesamowicie irytowało Plucka. Kipiał ze złości i garbił się na swoim siedzeniu, najwyraźniej obawiając się dokonać jeszcze jednego ryzykownego wyczynu w obecności swojego zwierzchnika.

Long Piddleton ukazało się jako szereg wapiennych domków po lewej stronie Jury'ego i pole z krowami po prawej. Następnie inspektor ujrzał kolejny szereg domków krytych strzechą, a po drugiej stronie drogi rozlewisko strumienia, w którym taplała się samotna kaczka. Gdy skręcili w lewo, Jury zauważył kobietę, która wychodziła pośpiesznie przez niewielką, zarośniętą pnączami bramkę, wpychając rękę do płaszcza burberry. Tak intensywnie wpatrywała się w ich samochód, że miał wrażenie, iż zaraz wystawi kciuk i będzie chciała, by ją podwieźć.

- Musieliście tam w Londynie pomyśleć, że nam tu odbiło, gdy dowiedzieliście się o okolicznościach - rzekł komisarz Pratt.

- Rzeczywiście. Pomyślałem, że ktoś się z nas nabija. - Jury nie przerywał czytania zeznań pastora Denzila Smitha. - O co chodzi z tą dziewczyną nazwiskiem Ruby Judd? Ze słów pastora wynika, że jego pokojówka nie wróciła z wizyty w Weatherington, gdzie mieszkali jej rodzice.

- Ruby Judd. A, tak. To raczej nie ma związku z tymi morderstwami. Chodzi o to, że panna Judd ma skłonności do, hm, przedłużania sobie wakacji. Mężczyźni, wie pan.

- Rozumiem. Ale tu napisano, że rodzice w ogóle jej nie widzieli. Czy wciąż jej nie ma?

Pratt kiwnął głową.

- Przypuszczalnie - rzekł - chodzi o to, że musiała podać pastorowi jakiś przyzwoity cel swojego wyjazdu. Nie znam tej dziewczyny, jednak...

- Za to ja znam! - oświadczył Pluck z lubieżnym uśmiechem. - Myślę, że komisarz ma w tej sprawie rację, inspektorze.

- Rozumiem. - Ale Jury nie rozumiał. Dziewczyny nie było prawie od tygodnia. - A co z identyfikacją tego Smalla?

Pratt pokręcił głową.

- Jeszcze nic. Smali przyjechał pociągiem, wysiadł w Sidbury, wsiadł do autobusu relacji Sidbury-Dorking Dean. Pokazaliśmy naczelnikowi stacji zdjęcia Smalla. Pamiętał go, lecz mgliście, i potrafił nam tylko powiedzieć, że facet wysiadł z pociągu z Londynu o jedenastej. Ale w takim razie mógł wsiąść gdziekolwiek po drodze, a nie byliśmy w stanie ustalić gdzie. Jeśli jednak ten człowiek pochodzi z Londynu, inspektorze... - Komisarz rozłożył ręce dość bezradnym gestem.

- A ten drugi, Ainsley?

- Przyjechał samochodem. Udało się nam ustalić, że samochód pochodził z Birmingham. Wie pan, jak to jest. Auto kupuje się z tablicami. Handlarz udawał głupka. „Ach, szefie, co ma robić biznesmen taki jak ja? Gościu wchodzi, ma dwieście funciaków i chce starego rzęcha...” - i tak dalej, i tak dalej. W każdym razie jesteśmy w martwym punkcie, jeśli chodzi o samochód oraz nazwisko. Przypuszczam, że nie jest prawdziwe. Na pewno żaden Ainsley nie mieszka pod fałszywym adresem, który podał handlarzowi.

- Czyli tu też nic nie macie?

Pratt wytarł nos.

- Zgadza się. Wie pan oczywiście, że w Weatherington jest jedno z laboratoriów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Mają tam wszystko, jakby pan czegoś potrzebował.

Jury'emu trudno było uwierzyć, że przy całej wiedzy fachowej i metodach naukowych laboratorium do niczego nie doszli. Nie znaleźli śladów stóp na piasku czy kropli krwi na parapecie?

- Musiało coś być - włókna, włosy - niemożliwe, **ieby** zabójca nic nie zostawił.

Pratt pokręcił głową.

- Owszem, były włosy, na przykład kelnerki i faceta, z którym Smali pił - zdaje się, Marshalla Trueblooda - jeśli może je pan powiązać ze sprawą. Jednak żaden motyw nie wydaje się oczywisty, absolutnie żaden. Tak, zebraliśmy ślady. Ale to wyłącznie odciski palców ludzi, którzy mieli legalny wstęp do pokojów Smalla i Ainsleya, jak właściciel pubu i pokojówki. Jeśli chodzi o ludzi obecnych w pubie na kolacji wtedy, gdy został zamordowany Smali, znaleziono odciski dwojga osób, które były wcześniej notowane. - Pratt zabrał teczkę, którą dał wcześniej Jury'emu, i poprawił okulary. - Ten Marshall Trueblood i kobieta nazwiskiem Sheila Hogg. - Pratt spojrział na Jury'ego z uśmiechem: Pedał i prostytutka. Właściwie nie prostytutka. Bardziej „aktoreczka”. Filmy erotyczne, tego rodzaju rzeczy. Ulubienica wydziału do spraw pornografii.

- Trueblood?

- Trochę narkotyków tu i tam. Ale nic dużego. Tylko zaopatrywał znajomych. Był nalot na jego mieszkanie w Belgravii.

Pratt wyglądał na tak zmęczonego, że Jury zaproponował, żeby poszedł do domu i się położył.

- Dzięki, inspektorze. Przyda mi się trochę odpoczynku. - Pratt wciąż przeglądał teczkę. - Wiemy, że podpis w księdze meldunkowej był podpisem Smalla, bo podpisał również czek za kolację, więc mogliśmy porównać. Jednak nazwisko Ainsleya w księdze meldunkowej „Pod Jackiem i Młotem” ktoś mógł wpisać.

- Nie sądzę. To było to samo nazwisko, którego użył, żeby wynająć samochód, tak?

- Tak. Myślałem tylko, że morderca nie chciał, żebyśmy zidentyfikowali tych dwóch.

- Najwyraźniej nie miał czasu, żeby zrobić coś w sprawie samochodu. - Jury zapalił papierosa ze swojej zmiętej paczki playersów. - Jak pan sądzi?

Pratt położył nogi na biurku i odchylił się na krześle.

- Spójrzmy na to w ten sposób. Powiedzmy, że ten Smali wyjeżdża z Londynu; może wpakował się tam w jakieś kłopoty. Nasz koleś jedzie za nim, organizuje spotkanie w tej zakazanej dziurze, widzi swoją szansę, gdy Smali zatrzymuje się w pubie...

- Czy ktoś jeszcze wysiadł z pociągu w Sidbury?

- Kilka osób. Sprawdzamy to.

- Więc śledzi Smalla, a potem zabija Smalla i Ainsleya?

Pratt podniósł rękę do góry.

- Wiem. Wiem. Okay. To może koleś mieszka tu, w Long Piddleton, lub niedaleko. Ci dwaj - Smali i Ainsley - przybywają do Long Piddleton w celach... no, nie wiemy jakich. Stanowi to jakieś zagrożenie dla koleś, który wietrzy ich i szybko się ich pozbywa.

Jury kiwnął głową.

- To z pewnością ma większy sens. Niewykluczone, że Ainsley był obcym, który tylko przypadkiem tędy przejeżdżał, skoro miał samochód. Ale Smali? Nikt, kto jest tylko przejazdem, nie wsiada w autobus z Sidbury do Long Piddleton.

Pratt zgodził się.

- Więc Smali znał tu kogoś, musiał znać. A w każdym razie musiał mieć z a m i a r tu przyjechać. Czy nie będzie falstartem założenie, że byli ze sobą jakoś powiązani?

- Ależ nie. Przecież obaj zostali zamordowani, nieprawdaż?

Po wyjściu Pratta Jury usiadł przy biurku i zagłębił się w zeznania świadków, którzy byli tamtego wieczoru „Pod Huncwotem”. Jego skupienie zostało gwałtownie zakłócone, gdy otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Pluck z jakąś starszą panią. Miała na sobie płaszcz burberry i Jury rozpoznał w niej kobietę, którą widział, gdy wjeżdżali do Long Piddleton. Zdaje się, że wdała się w małą utarczkę z Pluckiem, który uważał - słusznie zresztą - że mieszkańcom miasteczka nie powinno się pozwalać na wpadanie do biura inspektora.

- Przepraszam, sir... - zaczął Pluck. - To lady Ardry, sir.

- Nie musi pan przepraszać, sierzancie - oświadczyła Agatha. - Inspektor będzie chciał ze mną porozmawiać. - I zwróciła się do Jury'ego. - Inspektor Swinnerton, prawda?

Swinnerton?

- Nie, proszę pani, inspektor Richard Jury. Chciała pani ze mną rozmawiać?

Mina jej zrzedła, gdy wymienił swoje nazwisko, ale szybko się opanowała.

- Oczywiście, inspektorze, nie szarpałabym się z tym tutaj pańskim chłopcem na posyłki dla zabawy. Naturalnie, że chciałam z panem porozmawiać. A raczej to pan powinien chcieć porozmawiać ze mną. Kto będzie robił notatki? Nie ma co wzdychać, sierzancie Pluck. Gdybyście z tym komisarzem, jak mu tam, z Northampton, zachowali przytomność umysłu, nie trzeba by było wzywać Scotland Yardu. Idę o zakład, że pan inspektor chce usłyszeć moje zeznanie.

Jury polecił Pluckowi poprosić Wigginsa, żeby przyszedł robić notatki. Czuł się trochę tak, jakby dostał reprimendę od surowej starej ciotki.

- Proszę mówić, lady Ardry.

Usiadła, wygładziła spódnicę i odchrząknęła.

- To ja znalazłam ciało. Razem z tą dziewczyną, Murch - dodała, jakby to nie miało większego znaczenia, jakby „ta dziewczyna” była głucha, niema i ślepa. - Szłam właśnie do, hm, łazienki, gdy kelnerka Matchetta, ta Murch, wypadła z piwnicy. Twarz miała kredową jak białe klify Dover, mamrotała coś i pokazywała w dół schodów - była całkiem wytrącona z równowagi - a potem opadła na krzesło i jęczała w fartuch, więc ja musiałam wziąć sprawy w swoje ręce, bo inni biegali dookoła i nie robili nic poza pocieszaniem Murch. Pomaszerowałam na dół i znalazłam tego Smalla. Wszędzie unosił się okropny s m r ó d piwa...

- Czy pani go rozpoznała, lady Ardry?

- Czy go rozpoznałam? Oczywiście, że nie. Głowę miał w beczce z piwem. Nie wyciągałam jej, żeby mu spojrzeć w twarz, drogi panie. Niczego nie dotykałam. Wiem, że właśnie tak się należy zachowywać. W końcu mam pewną wiedzę w tych kwestiach...

Jury zauważył, że Wiggins, który przyszedł i usiadł przy stole, popija herbatą dwukolorowe pigułki. Uśmiechnął się i powiedział:

- Proszę mówić dalej. - Jury miał już szczegóły ze znania lady Ardry w raporcie Pratta - poza ozdobnikami o ataku hysterii kelnerki i nadzwyczajnym opanowaniu lady Ardry. Nie wierzył ani w jedno, ani w drugie. - Co pani zrobiła później?

Wyprostowała plecy i oparła podbródek na rączce laski.

- Zaobserwowałam wszystkie szczegóły, jakie mogłam, ponieważ sądziłam, że mogą się przydać. - Potem rzekła przesłodzonym głosem: - Jako pisarka, mam bardzo rozwinięty zmysł obserwacji. Ten człowiek nie był wysoki, jednak przecież t r u d n o ocenić wzrost, gdy



ciało zwisa z beczki. Został uduszony, prawda? - Objęła się rękami za szyję, jakby chciała ją oderwać od ciała. - Z wyglądu przypominał osobnika sprzedającego typy na wyścigach konnych: miał na sobie garnitur w kurzą stopkę, trochę... zalany. - Uśmiechnęła się szeroko ze swojego żarciku. - Po obserwacji pomieszczenia i zrobieniu notatek w pamięci wróciłam do reszty towarzystwa.

- Czyli do gości w jadalni i barze? O ile wiem, było ich tam całkiem sporo. Czy zechciałyby pani naszkicować mi sylwetki tych, którzy byli tam obecni?

Niczego nie zechciałyby bardziej. Przysnąwszy krzesło bliżej biurka, wyciągnęła ze swojej skórzanej torby na zakupy plik papieru.

- Zrobiłam parę notatek. - Poprawiła okulary. - A więc byłam ja i obsługa - to jest Murch i Twig - głupia dziewczucha i stary kelner, niedoługa; moim zdaniem, raczej nie nadaje się na podejrzanego. Dalej mój bratanek, Melrose Plant. Mieszka w Ardry End. Może słyszał pan o mojej rodzinie. Wywodzi się ojc barona Mountardry'ego ze Swaledale - to było jakoś około roku tysiąc sześćsetnego - i Ardry-Plant (nazwisko rodowe skracane do „Plant”), markiza Ayreshire i Blythedale, wicehrabiego Nithorwold, Ross i Cromarty; ojciec Melrose'a był ósmym hrabią Caverness, ożenionym z lady Patricią Marjorie Mountardry, drugą córką trzeciego hrabiego Farquhar. Ojcem jej był major lotnictwa Clive d'Ardry De Knopf, czwarty wicehrabia...

Jury przerwał:

- Gubię się, lady Ardry. Ten rodowód naprawdę robi wrażenie. Aż się w głowie kręci.

Skinęła krótko głową.

- Wiem. I wszystko to podano mojemu bratankowi na srebrnej tacy. Lord Ardry, ósmy hrabia Caverness,

i tak dalej. Odziedziczył taki tytuł, nie kiwnąwszy nawet palcem. I ten głupiec go odrzucił.

- Odrzucił?

- Zwrócił mandat, czy jak się to tutaj robi.

- Cóż, rzadko się słyszy, żeby ktoś tak postąpił - nawet tutaj. Jaki podał powód?

- Powód? Ach, powiedział, że nie chce wciąż jeździć do Londynu, żeby zasiadać w Izbie Lordów, jak mu nakazuje obowiązek - i zostawiać Ardry End na pastwę wandalii i dzikich lokatorów. Ja zaproponowałam, że będę pilnować rezydencji, a on powiedział... och, nie wiem, co powiedział... coś głupiego. Człowiek nigdy nie wie, o czym mówi Meirose. - Zniżyła głos. - Czasem myślę, że on jest kompletnie szalony. - Złapała swoją łaskę, jakby chciała nią zniszczyć wizerunek Planta, który ujrzała przed sobą.

- Tak czy inaczej, teraz jest po prostu tylko Melrose'em Plantem. Nazwisko rodowe.

- A reszta gości?

- Byli też Oliver Darrington i Sheila Hogg...

- Darrington. Skądś znam to nazwisko. Czy to nie ten facet, który pisze kryminały?

- Tak, szmirowate thrillery. Sheila jest jego sekretarką - to jedna z tych pretensjonalnych kokot, wie pan, krwiste paznokcie i dekolty potąd. A może raczej powinnam powiedzieć, że ona t w i e r d z i, że jest jego sekretarką. Już ją widzę, jak siedzi przy maszynie do pisania. Mieszka u niego w domu. - Agatha skrzywiła się. - Dalej Vivian Rivington. Poetka. Chuda jak tyczka, zawsze przygaszona, długie brązowe swetry z kieszeniami, w których stale trzyma ręce. Prawdopodobnie zahamowana seksualnie. Taka cicha woda jest zawsze podejrzana, nie sądzi pan? Wiem, że ona durzy się w Melrosie, chociaż mówią, że ma wyjść za Simona Matchetta. To właściciel pubu „Pod Huncwotem”, kochany chłopiec.

Podobno są już prawie zaręczeni, ale nie mogę jakoś w to uwierzyć. Vivian w ogóle nie jest w typie Simona. Ani Melrose'a, jeśli już o tym mowa. O ile wiem, nie jest w niczym typie.

- Gdzie był pan Matchett, gdy znalazła pani ciało?

- Na górze z innymi. Gdy ta Murch zaczęła lamentować, Simon, oczywiście, był pierwszy na dole. To znaczy, pierwszy po mnie. Może sobie pan wyobrazić jego reakcję, gdy znalazł jednego ze swoich gości zamordowanego.

- Tak. Czy był tam ktoś jeszcze?

- Isabel Rivington, siostra przyrodnia Vivian. Starsza od niej o jakieś piętnaście lat, ale wygląda tak samo młodo. Albo może raczej Vivian wygląda staro. Błada, myszowata. Taki typ. Zobacz pan. Isabel opiekuje się Vivian od jej dzieciństwa. Zarządza jej majątkiem. Ale to Vivian ma pieniądze, a raczej będzie miała, gdy skończy trzydzieści lat lub wyjdzie za mąż. Nie jestem pewna, ile do końca i e... - Przerwała, jakby w nadziei, że główny inspektor będzie w stanie udzielić jej informacji. - W każdym razie odziedziczy je... jeśli wyjdzie za mąż. Powiedziałabym, że powinna się już zacząć rozglądać. Ale cóż, na ten typ mężczyźni specjalnie nie zwracają uwagi. Chyba że, oczywiście, leżą na pieniądze. Jej ojciec zginął w wypadku. To znaczy, ojciec Vivian. Ona nie lubi o tym mówić. Sądzę, że z tego powodu jest dość nie zrównoważona psychicznie.

- Ktoś jeszcze?

- Lorraine i Willie Bicester-Strachanowie. Nie jest to najbardziej oddana sobie para w Long Pidd. Willie jest ze sto lat starszy od Lorraine i dość nudny. Przyjaźni się z pastorem, czytają stare książki i rozmawiają o historii regionu. Ach, tak, pastor też wtedy jadł tam kolację. Szczerze powiedziawszy, uważam, że duchowni nie powinni przesadzać z winem, nawet w święta, nie sądzi

pan? Pastor jest naszym miejscowym kretem, który ryje, w czym się da. Jego hobby to historia regionu. Cóż, to chyba wszyscy... - Przerwała i trzepnęła się po kolanie.

- Och, nie. Jak mogłam zapomnieć o naszym handlarzu antykami, Marshallu Truebloodzie! Nazywamy go „drogą Marszą”. Wie pan, co mam na myśli. Różowe koszule i przyciemniane okulary.

- Hm. Według moich informacji, we drzwiach do piwnicy był zepsuty zamek. Czy nie zauważyła pani tego przypadkiem?

Zawahała się.

- Powinam była - brzmiała jej niejasna odpowiedź.

Jury przemilczał ją.

- William Smali wszedł do jadalni, gdy wasze przyjęcie było w toku, prawda?

- Zdaje mi się, że go widziałam. Czy ktoś mu czasem nie stawiał drinków? Marshall Trueblood?

- Uhm. Pamięta pani, o której to było godzinie?

Zawahała się. Wydawało się, że bada twarz Jury'ego w poszukiwaniu jakiejś - j a k i e j k o l w i e k - sugestii co do godziny, jaką mogłaby podać w związku z pojawieniem się Smalla.

- Nie... niedokładnie. Z całą pewnością przed kolacją. Czyli około dziewiątej, pamiętam, że byłam pioruńsko głodna. Na przystawkę zjadłam koktajl z krewetek, nie całkiem świeży...

- Nie widziała już pani więcej Smalla, zanim zeszła pani do piwnicy?

- Nie. - Szybko jednak dodała: - Nikt go nie widział. Musiał pójść na górę do swego pokoju... ach, tak! Czy Marshall Trueblood nie wspominał, że on - to znaczy Smali - trochę sobie podchmielił...

- Być może pan Trueblood będzie mógł mi udzielić więcej informacji na ten temat. - Jury bardzo wątpił, czy

kobieta pamięta dokładniej cokolwiek, co się wydarzyło przed makabrycznym odkryciem ciała. Zmienił temat. - A jeśli chodzi o pana Ainsleya...

- Ach, o tego drugiego. - Wzruszyła ramionami, z czego Jury wnosił, że skoro nie była zaangażowana osobiście w jego znalezienie, uznała, że z tego konkretnego ciała nie ma potrzeby się rozliczać.

- Czy była pani tamtego wieczoru „Pod Jackiem i Młotem”?

- Nie. Ale wpadłam na słówko ze Scroggsem po południu...

- Więc tak naprawdę nie ma nic, co mogłaby pani dodać?...

- Nie - przyznała niechętnie.

- Dziękuję pani, lady Ardry.

Jury wstał, a Wiggins z trzaskiem zamknął notatnik i poprosił o filiżankę herbaty. Pluck zaszczylił go resztką z czajniczka.

- Przepraszam, lady Ardry. To niedbalstwo z naszej strony, że nie zaproponowaliśmy pani herbaty powie dział Jury.

Otrzeпаła spódnice i postawiła przed sobą laskę.

- Nie mam czasu marudzić nad herbatą, gdy trwa śledztwo. A gdzie pan się zatrzymał, inspektorze?

Sierzant Pluck, który właśnie otwierał opakowanie herbatników z mąki razowej, wtrącił:

- Załatwiłem panu kwaterę „Pod Huncwotem”, sir. Pomyślałem, że będzie pan chciał być na miejscu...

Gdy Jury odprowadzał lady Ardry do drzwi, chwyciła go za rękaw i szepnęła:

- Gdybym tak mogła zamienić tylko jedno słówko z panem na osobności...

- Tak, oczywiście.

Weszli do niewielkiego pokoiku, który wychodził na ulicę.

- Inspektorze, czy będzie pan rozmawiał o tej sprawie z moim bratankiem, Melrose'em Plantem?

- Zamierzam przesłuchać wszystkich, którzy tam byli.

- Tak myślałam. Chodzi o to... no dobrze, powiem to... że jesteście lekko skłóceni.

- Ma pani na myśli, że on może chcieć panią wmieszać w tę sprawę?

Agatha przycisnęła laskę do łona.

- Mnie? M n i e ? Jakżeby mógł?

- Myślałem tylko...

- Jeśli śmie zrobić coś takiego, jeśli w jakikolwiek sposób będzie próbował przeinaczać fakty... - Jej prawa dłoń ścisnęła laskę, podczas gdy lewa uczepliła się marynarki Jury'ego. Kobieta wyszeptała nerwowo: - Każdy w Long Pidd powie panu, że on jest okropnie „mądry”. Mądry, akurat! Obija się po uniwersytecie, ucząc jednego przedmiotu. Nie potrafił sobie nawet załatwić pełnego etatu. I tylko dlatego, że rozwiązuje krzyżówkę w „Timesie” w mniej niż piętnaście minut...

- Piętnaście minut!

- Dobry Boże, człowieku, gdyby pan nie miał nic do roboty poza siedzeniem przy kominku z butelką porto, też by panabrał wprawę. Ale pan i ja musimy p r a c o w a ć na życie. Nie czekamy, aż świat zapuka do naszych drzwi. Problem w tym, widzi pan, że duża część Ardry End na dobrą sprawę należy się mnie. Mój mąż, stryj Melrose'a, na pewno oczekiwali, żeby Melrose lepiej się ze mną obeszł. - Gdy Jury nic na to nie odpowiedział, szarpnęła go za rękaw, jakby chciała przywołać policjanta do porządku. - Chodzi o to...

- Rozumiem. Że pani bratanek może mówić o pani niemiłe rzeczy.

- Właśnie. Więc teraz będzie pan wiedział, że nie należy zwracać na niego uwagi.

- Na pewno będę o tym pamiętał.
- Agatha poklepała go swoją laską.
- Ma pan głowę na karku, inspektorze. Wiedziałam o tym od pierwszej chwili, gdy pana zobaczyłam.
- I wysunęła się majestatycznie za drzwi, które Jury jej przytrzymał.

Zostawiwszy Wigginsa nad herbatą w towarzystwie posterunkowego Plucka, Jury wyszedł przez drzwi, nad którymi widniał jasnoniebieski szyld „Policja”. Rozejrzał się po głównej ulicy, zafascynowany szeregiem jaskrawo pomalowanych sklepów, których barwy były teraz przygaszone przez zimowy zmierzch.

Ponieważ był to dzień wczesnego zamykania sklepów i lokali, pub „Pod Jackiem i Młotem” zamknięto już na cztery spusty. Jury przyłożył dłoń do czoła i zajrzał do środka, ale zobaczył tylko pograżone w cieniu kształty stolików i krzeseł. Pewnie obsługa wyszła na popołudnie. Odszedł od okna i spojrzał na drewnianą belkę w górze, gdzie znaleziono ciało.

Gdy się tak wpatrywał, w drzwiach sklepu z antykami obok pubu stanął dość młody mężczyzna. Przypuszczając, że to właściciel, Jury podszedł do niego.

Antykwiariat mieścił się w ładnym, niewielkim budynku o półkolistym wybrzuszonych oknach w stylu regencji. W przeciwieństwie do większości sklepów i domków uniknął pędzla malarza.

Jury pokazał swoją odznakę.

- Inspektor Jury, wydział kryminalny. Czy pan Trueblood?
- Zgadza się. Tak myślałem, że to pan jest tym przybyszem ze Scotland Yardu. Co za odrażająca sprawa, prawda?
- Mógłbym zadać panu kilka pytań, panie Trueblood?

- Proszę wejść, proszę. Właśnie nastawiłem czajnik. Proszę usiąść. - Trueblood wskazał sofę, która wyglądała na o wiele zbyt delikatną dla takich jak Jury. Jej nogi były wygięte, misternie ozdobione rzeźbionymi liśćmi akantu.

- Georgiańska - rzeki Trueblood, jakby Jury przyszedł na zakupy. - Cudna sztuka - niech pan się nie przejmuję, jest wytrzymalsza, niż na to wygląda.

Antykwariusz usadowił się w fotelu, z dłońmi lekko skrzyżowanymi na kolanach. Miał na sobie koszulę koloru morskiej zieleni i przyciemniane okulary, jak mówiła lady Ardry. Jury, wyjmując paczkę papierosów, rozejrzał się po pomieszczeniu. Jeśli chodzi o kochanków, gust Trueblooda, mógł być dyskusyjny, jednak w dziedzinie mebli był nienaganny. Musiał tu mieć rzeczy warte razem ze sto tysięcy funtów.

- Panie Trueblood, był pan „Pod Huncwotem” wie czorem, gdy dokonano pierwszego morderstwa?

Trueblood zachnął się, zaskoczony.

- Istotnie, byłem, inspektorze. I wie pan co, ja nawet postawiłem temu człowiekowi d r i n k a... - Oparł głowę na swojej wymanikiurowanej dłoni, jakby wspomniany drink był cykuta.

- Orientuję się. O czym rozmawialiście?

Trueblood łąpał powietrze, najwyraźniej spragniony tlenu przed pracą myślową. Jego duże oczy za przyciemnianymi szklami błędziły po pomieszczeniu.

- Wie pan, tylko o pogodzie - przez dwa dni padał śnieg, a potem, tamtego wieczoru, lał deszcz. Cóż, typowa rozmowa o niczym.

- Ten Smali nie wydawał się zaniepokojony, zmar-twiony, coś w tym guście?

- Przeciwnie, wydawał się całkiem radosny.

- Radosny?



- Tak. Tak jakby właśnie dostał jakąś dobrą wiadomość lub wygrał w totka. „Mówię ci, gościu, nieczęsto się zdarza taki fart jak mnie”. Ten człowiek triumfował. Jednak nie chciał mi powiedzieć, co to za szczęśliwe zarządzanie losu.

- To było przed kolacją, tak?

- Tak, około ósmej, wpół do dziewiątej. On już wtedy był po. Tak, pamiętam, że Lorraine - to znaczy Lorraine Bicester-Strachan - prawie ściągnęła mnie ze stołka barowego na kolację.

- I już potem nie widział go pan? Wygląda na to, że nikt go nie widział przez ponad dwie godziny.

- Myślę, że biedaczysko musiał się poczuć trochę niedysponowany. Powiedział mi, że idzie na górę do swojego pokoju. Pił dwie czy trzy godziny bez przerwy. - Z pomieszczenia obok doszedł gwizd czajnika. - Naprawdę zapraszam pana na herbatę. Mam cudowną Darjeeling i wyborne herbatniczki, które dostałem od znajomego na Gwiazdkę.

- Nie czekając na odpowiedź, podniósł się i drobnymi kroczkami przemieścił się do kuchni. - Jedną chwileczkę.

- Zniknął gdzieś w głębi.

Jury oglądał zasoby Trueblooda. Krzesła Hepplewhite i Sheraton; sekretarzyki, komody, puszki na herbatę z drewna atlasowego, kryształ Waterford w serwantce. Zegar z połączanego brązu z porcelanowymi panelami tykał cicho obok jego łokcia. Prawdopodobnie kosztował sześć pensji Jury'ego.

Trueblood wrócił z delikatną porcelaną na srebrnej tacy. Jury nie był przyzwyczajony do tak eterycznej zastawy. Jego filiżanka miała kształt muszli, uchwyt - zwiewnego zielonego elfa. Niemal bał się ją wziąć do ręki. Na talerzu leżały maleńkie, pięknie lukrowane ciasteczka.

- A czy był pan „Pod Jackiem i Młotem” w tamten piątek wieczorem?

- Tak, wpadłem koło szóstej na campari z limonką.  
- Nie widział pan tego Ainsleya? To znaczy, później?  
Podobno przyszedł około siódmej, może wpół do ósmej.  
- Nie, nie widziałem.  
- „Pod Jackiem i Młotem” ma tylne wejście, zazwyczaj otwarte.

- Tak, czasem sam z niego korzystam. - Trueblood nabrał powietrza. - Ach! Rozumiem, do czego pan zmierza. Tak jak z tym Smallem. Weszli tylnymi drzwiami?

To nie było to, co Jury miał na myśli; przypisywał całkiem inne znaczenie drzwiom do piwnicy „Pod Huncwotem”. Spojrzała na sufit.

- Czy ma pan jakieś pokoje nad sklepem?  
- Nie, inspektorze. Kiedyś miałem, ale przy tym hałasie z pubu...

- Więc nie widział pan i nie słyszał niczego?

Trueblood, z filiżanką przy ustach, potrząsnął głową.

- A gdzie pan mieszka?

- W domku niedaleko głównego placu, za mostem. Nie można go pomylić z żadnym innym; ma wygięte belki podtrzymujące dach.

- Mieszkał pan kiedyś w Londynie, a dokładnie w Chelsea, prawda? - Jury w myślach przebiegł raport Pratta. - I prowadził pan sklep na Jermyn Street?

- Dobry Boże! Wy, policjanci! - Trueblood pacnął się w czoło z udawanym zdumieniem. - Całkiem jakby człowieka dopadła przeszłość.

- Northamptonshire wydaje się trochę poza głównym nurtem - rzucił Jury.

Trueblood zerknął na niego przebiegle.

- Ma pan na myśli: dla kogoś takiego jak ja?

Jury zauważył, że głos rozmówcy obniżył się przy tym pytaniu. Trueblood wydawał się zaniepokojony, po-

irytowany lub jedno i drugie. Powrócił jednak do poprzedniego tonu, wyjaśniając:

- Już mi się nudziło w mieście. I słyszałem, że to dość popularne miejsce wśród tak zwanego lepszego towarzystwa: ludzi z kasą, artystów, pisarzy i tak dalej.

- Przypuszczam, że pracując w tej branży, musi pan dobrze znać tutejszych mieszkańców? Ten dżentelmen, który prowadzi pub „Pod Huncwotem”?...

- Simon Matchett? Uroczy człowiek, ale cały ten jego staroangielski dębowy wystrój stocznią pewnego dnia na proch korniki. Cóż, przypuszczam, że puby muszą wyglądać stylowo. Isabel Rivington wprost przepada za tym lokalem. Albo za Matchettem. - Trueblood puścił oko.

- Nie potrafię sobie wyobrazić nic m n i e j rustykalnego od Isabel. - Gdy wstał, by podać Jury'emu talerz z ciasteczkami, wyrzwał przez okno. - O, idzie, odstawiona jak stróż w Boże Ciało.

- Kto?

- Lorraine Bicester-Strachan. - Skrzywił się. - Ludwik Piętnasty.

- Mówi pan o jej towarzyszu? Czy o stylu? - zapytał Jury sucho.

Trueblood zaśmiał się.

- Dobrze. O stylu, inspektorze. Nie potrafiłaby rozróżnić oryginału i kopii. Prawdziwa z niej mała jędza. Nie chciałbym być na miejscu starego Williego - to jej mąż - nawet gdyby mi pan zaproponował oryginalnego Oebena. Jeszcze jedna, co lata za Matchettem. Wkurza się za każdym razem, gdy Simon choćby spojrzy na Viv Rivington. Każdy, kto nosi spodnie, to dla Lorraine obiekt pożądania. Z wyjątkiem mnie. - Poprawił okulary.

- Stara Lorraine o mało nie umarła, gdy Melrose Plant kazał jej spadać. Ten Plant ma dobry gust. Jeden z moich najlepszych klientów. Preferuje styl królowej Anny, co

przyprawia o męki tę jego szaloną ciotkę; ona jest wikto-  
riańska. Był pan u niej w domu? Te wszystkie paskudne  
przedmioty... To miejsce zionie brzydota!

- Jej bratanek, jak rozumiem, jest - a raczej był

- lordem Ardry.

- Da pan wiarę, inspektorze? Zrzec się tytułu lorda,  
tak jak splunąć? Po prostu nie robi się tego rodzaju rzeczy,  
prawda? Ale z drugiej strony, Melrose nie jest byle kim.

- Czy może mi pan powiedzieć coś więcej o Smal-lu?

- Niestety, nie. Zapytałem go, dokąd jedzie, a on się  
tylko zaśmiał i powiedział: „Dopiero przyjechałem”. Do  
złudzenia przypominał typy, które widzi się, gdy wycho-  
dzą od bukmachera na wyścigach konnych.

- Interesujące. - Jury odstawił filiżankę. - Dziękuję, że  
pozwolił mi pan zająć sobie czas, panie Trueblood.

- Wstał. - A propos, nie zna pan przypadkiem pokojówki  
pastora, Ruby Judd?

Trueblood poruszył się niespokojnie w fotelu, po  
czym wstał.

- Tak, znam ją. Czy jest ktoś, kto jej nie zna? To  
przecież nasza lokalna jawnochrześcijańska. Jeśli nie liczyć  
Sheili. No, ale nie powinienem być złośliwy, prawda?

- Trueblood uśmiechnął się. - O co chodzi z Ruby?

- No cóż, z tego, co słyszałem, nie ma jej już prawie  
od tygodnia.

- Nie dziwię się. Widzi pan, chodzą słuchy, że Ruby  
miewa facetów tu i tam.

- Dobrze, jeszcze raz dziękuję. - Jury ponownie ro-  
zejrzał się po sklepie. - Ma pan tutaj piękne rzeczy. Ja  
właściwie zupełnie nie znam się na antykach.

- Och, wątpię, czy jest coś, na czym pan się nie zna,  
inspektorze.

Komplement nie był nieszczerzy, chociaż dość banalny. Jury poczuł odruch przelotnej empatii wobec Trueblooda. Było w nim coś, co mogło przyciągać z a r ó w n o mężczyzn, jak i kobiety. Może i jest homoseksualistą, ale czy rzeczywiście tego rodzaju - jedwabne szaliki, przyciemniane szkła okularów, egzaltowane gesty?

Jury zatrzymał się przy drzwiach wyjściowych i dodał:

- Ciekawe, czy rozumiał to dosłownie.

Trueblood miał zdziwioną minę.

- Kto i co?

- Smali, mówiąc: „Dopiero przyjechałem”. **Musiał** przybyć do Long Piddleton w konkretnym celu.

Trueblood roześmiał się.

- A któż by chciał tu zjeżdżać w środku zimy? W dodatku ktoś całkiem o b c y ?

- Może nie był całkiem obcy. Do widzenia, panie Trueblood.

Gdy Jury i Wiggins wprowadzeni zostali przez starego kelnera do baru „Pod Huncwotem”, Simon Matchett połączony był w intymnej rozmowie z ciemnowłosą, dobrze ubraną kobietą, jedną z tych, których wiek zawsze pozostaje tajemnicą. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak pięćdziesiąt pięć lat.

W tej krótkiej chwili, gdy właściciel lokalu im się przedstawiał, Jury zrozumiał w lot, dlaczego Simon Matchett może podobać się kobietom. Gdyby inspektor nie wiedział z raportu Pratta, że mężczyzna ma czterdzieści trzy lata, dałby mu dziesięć lat mniej. Jasnobrązowe kręcone włosy, nieco kwadratowa twarz, wąskie, ale o sympatycznym wyrazie usta. Właściwie cała postać tchnęła - może odrobinę wymuszoną - uprzejmością. Twarz wydawała się arystokratycznie rzeźbioną maską. Oczy były

błękitne i lśniące niczym skrawki lodowatego nieba, a wyraz skupienia, jaki w nich gościł, musiał sugerować każdej kobiecie, że jest ona jedynym obiektem zainteresowania ich właściciela i, być może, wyłącznie ku niej skłania on swój afekt. Dzisiaj kolor oczu Matchetta podkreślała nierozpięta pod szyją błękitna wełniana koszula z długimi rękawami, podwiniętymi tuż nad przegubem.

Ta panna Rivington z całą pewnością nie była myszowata i przygaszona; miała na sobie elegancką suknię z niebieskiej wełny, która wyglądała, jakby dobrano ją pod kolor oczu Matchetta, może po to, by podkreślić, jak oboje dobrze do siebie pasują. Naszyjnik z rosyjskiego bursztynu sięgał kobiecie niemal do pasa. Przez stołek przy barze przewieszona była narzutka z norek.

Matchett przedstawił swoją znajomą jako Isabel Rivington, po czym wysunął dwa dębowe barowe stołki i oznajmił:

- Panowie inspektor i sierżant pozwolą, że podam im drinki.

Wiggins, który sterczał dotąd jak słup, zapytał, czy mógłby dostać coś ciepłego, może filiżankę herbaty. Czuł, że rozbiera go przeziębienie. Matchett przeprosił ich i udał się po gorący napój.

- Bardzo chciałbym złożyć pani wizytę, jeśli można - zwrócił się Jury do Isabel Rivington. - Mam parę pytań.

- Cóż, nie bardzo wiem, co jeszcze mogłabym dodać. Powiedziałam już wszystko temu komisarzowi.

- Rozumiem. Jednak może jest kilka szczegółów, o których pani zapomniała lub które przeoczyła.

- Może pan zapytać mnie teraz. - Spojrzała na drzwi, przez które wyszedł Matchett, jakby szukała tam moralnego wsparcia. Taksowała Jury'ego wzrokiem znad krawędzi niewielkiej szklaneczki jakiegoś zabójczo wygła-

dającego napoju. Oczy miała ciemne, mocno umalowane lawendowym cieniem i tuszem, który zbijał się w grudki na końcu rzęs.

- W tej chwili mam kilka pytań do pana Matchetta - wyjaśnił Jury.

Odstawiła szklanekę i sięgnęła po norki.

- Rozumiem, że mam sobie iść.

Wrócił Matchett i oznajmił Wigginsowi, że kucharka nastawiła wodę na herbatę.

- To ja już pójdę. - Isabel Rivington zsunęła się ze stołka. - Zobaczymy się później, Simon. Nawet gdyby zdarzyły się jakieś nowe morderstwa - dodała z lodową słodyczą.

Gdy się oddaliła, Jury poprosił Matchetta, żeby przyniósł księgę meldunkową. Odszukał siedemnasty grudnia i nazwisko „William T. Smali”, nabazgrane nierównym pismem.

- Zjawił się tego dnia po południu, chyba około trzeciej. Ja właśnie wyjeżdżałem do Sidbury po ser stilton, a ponieważ we czwartki zamykają wcześniej, chciałem mieć pewność, że dotrę tam, gdy sklepy będą jeszcze otwarte.

- A on nie wspominał o żadnym szczególnym powodzie, dla którego się tu zatrzymał?

- Nie.

Jury powtórzył nazwiska tych, którzy byli w lokalu siedemnastego wieczorem.

- Czy to wszyscy?

- Tak. Aha, była jeszcze Betty Bali. Przyniosła desery, około szóstej czy siódmej. Jest właścicielką piekarni w miasteczku. Wspominam o tym, ponieważ weszła od tyłu i mogła zauważyć drzwi do piwnicy. Oczywiście, była tutaj wcześniej...

- Tak. Porozmawiam z nią. Wiggins! - zawołał Jury.

Sierżant zdawał się drzemać w towarzystwie wielkiego psa, który także siedział przy kominku. Teraz gwałtownie podniósł głowę i wszyscy trzej przeszli na tył lokalu, do krótkiego korytarzyka. Po prawej i lewej stronie drzwi wiodących do piwnicy znajdowały się toalety, z małymi czarnymi sylwetkami, dyskretnie oznaczającymi płęć.

- Czy drzwi do piwnicy trzyma pan zamknięte?

- Nie. Bez przerwy tu schodzimy; widzi pan, połowę zajmuje wino.

- Czyli każdy ma dostęp do piwnicy przez te drzwi?

- Tak, przypuszczam, że tak. - Matchett wyglądał na zdziwionego. - Ale w tylnych drzwiach wyłamano zamek, jak już mówiłem miejscowej policji.

Jury nie skomentował tego. Piwnica była duża, lewą połowę zajmowały skrzynki i rupiecie. Prawa strona była zastawiona półkami, na których spoczywały rzędy butelek, lekko pochylonych szyjkami w dół. Drzwi zewnętrzne znajdowały się w ścianie naprzeciw podnóża schodów. Jury i Wiggins zbadali je. Były to niewielkie drzwiczki, bardzo stare, o zardzewiałych zawiasach, a część rygla, przybita do ościeżnicy, wciąż wisiała na jednym dużym gwoździu. Jury otworzył je i wraz z Wiginsem wyjrzał na wąskie cementowe schodki, grubo usłane zgniłymi liśćmi jeszcze z listopada. Jury spojrział od strony drzwi na cementową posadzkę wewnątrz. Te drzwi mógł sforsować nawet ktoś o umiarkowanej sile. Ale dlaczego wszyscy zdawali się wierzyć, że ktoś to z r o b i ł , Jury nie mógł zrozumieć.

- Więc widzi pan, inspektorze, *skoro* drzwi były w idealnym porządku wcześniej tego dnia, morderca musiał się włamać tędy.

Jury podszedł do stojaków na wino. Między ich rzędami stały wielkie drewniane beczki.



- To ta, inspektorze - wskazał Matchett. - Zeszłego roku eksperymentowałem z warzeniem własnego. Bez wielkiego sukcesu. To tu Daphne znalazła ciało - zwiślało z beczki... - Głos Matchetta zamarł. - Czy ktoś jechał za nim do Long Piddleton? Nie miał żadnej kryminalnej przeszłości, prawda?

- Badanie sprawy pana Smalla jeszcze się nie skończyło. Jesteśmy w trakcie zbierania faktów. - Tak niewiele udało się ich do tej pory ustalić.

- Tak, oczywiście. - Matchett odłożył okrągłą drewnianą pokrywę z powrotem na pustą już beczkę. - Czy chciałby pan obejrzeć tu na dole coś jeszcze, inspektorze?

- Nie, raczej nie. Chciałbym, jeśli można, porozmawiać z kelnerką. - Wszyscy trzej ruszyli schodami na górę.

Gdy Matchett wprowadził Jury'ego do jadalni, Twig robił porządki na stoliku z przyprawami, a Daphne Murch rozkładała sztućce.

- Twig, Daphne, to jest główny inspektor Jury, który przyjechał z Londynu i chciałby wam zadać kilka pytań. Ja teraz wyjdę, inspektorze, ale będę w barze, gdyby mnie pan potrzebował.

Dziewczyna trochę przybladła i zaczęła skubać swój biały fartuch. Jest zdenerwowana, można się było spodziewać, pomyślał Jury.

- Pan Twig, tak?

- Po prostu Twig, sir. - Stary kelner stał na baczność.

- I panna Murch? Czy mogę zwracać się do pani Daphne? - Jury uśmiechnął się jednym ze swych najbardziej krzepiących uśmiechów; taką miał przynajmniej intencję, bo biedna dziewczyna wyglądała, jakby miała zemdleć.

Skinęła głową niemal niedostrzegalnie.

- Jestem pewien, że powiedzieliście państwo komisarzowi, co wiecie, ale czy zechcielibyście wrócić jeszcze raz do niektórych szczegółów? Może usiądziemy.

Zarówno Twig, jak i Daphne spojrzeli na stół, jakby myśl o siedzeniu w jego obecności była zbyt trudna. Jury wysunął krzesło dla Daphne, a ona przycupnęła na nim z pewnym wahaniem.

- Twig, zszedłeś do piwniczki między wpół do dziewiątej a dziewiątą tamtego wieczoru. Czy wszystko było jak zwykle?

- Wydaje mi się, że o ósmej czterdzieści pięć, sir. Absolutnie wszystko było na swoim miejscu. Tak jak mówiłem panu Prattowi.

- Rygiel i zamek na tylnych drzwiach były w porządku?

Twig podrapał się po małej siwej głowie.

- Tamte drzwi były na pewno zamknięte, sir. Nie tak jak później. Ale nie przysięgnę, czy zamek nie był wylamany. Zachodzę w głowę, żeby sobie przypomnieć.

- W porządku. Daphne...

Usłyszał, jak dziewczyna gwałtownie nabiera powietrza, jakby teraz przyszła jej kolej recytować przed jędzowatą nauczycielką.

- Spisałaś się bardzo dobrze, Daphne. Niewielu ludzi potrafiłoby zachować zimną krew. - Co innego wynikało ze sprawozdania lady Agathy, ale i tak jej nie wierzył.

Twig lekko parsknął z miną pełną wyższości. Rumieniec wrócił na policzki Daphne i zwróciła się do Twiga, teraz z trochę większym animuszem:

- Nie ma co drwić, panie Twig. To nie pan zszedł po tych schodkach, niczego nie podejrzewając, i nie pan znalazł tego biedaka... - Gwałtownym ruchem zakryła dłonią usta, a jej oczy zaczęły napełniać się łzami.

- To musiało być dla ciebie straszne doświadczenie.  
- Och, okropne, sir. Do połowy w beczce, od połowy zwisał. Prawie nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że ktoś stroi sobie żarty. Jak w dzień Guya Fawkesa, czy coś takiego. Potem rozpoznałam, że to pan Smali, po garniturze.

- I co zrobiłaś?

- Znowu wbiegłam po schodach. Jak tylko znalazłam się za drzwiami, lady Ardry wyszła z kibelka... przepraszam, sir... - Zaczerwieniła się. - Prawie nie mogłam mówić, bo serce mi waliło jak młotem. Ona zapytała, co się stało, a ja tylko pokazywałam na te schody. Wtedy ona zeszła na dół, zaraz usłyszałam przeraźliwy pisk i ona wypadła stamtąd niczym stado słoń, wrzeszcząc co sił w płucach. Potem wszyscy jakby oszaleli. Ja pobiegłam do kuchni i zakryłam twarz, kładąc głowę na rękach.

Jury położył jej dłoń na ramieniu.

- Dziękuję, Daphne. Nie mam więcej pytań. - Gdy wszyscy wstali, uświadomił sobie, że Daphne Murch jest jak dotąd prawdopodobnie jedyną osobą, która powie działa mu szczerą, nieupiększoną prawdę.

Matchett pokazał się w drzwiach jadalni.

- Inspektorze, gdyby pan i pański sierżant zyczyli sobie zjeść wczesną kolację, będzie niebawem gotowa.

Wiggins, twierdząc, że czuje chłód płynący z wilgotnej piwnicy, wrócił na miejsce przy kominku razem z psem.

- Życzymy sobie - powiedział Jury. - I chciałbym zamienić słówko z pańską kucharką.

Informacje kucharki, jak było do przewidzenia, nie wniosły nic nowego. Pani Noyes nie widziała pana Smalla. Była tak przerażona jego śmiercią, że pan Matchett ledwo ją przekonał, żeby nie odchodziła z pracy. Jury

podziękował jej i wrócił do baru, gdzie Matchett robił porządek, wyrzucając puste butelki.

- Czy pamięta pan, co robił Smali tamtego wieczoru? Matchett nalał im obu whisky i zamyślił się.

- Zjadł kolację około siódmej, zanim przyszedli pozostali. Potem zniknął - prawdopodobnie wrócił do swego pokoju - i pokazał się znowu około ósmej albo wpół do dziewiątej. Wypił drinka w barze. Nie pamiętam, żebym go później widział.

- Pił z panem Truebloodem?

- Tak. Zdaje mi się, że Willie Bicester-Strachan też tam był.

- Więc wszyscy go widzieli lub mogli widzieć.

- Tak sądzę. Sam byłem zajęty, nie zwracałem uwagi, kto gdzie był o jakiej porze.

- I nie wszyscy byli zupełnie trzeźwi? Co mogłoby tłumaczyć ich kłopoty z pamięcią?

- Przyznam, że sam trochę wypilem. Rozumie pan, święta.

- Jednak nie może pan stwierdzić z całą pewnością, że ktoś schodził do piwnicy między ósmą czterdzieści pięć, gdy pański człowiek, Twig, przyniósł z niej więcej wina, a jedenastą, gdy zeszła tam panna Murch?

- Nie. - Matchett pokręcił głową. - Jest coś, czego nie rozumiem, inspektorze...

- Co takiego?

- Te pańskie pytania. Jak się wydaje, pan sądzi, że to morderstwo popełnił... ktoś z moich gości. Nikt z obecnych nawet nie znał tego Smalla.

- Chce pan powiedzieć, nikt nie p o w i e d z i a ł , że go zna.

Później tego wieczoru Jury wszedł do pubu „Pod Jackiem i Młotem”, przedstawił się i pokazał odznakę. Wywołało to szmer wśród pół tuzina stałych bywalców.

którzy rozstąpili się niczym fale na morzu, po trzech z każdej strony Jury'ego. Pozdejmowali czapki lub po prostu wsadzili nosy w swoje piwo. Można było pomyśleć, że Jury chce ich wszystkich aresztować na miejscu.

- Tak, sir - przyznał podekscytowany Dick Scroggs, wycierając kontuar. - Słyszałem, że jest pan w miasteczku. Przypuszczam, że będzie pan chciał, żebym odpowiedział na jakieś pytania.

- Zgadza się, panie Scroggs. Czy możemy pójść na górę, do pokoju, który zajmował pan Ainsley? - Jury czuł, jak wzrok mężczyzn przy barze wwierca się w jego plecy, gdy Scroggs, wiodąc go po chwiejnych schodach, wyjaśniał, że nieczęsto zdarza się, aby ktoś chciał wynająć jeden z trzech pokoi, jako że jego lokal jest właściwie bardziej pubem niż zajazdem, w odróżnieniu od lokalu Matchetta. Ten Ainsley po prostu wpadł tu kilka dni temu i zapytał o pokój. Nie mówił, skąd przyjechał ani dokąd się udaje.

Pokój okazał się kwadratowym, źle oświetlonym pudełkiem o standardowym wyposażeniu: łóżko, biurko, jeden dość sfatygowany fotel. Szafa nie zdradzała żadnych sekretów; okno mansardowe było trzecim w rzędzie pięciu, które biegły wzdłuż frontu „Jacka i Młota”.

Scroggs podszedł do drzwi w ścianie prostopadłej do okna.

- Te drzwi prowadzą do sąsiedniego pokoju; ponieważ Ainsley był jedynym gościem, mówił, żeby nie przejmować się zamykaniem innych drzwi.

- Innymi słowy, da się przejść z tego pokoju do parkamery bez wychodzenia na korytarz?

- Tak.

- To wygodne dla mordercy.

Przeszli więc do sąsiedniego pokoju, identycznego z pierwszym, poza nieco innym ustawieniem mebli,

a potem do pakamery, zapchanej różnymi rupieciami, jak meble, stare lampy, walizki, papiery, czasopisma.

Okno umieszczone było nisko w ścianie, częściowo zasłonięte przez strzechę, a gdy Jury je pchnął, otworzyło się łatwo. Bezpośrednio pod nim, mniej więcej o stopę niżej, znajdowała się drewniana belka, na której stała rzeźbiona figura „Jacka”. Morderca po prostu zdjął mechanicznego kowala z jego miejsca i zamiast rzeźby wystawił na nie przez okno swoją ofiarę.

- Mówił pan komisarzowi Prattowi, że Ainsley przyjechał około siódmej, zgadza się?

- Tak, sir.

- I co robił?

Scroggs drapał się po głowie, aż sobie przypomniał.

- Poprosił o kolację, kiedy już obejrzał pokój. Zjadł około ósmej, a potem posiedział jeszcze trochę i poszedł na górę, myśląc, że jakoś po dziewiątej. - Dick Scroggs zastanowił się chwilę, a potem dodał: - To znaczy, w y d a w a ł o mi się, że idzie na górę do pokoju.

Jury spojrział na niego.

- To interesujące rozróżnienie, panie Scroggs. Chce pan powiedzieć, że mógł wyjść z pubu? Tylnymi drzwiami?

- No cóż, mógł. Nie przez frontowe, bobym go widział. Ale przez te tylne drzwi - Scroggs zakrzywił palec, wskazując w dół - tak, są prawie zawsze otwarte.

- Czyli mógł spotkać się z kimś na zewnątrz?

Scroggs kiwnął głową.

- Lub też ktoś mógł wejść do niego na górę, nie widziałem - dodał.

- Kto jeszcze był „Pod Jackiem i Młotem”?

- Tamtego wieczoru niemal wszyscy. - Zmarszczył brwi, przypominając sobie sytuację z niejakim wysiłkiem,

po czym wymienił nazwiska tych samych ludzi, którzy byli „Pod Huncwotem”, z wyjątkiem Trueblooda i lady Ardry. To pewnie i tak nie ma większego znaczenia, pomyślał Jury. Tak jak powiedział Scroggs, każdy właściwie mógł wejść tylnymi drzwiami i dalej po schodach na górę.

Scroggs wyjrzał przez okno.

- To naprawdę niesamowite, no nie? Tak go sobie wystawił tutaj, żeby cały świat mógł zobaczyć. Bez sensu.

- Istotnie, tak się wydaje, panie Scroggs. Tylko że cały świat przez jakiś czas nie widział Ainsleya, prawda?

## 7

23 grudnia, środa

Gdy Richard Jury obudził się następnego ranka w wygodnym łóżu z baldachimem, za oknem padał śnieg. Okno z szybkami oprawionymi w ołowiane ramki było pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, gdy wsparł się na poduszkach, by sięgnąć po budzik i sprawdzić czas: ósma piętnaście. Położył się z powrotem, patrząc na grube mokre płyty, i znów zamknął oczy. Był w dobrym nastroju. Ktokolwiek inny myślałby pewnie: co za okropny sposób spędzania świąt Bożego Narodzenia. Jednak Jury uważał go za idealny: w miasteczku jak z pocztówki, zasypywanym powoli śniegiem.

Wstał z łóżka, podszedł do okna, otworzył je na oścież i rozkoszował się ożywczym chłodem. Pomyślał o Keatsie w zajeździe w Burford Bridge, piszącym: „Zakłète wnęki, okna w groźnych wirach morza, wśród piany, tam - gdzie kraje baśni zatracone”. I uderzyła go fala nostalgii. Zanim go całkiem zagarnęła, ubrał się szybko i ruszył do pokoju sierżanta Wigginsa.

W przeciwieństwie do Jury'ego Wiggins wcale nie wydawał się chętny do włożenia płaszcza, kaloszy i do wędrówki po miasteczku.



- Czuję, że mam straszną gorączkę, sir. Zastanawiałem się właśnie, sir, czy może mógłbym położyć się jeszcze na chwilę i dołączyć do pana trochę później?

Jury westchnął. Biedny Wiggins. Ale ponieważ włączając się wszędzie z kieszeniami pełnymi kropli i pigulek, był raczej zawadą, Jury bez wahania wyraził zgodę:

- Oczywiście. Może gorący rum z masłem postawię cię na nogi.

Wdzięczny za troskę Wiggins odetchnął z ulgą. Przypominał trochę bałwana pod pagórkiem białej pościeli.

Jury'emu przyszło do głowy, że oddalić nieco chorobę mogłoby również zmuszenie Wigginsa, żeby skupił się na sprawie zamiast na buteleczkach stojących na nocnym stoliku, więc przyciągnął sobie krzesło, usiadł na nim okrakiem, i rzucił:

- Co o tym myślisz, Wiggins? Zagadnięty podniósł chusteczkę do nosa.

- O czym, sir?

- O sprawie, Wiggins. O stanie piwnicy.

Wiggins przybrał zamyślony wyraz twarzy i parę razy przeciągnął chusteczką pod nosem. Potem starannie ją złożył i trzymał w taki sposób, jakby to był fragment chusty świętej Weroniki.

- Chodzi panu o to, że zamek był wyłamany?

Jury kiwnął głową, czekając niecierpliwie. Gdy Wiggins milczał, Jury odezwał się znowu:

- Mało prawdopodobne, żeby ktoś przyszedł tamtędy, prawda? Pratt mówił, że wieczorem siedemnastego lał deszcz.

Wiggins poweselał i uniół się lekko w łóżku.

- I schody wyglądały, jakby pokrywała je wieloletnia warstwa brudu i błota. Ale wewnątrz było czysto.

- Właśnie - rzekł Jury z uśmiechem.

Wiggins wyglądał na zadowolonego.

- Poza tym, pomyśl chwilę. - Jury zapalił papierosa. - Po cóż, na Boga, ktoś z z e w n ą t r z miałby się spotykać ze Smallem w piwnicy? Zwłaszcza, że musiałyby w tym celu wylamać drzwi? Coś tu nie pasuje, prawda?

- Ale jeśli nie wszedł z zewnątrz, musiał wejść od wewnątrz. - Wiggins wskazał na sufit. - To na pewno był ktoś z tych na górze.

Jury z rozmachem wstał z krzesła.

- Otóż to, Wiggins. A teraz kuruj się, bo będę potrzebował twojej pomocy.

Gdy Jury odwrócił się od drzwi, żeby się pożegnać, Wiggins już wyglądał lepiej.

Po śniadaniu - obfitym, złożonym z jajek, kielbasek i śledzi, podanym przez Daphne Murch - Jury przeszedł przez dziedziniec do zaparkowanego tam samochodu policyjnego. Śnieg leżał warstwami na strzesze i brukowanym dziedzińcu, obramowywał poidelko dla ptaków, w którym nawet teraz kilka strzyżyków zostawiało swoje małe ślady. Najpierw trzeba odstawić Pluckowi jego ukochanego morrisa; potem można odbyć wędrowkę w śniegu i zacząć oficjalne dochodzenie. Oparty o samochód, czekał, aż silnik się rozgrzeje. Pozwalając, żeby mokry śnieg padał mu w twarz, studiował niewielką mapkę. Narysował ją Pluck; zaznaczył domy tych ludzi, z którymi Jury będzie musiał się zobaczyć. Postanowił zacząć od Darringtona, na drugim końcu miasteczka. Jury zlizął śnieg z warg i wsiadł do samochodu. Uwielbiał zimę najbardziej ze wszystkich pór roku, nawet bardziej niż wiosnę. Wolał też deszcz od słońca, mgłę od wyraźnego widoku. Cholerny melancholik, pomyślał, wyjeżdżając z dziedzińca.

Oliver Darrington mieszkał po drugiej stronie Long Piddleton, w kierunku na Sidbury. Gdy droga Dorking

Dean Road przeszła w główną ulicę Long Piddleton, tę pełną tęczy domów i sklepów, Jury minął kościół Świętego Regulusa i plebanie po jego prawej stronie, po czym wjechał na plac. Znajdowała się tam herbaciarnia i piekarnia, gdzie przypuszczalnie, po łokcie w mące, uwijała się panna Bali. Po przejechaniu mostu Jury zobaczył Marshalla Trueblooda stojącego w swym fantazyjnym oknie i odpowiedział na jego machanie krótkim gestem pozdrowienia. Lokal „Pod Jackiem i Młotem” był zamknięty na glucho, co potęgowało atmosferę opuszczenia, jaka towarzyszy niektórym pubom przed otwarciem o jedenastej.

Jury zaparkował samochód obok posterunku policji i zwrócił kluczyki sierżantowi Pluckowi, który wybiegł ze środka, najwyraźniej wielce przejęty losem morrisa.

- Będę u Darringtona, gdyby mnie pan potrzebował, sierżancie.

- Idzie pan na piechotę, sir? - zapytał Pluck, lekko zdziwiony.

- Hm. Zbyt długo byłem uwięziony w mieście.

Pluck jednak najwidoczniej nie interesował się szczególnie samopoczuciem Jury'ego; zajęty był badaniem, czy na samochodzie nie ma zadrapań.

Jury ruszył główną ulicą, podziwiając barwy domków, które lśniły w jasnym słońcu niczym szlachetne kamienie, i gdy doszedł do końca szeregu, zaczął śpiewać jakąś odgrzebaną w pamięci piosenkę o królewskiej straży z Coldstream. Robił to widocznie dość głośno, bo odsoniło się okno w domku krytym strzechą niedaleko Sidbury Road i na krótką chwilę pokazała się w nim jakaś głowa. Jury przerwał śpiewanie i obserwował, jak franka powoli wraca na swoje miejsce. Spojrzał na mapkę. W tym domku mieszkała lady Ardry.

Można się było spodziewać, że zamożny pisarz wybierze właśnie taką siedzibę - w stylu elżbietąńskim i nieco na uboczu. Dom stał dość daleko od drogi, od której odgradzały go niczym barykada jesiony, wierzby, wiązy i wysoki żywopłot.

Sądząc po domu, stworzenie postaci komisarza Benta opłaciło się autorowi. Jury czytał jego pierwszą książkę, *Bent bada morderstwo*. Całkiem niezłą, w jego mniemaniu, jeśli ktoś lubi fikcyjnych detektywów, chłodnych, opanowanych i o nerwach ze stali. Gdy Jury nacisnął guzik i usłyszał srebrzyste echo dzwonka w holu, miał tylko nadzieję, że pisarz nie utożsamia się ze swoim detektywem i nie snuje bez przerwy własnych teorii.

Kobieta, która otworzyła Jury'emu, była, wedle wszelkich standardów, seksowna. Być może nawet nieco wyzywająca - stanęła w drzwiach w bajecznym dezabilu, domowej szacie koloru czerwonego wina, opadającej kuszaco z jednego ramienia. Ciekaw jej reakcji, Jury zapytał:

- Pani Darrington? - I obserwował, jak na jej twarzy odmalowują się po kolei zakłopotanie, irytacja i smutek. O ile się orientował, ludzie tacy jak Darrington rzadko poślubiali osoby trudniące się „zawodem modelki” w Londynie. Nawet siedziba premiera przy Downing Street 10 mogłaby nabrać podejrzanego charakteru, gdyby spotkać tam tę panią.

- Jestem Sheila Hogg. Przez długie „o”, jeśli laska. Sekretarka Olivera Darringtona. Pan jest z policji, prawda? Proszę wejść. - I otworzyła drzwi szeroko, ale bez entuzjazmu. Jej gest, wyrażający znudzenie, był odrobinę zbyt przerysowany, by uznać go za przekonujący. W tych okolicznościach nikt nie mógł pozostać aż tak obojętnym na wizytę policji.

Jury poszedł za nią do salonu, zdejmując po drodze płaszcz. Wprowadziła go do ładnego pokoju, z boazerią z ozdobnymi ślimacznicami wokół drzwi. Po obu stronach kominka stały bardzo z pewnością wygodne sofy. Na jedną z nich opadła Sheila Hogg, zanim przypomniała sobie, że Scotland Yard chciałby także zobaczyć się z Oliverem. Przeprosiła, podeszła do podnóża schodów w holu i zawołała w górę, że przyszedł ktoś z policji. Gdy wróciła, zepchnęła z sofy jakieś gazety i czasopisma i zachęciła Jury'ego, żeby usiadł. Na stoliku-tacy przed sofą leżały resztki grzanki i stał dzbanek z kawą. Sheila zaproponowała kawę Jury'emu, choć bez większego entuzjazmu. Odmówił i nie czekając, aż z braku tematów ona zacznie rozmowę o pogodzie, przeszedł od razu do sedna.

- O której godzinie państwo - pani i pan Darrington - przybyli do pubu „Pod Huncwotem” tego wieczoru, gdy zamordowano pana Smalla?

Sheila wyjęła papierosa z paczki na stole i czekała, aż Jury poda jej ogień. Skrzywiła się na to pytanie.

- O dziewiątej, może wpół do dziesiątej. Przyszliśmy zaraz po Marshallu Truebloodzie. - Gdy skłoniła się, by przyjąć ogień od Jury'ego, jej szata rozchyliła się nieco; tak jak przypuszczał, kobieta nie miała nic pod spodem.

- Pomyślmy. Agatha i Melrose Plant już tam byli. Ale z drugiej strony, Agatha zawsze wszędzie jest pierwsza. Boi się, że coś jej umknie. Nie mogę pojąć, jak Melrose ją znosi. Musi mieć cierpliwość świętego. Dziwne, że się uchował samotny.

Jury przypuszczał, że Sheila prawdopodobnie myśli o większości mężczyzn w kategoriach łączenia ich z kimś w pary. Jeśli nie z nią samą, to po prostu z kimkolwiek.

- A pan? - zapytała, taksując go wzrokiem.
- Co ja?

- Czy jest pan samotny? - Jej spojrzenie było pełne uznania.

Głos, który odezwał się za nim, oszczędził Jury'emu odpowiedzi.

- Och, na litość boską, Sheilo. To, czy inspektor jest żonaty, czy nie, to nie twoja zakichana sprawa. Oliver Darrington, inspektorze. - Wyciągnął mocno opaloną i zadbaną dłoń. Jury wstał, żeby ją uścisnąć. Darrington, zwracając się ponownie do Sheili - wydawał się zakło potany samą jej obecnością - wyszczał: - A na wizytę Scotland Yardu zazwyczaj się ubieramy, Sheilo.

Sheila siedziała zwinęta w kłębek, a jej szata ukazywała sporą część uda. Zgasiła papierosa i spuściła nogi z sofy.

- Na litość boską, Oliverze, on jest z p o l i c j i . Ich nic nie wzrusza, oni są jak lekarze. Widzieli już wszystko, prawda, skarbie? - zwróciła się do Jury'ego z ponętym, zwycięskim uśmiechem.

Jury w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Może ona i jest fladką, ale Darrington to zarozumialec, a on woli fladry od zarozumialców. I poczuł taką samą antypatię do Darringtona, jak do Isabel Rivington.

Darrington miał na sobie żółtobezową marynarkę, dokładnie w kolorze swoich włosów, i drogą jedwabną koszulę, niezapiętą pod szyją, którą owiązał równie drogą apaszką. Całość sprawiała, że Jury czuł się nieco skrępowany własnym, nieco przekrzywionym krawatem. Mężczyzna był przystojny, ale o profilu trochę nazbyt greckim, rysach trochę nazbyt rzeźbionych; i - jak posąg - wydawał się chłodny i majestatyczny.

Darrington nalał sobie kawy i Jury usłyszał tę samą historię, którą opowiadali inni - jeśli wierzyć relacji ludzi zamroczonych alkoholem. Jedyną rzeczą, którą Darrington dodał, było to, że Matchett dostarczył szampana.

- Święta, i w ogóle. On czasem potrafi być bardzo hojny. - Miało to sugerować, że przeważnie nie jest.

- Rozmawiacie o Simonie? - zapytała Sheila, która wróciła do pokoju mniej więcej w tym samym stopniu nieubrana, w jakim go opuściła, zamieniwszy jedynie kusą szatkę na równie kusy, jednoczęściowy, zielony aksamitny kombinezonik, którego długi zamek był podciągnięty poniżej poziomu piersi. Tajemniczy uśmiezek igrający na wargach Sheili miał sugerować Jury'emu, że Matchett potrafi być hojny na wiele sposobów. Jednak to nie rozwiewało wrażenia inspektora, że główną misją życiową Sheili jest zdobycie Olivera Darringtona.

Oliver oświadczył, że nie rozmawiał ze Smallem i nie zauważył, żeby ktokolwiek poza starym kelnerem schodził do piwnicy.

- Byliśmy oboje pijani jak szewcy - wtrąciła Sheila, i puściła do Jury'ego oko przez chmurę papierosowego dymu.

Zauważył, że dłoń trzymająca papierosa ma bardzo długie paznokcie. Sekretarka, akurat.

- Więc żadne z was nie widziało Williama Smalla po tym, jak poszliście na kolację?

Pokręcili głowami.

- Nie przypominam sobie, żebym go widział ani potem, ani przedtem - uściślił Darrington.

- A Ainsleya?

Oboje znów potrząsnęli głowami.

- Ale byliście tam tego wieczoru, gdy Ainsley został zamordowany?

- Tak. Sheila wyszła chwilę po mnie. Mieliliśmy... małe nieporozumienie. Ponieważ postawiłem drinka Vivian Rivington. - Na ustach Darringtona błąkał się uśmiezek, jakby tego rodzaju nieporozumienia były dla niego źródłem nieustannej rozrywki.

W kominku spadł z rusztu kawałek węgla i leżał, tłąc się. Na Sheili wypowiedź Darringtona nie zrobiła większego wrażenia.

- Nie bądź niemądry - powiedziała.

Jury przypomniał sobie sprawozdanie lady Ardry - aczkolwiek nie można było zanadto na nim polegać - na temat rozmaitych relacji pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi.

- O ile się orientuję, pan Matchett jest zaręczony z panną Rivington. Vivian. - Usłyszał równocześnie gniewne „nie” Darringtona oraz „tak” Sheili.

Oliver był zły.

- Cóż, trochę się o tym mówiło. Ale Vivian nigdy by się nie rzuciła na kogoś takiego jak Matchett.

- A na kogo by się rzuciła, kochanie? - Ton głosu Sheili był lodowaty.

Jury niemal współczuł dziewczynie. Była płytka, ale - jego zdaniem - nie była kretynką. Podejrzewał natomiast, że Darrington jest płytkim kretynem. Nie pasowało mu to jakoś do tajemnic komisarza Benta, więc odezwał się:

- Czytałem pańską książkę, panie Darrington. Muszę się przyznać, że tylko pierwszą.

- *Bent bada morderstwo?* Tak, ta była chyba najlepsza - mizdrzył się Oliver.

Sheila umknęła wzrokiem, jakby zażenowana. Jury zastanawiał się, czemu miałyby ją poruszyć wzmianki o książkach Darringtona. Oto coś, co warto podrażnić, pomyślał Jury, który często irytował swoich kolegów, nie trzymając się twardych faktów. Ale jakie były te „fakty”, precedzone przez sito indywidualnej percepcji, nawet przy założeniu, że ktoś chciałby mówić prawdę? A większość ludzi jej nie mówiła, bo większość ludzi miała coś do ukrycia. Czuł niemal zadowolenie, że towarzystwo było podpite, jak wszyscy sami twierdzili. Dzięki temu uświadamiali sobie,



że obraz jest zamazany. Zawsze potrafił uchwycić moment, kiedy przesuwają się środki ciężkości, i właśnie zdecydowanie coś takiego stało się w przypadku Sheili. Nie chodziło o wzmiankę na temat Vivian Rivington, bo to była czysta, otwarta zazdrość. Cokolwiek natomiast wchodziło w grę teraz, nie było ani czyste, ani otwarte. Sheila wpatrywała się w przestrzeń nad jego głową.

- Czy ma pan może przypadkiem egzemplarz swojej drugiej książki?

Darrington rzucił okiem na biblioteczkę koło drzwi i szybko odwrócił wzrok. Sheila wstała z sofy i podeszła do kominka, unikając wzroku Jury'ego. Wrzuciła niedopałek do kominka, a potem zaczęła pocierać dłonie, jakby je myła. Syndrom Lady Makbet. Jury widział to już nieraz.

- Druga nie została zbyt dobrze przyjęta - poinformował Darrington, bez jakiegokolwiek ruchu w kierunku biblioteczki.

Jury zrobił to za niego. Oto stały tam wszystkie, rządkiem, w kolorowych obwolutach, opowieści o komisarzu Bencie.

- Czy to nie ta? - Jury wyciągnął ją z biblioteczki i zauważył, że Darrington rzucił szybkie spojrzenie na Sheilę. - Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym ją pożyczył? I trzecią także? Pański komisarz Bent może natchnąć mnie jakimś pomysłem.

Darrington odzyskał panowanie nad sobą i powiedział uprzejmie:

- Jeśli chce się pan zanudzić, proszę bardzo. - Jego śmiech był nieprzekonujący.

Oboje pożegnali Jury'ego z ulgą.

Idąc główną ulicą, Jury patrzył na mapkę, którą sporządził dla niego Pluck, a ściślej, na krzyżyk oznaczający dom Rivingtonów. Żałował, że ci wszyscy ludzie nie

mogli się zebrać razem do jego dyspozycji piętnaście minut po popełnieniu morderstwa, państwo w salonie, krztusząc się herbatą, służba - kuląc się w kuchni jakiejś pełnej zakamarków rezydencji. Wszyscy pospołu, schludnie i elegancko. Nie musiałyby się teraz wlec przez połowę hrabstwa Northampton, gdy ślad ma już kilka dni i jest tak zatarty, że nawet szkolony pies tropiciel nie byłby w stanie go wywęszyć. Na chwilę, gdy szedł ulicą, gdzie światło zimowych latarni lśniło na landrynkowych domkach i tańczyło na zaśnieżonych dachach, przyszło mu do głowy, że na to Boże Narodzenie wylądował z hukiem w jakimś baśniowym miasteczku.

Dom Rivingtonów był dużą rezydencją w stylu Tudorów zaraz po drugiej stronie mostu, przy placu. Gdy się do niego zbliżył, z dogodnego punktu obserwacyjnego na łukowym moście widział, że właściwie są to dwa dość duże domy.

Tego ranka Isabel Rivington ubrana była w kostium z wielbłądziej wełny i białą jedwabną bluzkę. Wyglądała tak samo elegancko jak wczoraj. Choć szczerze mówiąc, Jury wołał już Sheilę Hogg, która miała w sobie trochę więcej życia. Ta sprawiała wrażenie piranii. Jury nie byłby zdziwiony, gdyby po wyjściu brakowało mu kilku palców.

- Miałem nadzieję zobaczyć się dzisiaj również z pani siostrą - Vivian, tak?

- Jest na plebanii.

- Rozumiem. - Jury zawahał się. - Chodzi mi o wieczór siedemnastego, wtedy gdy został zamordowany Smali, przypomina sobie pani może, czy widziała go w barze przed kolacją?

Zachęciwszy Jury'ego, aby usiadł, wyskubała papierosa z porcelanowego uchwytu i pochyliła się w stronę

zapałki, którą wyciągnął inspektor. Nie śpieszyła się z odpowiedzią.

- Jeśli to był ten, który siedział z Marshalllem Truebloodem, to tak, chyba go widziałam. Ale nie zwracałam na niego zbyt wiele uwagi. W barze było kilka osób.

- I nie schodziła pani do piwnicy z winem po tym, jak znaleziono ciało?

- Nie. - Skrzyżowała obciążone jedwabiem nogi. Błask bijący z kominka tworzył złoty prążek wzdłuż jednej z nich. - Jestem zbyt wielkim tchórzem na takie rzeczy.

Jury uśmiechnął się.

- Czyż nie wszyscy nimi jesteśmy? A jednak pani siostra tam poszła.

- Vivian? Cóż, Vivian jest... - Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że traktuje sceptycznie upodobanie Vivian do oglądania zwłok. - Poza tym ona właściwie nie jest moją siostrą. Jesteśmy siostrami przyrodnimi.

- Pani zarządza majątkiem siostry?

- Ja i bank Barclay's, inspektorze. Co to ma wspólnego z zabójstwami dwóch nieznajomych? - Wydawała się oczekiwać od niego odpowiedzi.

Nie udzielił jej.

- Więc nie ma pani całkowitej swobody decyzji co do tego, jak będą wydawane pieniądze.

Wyraz jej twarzy zmienił się z raczej przychylniej obojętności w irytację.

- Kiedy ona sama wejdzie w posiadanie tych pieniędzy? - zapytał Jury.

Gdy Isabel strzepywała papierosa, jej ciężka złota bransoleta brzęknęła o popielniczkę.

- Kiedy skończy trzydzieści lat.

- Dość późno, nieprawdaż?

- Jej ojciec - mój ojczym - był trochę męskim szowinistą. Kobiety nie potrafią obchodzić się z pieniędzmi,

i tak dalej. Właściwie, zgodnie z testamentem, Vivian może je dostać, kiedy tylko wyjdzie za mąż. Jeśli nie wyjdzie, to gdy skończy trzydzieści lat.

- A kiedy to będzie? - Ze sposobu, w jaki patrzyła - wszędzie, tylko nie na niego - Jury wywnioskował, że trafił w czuły punkt. W Isabel Rivington wyczuwał coś, co wywoływało w nim instynktowną i niemal natychmiastową niechęć, jakąś rozwiązłość. Była piękna w ociążały sposób, który wskazywał na zbytne dogadzanie sobie słodkimi likierami i lunchami z podwójnym martini. Ale cerę miała wciąż bardzo czystą, a dłonie zadbane. Paznokcie polakierowane na modny różowobeżowy kolor i tak długie, że końcówki zaczynały się podwijać. Trudno by było udusić człowieka takimi paznokciami i nie podrapać go przy tym. Czasami się zastanawiał, czy ta część jego umysłu, która rejestruje takie szczegóły, nawet gdy on sam rozmawia o czymś zupełnie innym, nie mogłaby uodpornić się na ludzkie tragedie i po prostu zastygnąć, zatrzymując fakty jak muchy w bursztynie.

- Vivian skończy trzydzieści lat za mniej więcej sześć miesięcy.

- Wtedy przejmie kontrolę nad swoimi pieniędzmi?

Isabel ze złością zgasiła papierosa, którego końcówka rozkruszyła się jak mała muszelka.

- Dlaczego w pana ustach to brzmi tak, jakbym ja fałszowała księgi?

Jury zapytał niewinnie:

- Czyżby? Ja tylko próbuję zebrać fakty.

- Wciąż nie rozumiem, co to ma wspólnego z dwoma mężczyznami, którzy przyjechali tutaj i zostali zamordowani.

- Od jak dawna mieszka pani w Long Piddleton?

- Od sześciu lat - odpowiedziała Isabel i z ponurą miną wyjęła kolejnego papierosa ze srebrnej kasetki.

- A wcześniej gdzie pani mieszkała?
- W Londynie - padła zwięzła odpowiedź. Londyn, pomyślał Jury, zdecydowanie odkrył Long

Piddleton.

- Tu jest trochę inaczej, nieprawdaż?
- Zauważyłam - odparła.
- Ojciec Vivian - pani przyrodniej siostry - był bardzo zamożny, prawda?

Na ponowną wzmiankę o pieniądzach odwróciła gwałtownie głowę i nie odpowiedziała.

- Zdarzył się jakiś wypadek, prawda? Z ojcem panny Rivington?

- Tak. Gdy ona miała jakieś siedem czy osiem lat. Koń go kopnął. James zmarł na miejscu.

Jury nie zauważył w tej lakonicznej kwestii ani cienia żalu.

- A jej matka?
- Zmarła zaraz po urodzeniu Vivian. Moja - mniej więcej trzy lata po poślubieniu Jamesa Rivingtona.

- Rozumiem. - Jury obserwował, jak Isabel krzyżuje i rozplata nogi, nerwowo strzepując ledwie zapalonego papierosa nad popielniczką. Pomyślał, że zaryzykuje strzał w ciemno.

- Pani siostra ma poślubić pana Matchetta?

Nie było to całkiem zgodne z prawdą, ale skupiło na nim jej uwagę. Palce zawisły nad popielniczką, głowa obróciła się gwałtownie, stopy stały równo na podłodze. Potem Isabel doprowadziła do porządku twarz, na której ponownie zagościł wyraz obojętności. Jury był ciekaw, czy jej zainteresowanie Simonem Matchettem jest wyłącznie przyjacielskie.

- Gdzie pan to usłyszał? - zapytała od niechcienia. Jury natychmiast zmienił temat.

- Proszę mi opowiedzieć o wypadku Jamesa Ringtona.

Westchnęła z miną osoby, której cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- To było pewnego lata w Szkocji. Przyjechałam wtedy ze szkoły. Boże, jak ja nie cierpiałam tego miejsca - północ Szkocji. Sutherland. Odosobnione, wietrzne miejsce - nic do roboty, chyba tylko liczyć skały, drzewa i wrzosa. Dla mnie ziemia niczyja. Nie mogliśmy nawet trzymać służących, poza jedną starą kucharką. O n i to miejsce uwielbiali, to znaczy Vivian i James. Vivian miała konia, którego szczególnie lubiła, stał w stajni z innymi. Pewnego wieczoru Vivian strasznie się o coś pokłóciła z ojcem i wpadła w taką wściekłość, że wybiegła z domu w ciemności i wskoczyła na tego konia, a on - to znaczy James - wybiegł za nią. Krzyczeli na siebie, koń się spłoszył i kopnął jej ojca w głowę.

- To musiało być bardzo traumatyczne przeżycie dla pani siostry, takiej małej dziewczynki, że to właśnie ona siedziała na tym koniu w chwili wypadku. Czy pani siostra była szczególnie rozpieszczona? Czy bardzo jej pilnowano?

- Rozpieszczona? Nie, raczej nie. Często kłócili się z Jamesem. Jeśli chodzi o opiekę, przypuszczam, że miała zastęp niań i tak dalej. James był, ma się rozumieć, dość surowy. I jak mówiłam, był trochę szowinistą. Oczywiście, Vivian odchorowała ten wypadek. Sądzę nawet, że mógł on... - Przerwała i podniosła tłącego się papierosa, który zmienił się częściowo w popiół w szklanej popielnicze.

- Mógł...?

Isabel wypuściła wąską smużkę dymu.

- Sprawić, że stała się trochę niezrównoważona psychicznie.

Dziwnie, że powtórzyła dokładnie słowa lady Ardry.

- Uważa pani, że siostra jest psychotyczką?  
- Nie, nie to miałam na myśli. Ale na pewno jest odludkiem. Dziwił się pan, że opuściliśmy Londyn. Niech mi pan wierzy, że to nie był mój pomysł. Ona nic nie robi, tylko siedzi i pisze wiersze.

- To jeszcze nie powód, żeby nazywać ją niezrównoważoną.

- Dlaczego ludzie uważają, że muszą bronić Vivian, jeszcze zanim ją poznają? - Jej uśmiech był pełen napięcia.

Jury nie odpowiedział.

- Czy testament ojczyzna jest korzystny dla pani?

Jakiś cień przemknął jej przez twarz, jakby obok przeleciał kruk.

- Chodzi panu o to, co się stanie ze mną, gdy Vivian dostanie swoje pieniądze, prawda? Jeśli sądzi pan, że mnie wyrzuci na bruk, bardzo się pan myli.

Jury przyglądał jej się przez chwilę, schował notatnik do kieszeni i wstał.

- Dziękuję, panno Rivington, pójdę już.

Idąc za nią do drzwi frontowych, rozmyślał nad geografią Szkocji i nad czymś, co powiedział pewien jego znajomy, artysta malarz, o właściwości światła w tej części Wysp. W relacji Isabel o śmierci Jamesa Rivingtona było coś, co brzmiało bardzo podejrzanie.

Jury zaczerpnął głęboko powietrza i przyglądał się śladom swoich butów na delikatnej skorupce świeżego śniegu; patrzył tęsknie na skrzący się bezmiar bieli, jaki stanowił główny plac miasteczka. Kiedy przechodził przez ulicę, zobaczył na moście dwoje dzieci. Mogły mieć po osiem, może dziewięć lat. Toczyły kule ze śniegu wzdłuż szarej kamiennej balustrady. Był to dziwny mały mostek z dwoma półkolistymi łukami. Jury, przechodząc

nim, z powagą pozdrowił dzieci i zastanawiał się, jak by to było znowu mieć tyle lat, policzki różowe od mrozu, a włosy mokre i sterczące na wszystkie strony. Dopiero gdy uszedł kolejne pięćdziesiąt stóp i odwrócił się, by spojrzeć za siebie, zorientował się, że dzieci idą za nim. Zatrzymały się nagle i zaczęły udawać, że oglądają jedną ze strzyżonych lip przy głównej ulicy.

Ruszył znów w ich stronę, a gdy je zawołał, gotowe były dać drapak. Bez wątpienia wiedziały, kim jest. Próbując zachować powagę, wyciągnął swoją odznakę w wytartym skórzanym etui i pokazał im.

- Hej! Śledziliście mnie?

Ich oczy zrobiły się wielkie jak spodki, dziewczynka zacisnęła usta i oboje pokręcili energicznie głowami.

Jury chrząknął i bardzo oficjalnym tonem powiedział:

- Właśnie idę do tamtej herbaciarni - pokazał na drugą stronę ulicy - na poranną kawę. Prawdopodobnie podają tam też czekoladę, a ja chciałbym wam zadać parę pytań, jeśli nie macie nic przeciwko temu, by mi towarzyszyć.

Chłopiec i dziewczynka spojrzeli po sobie, próbując odczytać ze swoich twarzy wzajemne przyzwolenie, następnie z powrotem na Jury'ego. Ich miny wyrażały strach, zdziwienie i pokusę. Pokusa, oczywiście, zwyciężyła. Kiwnęli głowami, po czym we trójkę (inspektor w środku) pomaszrowali w stronę placyku.

Herbaciarnia i piekarnia Gate House mieściła się w kamiennym budynku, niegdyś służącym celowi, od którego wziął swoją nazwę: był to mały domek, obudowujący zadaszoną bramę cmentarną, przez której wąski łuk można było dojść ścieżką do kościoła Świętego Regulusa. Gate House stał na końcu krótkiej ścieżki, która odchodziła bezpośrednio w bok od skweru. Herbaciar-



nia znajdowała się na górze, ponad wąskim przejściem, a piekarnia niżej.

Wokół jednej połowy placu stały domki z muru pruskiego, kryte dachówką. Ich górne piętra wystawały nad wąską ścieżką, która okrążała plac. Po zachodniej stronie były inne domki, wciśnięte między sklep ze słodyczami, wąską małą pasmanterią i pocztę. Większość sklepów znajdowała się z tyłu za mostem, ale tym jakoś się udało wniknąć w to spokojniejsze otoczenie. Wszystkie budynki były przemieszane bez ładu i składu, jakby sklepiło je chaotycznie jakieś dziecko.

Jury wyobraził sobie ten skwer w lecie, zielony i pełen listowia. Na środku królował staw z kaczkami i z tej odległości widać było ptactwo zgromadzone po jednej stronie, kołyszące się wśród sitowia jak boje. Śnieg padał teraz trochę gęściej i plac stanowił najbardziej kuszącą połąć lśniącej, chrupkiej, nieskazitelnej bieli, jaką Jury kiedykolwiek widział. Ani jednego, choćby najmniejszego śladu. Przystanął, gdy doszli do skraju placu, i zreflektował się, że może to nie najlepszy przykład dla dzieci, gdy ich przewodnik ze Scotland Yardu, tego bastionu prawa i porządku, idzie na skróty przez skwer, skoro istnieją wygodne ścieżki, przeznaczone do tego, by go obejść. Kątem oka widział, że oboje patrzą na niego, czekając, aż zrobi jakiś ruch. Obyczaje Scotland Yardu były i zawsze będą nieodgadnione.

Jury zakaszał, wytarł nos, a potem zapytał surowo:

- Co wiecie o tropieniu śladów? Śladów stóp? Czy przypadkiem nie widzieliście jakichś koło „Jacka i Młota”? Obcych, nieznanych? Mniej więcej takiej wielkości? - Jury stąpnął mocno swoim za dużym kaloszem na świeży śnieg leżący na trawniku. Rozległ się rozkoszny chrzęst.

Dzieci spojrzały na wielki ślad, na niego, i znów zgodnie pokręciły głowami. Pomyślał, że przy okazji może im udzielić małej lekcji.

- Wiecie, jaka jest różnica między śladami człowieka uciekającego a człowieka idącego?

Małe, zdumione główki obróciły się energicznie z lewa na prawo.

- A chcecie pomóc Scotland Yardowi?

Teraz główki podskakiwały równie gorliwie w górę i w dół.

- Świetnie. Jak ci na imię? - zapytał Jury chłopca.

- James - wypalił mały, a potem zacisnął mocno usta, jakby zdradził jakąś tajną informację.

- Dobrze. A tobie?

Ale dziewczynka tylko spuściła głowę i skubała rąbek płaszcza.

- Hm. To pewnie także James. Bardzo dobrze, James i James. - Czekał, aż zostanie poprawiony, ale mała nie podnosiła głowy, choć wydawało mu się, że widzi nieśmiały uśmiech, wypływający na wygięte ku dołowi usteczka.

- Posłuchajcie mnie uważnie. To może być bardzo ważne dla naszego śledztwa. Ty, James, p o b i e g n i j , jak najszybciej potrafisz, do tamtego stawu z kaczkami i tam zaczekaj. A ty, James - położył rękę na ramieniu dziewczynki - p o d e j d ź do stawu, robiąc po drodze kółka. Co jakiś czas zatocz kółeczko.

Oboje popatrzyli na niego, jakby czekali na wystrzał z pistoletu startowego, a gdy kiwnął głową, chłopczyk wyprysnął w tempie równym prędkości światła, wzbijając za sobą chmury śniegu. Dziewczynka zaczęła iść bardzo powoli i ostrożnie, stopy stawiała mocno i co jakiś czas zataczając coraz większe koła. Sam Jury wybrał gładką, niezmaconą połąć śniegu i brnął przez nią z tak głośnym chrzęstem, jak tylko się dało. Gdy dotarł do stawu, chłopczyk sapał z wysiłku, a dziewczynka wciąż szła, zatacza-

jąc kółka. Wreszcie dobiła do miejsca, w którym obaj już byli. Cała trójka przez chwilę oglądała swoje dzieło.

- Świetnie - pochwalił Jury. - A teraz popatrzcie na te ślady. Tam gdzie ty biegleś, tylko przednia część buta dotyka śniegu. I zauważcie, że - kucnął i przesunął palcem w rękawiczce po śladzie dziewczynki - gdy czło wiek zatacza kółka, zwykle odchyła się na zewnątrz.

Oboje pokiwali gorliwie głowami.

- A teraz zadam wam zagadkę. - Przeszli na drugą stronę stawu. Kaczki pozostały nieruchome, nie wyjmując głów spod skrzydeł. Jury popatrzył na pozostałą połącz pięknego, chrzęszczącego, nieskalanego śniegu i zarządził: - Wszyscy troje dojdziemy do krawędzi drogi, w odległości około pięciu stóp od siebie, tak żeby nasze ślady były całkiem oddzielne. Chodźmy.

Zabrało im to tylko dwie lub trzy minuty, po czym odwrócili się i spojrzeli za siebie. Jury czuł się wspaniale, jak nałogowiec, który właśnie dostał działkę ulubionego narkotyku. Nie mógł przestać się uśmiechać, lustrując skalaną przestrzeń, przed chwilą delikatną, skrzącą się, nieskazitelną biel, teraz krzyżówkę czarnych śladów i dziur.

Dzieci wpatrywały się w niego. Na chwilę zapomniał, co chciał im zademonstrować. Ach tak, zagadka.

- Teraz wyobraźcie sobie, że dokładnie tutaj, przed nami, leży ciało.

Dziewczynka skoczyła za niego i chwyciła go za płaszcz.

- I w y o b r a ż c i e s o b i e , że trzy osoby, które zrobiły te ślady, są teraz z powrotem nad stawem. Jak się tam znalazły, skoro nie ma śladów prowadzących w tamtą stronę? - Była to stara łamigłówka z wodospadem Reichenbach, ale wątpił, czy dzieci czytały *Ostatnią zagadkę* Conan Doyle'a. A poza tym wydawało mu się, że

nie sformułował pytania wystarczająco jasno. Podrapał się po głowie. Dlaczego podejrzany miałby iść z powrotem do stawu z kaczkami?

Żadne z dzieci nie udzieliło odpowiedzi na jego zagadkę. Odwrócił się i zaczął iść tyłem po śladach.

- W ten sposób!

Chłopiec uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując sporą szparę między zębami. Dziewczynka zachichotała, ale szybko trzepnęła się po ustach dłonią w rękawiczce.

Jury podniósł w górę palec jak nauczyciel proszący klasę o uwagę.

- Pamiętajcie: gdy zostało popełnione morderstwo - dzieci zachnęły się na te słowa - zawsze znajdzie się coś dziwnego, coś niezwykłego, coś, czego nie powinno być. - Jakże chciałby, żeby to była prawda; jednak było tak tylko w teorii. - Dziękuję wam za pomoc. Oto i nasza herbaciarnia. Wejźmy do środka. - Nieduża biała kartka ze starannym ręcznym napisem, wetknięta w róg okna na górze, obwieszczała: *Właśnie podajemy poranną kawę.* Weszli ciemnymi schodami z poręczą na piętro. Wąski korytarz wypełniał aromat piekarni. Gdy zdjęli wilgotne okrycia, z oddzielonej zasłoną wnęki z tyłu wyszła starsza kobieta o miłej twarzy, przywodzącej na myśl pud-ding. Jury zamówił kawę i gorącą czekoladę oraz talerz herbatników. Po namyśle dodał do zamówienia ciastka, babeczki, dżem i śmietaną.

- No dobrze! - zawołał z zapalem i zatarł ręce, wyciągając je w stronę kominka, przed którym życzliwie usadziła ich kobieta.

Chłopiec wyszczerzał się i znów pokazał braki w uzębieniu. Jego włosy, wilgotne od śniegu, sterczały na wszystkie strony. Dziewczynka wbiła wzrok w stół, jakby badała swoje odbicie w jego wypolerowanym blacie niczym Narcyz. Jury'emu nie przeszkadzał ich brak reakcji.

Bynajmniej nie oczekiwał, że gdy już wejdą do środka, jego towarzysze zaczną rozwodzić się nad molekularną strukturą wszechświata.

Wreszcie pojawiły się kawa i ciastka, a także świeża śmietana, dżem i babeczki - dość, by nakarmić grupę kilka razy większą niż ich. Dwojga Jamesów nie trzeba było namawiać do jedzenia. Chłopiec trzymał babeczkę w prawej ręce, ciastko w lewej, i nadgryzał raz jedno, raz drugie. Dziewczynka skubała nieśmiało babeczkę z owocami, jakby miała zaraz pierzchnąć do mysiej dziury w podłodze, gdyby Jury tylko pisnął.

Zanim kelnerka odeszła, Jury pokazał swoją odznakę i zapytał, czy może rozmawiać z właścicielką, panną Bali.

Efekt był dramatyczny. Biedna kobieta oblała się pąsem i gwałtownym ruchem przyłożyła dłoń do twarzy. Winni uciekają, pomyślał Jury z westchnieniem, gdy nikt nie ściga. Tak samo niewinni.

- Proszę poczekać, sir - wykrztusiła, idąc tyłem w stronę drzwi.

Dzieci niemal ogołociły talerz z ciastkami i Jury pomyślał, że pewnie się pochorują, ale przecież szły święta, a dzieci nie wyglądały na dość zamożne, by mogły oczekiwać wielu słodkich niespodzianek. Nalewał sobie właśnie kawy z dzbanka, gdy do sali weszła jakaś kobieta w fartuchu Qak przypuszczał, panna Bali). „Weszła” to mało powiedziane. Parła do przodu tak, jakby chciała zmieść z drogi wszystko, co na niej napotka, a on był jakimś spóźnionym gościem z jej przeszłości.

- To pan jest głównym inspektorem Jurym z Nowego Scotland Yardu.

Wstał i wyciągnął rękę.

- Tak, to ja. Panna Bali?

Przytaknęła, jakby była zachwycona, że jest panną Bali. Usiadła.

- Byłam na dole w piekarni, wyrabiałam świąteczne strucle z bakaliami - tyle jest na nie zamówień, a już pojutrze Boże Narodzenie, i... - Przerwała, spostrzegłszy kompanię Jury'ego. - Przecież to dzieciaki Double'ów. Skąd pan je wytrzasnął? - Ale nie czekała na odpowiedź. - Wiem, że przyjechał pan tu w sprawie tych straszliwych morderstw...

Młodzi Double'owie, jakby nagle doszli do wniosku, że zostali tu zwabieni pod pretekstem czekolady i ciastek, wymienili spojrzenia i podskoczyli.

- Musimy już iść. Mama będzie się wściekać... - Ja mes wycofywał się od stołu. Jak na niego, była to całkiem długa wypowiedź.

Dziewczynka wciąż miała wzrok utkwiony w talerz z ciastkami. Zanim się odwróciła, żeby pobiec za bratem, przysunęła się ukradkiem do Jury'ego i leciutko skubnęła go w ramię. Było to prawdopodobnie wszystko, na co mogła się zdobyć w zastępstwie buziaka. Potem chwyciła ostatnią babeczkę z talerza i pędem puściła się do drzwi.

Betty Bali najpierw zacisnęła z niesmakiem małe uszeczka, a potem wykrzyknęła:

- Nawet panu nie podziękowały! Te dzisiejsze dzieciaki!

Jury uśmiechnął się na myśl, jak dziwne bywają wyobrażenia dorosłych. Potem powiedział:

- Panno Bali, o ile wiem, dostarczyła pani zamówienie do lokalu pana Matchetta tego wieczoru, gdy zna leziono tam zamordowanego człowieka. Czy raczej była tam pani po południu?

Kobieta kiwnęła głową.

- I weszła pani tylnym wejściem?

- Tak. Zawsze tak robię. Z tyłu jest kuchnia.  
- Czy cokolwiek było może nie na swoim miejscu lub wyglądało inaczej?

Pokręciła głową.

- Drzwi do piwnicy wyglądały jak zwykle?

- Tak jak mówiłam komisarzowi: nie widziałam światła w piwnicy ani nic takiego. - Nagle odwróciła się i krzyknęła: - Beatrice! - Zza kwiecistej zasłony wychynęła tyczkowata nastolatka, przeżuwająca gumę jak krowa trawę na pastwisku. - Rusz się, dziewczyno! Przynieś inspektorowi jeszcze kawy! Nie płacę ci za to, żebyś siedziała i czytała magazyny filmowe!

Beatrice przywlokła się do stolika. Wyglądała trochę, jakby była w ciąży. Jury pozwolił jej zabrać dzbanek, ale odmówił nowej porcji świeżych babeczek. Właścicielka popatrzyła na niego ze smutkiem oczyma barwy skórki cytrynowej, jakby smaczne wypieki były jej jedyną asekuracją przed staropanieństwem.

- Czy wtedy mocno padało, panno Bali? Zdaje się, że była burza.

- Zgadza się. Po drodze od samochodu do kuchni i z powrotem zdążyłem przemoknąć do nitki. Czy rozmawiał pan już z Melrose'em Plantem? On jest naprawdę strasznie mądry.

Jury słuchał, jak panna Bali wychwala Melrose'a Planta pod niebiosa, \ widząc, jak świecą jej się przy tym oczy, zastanawiał się, czy nie ma ona jakichś zakusów Kopciuszka względem miejscowego dziedzica.

Gdy Jury siedział w herbaciarni, śnieg znowu zdążył pokryć czystą, nieskalaną warstwą cały skwer. Tylko gdyby się dobrze wpatrzyć, można by było dostrzec ślady jego i dzieci; te płytsze zamykały się, jak wgłębienia w cieście, wprost na jego oczach. Wiatr ucichł i przestał

miotać śniegiem na ukos, więc ten znowu padał powoli i spokojnie mokrymi grubymi płatami, tak jak rano. Spojrzawszy na iglicę kościoła Świętego Regulusa, Jury postanowił zostawić sobie pastora na później. Długi spacer w śniegu - jakaś mila do Bicester-Strachanów, a potem Ardry End - był tym, czego potrzebował. Pomyśleć tylko, ile świeżych śladów mógł narobić.

Zaraz za granicami miasteczka zaczynała się prawdziwa wieś. Śnieg i lód zwisały soplami z żywopłotów. Jury'emu przyszło do głowy, że gdyby był pisarzem, mógłby spróbować uwiecznić angielski żywopłot, długie, bezkresne aleje cisów i buków czerwonych, ogrodzone miejsca dla każdego niemal kwiatka wypchniętego z pola ; przez pługi i karmniki dla wielu gatunków ptaków. Jury , westchnął, stąpając ciężko mokrymi czarnymi buciorami. ; W pewnym momencie wystraszył bażanta, tak że ten wyprysnął w górę zielono-kasztanową chmurą. Inspektorowi zdrętwiała z zimna twarz i stwierdził w duchu, że nie miałby nic przeciwko temu, by na końcu wędrówki ktoś przywitał go ogniem trzaskającym w kominku i kieliszkiem dobrego porto.

Tymczasem przywitał go po królewsku wzgardliwy głos Lorraine Bicester-Strachan, dobiegający z grzbietu kasztanowej klaczy:

- Jeśli pan przyszedł w sprawie pralki, proszę wejść od tyłu.

Jury właśnie kładł dłoń na dużej mosiężnej kołatce, gdy usłyszał jakiś odgłos za węglem, i podniósłszy wzrok, zobaczył konia i amazonkę, przedzierających się przez drzewa. Gdy tak stał na progu domostwa Bicester--Strachanów, było dla niego jasne, że pani Bicester-Strachan nie wzięła go za tak zwanego fachowca. Nie był



w roboczym ubraniu, nigdzie też w pobliżu nie stała furgonetka. Prawdopodobnie właścicielka poniżanie ludzi miała w zwyczaju.

Uprzejmym gestem dotknął kapelusza.

- Inspektor Richard Jury z Nowego Scotland Yardu, proszę pani. Chciałbym porozmawiać z panią i pani mężem, jeśli łaska.

Zsiadła z konia, ale nie przeprosiła za omyłkę. W tym momencie otworzyły się drzwi frontowe i Jury spojrzął w twarz starszego człowieka - tak wysokiego jak on sam - który byłby jeszcze wyższy, gdyby się nie garbił.

- Och, przepraszam, że pana tak tu trzymamy. Ale widzę, że moja żona pana znalazła... - Mężczyzna włożył na nos binokle zwisające na grubej rypsowej wstążce.

Gdy Lorraine przedstawiła ich sobie, zza węgła domu wyszedł opatulony szalikiem chłopiec, żeby odprowadzić konia.

- Wczoraj był tu komisarz Pratt z policji w Northampton - rzekł Bicester-Strachan, gdy Jury zdejmował płaszcz.

- Tak, ale ja też mam parę pytań, panie Bicester-Strachan. - Weszli do salonu, który Jury uznał za chłodny i oficjalny. Meble były z gatunku bogatych, ale nieprzytulnych, a gdy Lorraine Bicester-Strachan odwróciła się do niego, przyszło mu na myśl, że ona robi podobne wrażenie. Miała na sobie strój do konnej jazdy - czarny wełniany płaszcz melton, z przodzikiem zapiętym na wszystkie guziki, lśniące buty. Gdy zdjęła welwetowy kapelusz, zauważył, że włosy ma ułożone pretensjonalnie, w stylu retro a la lata dwudzieste. Puszyły się wokół jej twarzy i były zwinięte w kok na czubku głowy. Cera była barwy kości słoniowej, oczy czarne jak onyks. Ogólnie kobieta robiła wrażenie modelki z tabloidów, atrakcyjnej, choć zimnej i surowej.

- Może zaproponujemy inspektorowi drinka, kochanie? - zapytał Willie Bicester-Strachan.

- Czy w Scotland Yardzie się pije? - zapytała z udanym zdziwieniem, nalewając sobie sherry z kryształowej karafki.

Rozdrażniony tymi uwagami o nim w jego obecności Jury miał ochotę golnąć sobie podwójnego drinka, ale przypomniał sobie, kim jest, i przybrał obojętną minę. Mimo to wiedział, że irytację widać po jego oczach. Twarz bez wyrazu to było coś, czego nie mógł nigdy całkowicie opanować w szkole detektywów. Tymczasem odmówił uprzejmie drinka Bicester-Strachanowi, a Lorraine zakorkowała karafkę i przyniosła sobie kieliszek do różowego aksamitnego fotela.

Rzuciła się na niego niedbale, z nogami wyciągniętymi przed sobą, skrzyżowanymi w kostkach, młodzieńcza, niemal chłopięca.

- Tak naprawdę jest pan głównym inspektorem, prawda? Po co ta skromność? - Uniosła lekko kieliszek w geście pozdrowienia.

- Wiedziała pani, że nie przyszedłem do pralki, prawda?

Na jej twarzy odbiło się zakłopotanie, ale szybko odzyskała swoją arogancję.

- Och, chyba zgadłam, kim pan jest. Tu wieści szybko się rozchodzą. Tylko że człowiek ma dość policji wałęsającej mu się po domu jak u siebie. Ten komisarz Pratt był męczący, delikatnie mówiąc.

- Wydaje się pani bardziej rozdrażniona tym wszystkim niż zdenerwowana.

Wzruszyła ramionami.

- Mam wylewać łzy?

- Doprawdy, Lorraine... - zaczął jej mąż, sadowiąc się w aksamitnym fotelu, przed którym stał niewielki

stolik, a na nim szachownica. Pochylił głowę, jak gdyby analizował jakiś problem szachowy.

- Chciałem zapytać państwa o tamte wieczory - siedemnastego i osiemnastego.

- Mogę panu od razu powiedzieć - rzekła Lorraine - że byłam zbyt pijana, żeby pamiętać cokolwiek wyraźnie.

- Więc nie pamięta pani, kto był w jadalni między dziewiątą a jedenastą, a kogo nie było?

- Nie jestem nawet pewna, czy ja sama byłam w jadalni - odparła Lorraine.

Bicester-Strachan podniósł swoją białą głowę.

- Ja grałem w warcaby z pastorem Smithem. Nie wiem, co robiła moja żona - dodał sucho.

- Siedziałam z Oliverem - to znaczy z Olive-rem Darringtonem - przez dłuższą chwilę, a potem z Melrose'em Plantem, aż nie mogłam już dłużej znieść jego snobizmu...

- To nie fair, Lorraine. Jeśli sądzisz, że Plant jest snobem, to znaczy, że w ogóle nie rozumiesz tego człowieka.

Wstała, żeby ponownie napełnić sobie kieliszek, i stanęła koło kominka. Jedną dłoń oparła na jego obramowaniu, a but na osłonie. Była w każdym calu reklamą z magazynu „Country Living”.

- Plant jest angielskim anachronizmem. Gdyby jeszcze nosił monokl, byłby idealny.

- Coś tu chyba nie pasuje - wtrącił Jury. - Gdyby był aż tak przywiązany do swojej pozycji społecznej, chyba nie porzuciłby czegoś, co stanowi przedmiot powszechnej zazdrości, nieprawdaż? Mówię o jego tytule.

Bicester-Strachan roześmiał się.

- Tu cię ma, Lorraine.

Ale ona nadal upierała się przy swoim.

- Melrose Plant zrobił to, żeby pokazać, o ile jest lepszy od swoich hrabiowskich przodków, noszących miecze i kryzy. To taki typ.

- Ja podziwiam ten ruch - oświadczył Bicester-Strachan, uśmiechając się do szachownicy, jakby Plant siedział naprzeciw niego. - Plant to oryginał. Wie pan, inspektorze, jaki powód mi podał? Powiedział, że za każdym razem, gdy odbywało się posiedzenie Izby Lordów, miał uczucie, że wchodzi między stado pin-gwinów.

Jury uśmiechnął się, ale Lorraine nie wyglądała na rozbawioną.

- To tylko potwierdza moje słowa - rzuciła.

Jury zauważył, że jej twarz jest zaczerwieniona. Gdy kobieta wyraża się lekceważąco o mężczyźnie, zwykle jest to ten, którego nie udało jej się usidlić.

- Czy pamięta pani, o której godzinie siedziała w towarzystwie pana Planta?

- Nie potrafiłabym podać dokładnej pory. Goście co jakiś czas przesiadali się od stolika do stolika, więc trudno byłoby to wszystko spamiętać. Nie ruszali się tylko mój mąż i pastor. Wielebny Denzil Smith! Będzie pan zachwycony, to chodzące kompendium wiedzy ogólnej, zna każdy najmniejszy szczegół na temat Long Piddleton i wszystkie puby rozsiane po wsi, i wiecznie kładzie nam do głowy opowieści o nich, ile mają duchów czy skrytek w kominach...

- Denzil to mój przyjaciel, Lorraine - powiedział Bicester-Strachan łagodnie, z oczyma utkwionymi w szachownicy. W zamyśleniu przesunął gońca.

- Byli państwo „Pod Jackiem i Młotem” wieczorem, gdy popełniono drugie morderstwo?

- Tak, przez chwilę. Najwyżej jakieś pół godziny - odpowiedziała Lorraine.

- I nie rozmawiali państwo z ofiarą?  
- Nie, oczywiście, że nie - odparła. - Ktoś wykazuje dość czarny humor, nieprawdaż?

- Ludzie zwykle nie zabijają dla zabawy. A więc nie widział pan żadnego z tych dwóch mężczyzn wcześniej, panie Bicester-Strachan?

Meżczyzna pokręcił głową.

- O ile wiem, to nikt z Long Piddleton ich wcześniej nie widział. Byli całkiem obcy.

- Państwo mieszkali kiedyś w Londynie, prawda? - Jury przebiegł w myślach raport Pratta. - Zdaje się, w Hampstead?

- Widać, że sporo pan o nas wie, inspektorze - zauważyła Lorraine.

Coś w jej tonie sprawiło, że się zawahał. Jej ta pauza musiała się wydać dwuznaczna, bo zapytała:

- Czy powinnam wezwać swojego adwokata?

- Uważa pani, że go potrzebuje?

Lorraine Bicester-Strachan odstawiała kieliszek gwałtowniej, niż wydawało się to konieczne, i ciasno skrzyżowała ramiona na piersi, jakby broniąc się przed naruszeniem honoru czy prywatności. Jej stopa w lśniącym buciku kołysała się nerwowo w tył i w przód.

- Przyjechaliśmy tutaj, bo to urokliwe miasteczko ostatnio zrobiło się modne - wie pan, wśród pisarzy, malarzy i tak dalej. Nikt już nie jeździ do Cotswolds, prawda? Czyż całe to filigranowe piękno nie jest trochę *demodel* Ja jeżdżę konno i maluję. - Machnęła ręką, wskazując na cztery ściany obwieszone dziełami wspanialej jakości. Były to kiepskie pejzaże morskie, pełne kotłujących się fal i wyrzuconych na brzeg poskręconych gałęzi. Nie miała nawet na tyle artystycznego oka, żeby dostrzec piękno wsi zaraz za swoim progiem. Samo miasteczko też było przecież marzeniem artysty.

- Trochę tu nudno w porównaniu z Londynem, nieprawdaż?

- Zaczynaliśmy mieć dość Londynu. Naprawdę, to już nie jest to samo miasto. Nie można już przejść Oxford Street, żeby nie wpaść na wszystkich tych Arabów i Pakistańczyków...

- Dlaczego nie powiesz prawdy, Lorraine? - zapytał Willie Bicester-Strachan schylony nad szachownicą, z czołem opartym na dłoni.

- O czym ty, u licha, mówisz, Willie? - Ale chłodna, biała maska zsunęła się i głos był nienaturalnie wysoki.

- O powodzie, dla którego tu przybyliśmy. - Bicester-Strachan, wypowiadając te słowa, nawet nie podniósł wzroku znad szachownicy. - My... ja... przechodziłem w Londynie dość ciężki okres, inspektorze. Ale może już pan to wyszperał. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było radości.

Lorraine zerwała się tak nagle, jakby kot śmignął z fotela.

- Myślałam, że mamy to już za sobą - gazety, reporterów i tak dalej, odkąd wyjechaliśmy z Londynu. Teraz znowu przyjeżdżają i grzebią, a wszystko przez te cholerne morderstwa.

Zdawała się sądzić, że zbrodnie popełniono tylko po to, żeby ją narazić na kłopoty. Bicester-Strachan nie zwrócił uwagi na wybuch żony i Jury uświadomił sobie, że mimo całej wyniosłości tej kobiety i dziwaczного, roztargnionego zachowania jej męża, to on z nich dwojga jest silniejszy.

- Kilka lat temu pracowałem w Whitehall. W Mini sterstwie Wojny, inspektorze. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan, że nie będę wchodził w szczegóły...

- Na miłość boską, Willie! To absurdalne. Po co do tego wracać?

Bicester-Strachan jakby odsunął jej słowa zniecierpliwionym gestem dłoni.

- Pan jest ze Scotland Yardu, Lorraine. Rusz głową.

Głowa nie jest tym organem, którego Lorraine używa najczęściej, pomyślał Jury.

- Coś się stało, tak?

- W rzeczy samej, stało się. Ale nigdy nie wyszło na jaw, bo postanowiłem ustąpić ze stanowiska - żeby uniknąć kompromitującego rozgłosu. Popeliłem... wstyd mi się do tego przyznać... wykroczenie związane z informacjami, które nie powinny się były wydostać. Na szczęście, nie były to „te” tajemnice; nawet ja nie byłem świadom, że to dezinformacja. - Uśmiechnął się krzywo. - Więc nie zostałem oskarżony.

- Komu pan je zdradził?

- To nie ma znaczenia, prawda, inspektorze?

Jury nie miał ochoty go dręczyć; dla Bicester-Strachana dość bolesne było samo przyznanie się do błędu.

- Nie wiem, panie Bicester-Strachan. - Tajemnice z przeszłości z całą pewnością dostarczyły motywu nie jednemu mordercy. Jury wstał. - Pójdę już. Dziękuję. Być może później będę miał więcej pytań.

Bicester-Strachan podniósł się i uściśnął Jury'emu dłoń.

- To naprawdę paskudna sprawa. Po prostu trudno sobie wyobrazić, że to spokojne miasteczko... cóż, do widzenia.

- Do widzenia.

- Odprowadzę pana - powiedziała Lorraine.

Przy drzwiach zapytała:

- Dokąd pan teraz idzie?

- Do Ardry End.

- Cóż, życzę powodzenia w rozmowie z n i m. Gdzie się pan zatrzymał?

- „Pod Huncwotem”. - Chciał zobaczyć efekt swoich następnych słów. - O ile mi wiadomo, panna Rivington - Vivian - jest zaręczona z jego właścicielem.

Lorraine zeszywniała, jakby uderzona pejczem.

- Simon Matchett i Vivian? To bzdury. - Odprężyła się nieco. - Pewnie pan rozmawiał z Agathą. Głównym celem jej życia jest utrzymywanie Vivian z dala od Melrose'a Planta. Przypuszczam, że broni swojej tak zwanej spuścizny. Vivian to jedna z tych strasznie nieśmiałych istot. Dla mnie ten rodzaj skrępowania jest dość męczący.

- Cóż, jeszcze raz dziękuję, pani Bicester-Strachan.

- Lorraine.

Jury tylko się uśmiechnął i z ulgą wyszedł na świeży śnieg.



## 8

Gdy inspektor Jury przesłuchiwał Bicester-Strachanów, lady Ardry dmuchała w filiżankę herbaty, niechętnie przyniesioną przez Ruthvena. Kuchnia Ardry End dostarczyła nawet ulubione ciasteczka Agathy.

- Mam tylko nadzieję, że on zna się na rzeczy - odezwała się, mając na myśli inspektora Jury'ego. Obserwowała, jak Melrose nalewa sobie kieliszek porto. - Czy nie trochę za wcześnie na alkohol, Melrose?

-Na w s z y s t k o jest trochę za wcześnie - odparł Melrose; ziewnął i zakorkował butelkę.

- W każdym razie podałam Jury'emu wszelkie interesujące szczegóły dotyczące osób, które były u Matchetta we czwartek wieczorem.

- To musiało ci zająć całe pół minuty. - Patrzył z naganą na ciotkę, która przybyła o ósmej trzydzieści rano. Oczy same mu się zamykały, bo czytał przez pół nocy. Słuchał jej jednym uchem, a ona konwersowała praktycznie sama ze sobą, więc rozmowa toczyła się gładko. Patrzył, jak ze srebrnej tacy znikają ciastka: koszmarne babeczki z rodzynkami na wierzchu przypominającymi zdechłe muchy. Ale kazał Ruthvenowi trzymać je pod ręką dla Agathy, która za nimi przepadała. Pożarła już

trzy i właśnie pochłaniała czwartą, delikatnie ocierając usta serwetką.

- Kogo oskarżyłaś, Agatho? To znaczy, oprócz mnie?  
- Melrose wpatrywał się z roztargnieniem w ogień. Miał nadzieję, że ten policjant wyjaśni sprawę, i to szybko.

- Oskarżać c i e b i e ? Wielkie nieba, Melrose, mam chyba tyle honoru, żeby nie latać i nie mleć ozorem na temat członka własnej rodziny...

- A więc Olivera Darringtona? Żeby się pozbyć konkurencji? To musi być przykre, mieć pod bokiem drugiego autora powieści sensacyjnych. Choć muszę powiedzieć, że jego książki specjalnie nie wciągają. - Patrzył, jak wstała i podeszła do kominka. Zdjęła z gzymsu talerz z wczesnego okresu Derby i obejrzała go dokładnie, szukając znaków na spodzie.

Agatha odstawiała talerz.

- Zawsze byłeś o niego zazdrosny, nieprawdaż, mój drogi?

- Zazdrosny o Darringtona? - W jakiejż to mentalnej mierzwie grzebie ta kobieta?

- Z powodu Sheili Hogg. Nie myśl, że o tym nie wiem.

Teraz obracała wazon ze szkła latticino z Nailsea. (Czy zmieści jej się do torebki?) I skąd wzięła ten pomysł, że on się choćby w najmniejszym stopniu interesuje Sheilą?

Gdy nie odpowiedział, szybko odbiła myśl, jakby chcąc go za wszelką cenę przyłapać:

- To może Vivian Rivington? - Agatha nie dbała o to, czy strzała trafi bliżej czy dalej od środka tarczy. Dla niej porażka była porażką. Tak długo będzie przebiegać w myślach listę kobiet, aż trafi na właściwą.

Melrose znowu ziewnął.

- Studiowałaś mój karnecik, droga cioteczko.

Gdy znowu usiadła, poprawiając drobnymi gestami różne srebrne i pozłacane drobiazgi na stole przed sobą, Melrose zapytał:

- Czy inspektor miał jakieś teorie? Oprócz tej, z którą z tych czarujących osóbek mam zamiar się ożenić?

- Nie bądź zarozumiała, Plant. Nie w s z y s c y są zainteresowani twoimi osobistymi sprawami. - Przekładała z ręki do ręki popielniczkę ze szkła z Murano, jakby szacując jej wagę dla urzędu celnego. - Z jakiegoś powodu inspektor Jury wypytuje o ludzi, którzy tam byli - to znaczy, o nas. Nie rozumiem dlaczego, skoro po winien szukać zbrodniczego maniaka, zanim ten wydusi nas do reszty w naszych łózkach.

- Więc nasz maniak zszedł do piwnicy, udusił Smalla, wepchnął mu głowę do beczki z piwem i wymknął się z powrotem?

- Naturalnie. - Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie sądzisz chyba, że zrobił to ktoś, kto już tam był?

- Oczywiście.

- Dobry Boże! To absurd. Myślałam, że wtedy u Matchetta zartowałeś. - Wciąż nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia, sięgnęła po kolejną babeczkę z rodzynkami, posypanymi po wierzchu wiórkami kokosowymi, które wyglądały jak rzęski.

Obrzydliwe, pomyślał Melrose i zsunął się niżej w fotelu. Usłyszał, jak stojący zegar szafkowy w holu wybija półgodzinę. Boże, już prawie pora lunchu, a ona wciąż tu siedzi. Był zdecydowany nie zapraszać jej na posiłek.

- No więc?

Przez na wpół przymknięte powieki widział, że ciotka czeka, aż on wycofa się z opinii, że sprawcą całego tego horroru może być jeden z jej drogich sąsiadów. Nie chciał jednak dać się wciągnąć w teoretyczne rozważania, więc powiedział wymijająco:

- Mam nadzieję, że policja to wyjaśni.

Dobrze by było, bo inaczej każdego ranka o świcie ona będzie tu przychodzić ze świeżym serwisem informacyjnym.

- Jest też oczywiście inna możliwość. - Ciotka uśmiechnęła się chytrze.

- Jakaż to? - zapytał bez zainteresowania.

- Że ten Smali nie został zamordowany w pubie. Morderca zabił go na z e w n ą t r z i wniósł do środka tylnymi drzwiami. Musiał szukać miejsca, gdzie mógłby się pozbyć ciała. A Smalla zamordować gdziekolwiek!

- W jakim celu?

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Co w jakim celu?

- Po co ktoś miałby przynosić Smalla do pubu „Pod Huncwotem”? Nie lepiej było zostawić go gdzieś na zewnątrz, w odludnym miejscu, przewieszzonego na przykład przez gałąź drzewa?

Agatha przyglądała się babeczce.

- Bo wiedział, że policja pomyśli dokładnie to, co ty! Że winny jest ktoś z nas. - Zaczęła pałaszować z oczyma błyszczącymi triumfem.

Melrose dolał sobie odrobinę porto i rzekł:

- A więc tak czy owak, mordercą jest ktoś z Long Piddleton, nieprawdaż? Nie sądzę, żeby wszyscy mordercy z Wysp Brytyjskich wiedzieli, że nasza wesoła kompania ma jeść kolację w pubie, więc mogą przenieść zwłoki do piwnicy i pozwolić, żeby jedno z nas zebrało za to cięgi. - Pociągnął łyk porto; nad kieliszkiem widział, jak oczy ciotki zwięzają się nieprzyjemnie. Zniszczył właśnie jej kolejną teorię i miała zamiar odzyskać nad nim przewagę.

- A co w takim razie z d r u g i m morderstwem? Tego Ainsleya? Mój drogi, ten ktoś musiał być obłąkany, żeby ustawić ciało na miejscu „Jacka”...

Melrose osunął się jeszcze bardziej w swoim fotelu i zamknął oczy, w nadziei, że ciotka pojmie aluzję. Ale nie, nic z tego. A więc dalej będzie snuła swoje lepkie teoryjki niby jakiś stary, otepiały pajak...

- Melrose!

Otworzy! gwałtownie oczy.

- Znowu zasypiasz w mojej obecności! Przyszedł Ruthven i czegoś chce.

Lokaj przyknął oczy z bólem. Od wielu lat Agatha błędnie wymawiała jego imię. Celowo? - nie, pomyślał Melrose, po prostu wciąż nie może się połapać w angielskich imionach.

- Wasza lordowska mość - odezwał się Ruthven - chodzi o tę gęś na Boże Narodzenie. Martha potrzebuje kasztanów do nadzienia, sir, a wygląda na to, że nie mamy.

Niech to wszyscy diabli, pomyślał Melrose, żałując, że Ruthven wspomniał o gęsi przy Agacie.

- Może pošlij kogoś do panny Bali. Ona zawsze ma rzeczy, których nie ma nikt inny.

Ruthven skinął głową i wysliznął się z pokoju.

- Gęś? Będziemy jeść gęś? Wspaniale! - I Agatha zatarła ręce na myśl o uczcie bożonarodzeniowej.

Oczywiście, zawsze zapraszał ją w Boże Narodzenie na kolację. Ale zamierzał polecić, by podano zwykłego, tradycyjnego indyka, a gęś chciał zachować dla siebie, na nocną przekąskę przy butelce Chateau Haut-Brion.

- Umiałabyś odróżnić gęś od indyka? To znaczy, gdyby były już przyrządzone i leżały na półmisku?

- Co ty pleciesz, Melrose? Oczywiście, że potrafiłabym odróżnić. - Oglądała popielniczkę z Limoges.

- Nawet gdyby to był bardzo c h u d y indyk?

- Chyba przechodzisz załamanie nerwowe, Melrose. Masz gorączkę w oczach. A jeśli Ruthven...

- P r o s z ę , czy nie mogłabyś wreszcie nauczyć się wymawiać poprawnie jego imienia? Wymawia się „Riwin”.

- To dlaczego pisze się „Ruthven”, przez „th”?

- A skoro już o tym mówimy, w twoim wykonaniu nazwisko Bicester-Strachan ma ze dwadzieścia sylab. Wymawia się je „Bister Stron”.

Zanim miała szansę odeprzeć ten zarzut, Ruthven był z powrotem w pokoju.

- Dżentelmen ze Scotland Yardu do pana, sir. Jest w holu. Główny inspektor Richard Jury, powiedział, że się nazywa.

Zwykle nienaganna składnia Ruthvena uległa zaburzeniu. Melrose przypuszczał, że to normalna reakcja na wizytę Scotland Yardu.

Wybawienie.

- Na miłość boską, nie trzymaj go tam, lady Ardry już wychodzi...

Uchwyt Melrose'a potrafił być jak imadło, gdy się o to postarał. Podniósł ciotkę z fotela, w drugiej ręce trzymając jej torebkę, i doprowadził kobietę prawie do drzwi, gdy nagle wrzasnęła:

- Mój zegarek! Mój zegarek! Zgubiłam zegarek! - I wyrwała się, żeby wrócić i szukać wśród fotelowych poduch.

Melrose westchnął. Przegrał kolejną rundę.

Gdy Agatha przetrząsała poduszki w salonie, Jury stał w holu, która to nazwa wydawała się zbyt prozaiczna dla tego wspaniałego pomieszczenia i jego hipnotycznej aranżacji ze średniowieczną bronią wszelkiego rodzaju. Miecze, strzelby, piki, lance służyły jako dekoracyjne eksponaty w półkolistych łukach ponad drzwiami. Wspaniale wypolerowane, lśniły jak promienie słońca. Lokaj wrócił i otworzył przed Jurym rzeźbione drewniane drzwi.

Inspektor z zaskoczeniem zobaczył, jak lady Ardry grzebie w fotelu. Gdy tylko jednak pojawił się w drzwiach, wystrzeliła do przodu z wyciągniętą ręką.

- Inspektor Jury! Znowu się spotykamy! - Gdy energicznie ścisnęła mu dłoń, Jury patrzył na mężczyznę stojącego pośrodku pokoju. Wysokiego, o przyjemnej powierzchowności. Ubrany był dość swobodnie, w jedwabny szlafrok, a włosy miał rozczochrane, jakby znieczeka został wyciągnięty z łóżka. Jednak tym, co zwróciło uwagę Jury'ego najbardziej, był wyraz zaskakująco szmaragdowych oczu, na które Plant właśnie nakładał okulary w złotych oprawkach. Bystrych, bardzo bystrych oczu.

- Moja ciotka właśnie wychodzi, panie inspektorze. Jestem Melrose Plant.

Jury uściśnął jego rękę, zauważając przy tym, że lady Ardry bynajmniej nie wygląda na osobę, która właśnie wychodzi. Jej nogi jakby zapuściły korzenie w podłogę.

- Inspektor może potrzebować potwierdzenia twoich zeznań - oświadczyła.

- Najpierw, Agatho, musi te zeznania o t r z y m a ć . Zatem prawdopodobnie zechce pomówić ze mną na osobności.

Jej oczy zwęziły się.

- Na osobności? Dlaczego? Co masz do powiedzenia, czego ja nie mogłabym usłyszeć?

Melrose mocno chwycił ją za ramię, wcisnął pod nie torebkę i pokierował ciotkę do drzwi.

- Zobaczymy się jutro. Ale proszę, nie o świcie. Chyba że na trawniku przed moim domem odbywałby się pojedynek.

Agatha wciąż jeszcze wykrzykiwała jakieś polecenia i instrukcje, gdy drzwi zamknęły się stanowczo przed jej twarzą.

Wtedy Plant odwrócił się do Jury'ego i powiedział:

- Pan wybaczy, inspektorze, ale ciotka siedziała u mnie trzy godziny, a ja jeszcze nie jadłem śniadania. Jeśli miałby pan ochotę przyłączyć się do mnie, moglibyśmy porozmawiać podczas posiłku.

- Ja już jadłem, sir, ale z przyjemnością panu potowarzyszę.

Ukazał się Ruthven, przyjął polecenie i poczłapał z powrotem, żeby je wykonać.

Melrose Plant wskazał fotel, który właśnie opuściła jego ciotka.

- Zatrzymał się pan „Pod Huncwotem”?

Jury skinął głową, przyjmując papierosa ze zdobionego emalią pudełka, które wyciągnął w jego stronę Plant.

- Chce pan mnie zapytać o czwartkowy i piątkowy wieczór, tak? Chodzi o nagie fakty? Czy o moje wrażenia?

Jury uśmiechnął się.

- Uporajmy się najpierw z faktami, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sir.

- Inspektorze, nie sądzę, żebym był od pana starszy, na pewno nie jestem też mądrzejszy. Nie ma powodu, żeby pan miał zwracać się do mnie „sir”.

Jury poczerwieniał. Jakoś nie mógł zapomnieć tego, co słyszał o markizie Ayreshire i hrabi Caverness.

- Tak, aaa... panie Plant. Czy mógłby pan ewentualnie wprowadzić poprawki do wersji, którą udało mi się ustalić do tej pory? - Jury wymienił obecnych w pubie gości, podał ich rozmieszczenie przy stolikach w czasie kolacji, wspomniął o pojawieniu się i zniknięciu Smalla.

- Tak, ja też tak to pamiętam. Gdy Smali rozmawiał w barze z Truebloodem, musiało być około ósmej lub wpół do dziewiątej.

- I nie widział go pan potem?



Melrose stanowczo pokręcił głową.

- Nie. Dopiero, gdy moja ciotka wpadła z wrzaskiem...

- Pańska ciotka? Wrzeszczała? - Jury próbował się nie uśmiechnąć.

- O Boże, tak. Było ją słyhać chyba aż w Sidbury. - Plant spojrzął na Jury'ego uważnie spod w pół przykniętych oczu. - A powiedziała panu, że była w najwyższym stopniu opanowana? Nie musi pan odpowiadać. Widzę, że tak. Cały świat się wali, a Agatha jak skała.

- Mówiła, że służąca - panna Murch - była wyraźnie wytracona z równowagi.

- O tak, tak przypuszczam. Reakcje wszystkich były dość typowe - chwytanie się rękami za szyję, wytrzeszczanie oczu, podrywanie się z krzesel...

- W pana ujęciu wygląda to trochę jak kiepska pan-tomima, panie Plant.

Plant uśmiechnął się.

- Cóż, przyznaję, że zastanawiałem się, które z nich to zrobiło.

Papieros Jury'ego zatrzymał się w połowie drogi do ust.

- Czyli przypuszczał pan, że to ktoś z pubu?

Melrose Plant wyglądał na zaskoczonego.

- Sądziłem, że to oczywiste. Chyba że podziela pan teorię mojej ciotki o Kubie Rozpruwaczu albo o kimś wałęsającym się po Long Piddleton, kto żywi tajemniczą urazę do klientów pubów. Wszyscy „Pod Huncwotem” uważali, że morderca wszedł przez tylne drzwi piwnicy.

- A pan nie?

Melrose wyglądał, jakby spodziewał się czegoś więcej po Scotland Yardzie, ale dobre wychowanie nie pozwala mu tego wyrazić słowami.

- Wszyscy mówią o tym Smallu jako o zupełnie obcym człowieku, który znalazł się w Long Piddleton

przypadkiem, przejazdem, co samo w sobie jest wielce nieprawdopodobne.

- Dlaczego, panie Plant?
  - Ponieważ dotarł tu pociągiem i autobusem. Jak w takim razie mógł tylko „przejeżdzać”? - Na widok lokaja Plant przypomniał sobie: - A, śniadanie.
  - Nakryłem w jadalni, sir.
- Melrose zatarł dłonie.
- Dziękuję, Ruthven. Proszę tędy, inspektorze Jury.

Pod wachlarzowym sklepieniem sufitu jadalni wisiały wielkie, kosztowne portrety przedstawicieli rodu Ardry--Plant. Jeden, najmniejszy z nich, na ścianie naprzeciwko, przedstawiał samego Melrose'a Planta, siedzącego przy stole nad otwartą książką.

- Zarozumiałstwo, nieprawdaz? Zawieszać własny portret? Ale moja matka przed śmiercią upierała się przy tym. To ona. W tej czarnej sukni.

Portret przedstawiał uroczą kobietę w czarnych ak-samitach, upozowaną w prosty, pełen godności sposób. Obok wisiał wizerunek przykucniętego mężczyzny o sympatycznej twarzy, otoczonego psami myśliwskimi. Plant był podobny do matki.

Nakładając sobie jedzenie na talerz, mówił:

- Widzę, że Martha sądziła, że ciotka zostanie, bo to, co przygotowała, starczyłoby na dwanaście osób. Proszę się poczęstować, inspektorze Jury. - Melrose zdejmował po kolei srebrne kopułki przykrywek: cynaderki na ostro, jajka sadzone, sola, gorące bułeczki.

Jury'emu trudno byłoby zarzucić cokolwiek mieszkańcom miasteczka, jeśli chodzi o gościnność, ale odmówił tego wytwornego drugiego śniadania.

- Nie, dziękuję, panie Plant. Wystarczy kawa. Mówił pan, że nie zgadza się z koncepcją, jakoby morderca Smalla włamał się przez drzwi do piwnicy.

- Inspektorze, jestem pewien, że pan również tak nie myśli, ale jeśli pan chce, wyjaśnię rzecz dokładniej. Gdyby mordercą był ktoś z z e w n ą t r z , czy wy brałyby to publiczne miejsce na spotkanie ze swoją ofiarą? No, ale przypuśćmy nawet, że zorganizował to w taki dziwny sposób. I co, umówiwszy się ze Smallem w piwnicy, musi potem wyłamywać drzwi, żeby się do stać do ś r o d k a ? Przecież Smali w takim wypadku po prostu by go wpuścił. Trudno uwierzyć, że zabójca przypadkiem znalazł się na tyłach pubu, dostrzegł Smalla przez zakurzone piwniczne okienko, powiedział do siebie: „Dobry Boże! Przecież to Smali, mój największy wróg!”, a potem rozwalił drzwi. - Melrose Plant pokręcił głową i nalał sobie kawy.

Jury uśmiechnął się, bo Plant właśnie przedstawił w zarysie jego własne rozważania na temat tego morderstwa. Wyciągnął swoją paczkę playersów i poczęstował papierosem Planta, który go przyjął. Zapalili.

- A co pan n a p r a w d ę sądzi, panie Plant?

Plant przez chwilę przyglądał się obrazom na ścianie, a potem powiedział:

- Wziąwszy pod uwagę miejsce spotkania, powiedziałbym, że było to działanie pod wpływem impulsu. Ktoś z obecnych poczuł się zaskoczony wizytą Smalla i w trakcie wieczoru umówił się z nim w piwnicy na wino. Świadczyłaby o tym ta zaimprovizowana metoda morderstwa, nieprawdaż? Uduszenie faceta kawałkiem drutu z butelki, a potem wepchnięcie jego głowy do beczki z piwem. Wie pan, jak to widzę?

- Jak?

- Nasz morderca rozmawia ze Smallem, przez cały czas odwijając drut, a potem - Plant podniósł ręce i zacisnął wyimaginowany drut wokół własnej szyi - zaciska go na jego krtani tak długo, aż ten traci przytomność,

a później przytrzymuje jego głowę w beczce. Wygląda to na działanie dość spontaniczne. Lub też...

- Co?

- Cóż, istnieje możliwość, że morderstwo było zaplanowane z góry i dokonane tak, żeby wyglądało na niezaplanowane. A te groteskowe szczegóły - wepchnięcie głowy Smalla do beczki z piwem i wsadzenie Ainsleya na belkę...

- czy Planta zaświeciły się - ...czemu miałyby służyć? Owe dziwaczne akcenty są, cóż, zbyt dziwaczne.

- Chce pan powiedzieć, że kierują naszą uwagę na metodę, a odwracają ją od czegoś innego - na przykład motywu? Są dekoracyjnymi ozdobnikami?

- Albo może jedno morderstwo zostało popełnione, żeby odwrócić uwagę od drugiego? - zasugerował Melrose. - Ainsley mógł zostać zabity, żeby odwrócić uwagę od Smalla, i odwrotnie.

- Morderca robi coś po to, żeby policja zaczęła gubić się w szczegółach? - Jury przyjął kolejną filiżankę kawy ze srebrnego dzbanka, przyznając w myślach, że Plant to wyjątkowo inteligentny człowiek. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że to nie on jest mordercą.

- Dziwne - rzekł Melrose. - Smali i Ainsley wydawali się całkiem obcy. Nikt ich nie znał i oni nie znali się nawzajem - a przynajmniej na to wygląda. Ojej. Cóż, inspektorze, ma pan do czynienia z grupą ludzi, z których każdy miał okazję, ale za to żaden, jak się wydaje - motywu. O ile łatwiej byłoby, gdyby ofiarą był ktoś z tego towarzystwa.

- Dlaczegoż to?

- Motywów znalazłoby się w bród. Gdyby to był na przykład Willie Bicester-Strachan, winą można by obarczyć Lorraine. Gdyby to mnie zamordowano, wielkie nieba, możliwości są niezliczone - poczynając od mojej ciotki. W wypadku Sheili Hogg mógłby zostać posadzony Oliver Darrington...

- Darrington chciałby zamordować pannę Hogg? Dlaczego?

- Bo wtedy mógłby ożenić się z Vivian Rivington. Dla pieniędzy, wie pan. A Sheila niewątpliwie ma już w zanadrzu gotowy szantaż, na wypadek gdyby Oliver zblądził gdzieś na manowce. Jeśli zostałaby zamordowana ciotka Agatha, podejrzane byłoby całe miasteczko.

- A w wypadku Vivian Rivington?

Melrose zatrzymał na nim spojrzenie.

- Co z Vivian?

- Czyż nie ma znaczenia fakt, że panna Rivington za sześć miesięcy odziedziczy spore pieniądze? Kto na tym straci, a kto zyska?

- Proszę pana, ja się tylko wygłupiam. Co ma wspólnego majątek Vivian z Ainsleyem i Smallem?

- Nic, o czym bym wiedział. Tylko że to nie byłby pierwszy raz, gdy morduje się kilka osób w celu zamaskowania prawdziwego motywu.

- Nie rozumiem, inspektorze.

Jury porzucił ten temat.

- Pani Bicester-Strachan powiedziała mi, że dzieliła z panem stolik przez część wieczoru. Tego, kiedy zamordowano Smalla.

- „Dzieliła” to nieprecyzyjne sformułowanie. Udało mi się utrzymać swoją połowę dzięki strategii, której nie powstydziliby się Rommel. - Melrose wziął grzanekę ze srebrnego koszyczka, wgrzył się w nią i zapytał retorycznie: - Dlaczego Anglicy są znani z tego, że lubią zimne grzanki? - Ociłował kromkę na talerz.

- Wygląda na to, że pani Bicester-Strachan żywi wobec pana ambiwalentne uczucia.

- Bardzo delikatnie pan to ujął. - Melrose westchnął i dodał: - Nie, inspektorze. Między Lorraine a mną nigdy nic nie było.

- Ani między panem i panną Rivington?

- Zaczyna pan jak moja ciotka. Nie widzę związku między swoim życiem prywatnym a tą sprawą.

- Ach, panie Plant. Gdybyśmy ignorowali życie prywatne, nigdy byśmy nie złapali żadnego przestępcy, prawda?

Plant uniósł w górę dłoń.

- Dobrze już, dobrze. Proszę posłuchać, inspektorze, wbrew przekonaniu mojej ciotki, że połowa kobiet w tym kraju chce wyjść za mnie za męża i tym samym pozbawić ją jej „legalnej spuścizny”, śpieszę pana zapewnić, że bardzo niewiele dam kiedykolwiek czyniło na mnie zakusy. Miałem w życiu całkowicie zwyczajne związki ze zwyczajnymi pięknymi kobietami. Byłem zaręczony i zerwano ze mną zaręczyny, bo młoda dama uznała mnie za snoba i lenia i prawdopodobnie miała rację. Moja ciotka panicznie się boi, że jakaś kobieta mnie „upoluje”, by użyć jej dziwacznego wyrażenia. Żadna jednak nie jest tym naprawdę zainteresowana.

Jury miał co do tego poważne wątpliwości, ale znowu zmienił temat.

- Według pana Scroggsa, kilkoro z państwa przyszło do pubu „Pod Jackiem i Młotem” następnego wieczoru, w piątek, gdy zamordowano Ainsleya.

- Tak. Ja przyszedłem około ósmej, może wpół do dziewiątej. Większość z tych osób również tam była. Vivian siedziała ze mną; Matchett wpadł coś zjeść. Przypuszczam, że nawet on nie mógł znieść po tym wszystkim własnego lokalu. W każdym razie Scroggs ma tylne drzwi. Każdy w Long Piddleton mógł tamtędy wejść i wyjść...

- Więc wie pan o tym?

- Oczywiście; wszyscy wiedzą. Dlatego na niewiele przyda się panu wiedza, kto był w ś r o d k u .

- A co z tymi plotkami o zaręczynach pana Matchetta i Vivian Rivington?

- Nie potrafię powiedzieć. **Ale mam** nadzieję, że to nieprawda.

- Dlaczego?

- Bo nie lubię Matchetta. Ona jest za dobra dla niego. Mówił pan coś o maskowaniu „prawdziwego” motywu. Nie sądzi pan chyba, że będzie więcej morderstw?

- Nie chciałbym wygłaszać takiej przepowiedni. Sam pan sugerował, że znalazłoby się kilka motywów do morderstwa w Long Piddleton.

- Ach, nie mówiłem tego tak całkiem poważnie. - Melrose odwrócił się w stronę drzwi, za którymi słychać było jakiś hałas i podniesione głosy.

Wszedł Ruttwen.

- Przepraszam, sir. To lady Ardry. Nalega...

- Moja c i o t k a ? Dwa razy w ciągu jednego dnia?...

Ale zanim zdołał dokończyć, a Ruthven usunąć się z drogi, Agatha odepchnęła starego drzwiami i wparowała do środka, powiewając peleryną.

- No proszę! Widzę, że wy dwaj siedzicie tu sobie spokojnie, zajadacie bekon i cynaderki, a w całym miasteczku aż huczy!

- W całym miasteczku huczy od wielu dni, Agatho. Cóż cię sprowadza z powrotem?

Lady Ardry hałaśliwie wbiła w podłogę swoją łaskę. Nie potrafiłaby pozbyć się triumfalnego tonu, nawet gdyby chciała.

- Co mnie sprowadza? Chcę zobaczyć, czy uda mi się odciągnąć inspektora Jury'ego od lunchu. Mamy jeszcze jedno!

- Jeszcze jedno?

- Morderstwo. „Pod Łabędziem”.

## 9

- Przyjechałam zaraz, jak tylko się dowiedziałam!  
- pochwaliła się lady Ardry z tylnego siedzenia bentleya Planta.

Po rozgrzaniu zimnego silnika, co zabrało Melrose'owi pięć minut, wszyscy troje pędzili teraz główną drogą, która łączyła Sidbury z Dorking Dean.

Jury usiłował nad sobą panować.

- Dlaczego Wiggins po prostu do mnie nie zadzwonił? Przyspieszyłoby to sprawę o te pół godziny, które musiała pani zająć jazda rowerem.

Lady Ardry nuciła pod nosem, zapatrzona na migające pola topniejącego śniegu za oknem.

- Pewnie nie wiedział, gdzie pan jest.

Jury odwrócił się na siedzeniu, i z żelazną samokontrolą oświadczył:

- Ale pani wiedziała, lady Ardry.

Wyglądziła swoją obfitą spódnice.

- Nie miałam pojęcia, że zasiedział się pan u Planta na kawce.

„Pod Łabędziem” był to wiejski pub, odległy o mniej niż milę od Ardry End i kilka mil od Dorking Dean. Gdy tam dojechali, na niewielkim parkingu przed lokalem sta-



ły już trzy policyjne samochody. Sporo żądnych sensacji gapiów także zaparkowało bezładnie przy drodze. Gdy tylko Plant zatrzymał wóz, podbiegł do nich Wiggins, rozchlapując błoto.

- Strasznie przepraszam, sir. Wydzwaniałem do pana...

Jury zapewnił go, że to nie jego wina.

- Byłem w Ardry End...

- Na śniadanku - wtrąciła Agatha, gramoląc się z trudem z samochodu.

Podszedł Pratt.

- Moi ludzie już wszystko obejrzeni, więc może pan się poruszać swobodnie. Ja muszę pojechać do Northampton. Nasz szef jest... cóż, może pan sobie wyobrazić. Wiggins naświetli panu sprawę. - Pratt przyłożył palce do czoła w geście pozdrowienia i wsiadł do samochodu, który właśnie podjechał.

Melrose Plant wmieszał się w niewielki tłumek, ciągnąc za sobą zagniewaną lady Ardry. Najwyraźniej uważała, że jej nieobecność przeszkodziła w śledztwie, które dopiero teraz może być kontynuowane.

- Pluck! - zawołał Jury. - Weź stąd tych ludzi. Trzeba zrobić miejsce dla lekarza policyjnego.

Było tu także całkiem sporo dzieci, czekających na krew i sensację. Inspektor rozpoznał wśród nich młodych Double'ów i pomachał im. Odmachali skwapliwie.

- Gdzie jest ciało, Wiggins? I kto je znalazł?

- W ogrodzie, sir. Znalazła je pani Willypoole, właścicielka.

Kilku reporterów przepchnęło się do nich.

- Czy to psychopata, inspektorze?

- Nie wiem. Z tego, co czytam w gazetach, to w y tak uważacie.

- Ale rysuje się s c h e m a t . Kolejne morderstwo w pubie, inspektorze.

- Dobrze, więc kiedy już się dowiecie, co ten schemat oznacza, dajcie mi znać. - Jury przepchnął się obok nich.

Zanim wszedł do środka, zatrzymał się, żeby popatrzeć w górę, na szyld poskrzypujący na metalowym pręcie. Szyld był wyblakły, ale wyraźnie przedstawiał namalowanego łabędzia o dwóch szyjach. Głowy ptaka zwrócone były w przeciwnych kierunkach. Łabędź płynął majestatycznie czymś, co niegdyś było zieloną rzeką, i wydawał się całkiem nieświadomy swej dziwacznej deformacji. U góry malowidła eleganckimi literami, kursywą, wypisana była legenda: *Łabędź o Dwóch Szyjach*.

- Skąd oni je, u licha, biorą? - zwrócił się Jury do Wigginsa.

- Ale co, sir? - zapytał Wiggins, którego głos nikał w fałdach chusteczki do nosa.

- Te nazwy, Wiggins, te nazwy.

Jury pchnął wewnętrzne drzwi z matowego szkła, prowadzące do baru. Jakaś kobieta (jak zakładał, pani Willypoole) wychylała duszkiem szklaneczkę dzinu przy barze. Gdy zobaczyła Jury'ego, uśmiechnęła się z przymusem i potrząsnęła butelką jakby na znak zwycięstwa.

- To jest pani Willypoole - objaśnił Wiggins. - To ona go znalazła.

- Inspektor Jury, proszę pani, z Nowego Scotland Yardu. - Pokazał jej swoją odznakę.

Miała kłopoty ze skupieniem na niej wzroku. Rudy kot, zwinięty na kontuarze, otworzył spokojnie jedno oko. Najwyraźniej usatysfakcjonowany kompetencjami Jury'ego, ziewnął i wrócił do drzemki.

- Coś do picia, kochaneńki?

Jury pokręcił głową.

- Cóż, będzie pan musiał mi wybaczyć, kochaneńki. Nieczęsto doznaje się takiego szoku. Mówię panu, jak tam poszłam... - Ukryła twarz w dłoniach.

- Oczywiście, rozumiem, pani Willypoole. Chciałbym najpierw rozejrzeć się po ogrodzie, a potem zadać pani kilka pytań. - Wyglądało na to, że kobieta go nie słyszy, więc uznał, że jeśli nie chce mieć nieprzytomnego świadka, nie powinien używać w stosunku do niej tak oficjalnego tonu. Oparł się na kontuarze i spróbował dostosować się do jej stylu. - Nie dziwię się pani. Ale, kochaneńka, oszczędniej z tym. - Tu pstryknął paznokciem w butelkę. - Będę potrzebował pani pomocy. - Puścił do niej oko.

Podniosła na niego wzrok i odstawiła szklaneczkę.

- Hetta jestem. - Choć była w mocno średnim wieku, wciąż dawało się zauważyć resztki jej dawnej świetności. Sylwetkę miała pulchną, a włosy ułarbowane henną, ale wyraźnie nie zawsze tak było. Jeszcze teraz zachowywała świetną postawę i niemal słychać było szelest niewidocznego jedwabiu, który sugerował lepsze czasy. Zakręciła butelkę i powiedziała: - Do ogrodu przez te drzwi.

Było bardzo zimno.

- Wyszedł na taki ziąb, żeby wypić piwo? - zapytał Wiggins, gdy stali, patrząc na ciało rozwalone na białym metalowym stoliku. Obok stało niedopite duże piwo.

- Przypuszczam, że miał się z kimś spotkać.

- Och. Z kim, sir?

Jury spojrział na Wigginsa, który chyba naprawdę oczekiwał odpowiedzi.

- Sam chciałbym to wiedzieć, sierzancie. Spójrzcie na to. - Jury pokazał na książkę leżącą pod dłonią za mordowanego mężczyzny. Ponieważ Pratt i ludzie z laboratorium już skończyli pracę, nie musiał się martwić o odciski palców, więc delikatnie wysunął książkę. - Pro-

szę, proszę. *Bent bada morderstwo*. Naszego znajomego, pana Darringtona.

Wiggins odezwał się:

- To naprawdę niesamowite. Coś, co ma odwrócić naszą uwagę, sir?

Czasami Wiggins zdumiewał Jury'ego. Potrafił zadać całkiem głupie pytanie, jak na przykład przed minutą, a innym razem umiał całkiem nieźle dedukować. Może to miało coś wspólnego z tym, czy miał zatkany, czy odetkany nos.

- Nie byłbym zaskoczony, sierżancie. A teraz wprowadźcie mnie w sprawę.

Wiggins wyjął owinięte w celofan pudełeczko drażetek i Jury zaczął cierpliwie, aż odwinie je i włoży jedną do ust.

- Nazywa się Jubal Creed, sir. Z jego prawa jazdy wynika, że mieszkał w miasteczku Wigglesworth we wschodniej Anglii. To w hrabstwie Cambridge. Ludzie z Weatherington próbują skontaktować się z rodziną dena ta. Znaleźliśmy jego samochód na parkingu. Odprowadzono go też do Weatherington. Zatrzymał się tam wczoraj wieczorem, zjadł kolację i dziś rano śniadanie, a pani Willypoole powiedziała, że przybył tu około dziesiątej trzydzieści lub trochę później.

Jury kiwnął głową i ukląkł na jedno kolano, żeby obejrzeć Creeda. Czerwone ślady wokół jego szyi, lekkie zsinienie twarzy i oczy ofiary powiedziały mu wszystko. Wiggins zamknął je, ale wybałuszały się pod powiekami. Ślady wokół szyi pochodziły prawdopodobnie od drutu, tak jak w przypadku Smalla. Drut wciął się w skórę. Raczej nie stoczono tu zacieklej walki.

- Czysto, schludnie i po cichu. Wystarczy znaleźć się na kilka sekund za ofiarą i... - Jury wstał.

- Dzwoniłem do nadinspektora Racera, sir. Mam na dzieję, że dobrze zrobiłem.

- Dziękuję. Na pewno był zachwycony.
- Wiggins pozwolił sobie na uśmiech.
- Dziwił się, dlaczego pan sam nie zadzwonił. Powiedziałem mu, że jest pan zajęty, sir.
- Gdyby lady Ardry nie była tak żadna poinformowania mnie o wszystkim osobiście, złapałbyś mnie wcześniej. Może powinniśmy przywrócić zwyczaj zabijania posłańca, który przynosi złe wieści.
- Była na drodze, jechała rowerem i jakiś przejeżdżający kierowca powiedział jej o morderstwie. Tak w każdym razie twierdziła.

Jury prychnął.

-To alibi możemy obalić, Wiggins. Wiggins aż się roześmiał i musiał wyciągnąć swój inhalator. Cierpiał na astmę.

- Dowiedz się, kiedy i dlaczego Creed wyjechał z Cambridgeshire...

Jury spojrzał uważniej na Creeda, którego głowa spoczywała na ramieniu, ale twarz była lekko uniesiona.

- Wiggins, cóż to jest, u diabła? - Jury wskazał na coś, co wydawało się skaleczeniem na nosie. Jeszcze niedawno musiała z niego lecieć krew. Jury sięgnął do twarzy mężczyzny i przyciągnął ją do siebie. Nie jedno skaleczenie, ale dwa. Jak gdyby ręka trzymająca żyletkę smagneła dwukrotnie grzbiet nosa. Większość krwi spłynęła drugą stroną. Nacięcia nie były głębokie, jednak przyprawiły Jury'ego o dreszcz. Znowu jakiś dowcipniś? Ale gdzie tu dowcip?

Zanim Wiggins zdążył cokolwiek wyjaśnić, drzwi do ogrodu zostały otwarte przez żwawego, niedużego człowieka, który przedstawił się jako doktor Appleby i przeprosił, że nie przyjechał wcześniej. Dość złośliwie dodał, że ma też żywych pacjentów. Po szybkim i sprawnym zbadaniu ofiary orzekł:

- Cóż, znowu to samo. Uduszenie przez kogoś stojącego z tyłu. Największy nacisk na krtań. Skóra lekko przecięta. Prawdopodobnie jakiś rodzaj drutu - tak jak w przypadku pozostałych. Morderstwo szybkie, sprawne i, mógłbym dodać - Appleby zerknął na Jury'ego znad okularów bez oprawek, unosząc brwi - trzecie w tej okolicy.

- Naprawdę? - zapytał Jury. - Dlaczego Londyn mnie nie informuje?

Appleby chrząknął.

- Po sekcji zwłok będę może w stanie powiedzieć więcej, ale niewiele. Nie, jeśli morderstwo jest takie samo jak dwa poprzednie. Mogę określić czas śmierci już teraz. Nastąpiła między dziewiątą a czasem, gdy ciało zostało znalezione - w południe, tak?

- Możemy bardziej zawęzić granice czasowe. Żył jeszcze o dziesiątej trzydzięści. - Jury zaproponował Appleby'emu papierosa, którego doktor przyjął. - Zakładam, że nie ma powodu wykluczać kobiety jako sprawcy.

- Żadnego. Wszystkie ofiary to bardzo drobni mężczyźni - waga lekka. A poza tym, czy nie odrzuciliśmy już opinii, że kobiety to istoty słabe? Choć nie jest to raczej kobieca metoda działania; one wybierają truciznę, pistolet, tego rodzaju rzeczy.

- Jakie to szowinistyczne z pana strony, doktorze Appleby - Jury zganił lekarza żartobliwie. - A co pan sądzi o tych nacięciach na grzbiecie nosa?

- To istotnie dziwne. - Appleby uniósł twarz ofiary, żeby spojrzeć jeszcze raz, po czym pozwolił głowie zwisnąć z powrotem na ramieniu. - Naprawdę nie potrafię powiedzieć. Z pewnością są niedawne. Morderca?

- Na pewno nie zacięcie przy goleniu.

- W takim razie pójdę już. - Appleby spojrzął w dół, na zwłoki, i dodał: - Gumowa płachta i nosze będą tu za chwilę. Do zobaczenia, inspektorze. - I już go nie było.

Jury postawił kołnierz płaszcza i wepchnął ręce do kieszeni. Popatrzył na scenę zbrodni. Był to ogrodzony murem ogród, w nim placyk w kształcie kwadratu o boku około pięćdziesięciu stóp, częściowo brukowany, tam gdzie ustawiono stoliki; resztę przestrzeni zajmował trawnik. Po lewej stronie znajdowała się stara stajnia, której część została zmodernizowana i przekształcona na toalety. Mur z trzech pozostałych stron był bardzo wysoki.

- Czy w tym murze są jakieś wyjścia, Wiggins?

- Nie, sir.

Jury odwrócił się i spojrzął na tyły pubu „Pod Łabędziem”. Po wewnętrznej stronie muru znajdowały się dwa skośne skrzydła budynku, które ogradzały brukowaną część kwadratu, gdzie rozmieszczono stoliki i gdzie siedział Creed. Na parterze były dwa okna, po jednym na końcu każdego ze skrzydeł, ale nawet gdyby ktoś przez nie wyglądał, nie mógłby dostrzec zamordowanego, ponieważ stolik stał w zakątku utworzonym przez skrzydła. Środkowa część nie miała okien, a ponad częścią tarasową placyka był daszek z pleksiglasu, który chronił przed żywiołami. Zresztą z korzyścią dla mordercy - nie zostawił śladów na śniegu. Ta osłona również skutecznie zagradzała pole widzenia każdemu, kto wyglądałby z tylnych okien powyżej, na poziomie pierwszego czy drugiego piętra. Jak na miejsce publiczne był to zakątek dziwnie odizolowany. Jedyne zagrożenie stanowiły tylne drzwi, ponieważ ktoś mógł je otworzyć.

- Czy ludzie Pratta obejrzeli zewnętrzną część muru, Wiggins?

Tak, sir. Pratt kazał też swoim ludziom zbadać ziemię. Ale nie ma żadnych śladów. W każdym razie nikt nie mógłby się wspiąć po tym murze w pośpiechu. Jest za wysoki.

- Hm - mruknął Jury. - Cóż, porozmawiajmy z panią Willypoole. Czy byli tu jacyś inni klienci?

- Nie w nocy, sir. Ale dwie osoby z Long Piddleton zatrzymały się tutaj na krótko około jedenastej, gdy otwarto bar. Panna Rivington i pan Matchett.

Jury uniósł brwi.

- Naprawdę? A która panna Rivington?

- Vivian.

- W jakim celu?

- Właścicielka mówi, że jedli lunch.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Nie, sir. Już ich nie było, gdy tu przyjechalіśmy.

- Dopadłeś tych dwoje?

- Posłałem Plucka, żeby byli gotowi na przesłuchanie.

On mówi, że są w Long Piddleton, sir.

Jury milczał przez chwilę, wciąż rozglądając się po ogrodzie.

- Czy myśli pan o tym samym co ja, sir?

Jury był nieco zaskoczony tym, że Wiggins w ogóle myśli. Zwykle zostawiał to jemu.

- O czym, sierżancie?

- Że to typowa sprawa, której rozwiązanie wydaje się niemożliwe, sir.

- W jakim sensie?

- No, ktokolwiek to zrobił, musiał wyjść z wnętrza lokalu. Ale pani Willypoole mówi, że pan Matchett i panna Rivington ani na chwilę nie odchodziłi od swojego stolika. A może to wiedzieć tylko dlatego, że też była w pomieszczeniu i widziała, że go nie opuszczali. Więc wszyscy troje mają alibi.

- Bardzo dobrze, Wiggins. A ponieważ nikt nie mógł się wspiąć po murze, według twoich kalkulacji, nikt też nie mógł popełnić tej zbrodni.

Wiggins uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie, sir.

Jury także się uśmiechnął.



- Tylko że ktoś to zrobił, prawda? Idź i sprawdź zewnętrzną stronę tego muru.

- Mówi pani, że znalazła zmarłego, gdy zastanowiło panią, co robi tak długo na zewnątrz?

- Zgadza się - przyznała pani Willypoole. - Nie mogłam zrozumieć, po co w ogóle tam wychodził. Leżał rozwalony na stoliku. Najpierw pomyślałam, że może zrobiło mu się niedobrze. Ale coś mi mówiło, żeby go nie dotykać. - Zadrżała i poprosiła Jury'ego o papierosa.

- Zatrzymał się tu na noc?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Nie wynajmuję zbyt wielu pokoi, a już na pewno nie w zimie. Ale on tu zadzwonił parę dni temu...

- Zadzwonił? Skąd?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Powiedział, że potrzebuje pokoju na jedną noc i tyle. Byłam zaskoczona, że ktoś w ogóle słyszał o tym pubie poza Dorking Dean czy Long Piddleton.

- Czyli wiedziała pani, że to ktoś obcy.

- No cóż, dla mnie był obcy, nie? Mógł pochodzić z Dorking Dean, ale po co wtedy miałby rezerwować pokój?

Jury miał przed sobą otwartą księgę meldunkową.

- Jubal Creed. Nie wspominał, czym się zajmuje? - Pokręciła głową. - Mówił, dlaczego chce zabrać piwo na zewnątrz?

- Tylko że ma ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Czy wielu ludzi z Long Piddleton odwiedza pub „Pod Łabędziem”?

- Sporo. W większości po drodze do Dorking Dean lub dalej. Dzisiaj rano było dwoje. Mówiłam panu sierżantowi...

- Simon Matchett i panna Rivington?

Kiwnęła głową.

- Zna ich pani?

- Jego tak. To właściciel lokalu „Pod Huncwotem”.  
Wyras jej twarzy zmiękł. - Pan Matchett jest bardzo miły.  
Simon. Ona też tu była kilka razy, ale nie znam jej tak dobrze.

- Po co tu przyjechali?

- Po co? No, żeby coś zjeść. Chleb, ser - lunch, wie pan.

- O której to było godzinie?

- Około jedenastej. Wcześniej jak na lunch.

- Czy przyjechali razem?

- W e s z l i razem. Ale o ile wiem, przyjechali różnymi samochodami i spotkali się tutaj.

- Mówi pani, że było to około jedenastej?

- Zaraz po. Nie potrafię określić tego co do minuty, ale wiem, że dopiero co otworzyłam bar.

- Siedzieli przy barze i rozmawiali?

- Ach, nie. Podałam im lunch przy tamtym stoliku z tyłu. - Pokazała na najdalej ustawiony z tuzina stolików w barze.

- Więc nie słyszała pani przypadkiem, o czym rozmawiali?

- Nie.

- Czy któreś z nich odchodziło od stolika?

- Nie. A byłam tu cały czas, więc jestem pewna.

- Dostać się do ogrodu można tylko przez te tylne drzwi lub bramę w murze?

Kiwnęła głową.

- Zauważyłem, że taras jest częściowo ogrodzony przez skrzydła budynku. - Jury wziął do ręki pudełko Wigginsa z drażetkami na kaszel i postawił je między butelką keczupu a słoikiem pikli, trochę z tyłu. - Są

okna z tyłu tych skrzydeł, ale nie można z nich dojrzeć tego fragmentu ogrodu. - Położył rękę na pudełku z drażetkami. - A więc, w gruncie rzeczy, to, co się dzieje w ogrodzie, a ściślej, w miejscu, gdzie stoją stoliki, można zobaczyć tylko przez drzwi. Które były zamknięte, bo to zima.

Kobieta znów przytaknęła.

- Czy zna pani kogoś z tych ludzi, Hetto? - Jury wymienił nazwiska wszystkich obecnych „Pod Huncwotem” tego wieczoru, gdy zamordowano Smalla.

- Wszyscy byli tu kiedyś przy tej czy innej okazji. Nawet pastor. Nie wiem, czy potrafiłabym panu powiedzieć, jak wyglądają, ale nazwiska brzmią znajomo.

- Jak długo zostali tu pan Matchett i panna Rivington?

Przesunęła po czole palcem, z którego paznokcia odpryskiwał czerwony lakier.

- Uhm. Godzinę, może czterdzieści pięć minut.

W tym momencie frontowymi drzwiami pubu wszedł Wiggins. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Znalazłem okno, sir. Czy mógłby pan wyjść na zewnątrz? - Gdy Jury wstał, Wiggins zobaczył aranżację terenu z przypraw i pudełka drażetek i wycofał swój lek.

- Dziękuję bardzo, Hetto - rzekł z uśmiechem Jury.

- Bardzo mi pani pomogła.

Hetta najwyraźniej przypominała sobie, że nigdy nie jest za późno. Obciągnęła sweter, jak tylko się dało, i przyglądała rude loki.

- Cóż, zawsze mówię, jeśli nie potrafisz zachować przytomności umysłu w sytuacji kryzysowej, nie powinieneś robić w tej branży. W swoim czasie potrafiłam wywalić stąd niejednego, panie Jury. Faceci muszą się nauczyć trzymać ręce przy sobie, stale to powtarzam.

- Spojrzała na Jury'ego z uśmiechem.

- Jasna sprawa. Jeśli będziemy mieć więcej pytań, czy będzie pani do dyspozycji?

- Tak, oczywiście. - Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej kokieterijny.

- W toalecie, sir. - Wiggins wskazał ręką w górę. Stali po zewnętrznej stronie muru, w części utworzonej z budynków przekształconej stajni. - Nie jest to zbyt trudne; po prostu otworzyłem okno do środka, przeciśnałem się przez nie i wyszedłem drzwiami na podwórze.

Jury spojrział na okno, a potem na ziemię. Śnieg niemal się stopił, a grunt był twardy. Mało prawdopodobne, żeby zostały jakieś ślady. Kucnął.

- Ludzie Pratta musieli tu być. Zastanawiam się, czy...

Usłyszał z tyłu *pssst*. Rozejrzał się, żeby ustalić kierunek, a wtedy zobaczył główkę za jednym z dębów.

- Co to było, sir? - zapytał Wiggins; rozglądał się dość niepewnie i postawił kołnierz płaszcza, jakby go to mogło uchronić przed dziwnymi stworkami z tych lesistych okolic.

- Chyba wiem - powiedział Jury, obserwując drzewo. Główka znowu się pokazała, a nad nią druga.

- *Pssst. Pssst.*

- Wyjdźcie stamtąd! - zawołał Jury swoim najbardziej stanowczym tonem.

Podziałało, może nawet za bardzo, bo młodzi Double'owie wyszli z głowami opuszczonymi jeszcze niżej niż zwykle. Rączka dziewczynki miała rąbek płaszcza.

Jury zapytał nieco łagodniej:

- Co wy tu robicie, James i James?

Chłopiec, zawsze odważniejszy z tej dwójki, spojrział na Jury'ego, a potem na Wigginsa, przypatrzył się temu drugiemu bacznie i przeniósł wzrok z powrotem

na Jury'ego. Komunikat był wyraźny: *Ten tu niech sobie pójdzie, bo inaczej nic nie powiemy.*

- Wiggins, wejdź do środka i sprawdź, czy Hetcie nie przypomniało się coś jeszcze po kilku drinkach, okay?

Gdy tylko sierżant odszedł, dziewczynka zaczęła podskakiwać, z trudem powstrzymując podniecenie, a chłopiec wypowiedział pełnym namaszczenia tonem słowo:

- Ślady! - Pokazał palcem do tyłu w kierunku drzew. Zaraz za murem był drzewostan dębów, przechodzący w gęsty las.

Dziewczynka utkwiała niebieskie oczy, wielkie jak spodki, w twarzy Jury'ego, najwyraźniej zachwycona, że lekcja tak szybko się przydała.

James szeptał z przejęciem, ciągnąc Jury'ego:

- Zrobiliśmy, co pan mówił, panie Jury. Szukaliśmy czegoś dziwnego. Pan mówił, że jak jest morderstwo, to na pewno będzie coś dziwnego.

Tak mówiłem? - zastanawiał się Jury, gdy ciągnęli go między sobą jak wózek. Puścili go wreszcie i popędzili przodem wśród drzew. W lesie śnieg nie stopniał zupełnie jak pod murami pubu „Pod Łabędziem”, i gdy inspektor podszedł do dzieciaków, James pokazywał w dół, na od-cisk buta. Kilka stóp dalej był jeszcze jeden, znów tam, gdzie śnieg nie zdążył stopnieć. Kolejne dwadzieścia stóp dalej dotarli do małej przesieki, gdzie ziemia była twarda i pokryta koleinami.

James pokazał do tyłu, w kierunku drogi Sidbury-Dorking Dean, zasłoniętej drzewami, i poinformował:

- To stara droga. Już nikt tędy nie jeździ. Kiedyś prowadziła do Dorking.

Były tam stare ślady opon, a gdy Jury ukucnął i przyjrzał im się uważniej, zobaczył jeden, który przynajmniej częściowo nie wygłądał na tak dawny. Jakiś samochód

mógł skręcić z drogi Sidbury-Dorking Dean i zatrzymać się tutaj.

Jury wstał.

- James - powiedział - i James. - Położył rękę na włóczkowej czapce dziewczynki. - Jesteście fantastyczni.

Z otwartymi ustami gapili się na siebie nawzajem, zdumieni, że nazywa ich słowem zarezerwowanym dla bajkowych opowieści. Jury wyjął portfel i dodał:

- Scotland Yard zazwyczaj nagradza tego rodzaju rzeczy. - Wręczył każdemu z nich banknot jednofuntowy, które przyjęli wśród wybuchów śmiechu. - O tym odkryciu, oczywiście, nie wolno nikomu wspominać.

Chichot ustał, głowy kiwnęły i zapanowała atmosfera powagi.

- Idźcie teraz do domu. I uważajcie na siebie. Będę was potrzebował później.

Double'owie ruszyli ścieżką wśród drzew, ale za minutę chłopiec był z powrotem i wpychał coś Jury'emu w rękę.

- To dla pana, sir. Sam wystrugałem. - James od biegł między drzewa, obydwójce odwrócili się, pomachali i zniknęli.

Jury spojrział na prezent. Była to proca, bardzo toporna, z gumką. Uśmiechnął się. Potem poszurał nogami w śniegu, szukając kamyków, podniósł kilka i strzelił parę razy do drzew. Gdy był w wieku Jamesa, wybił cały rząd okien w szkole z odległości stu stóp.

Potem obejrzał się z zażenowaniem, czy nikt go nie widział. Wepchnął procę do wewnętrznej kieszeni i powędrował z powrotem do pubu „Pod Łabędziem”.

## 10

- Ziemia była strasznie twarda, udało nam się zdjąć fragment odcisku opon - powiedział komisarz Pratt, z nogami na biurku posterunkowego Plucka.

- Nie sądzę, żeby przydało nam się to o wiele bardziej niż odciski stóp. Nikt w okolicy nie nosi kaloszy w tym rozmiarze. Jeśli był na tyle sprytny, żeby zmienić buty, na pewno był też na tyle sprytny, żeby zmienić opony w samochodzie - zauważył Jury.

- Uhm. Na wszelki wypadek sprawdzamy wszystko. Jednak było to dość bezpieczne miejsce, żeby skręcić i zaparkować. - Pratt zamknął oczy, jakby znów wyobrażał sobie samochód w lesie. - Osłonięte od głównej drogi drzewami i tym niewielkim pagórkiem. - Otworzył oczy i spojrzał na Jury'ego. - A jeśli chodzi o te nacięcia na nosie...

Ale Prattowi przerwał sierżant Pluck, który ogłosił przybycie lady Ardry.

- Posyłał pan po nią, sir? Ona tak twierdzi. - Pluck był przerażony, jakby Jury postradał zmysły.

- Tak - przyznał Jury. - A gdy przyjdą panna Rivington i pan Matchett, niech chwilę poczekają, dobrze?

Ale lady Ardry była już w środku; z satysfakcją spychała Plucka na bok, przyłożywszy swoją łaskę w po-

przek do jego piersi. Pratt dopił herbatę i powiedział, że musi już iść. Skinął głową i wyszedł.

Agatha siedziała, ściskając laskę obiema rękami. Jej ogromna peleryna zasłaniała całkowicie krzesło. Jury'emu szczególnie podobały się rękawiczki lady Ardry ciemnobrązowe, robione na drutach; wszystkie palce obcięte były tuż nad knykциями. Jeden palec się strzępił, ale nie chciało jej się tego naprawić. Wyglądała na uradowaną jak dziecko, że inspektor ją wezwał.

- Chciał pan się ze mną widzieć w sprawie tego Creeda?

Jury był zaskoczony.

- Skąd pani zna jego nazwisko, lady Ardry?

- Od herolda miejskiego - wyjaśniła ze złośliwym uśmiechem. - Sierżanta Plucka. Ostrzegałam pana przed nim, nieprawdaz? Chodzi i opowiada wszystkim. - Potem wydeła policzki i wygłosiła konkluzję: - A więc, inspektorze, ten szaleniec wciąż czyha w Long Piddleton!

- Nie wierzy pani chyba, że to jakiś obcy włóczy się po miasteczku, gotów do ataku?

- Dobry Boże, nie sugeruje pan przecież, że to ktoś s t ą d ? - Prychnęła. - Rozmawiał pan z głupim Melrose'em. - W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby Scotland Yard zawsze kierował się wskazówkami tego idioty Melrose'a.

- Obawiam się, że ten szaleniec, jeśli to rzeczywiście szaleniec, jest wśród was, lady Ardry.

Cofnęła się.

- Czyli twierdzi pani, że jechała rowerem drogą do Dorking Dean. O której to było godzinie?

- Po tym, jak zostawiłam pana na pogaduszkach z Melrose'em, oczywiście.

Jury prawie usłyszał, jak dodała w myślach: „ty kretynie”.



- Tak. Ale czy mogłaby pani to uściślić? Ile czasu zajęło pani dotarcie z Ardry End do drogi na Dorking Dean?

Jej czoło zmarszczyło się z wysiłku.

- Piętnaście minut.

- I to wtedy minął panią ten samochód.

- Samochód? Jaki samochód?

Jury modlił się w duchu o cierpliwość.

- Samochód, którego kierowca, jak rozumiem, zatrzymał się, żeby pani powiedzieć, co się stało „Pod Łabędziem”.

- Ach, ten samochód? Dlaczego pan nie mówi od razu? Jechałam już wtedy drogą do Dorking. To był Jurvis, rzeźnik, który zobaczył zbiegowisko przed „Łabędziem” i zatrzymał się, żeby mi o tym powiedzieć.

- Z tamtego miejsca do pubu jest jakieś pół mili - obliczał Jury. - Mogła pani pokonać tę odległość w kilka minut.

Mogłam. Gdybym chciała. Nie znoszę tej Willypoole, zawsze jest taka odstawiona. Lafirynda. Jury przerwał.

- Chodziło mi tylko o to, że mogła pani wyjechać stąd na rowerze około wpół do dwunastej i dotrzeć „Pod Łabędzia” przed dwunastą. - Jury czekał, aż kobieta sobie to skojarzy.

Nie skojarzyła.

- Dlaczego miałabym to robić?

Jury ukrył uśmiech.

- Cóż, mam dla pani jedną dobrą wiadomość. - Spojrzał na kartkę, na której obliczał czas. - Nie powiedziałbym tego nikomu innemu - dodał szeptem.

Niemal położyła się na jego biurku, tak gorliwie pragnęła usłyszeć sekret.

- Będę milczała jak grób. - Przyłożyła do ust palec w odciętej rękawiczce.

- Jedna osoba ma niepodważalne alibi. Nie do obalenia. - Uśmiechnął się.

Agatha przekrzywiła głowę jak wielki ptak i uśmiechnęła się niemądrze.

- Ja, oczywiście.

Jury udał zdumienie.

- Ach, nie, proszę pani. Właśnie o tym mówiłem. Chodzi o czas. Nie, to Melrose Plant. - Uraczył ją swoim ujmującym uśmiechem. - Wiedziałem, że poczuje się pani lepiej gdy to usłyszysz.

Jej usta otworzyły się i zamknęły. Twarz przybrała kolor buraczkowy.

- Ale...

- Widzi pani, między wpół do dwunastej a chwilą, gdy wróciła pani do Ardry End, pan Plant był ze mną. Do tego czasu był z p a n i ą .

Siedziała, bawiąc się swoją laską, skubiąc postrzępione końcówki rękawiczek i rozglądając się dookoła dość wściekłym wzrokiem. Po chwili się rozjaśniła.

- W takim razie j a t e ż mam alibi! - Przekonana, że okazała się strasznie sprytna, oparła brodę na ręce, a łokcie na stole.

- Ale jest tak, jak mówiliśmy. Creed został zamordowany gdzieś między dziesiątą trzydzieści a południem. Ustaliliśmy porę, kiedy opuściła pani Ardry End, i ile czasu zajęło pani przejechanie na rowerze do „Łabędzia”...

Wreszcie do niej dotarło. Patrzył, jak po jej szyi rozlewa się rumieniec i podpływa w górę, do twarzy. Wstała majestatycznie jak wielka góra.

- Czy to w s z y s t k o , inspektorze? - Jej głos silnie drżał, a on wiedział, co miałyby ochotę zrobić ze swoją laską.

- Na razie. Ale proszę, żeby była pani gotowa na dalsze przesłuchanie, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Jury uśmiechnął się promiennie.

Gdy tylko jej potężna sylwetka zniknęła za drzwiami, odwrócił się do okna, chwycił się za głowę i wybuchnął szczerym śmiechem.

Prawie nie słyszał, jak za nim otwierają się i zamykają drzwi, bo wciąż jeszcze się śmiał. Usłyszał dopiero głos.

- Inspektor Jury?

Bez namysłu odwrócił się na pięcie, nadal ze śmiechem na ustach.

- Jestem Vivian Rivington. Pański sierżant powiedział, że mam po prostu wejść. - Patrzyła na niego ze zdziwieniem, marszcząc brwi.

Jury stał, z idiotycznym uśmiechem na ustach i nie był w stanie się ruszyć. Rzucił jedno spojrzenie na Vivian Rivington i natychmiast się zakochał.

Rzeczywiście, tak jak mówiła lady Ardry, Vivian miała na sobie ciemnobrązowy sweter z paskiem, ale rąk nie trzymała w kieszeniach. W tej chwili nerwowo skubała brzeg swetra, jak mała Double'ówna swoją spódniczkę. Kolorystyka jej stroju przywodziła na myśl jesienny dzień, jeden z tych złotawo-brązowych krajobrazów, tkniętych rdzawymi refleksami. Włosy miała lśniące, twarz trójkątną, pozbawioną makijażu, oczy bursztynowe, z niewielkimi cętkami, przypominające kamienie półszlachetne. Ale to coś, co z niej emanowało, przypominało Jury'emu o Maggie; pewien nieuchwytny smutek, który paradoksalnie dodawał jej blasku. Całość była dla niego charyzmatyczna.

Jej dyskretne, zakłopotane kasznięcie przywołało go z bardzo daleka. Jury wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę, cofnął ją, potem znowu wyciągnął. Ona patrzyła na jego dłoń podejrzliwie, ostrożnie, jakby ta miała znowu zniknąć i zostawić jej do uściśnięcia powietrze.

Jury próbował zmusić się, żeby zacząć przesłuchanie, żeby w ogóle coś powiedzieć, gdy Wiggins wetknął głowę przez drzwi i oznajmił, że przyszedł pan Matchett. Usłyszał w odpowiedzi:

- Dziękuję. Przyjmę go za chwilę. Proszę zostać i no tować, sierzancie. - Jury nie zwracał uwagi na zaskoczne spojrzenie Wigginsa.

Jego ton był tak uroczysty, jakby prosił swojego sierżanta, żeby dokończył ewangeliarz z Lindisfarne\*.

- Panno Rivington - zaczął, przesuując dłonią po włosach, jak gdyby jej twarz była lustrem. - Jestem inspektor Jury. Richard Jury. Proszę usiąść.

- Dziękuję.

Spojrzał w dół, na podartą kartkę papieru, na której gryzmoilił czasy przejazdu i jakieś kształty, przypominające grube damy w obszernych pelerynach. Potem położył ręce na biurku i starał się wyglądać śmiertelnie poważnie. Najwidoczniej przesadził, bo ona odwróciła wzrok i spojrzała w kąt pokoju na Wigginsa. Sierżant uśmiechnął się, dzięki czemu nieco się rozluźniła.

Jury spróbował złagodzić swój wyraz twarzy.

- Panno Rivington, była pani „Pod Łabędziem” podczas... aaa... chwilę przed tym, nim... - Chciał to ująć delikatnie; ale nie wiedział jak.

- Nim zamordowano tego człowieka, tak. - Spuściła wzrok.

- Czy mogłaby pani powiedzieć, co ją tam sprowadziło?

- Oczywiście. Jadłam lunch. Spotkałam się z Simonem Matchettem.

Ewangeliarz z Lindisfarne - ilustrowany łaciński manuskrypt, powstały w VII wieku na wyspie Lindisfarne u północno-wschodnich wybrzeży Anglii, zabytek sztuki sakralnej.

Matchett. Jury na chwilę zapomniał, że Matchett, według tutejszych plotek, ma się ożenić z tą kobietą. Ale przecież może ją o to zapytać. Nie, nie zapyta; jeszcze nie teraz.

- Czy powiedziała coś nie tak, inspektorze?

- Nie tak? Nie, nie, oczywiście, że nie. - Musiał straszliwie marszczyć czoło, bo Vivian wyglądała na bardzo zmartwioną. Więc skierował twarz z marsową miną w stronę Wigginsa, żeby zasugerować, że to on jest źródłem kłopotów.

- Zapisujecie to wszystko, sierżancie Wiggins?

Głowa Wigginsa podskoczyła.

- Słucham? Czy zapisuję? Tak, oczywiście.

Jury skinął głową, a potem zwrócił się do Vivian Rivington:

- Proszę kontynuować, panno Rivington.

- Kiedy tak naprawdę nie ma o czym mówić. Simon musiał pojechać do Dorking Dean i postanowiliśmy, że spotkamy się na lunchu „Pod Łabędziem” o jedenastej.

- Czy często pani tam bywa?

- Nie, ale czasem lubię. Zawsze to odmiana od Long Piddleton; a skoro on musiał jechać do Dorking... - Urwała.

Jury odrywał małe skrawki z bloku do notatek Plucka. Odchrząknął.

- Nie widziała pani tego mężczyzny?

Pokręciła głową.

- W czasie bytności „Pod Łabędziem” nie odchodziła pani od stolika?

Znów pokręciła głową.

- A ta pani Willypoole - czy była w barze przez cały ten czas?

Vivian zmarszczyła czoło, starając się to sobie przypomnieć.

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć. Chyba tak.  
- A pani i pan Matchett wyszliście około południa?  
- Tak. - Przynęła się nieco do biurka i chwyciła jego krawędź palcami, po czym spytała cicho: - Co się dzieje, inspektorze Jury?

Jury spojrział na jej palce z niepomalowanymi paznokciami jak mały łańcuszek opali i odsunął własną dłoń od bloku z kartkami.

- Tego właśnie usiłujemy się dowiedzieć. - Zabrzmiało to nadzwyczaj nieprzekonująco. - Przyjechała pani po panu Matchettcie? Czy razem z nim?

- Przyjechaliśmy każde swoim samochodem, w tym samym czasie. Nie mogłam uwierzyć...

Głowa opadła jej na dłoń, ale szybko się podniosła, jakby ten gest był nazbyt dramatyczny. Potem Vivian usiadła prosto, jak dziecko, któremu zwrócono uwagę. Jury miał wrażenie, że kobieta nieustannie strofuje się w duchu.

- Chodzi o to, że ten mężczyzna musiał zostać za morderowany właśnie wtedy, gdy ja tam byłam. Nie daje mi to spokoju.

Jury'emu też nie dawało.

- Panie inspektorze? Czy dobrze się pan czuje? - Nachyliła się ku niemu z zatroskanym wyrazem twarzy. - Pewnie ma pan za dużo pracy.

- Nic mi nie jest. Proszę posłuchać, chciałbym pani zadać wiele pytań, ale w tej chwili muszę porozmawiać z panem Matchettem. - Tak naprawdę nie mógł się doczekać, kiedy zapyta ją o Matchetta. Już oblizwał wargi, ale ugryzł się w język. Zwrócił się do Wigginsa: - Wyprowadźcie pannę Rivington, sierżancie. I powiedzcie panu Matchettowi, że za chwilę chcę się z nim widzieć.

- Tak, sir. - Wiggins wstał, z notatnikiem i chusteczką w ręce, i otworzył drzwi przed Vivian, która spojrzawszy

niepewnie na głównego inspektora, odwróciła się i wyszła.

Jury opadł na krzesło i wziął kilka głębokich oddechów. Ty głupku - powiedział do siebie. - Ty bęcwale.

Wciąż karciał się w duchu, gdy wszedł Matchett. Jury zaproponował mu papierosa, a potem zadał te Same pytania co Vivian Rivington.

- Mam bardzo nieprzyjemne uczucie - rzekł Matchett że jestem głównym podejrzanym.

- Dlaczego?

- Ach, inspektorze, niech pan nie udaje. Komisarz mu siał przekazać panu informacje o mojej żonie. Ilu tu w końcu macie ludzi z morderstwem w przeszłości! - Próbował się uśmiechnąć, ale nie wypadło to przekonująco.

Jury potrafił zrozumieć dlaczego.

- Przypuszczam, że każdy ma coś, czego wolałby nie wywieszać z poniedziałkowym praniem, panie Matchett.

Simon Matchett z posępną miną przyglądał się swemu papierosowi.

- Ośmielę się twierdzić, że nie zabójstwo żony.

Jury przyglądał mu się uważnie. W przeciwieństwie do Olivera Darringtona Matchett nie skłaniał się w stronę jedwabnych włoskich garniturów i krawców z Savile Row. Jury ocenił, że owszem, gustuje on w drogich rzeczach, tyle że nie obnosi ich aż tak ostentacyjnie. Matchett uosabiał coś w rodzaju niedbałego niedomówienia w stroju, mowie i zachowaniu. Miał na sobie bawełnianą koszulę z rękawami podwiniętymi trochę powyżej nadgarstka i niebieskie dzinsy. Tak po prostu. Ktoś musiałby być tak byстрыm obserwatorem jak Jury, żeby dostrzec, że koszula jest z drogiego bawełnianego płótna Liberty i że z tego samego sklepu pochodzą spodnie. Tak skrojone rzeczy nie wiszą na wieszaku w Marksie i Spencerze.

Nie, Matchett był o wiele subtelniejszy niż Darrington. Darrington prezentował się jak okazała wystawa sklepowa, Matchett zaś przypominał sklep z opuszczonymi żaluzjami. Potrafił przekazać każdej kobiecie, że podnieść te żaluzje jest w stanie tylko ona.

- Porozmawiajmy o tym konkretnym morderstwie, panie Matchett. Czy był jakiś szczególny powód, dla którego wybrał pan na lunch pub „Pod Łabędziem”?

- Tylko ten, że znajduje się on przy drodze z Dorking.

Jury spojrział na niego. Przypadki się zdarzały, oczywiście. Ale przecież nie płacono mu za wierzenie w przypadki.

Matchett ciągnął dalej:

- Dla mnie dziwne jest to, że ten człowiek siedział w tym ogrodzie tak długo na zimnie.

- Cóż, nie przez cały ten czas był żywy, nieprawdaż?

Matchett wzdrygnął się.

- Czy ja przyciągam morderców?

- Nie wiem. A przyciąga pan?

- Już drugi raz wygląda na to, że jestem w pobliżu, gdy zostaje popełniona zbrodnia.

Przynajmniej okazał się na tyle szarmancki, że nie objął swoją wypowiedzią Vivian Rivington.

- Czy pani Willypoole była w barze przez cały czas pana pobytu w pubie?

Matchett zastanawiał się przez chwilę, potem skinął głową.

- Tak. Piła coś i czytała gazetę za barem.

- I nikogo innego pan nie widział? Nikt nie wychodził przez drzwi na podwórze?

- Nie. Jestem tego pewien. Siedzieliśmy przodem do nich.



- Proszę mi opowiedzieć o pańskiej żonie, panie Matchett. Owszem, czytałem raport, ale pan może wyjaśnić parę szczegółów.

- Tak, oczywiście. Cóż, mieszkaliśmy w Devon. Byliśmy właścicielami - ona była właścicielką - kilku pubów. Jeden z nich nazywał się „Pod Kozłem i Cyrklem”, tam mieszkaliśmy. Staram się panu naświetlić tło, inspektorze. Widzi pan, „Pod Kozłem i Cyrklem” to był jeden z tych pubów z galeryjkami. Pomyślałem, że miło będzie od czasu do czasu wystawić jakąś sztukę na dziedzińcu. Zlecieliśmy wykonanie niezbędnych konstrukcji: scena, ławki dla publiczności. Wykorzystywaliśmy też galeryjkę, żeby tam sadzać ludzi, gdy przyszło ich więcej, a znalazło się zaskakująco wielu chętnych po tym pierwszym lecie. Nie był to festiwal w Chichester, ale odnieśliśmy sukces. Po zmroku używaliśmy do oświetlenia reflektorów.

Wspominałem już chyba, że byłem aktorem? Może niezbyt dobrym, lecz swego czasu występowałem w niewielkich rolach na West Endzie. Tak poznałem Celię, moją żonę. Wyobraziła sobie, że jest aktorką, i pojawiła się w jakiejś letniej produkcji w Kent. Prawdopodobnie ojciec kupił jej tę rolę. Miał dużo pieniędzy, przeważnie w nieruchomościach. Wszystkie te puby, wie pan. Dwa inne w Devon, „Pod Żelaznym Czartem” i „Pod Workiem Gwoździ”. Gdy Celia je przejęła, niech mi pan wierzy, że bardzo ograniczała wydatki. Nie będę krył, że miałem wiele powodów do niezadowolenia z tego małżeństwa. Znienawidziłem ją po pięciu latach jego trwania. Była tak strasznie zaborcza! Chciałem się uwolnić. Kłóciliśmy się strasznie, tyle mogę panu powiedzieć. I - dodał sarkastycznie - mogą to też potwierdzić służący. W każdym razie tak powiedzieli policji.

- Dlaczego jej pan nie zostawił?

- Miałem zamiar. To wtedy poznałem Harriet Gethvyn--Owen. Była urocza, po prostu urocza. Też aktorka

amatorka. Tyle że z talentem, całkiem sporym. Koniec końców, zakochaliśmy się w sobie, co dało mi jeszcze więcej powodów, żeby zostawić Celię.

Któregoś lata wystawialiśmy *Otella*. To ambitne z mojej strony, ale zawsze chciałem zmierzyć się z tą rolą. Harriet grała Desdemonę. Celia domyślała się, że między nami coś jest, i urządziła sobie niewielkie biuro tuż obok sceny. Dziedziniec na tyłach, piętro, galeria biegnąca dokoła - wie pan, że takie puby były pierwowzorami teatrów? Stąd w ogóle wzięłem ten pomysł. No więc, jak mówiłem, Celia miała biuro tylko kilka stóp od sceny. Taka była zaborcza. Tego wieczoru, kiedy została zamordowana, pokojówka - Daisy jakaś tam - przyniosła Celi jak zwykle coś gorącego do picia. Nie więcej niż pół godziny później kucharka, Rosę Smollett, przyszła zabrać tacę i znalazła Celię leżącą bezwładnie na biurku. Nie żyła.

- Matchett zaciągnął się mocno papierosem.  
- Biurko było przetrząśnięte, sejf otwarty. Ostatecznie przypisano to „nieznanym sprawcom”.

- Ale nie od razu.

Matchett zaśmiał się z pewną goryczą.

- O, z całą pewnością nie od razu, jak może pan sobie wyobrazić. Przecież ja byłem głównym podejrzanym. Dobry Boże, niech pan tylko pomyśli, jaki miałem wyraźny motyw. Gdybym nie był na scenie w chwili, gdy zabito Celię, na pewno wylądowałbym na ławie oskarżonych. I Harriet pewnie też. Zdawałoby się, rozwiązanie oczywiste - mąż i kochanka mordują zazdrosną żonę - ale nie pasowało. Spektakl trwał przez cały ten czas.

- Przypuszczam, że wiele osób przysięgało, że był pan na scenie?

- Trzydzieści czy czterdzieści, jeśli to dość świadków.

- Teraz Matchett się uśmiechał.

- Doskonałe alibi.

Matchett skruszył papierosa i pochylił się w przód.

- Panie inspektorze, we wszystkich kretyńskich historyjkach Darringtona ludzie zawsze mówią o „doskonałym” alibi, „niepodważalnym” alibi lub alibi „nie do obalenia”. Zawsze w tym samym ironicznym tonie, którego pan użył. Wydaje mi się jednak, że jeśli alibi nie jest doskonałe, to cóż to za alibi? Więc czy to nie masło maślane? Nie znoszę tego zwrotu.

- Z całą pewnością ma pan rację, panie Matchett.

- A poza tym niewinni ludzie mają to „doskonałe” alibi właśnie dlatego, że są niewinni.

- Tu też się z panem zgadzam. Ale tak naprawdę przecież nic nie sugerowałem.

- Akurat.

Jury zignorował to.

- Czy pańska żona miała wrogów?

Matchett wzruszył ramionami.

- Pewnie miała. Nie była zbyt lubiana, to fakt. Ale chyba nie znalazłby się nikt, kto by chciał ją od razu zabijać. - Matchett przesunął dłońmi po twarzy w geście skrajnego znużenia. - Po tym wszystkim Harriet po prostu odeszła. Wyjechała do Stanów.

- Dlaczego to zrobiła? Droga była wreszcie wolna. Mogliście być razem mimo dość niefortunnych okoliczności. Dlaczego wyjechała?

- Poczucie winy, jak przypuszczam. Krępujący rozgłos. Była bardzo wrażliwą osobą. Raczej nieśmiałą.

Jury miał wątpliwości.

- I postanowiła rzucić to wszystko w diabły. Powie działa, że nie mogłaby ze mną żyć, w każdym razie nie z cieniem Celii za plecami... - Matchett potrząsnął głową, jak gdyby próbował odpędzić wspomnienia. - Cóż, to było szesnaście lat temu. Po co wywoływać wilka... i tak dalej. - Spojrzał na Jury'ego. - Przynajmniej mam nadzieję, że nic nie wyjdzie z lasu, ale jakoś nie do końca.

- Rzadko się tak dzieje, prawda? - Jury uśmiechnął się i zanotował w myśli polecenie dla Wigginsa, aby do Weatherington przysłano akta sprawy morderstwa Celi Matchett. - Dobrze - powiedział, usiłując nadać głosowi jak najbardziej niedbały ton. - A co z tymi plotkami, że jest pan zaręczony z panną Rivington? To znaczy, z Vivian.

Matchett był zaskoczony pytaniem.

- A cóż to ma do rzeczy? Jury uśmiechnął się ponuro.

- Nie mam pojęcia. Dlatego pytam.

- Cóż, nie mogę zaprzeczyć, że między Vivian a mną coś jest.

- „Coś” może znaczyć wiele rzeczy.

- Powiedzmy, że poprosiłem ją o rękę. Ale to jeszcze nie znaczy, że się zgodziła.

- Dlaczego?

Matchett wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Któż wie, co się dzieje w głowach kobiet, inspektorze? - Zapalił cygaro.

To nie męski szowinizm tej uwagi był tak irytujący, tylko wrzucenie Vivian Rivington do jednego worka z innymi kobietami.

- Można by sądzić, że powinien pan wiedzieć, co się dzieje w głowie Vivian Rivington, jeśli ma pan zamiar się z nią ożenić. - Był to absurd, bronić kobiety, którą poznał niecałą godzinę wcześniej. Ale banalna uwaga Matchetta podziałała mu na nerwy, ponieważ z racji swojej pracy był zbyt blisko sedna ludzkich spraw, żeby łykać takie gładkie uogólnienia.

Matchett tylko zaciągnął się cygarem i patrzył na Jury'ego na wpół przymkniętymi oczyma.

- Tak, przypuszczam, że tak.

Jury wziął do ręki ołówek i rysując coś dla odprężenia, zapytał:

- Czy pan jest w niej zakochany, panie Matchett?  
Matchett obrócił cygaro w ustach i przyjrzał się twarzy Jury'ego.

- Cóż za cyniczne pytanie, inspektorze. Właśnie po wiedziałem, że się jej oświadczyłem.

A może by tak odpowiedzieć wprost, kolego? - chciał wypalić Jury, ale zamiast tego rzekł:

- Rozumiem, że jej siostra wie o tym związku?

- No, myślę. Powiedziałbym, że go aprobuję.

Jury wiedział, że ten człowiek nie jest ani tak głupi, ani niewrażliwy, więc po co udaje?

- Starszej siostrze będzie ciężko, gdy Vivian wyjdzie za mąż. Chodzi mi o to, że w tej chwili to głównie Isabel zarządza całym majątkiem.

- Że znajdzie się na ulicy, i tak dalej? Vivian nigdy by tego nie zrobiła Isabel. A Isabel jest bezgranicznie oddana Vivian.

Jury znowu był pewien, że Matchett ani przez chwilę nie wierzy w to, co mówi. Powrócił do początkowego tematu pytań:

- A więc przyjechał pan do pubu „Pod Łabędziem o Dwóch Szyjach” około jedenastej?

- Zgadza się. Wtedy otwierają.

- Gdzie pan był około dziesiątej? A raczej między dziesiątą a jedenastą? - W alibi Matchetta wciąż brakowało około pół godziny.

- W Dorking Dean. Robiłem zakupy.

- O której pan stamtąd wyjechał?

- Mniej więcej po kwadransie. Utknąłem w korku na rondzie, pamiętam, na dobre piętnaście minut. Ludzie robią zakupy świąteczne.

- Rozumiem. No, to chyba na razie tyle, panie Matchett. Będę z panem w kontakcie.

Gdy Matchett wychodził, Pluck wsadził głowę do pokoju i powiadomił Jury'ego, że na zewnątrz czeka pan

Plant i chce z nim rozmawiać. Jury kazał go wprowadzić.

Melrose Plant nie chciał usiąść. Powiedział z pewnym naciskiem:

- Myślę, że powinien pan przyjść na plebanie, in spektorze. Pastor ma pewne informacje, które mogą się okazać istotne. Był przed „Łabędziem” na chwilę przed tem, zanim myśmy tam dotarli, i słyszał, jak policjanci mówią coś o stanie zwłok.

Jury wstał i sięgnął po płaszcz.

- O co chodzi, panie Plant?

- Pastor mówi, że usłyszał, jakoby twarz tego człowieka była pokaleczona. Nacięcia na nosie? Bardzo dziwne.

Jury pomyślał, że szkoda, iż miejscowa policja nie trzyma swoich informacji - przynajmniej niektórych - dla siebie.

- Tak, to prawda. Zgadzam się, że to zagadkowa sprawa.

- Pastor wie, co to znaczy. A przynajmniej tak twierdzi.

## 11

- Widzi pan, to zniekształcenie prawdziwego znaczenia. - Wielebny Denzil Smith pokazywał na rysunek w księdze szyldów. Księga leżała otwarta na stoliku między Jurym a Plantem, obok talerza kanapek i piwa, które przygotowała dla nich gospodyni pastora. Jury patrzył na rysunek i zdumiewał się pomysłowością malarza szyldów albo tego, kto wymyślił dwuszyje łabędzie.

- Dawniej - ciągnął pastor - królewskie ptaki znakowano niewielkimi nacięciami na ich dziobach. To samo, o ile się orientuję, robili handlarze winem, tak że przynależność łabędzi można było rozpoznać po nacięciach. Chodzi o podobieństwo dwóch angielskich słów - szyja - *neck* i nacięcie - *nick*. Więc, widzi pan, naprawdę to nie był „łabędź o dwóch szyjach”, tylko „łabędź z dwoma n a c i ę c i a m i”. Ale to, co widać tutaj, to robota jakiegoś prymitywnego malarza szyldów, który albo nie potrafił czytać, albo pisać. - Pastor rozsiadł się, zadowolony z siebie, i sięgnął po kanapkę z serem i piklami.

- Dobry Boże - odezwał się Jury, wciąż patrząc na obrazek. - Czyli morderca „oznakował” Creeda...

- Tak bym zakładał - przytaknął pastor. - One były na nosie, prawda?

- Ale po co, u licha?... - zaczął Plant. - Zwykły zarcik?

Jury zapalił papierosa.

- Zarcik? Nie sądzę, raczej nie. Prawdopodobnie kolejny trik mający odwrócić uwagę.

Pastor, znalazłszy się w kręgu zainteresowania, nie zamierzał go tak szybko opuszczać.

- Są inne przykłady tego typu - to znaczy, zniekształcenia oryginalnego znaczenia. Zaraz za Weatherington jest pub „Pod Bykiem i Ujściem”. Nigdy byście nie zgadli, skąd to pochodzi, prawda? - Nie czekając na ich reakcję, ciągnął: - Był to szyld, który miał upamiętniać zajęcie portu Boulogne przez Henryka Ósmego. Rozumiecie? Ujście bulońskie. A *buli* to byk. - Pastor wsadził okulary z powrotem na nos. - Jednym z moich faworytów jest „Pod Słoniem i Zamkiem”. Istnieje wiele teorii na ten temat, od rzekomego znalezienia kości słonia na tym miejscu do Eleonory Akwitańskiej. Ale ja sądzę, że „zamek” miał po prostu wyobrażać lektykę na grzbiecie zwierzęcia. Czy wiecie, że kiedyś zatrudniono urzędnika, żeby przeszedł się po centrum Londynu i sprawdził szyldy? Dostał zadanie pozbycia się błękitnych dzików, latających sów i wieprzy zakutych w zbroję. - Pastor roześmiał się, a potem ciągnął dalej: - Tak, pisali o tym w „Spectatorze” w tysiąc siedemset którymś roku.

Jury chciał się już wydostać z osiemnastego stulecia i przejść do obecnego, czuł jednak, że skoro pastor dostarczył mu informacji, których nie uzyskałby nigdzie indziej, powinien mu zrobić przyjemność.

- Czy wiecie, że oryginalny szyld dla pubu „Pod Hun cwothem” namalował Hogarth? Istnieje kilka pubów o tej nazwie. Nie ma ich oczywiście tak wiele, jak na przykład „Pod Dzwonem”. Tych w Anglii jest z pięćset. Wszystkie puby w okolicy noszą popularne nazwy. Jest „Pod By-



kiem i Ujściem", o którym właśnie mówiłem. Nie ma zbyt wielu „Pod Łabędziem o Dwóch Szyjach”, chociaż jest jeden w Cheapside, który ma w szyldzie szubienicę. Tak jak „Pod Białym Jeleniem” w Scole. Ten szyld kosztował ponad tysiąc funtów, a było to w 1655 roku, jeśli możecie w to uwierzyć. Takie szyldy wystają nad chodnik, więc zawsze spadały i zabijały ludzi. Niedaleko Dorking jest „Pod Workiem Gwoździ”, to popularna nazwa. Ale ja myślę, że początkowo to było „Pod Diabłem z Workiem Gwoździ”. A to jest interesujące...

Jury nie mógł już dłużej wytrzymać i podjął próbę przeniesienia uwagi pastora z etymologicznych dociekań i spadających na ludzi szyldów na ich własne, bardziej naglące morderstwa.

- Ogromnie dziękuję za te informacje, pastorze. Na pewno żaden z nas - policjantów - by na to nie wpadł.

- Pastor promieniał. - Ponieważ był pan „Pod Huncwotem” we czwartek wieczorem, chciałbym panu zadać kilka pytań na ten temat.

- Okropna sprawa, okropna. - Jego sprawozdanie z kolacji tego wieczoru, gdy zabito Smalla, zawierało jeszcze mniej szczegółów niż relacje pozostałych gości. Pastor oświadczył, że między dziewiątą a dziesiątą grał w warcaby z Williem Bicester-Strachanem. - Nie mogę sobie wyobrazić, że to się wydarzyło w Long Piddleton. Mieszkam tu czterdzieści pięć lat. Przybyłem jeszcze jako wikary. Moja żona zmarła dziewięć lat temu, panie świeć nad jej duszą. Ale pani Gaunt bardzo dobrze zajmuje się domem, razem z pokojówkami, jak na przykład Ruby.

- Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. - Ruby tym razem nie ma dłużej niż zwykle.

- A właśnie, ta Ruby Judd. O ile się orientuję, miała wrócić, ale się nie pokazała. Kiedy dokładnie wyje chała?

- To chyba była środa - wielkie nieba, cały t y - d z i e ń temu. Ale ten czas leci. Poprosiła mnie o pozwolenie na kilkudniowy wyjazd, chciała odwiedzić rodzinę w Weatherington.

- Rozumiem. Czy jest gdzieś tutaj zdjęcie Ruby? Może w jej pokoju?

Pastor wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

- Nie wiem. Może pani Gaunt... - Wezwał panią Gaunt, która wyglądała jak nieszczęśliwy szkielet, i po prosił, żeby poszła na górę do pokoju Ruby i przyniosła jej zdjęcie, jeśli tam jest.

Pani Gaunt wydała z siebie głęboki gardłowy dźwięk, który mógł być skierowany do któregośkolwiek z nich, i wyszła.

Zniżając głos do szeptu, jakby się jej trochę bał, wielbny Smith zwierzył się gościom:

- Pani Gaunt nie jest zbyt zadowolona z Ruby. Mówi, że ona wiecznie tylko czyta magazyny filmowe i podobne bzdury, a nawet gdy miała posprzątać kościół, pani Gaunt raz czy dwa złapała ją na siedzeniu w ławce.

- Taka religijna? - zapytał Jury.

Pastor zachichotał.

- Bynajmniej. Lakierowała sobie paznokcie.

Przynajmniej starszek nie jest zbyt pobożny, pomyślał Jury, wydaje się uważać zachowanie Ruby za zabawne.

Pani Gaunt wróciła prawie natychmiast, z zaciśniętymi ustami, trzymając dwa zdjęcia.

- Były wetknięte za ramę lustra. - W jej ustach zabrzmiało to, jakby zdjęcia były fotkami z frywolnego kalendarza. Skrzywiła się i odeszła.

Pastor podał je Jury'emu.

- Ale nie sądzi pan chyba, że coś się przydarzyło Ruby? Może pan o nią zapytać Daphne Murch. Ona

Ruby trzymały się razem, są mniej więcej w tym samym Wieku. To właśnie Muren podsunęła mi Ruby. Jury włożył zdjęcia do portfela.

- Nie wydaje się pan zmartwiony, pastorze. Czy Ruby często tak postępuje?

- Cóż, wyjeżdżała wcześniej raz czy dwa. Zgaduję, że chodzi o jakiegoś chłopca - może w Londynie. Ruby to nie jest zła dziewczyna. Ale, jak wielu młodych, trochę niefrasobliwa.

Jury zmienił temat.

- Przyjaźni się pan z panem Bicester-Strachanem. Wiem, że nie chciałby pan wyjawiać żadnych sekretów, ale czy mógłby pan wprowadzić mnie w szczegóły tej sprawy w Londynie?... - Jury nie dodał, że nic nie wie o „tej sprawie”. Liczył na to, że upodobanie pastora do plotek zwycięży jego subtelniejsze uczucia, i nie zawiódł się, choć najpierw wielebny Smith teatralnie protestował. Trochę prychnął, ale potem uspokoił się i zaczął mówić, co wie.

- Bicester-Strachan był niższym urzędnikiem w Ministerstwie Wojny i zdarzył się, ach, „wypadek”: podobno jakieś informacje trafiły do niewłaściwych rąk, informacje, do których miał dostęp tylko Bicester-Strachan i kilka innych osób. Nigdy go oficjalnie nie oskarżono; o ile wiem, nikomu nie udało się niczego udowodnić. On nie lubi o tym rozmawiać, jak może pan sobie wyobrazić. Ale to tłumaczy jego wczesne przejście na emeryturę. Bicester-Strachan nie jest tak stary, jak wygląda. Ma niewiele ponad sześćdziesiątkę, ale każdy dałby mu osiemdziesiąt. A ja wiem, że to w następstwie szoku związanego z tą brzydką sprawą. - Wielebny Smith oparł się w fotelu i oświadczył pompatycznie: - Agatha uważa, że za tym wszystkim stoją komuniści, i może mieć rację.

Melrose Plant, który cierpliwie milczał przez całą wizytę, nie mógł się powstrzymać:

- A jakim sposobem udało się mojej ciotce wplątać w to komunistów?

Pastor zastanawiał się chwilę.

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć. Wiesz, że Agatha jest bardzo skryta.

- Skryta? - Pierwszy raz w życiu Melrose słyszał, żeby ktoś wymieniał wśród cech jego ciotki skrytość.

- Hm. Omawialiśmy różne warianty i przyszło jej do głowy... jeśli wziąć pod uwagę życiorys Bicester-Strachana... cóż, jest to możliwe, nieprawdaż? Mogą go ścigać?

- Czy dobrze zna pan pana Darringtona, pastorze? - zapytał Jury, próbując odwrócić uwagę duchownego od podwójnych agentów.

- Nie za dobrze, szczerze mówiąc. Darrington nie bywa zbyt często w kościele. Pracował w jakimś londyńskim wydawnictwie. Wie pan, że napisał te kryminały. Są chwile, gdy raczej wątpię, czy ta panna Hogg jest, jak on twierdzi, jego „sekretarką”. - Wyglądało na to, że dopiero ta uwaga sprawiła mu przyjemność.

- Są chwile, gdy wszyscy w to wątpimy - rzekł Melrose.

Pastor, według raportu Pratta, nie był obecny „Pod Jackiem i Młotem” tego wieczoru, gdy zabito Ainsleya. Jednak Jury zapytał go:

- Czy przypadkiem nie był pan w sąsiedztwie „Jacka i Młota” w tamten piątkowy wieczór, pastorze?

Pastor, z niejakim rozczarowaniem, musiał odpowiedzieć:

- Niestety, tu nie potrafię panu pomóc. Ten członek „Jack” jest nietypowy. Wie pan, jest tylko jeszcze jeden taki, w Abinger Hammer...

Jury przerwał mu.

- Wracając do tych nacięć - tego rodzaju rzeczy raczej nie są powszechnie znane. Czy wspominał pan o tym komukolwiek poza nami?

Pastor lekko się zaczerwienił.

- Muszę przyznać, że czerpię dużą przyjemność z rozmów o historii tych starych miejsc. Tak, jestem pewien, że wspomniałem o tym paru osobom. Naprawdę nie pamiętam, komu. - Siedząc w swoim wygodnym, obitym perkalnym fotelu i wpatrując się w sufit, pastor znów zaczął: - W niejednym pubie popełniono morderstwo. W Colnbrook jest pub „Pod Strusiem”...

Melrose Plant przerwał pośpiesznie. Nie miał zamiaru ponownie wysłuchiwać opowieści o gościach „Pod Strusiem” z zapadni.

- Przypuszczam, że inspektor Jury widzi ten schemat w nieco mniej dosłowny sposób, pastorze.

- Cóż, zdecydowanie nie sądzę, żeby Matchett czy Scroggs mieli coś wspólnego z tymi okropnymi zabójstwami... choć, z drugiej strony, i s t n i e j e ta niesmaczna sprawa z pierwszą żoną Matchetta. Jak to czasem przeszłość podnosi głowę i nie daje spokoju terażniejszości! - Rzucił okiem w kierunku Jury'ego, najwyraźniej mając nadzieję, że ten podejmie wątek. - *Crime passionel*, coś w tym rodzaju. Matchett miał przyjaciółkę...

Jury uśmiechnął się.

- Policja wtedy była przekonana, że pan Matchett nie miał z tym nic wspólnego.

- A jednak nigdy nie odkryli, kto to zrobił - odparł Smith, bardzo nie chcąc, żeby ten smaczny kąsek został tak szybko połknięty bez dokładnego przeżucia.

- Byłby pan zaskoczony, ile morderstw musimy kwalifikować jako „niewyjaśnione”, pastorze. Trudno nie rozczarować się do policji, jeśli się wie, jak w gruncie rzeczy jest niekompetentna. - Gdy pastor się zaczerwienił, Jury wstał. - Dziękuję panu za pomoc. Muszę już iść.

Po wyjściu z Plantem na zewnątrz Jury zatrzymał się, by popatrzeć w górę, na piękne wschodnie okno kościoła, z siedmioma maswerkami w szczytowej części.

- Jeśli chciałby pan wejść do środka... - zaczął Plant.

Jury potrząsnął głową.

- „Bo to poważny dom, poważna pod nim ziemia”\*.

Obaj patrzyli w górę, na dzwonicę. Jej okna zaopatrzone były w zewnętrzne żaluzje, aby dźwięk niósł się jak najwyżej. Plant zapytał:

- Lubi pan poezję, inspektorze?

Jury kiwnął głową.

- Widziałem Vivian, jak szła na posterunek na rozmowę z panem. Proszę mi powiedzieć, co pan o niej sądzi?

Wzrok Jury'ego oderwał się od dzwownicy, żeby skupić się na fascynującej gałęzce leżącej koło jego stóp.

- No cóż - wzruszył ramionami - wydała mi się... dość przyjemna.

Pani Jubalowa Creed przybyła na posterunek policji w Weatherington parę minut po czwartej i została zawieziona do szpitalnej kostnicy, aby zidentyfikować doczesne szczątki męża. Gdy wróciła, kolor jej twarzy wcale się nie zmienił, jako że miała cerę, której natura poskapiła barwę, poprzestając na jednolitym odcieniu brudnej ochry. Z figurą pani Creed wcale nie było lepiej niż z twarzą: kobieta wyglądała jak strach na wróble, owinięty starymi, rozciągniętymi ubraniami.

Tylko raz, gdy podała pełne dane personalne męża, wymieniła imię „Jubal”, później cały czas mówiła „pan Creed”.

Cytat z wiersza Philipa Larkina, *Chodzenie do kościoła*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Trzymając chusteczkę przy ustach, płaskich i szerokich - jakby wyciętych z papieru - patrzyła na głównego inspektora Jury'ego zmęczonymi oczyma i odpowiadała na jego pytania o zatrudnienie pana Creeda:

- Pan Creed pracował w policji Cambridgeshire. Pięć lat temu przeszedł na emeryturę. I wcale nie żałował.

- Uważał, że był tam źle traktowany?

- Bo był. Pomijano go przy awansach, skończył jako sierżant w Wigglesworth. Był rozgoryczony. Nie dziwię mu się. - Skrzywiła się na znak dezaprobaty dla policji w ogólności, a dla Jury'ego i Wigginsa, siedzących w surowym, pustym pokoju na posterunku w Weatherington, w szczególności.

- Pani Creed, czy ma pani w ogóle jakieś pojęcie, kto mógłby, hm, chcieć go skrzywdzić?

Kobieta tylko potrząsnęła energicznie głową opartą na dłoni. Jury'emu nie wydawała się specjalnie przejęta i przypuszczał, że małżeństwo Creedów było co najwyżej poprawne. Pani Creed, choć Jury nie mógłby jej nic zarzucić, nie robiła na nim wrażenia kobiety o szczególnie głębokich uczuciach.

- Nie miał jakichś wrogów, o których by pani wiedziała?

- Nie. Pan Creed i ja prowadziliśmy spokojne życie.

- Czy mógł sobie jakichś narobić, kiedy jeszcze pracował?

- Nawet jeśli, to ja nic o tym nie wiedziałam.

Jury zadawał rutynowe pytania, przeczuwając, że ten kierunek przesłuchania jest bezowocny. Wątpił, by śmierć Creeda miała cokolwiek wspólnego z jakimiś ciemnymi sprawkami z jego przeszłości. Jury otworzył kopertę i wyjął zdjęcie Williama Smalla, zrobione po doprowadzeniu zwłok do jakiegoś takiego porządku. Mimo to nie było przyjemne.

- Pani Creed, czy rozpoznaje pani tego człowieka?  
Sporządzała, odwróciła szybko wzrok i pokręciła głową.
- Czy nazwisko William Smali coś pani mówi?

Jej oczy były zamglone od niewyślakanych łez i mimo przedłużającej się ciszy Jury wątpił, czy kobieta usilnie się zastanawia nad zadanym pytaniem.

- Nie, to nazwisko nic mi nie mówi.

Na zdjęcie Ainsleya, to, które ukazało się w gazetach, jej reakcja była taka sama. Potem spojrzała jeszcze raz.

- Czekaj pan. Czy to nie jest zdjęcie tego człowieka, co został... zaraz, zaraz... czy oni obaj nie zostali wykończeni w jakimś miasteczku tu, w okolicy - jak ono się nazywa?...

- Long Piddleton. Jakies dwadzieścia mil stąd.

Wyglądała na absolutnie wstrząśniętą.

- Chcecie mi powiedzieć, że pan Creed też tam został zamordowany? Jakiś seryjny morderca biega tu na wolno ści, a wy siedzicie i zadajecie mi głupie pytania?

Mieli już pełny raport z policji hrabstwa Cambridge na temat służby Creeda - służby dość prędko skróconej, według komisarza Pratta.

- Widzi pan, istnieje coś takiego jak tradycyjne „se pienie”, czyli wymuszanie przez policjantów na handlowcach towarów i usług za niższą cenę, ale jest też coś innego, a to właśnie robił Creed: pobieranie prowizji od niektórych warsztatów za podsyłanie im aut z wypadków. Co innego załatwić taniej naprawę dla siebie - na to zwierzchnicy mogliby przymknąć oko. Czy na przykład na bezpłatny posiłek; chyba wszystkim nam się to czasem zdarza. Chciałbym dostać funta za każdy, który przyjąłem w restauracjach podczas obchodu. Więc w przypadku Creeda to nie było łapownictwo w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale prawie. Praktycznie zorganizował sobie



miły biznesik na boku. Można zatem z całą pewnością potwierdzić, że był na czarnej liście. Mimo to pozwolili mu „zrezygnować”. Tak czy owak, pytaliśmy jego dawnych kolegów o obecną sprawę. Nic im nie przychodziło do głowy. Creed był zerem, ślepym nabojem. Niezbyt dobry w swojej pracy, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Prawdopodobnie nigdy nie doszedłby do jakichś wyższych stanowisk. Nic nie wskazuje na to, że znał pozostałych - Smalla i Ainsleya. Koledzy zresztą później się z nim nie widywali. - Długie nogi Pratta spoczywały na biurku. Wciąż miał na sobie ciężki płaszcz i próbował zapalić bardzo starą fajkę. - Chodzi o to, że... - Posał cybuch fajki i potarł o pudełko kolejną zapałkę. - Zła prasa nas dobija; dziennikarze uganiają się za mną jak wilki w Northampton, gdzie spędzam tyle czasu, ile mogę. Przynajmniej dzięki temu nie naprzykrzają się panu, prawda? - Znów posał fajkę i wreszcie uzyskał słaby błysk. - Czytam wszystko, co trafi na moje biurko, i przysięgam, że nie mam pojęcia, o co chodzi w tej sprawie. Zastanawiam się, czy ofiary były wybierane przypadkowo, czy w grę wchodzi jakiś schemat? - Pratt podrapał jednodniowy zarost cybuchem fajki. Dało to efekt cichego skrobania. - Czy może dwa z nich zostały popełnione, żeby zamaskować trzecie? Prawdziwą ofiarę?

- Mnie przyszło też do głowy, że może prawdziwa ofiara nie została jeszcze zamordowana.

Pratt zamrugał oczami w czerwonych obwódkach.

- O, Boże, co za wspianiała myśl! - Fajka znowu mu zgasała. - Sądzi pan, że to będzie ktoś z miasteczka, tak?

- Nie wiem. Na pewno jest to jakaś opcja.

- Morderca Smalla nie wszedł przez tylne drzwi do piwnicy, to jasne. Więc zawęził pan śledztwo, jak przypuszczam, do tych ludzi, którzy byli „Pod Huncwotem” tamtego wieczoru.

- Oprócz jednego, jak sądzę: Melrose'a Planta. Oczywiście, nie ma on alibi na czas, gdy zostali zamordowani Smali i Ainsley, jednak trudno uwierzyć, że w grę wchodzi więcej niż jeden morderca.

Pratt znów podrapał się po podbródku.

- W takim razie jesteśmy o wiele bliżej znalezienia go. Następnym razem, gdy zadzwoni do mnie nadinspektor Racer, na pewno powiem mu, że poczyni! pan znaczne postępy. Przepraszam, że zapytam - ale czy on ma coś konkretnego przeciwko panu? Wydaje się odrobinę złośliwy w stosunku do pana.

- Ach, to po prostu cały on - zamknął sprawę Jury.

## 12

24 grudnia, czwartek

Następnego ranka Jury siedział przy zniszczonym drewnianym biurku Plucka. Wiggins zaglądał mu przez ramię. Studiowali powieść Darringtona, *Bent bada morderstwo*, i drugą książkę, ciąg dalszy pierwszej, które leżały obok siebie na blacie. Jury przesuwał palcem po tekście jednej i przenosił się na drugą.

- Jest ogromna różnica, jeśli chodzi o te dwa kryminały. Styl całkowicie się różni. Albo inaczej, drugi wydaje się niezgrabną imitacją pierwszego.

Wiggins potrząsnął głową.

- Ja tego nie widzę, sir. Oczywiście, nie jestem aż tak odcytany.

Jury zamknął obie książki. Nie sądzę, żeby Darrington napisał *Bent bada morderstwo*. Mam wrażenie, że próbował kopiować jej styl i spartaczył go w tej drugiej książce. Myślę, że ktokolwiek napisał pierwszą powieść, napisał też trzecią... - Jury wyciągnął kolejną z czterech książek. - *Bent na wakacjach*. Tak. Te dwie wyszły spod tej samej ręki. Ale nie dwie pozostałe. Darrington musiał przywłaszczyć sobie dwa rękopisy, a potem rozdzielić ich wydanie w czasie.

- Ale kto, pańskim zdaniem, napisał te dobre?

- Nie mam pojęcia. Wyłania się z tego interesująca możliwość, że ktoś jeszcze wiedział o tym plagiacie. I postanowił zaszantażować Darringtona.

- Na przykład Smali? A co mieliby z tym wspólnego Ainsley i Creed?

- Magli siedzieć w tym razem... Zadzwoń do Londynu, niech sprawdzą to wydawnictwo, z którym współpracował Darrington. Tam łatwo mógł wejść w posiadanie rękopisów. - Jury wstał i wsunął papierosy do kieszeni. - A ja zapytam go o to wprost i zobaczę, jak zareaguje.

Gdy Jury wsiadał do niebieskiego morrisa, obok zatrzymał się Bentley Melrose'a Planta, który opuścił szybę.

- Dokąd pan jedzie, inspektorze?

- Do Olivera Darringtona.

- Wie pan, jutro Boże Narodzenie. Bardzo chciałbym, żeby przyszedł pan do mnie na kolację.

- Przyjmuję zaproszenie z przyjemnością, jeśli tylko okoliczności na to pozwolą.

- Świetnie. Teraz jadę do Sidbury po prezent dla Agathy.

- Co jej pan kupi?

- Pomyślałem, że może parę pistoletów. Rękojeści z masy perłowej, na eleganckie okazje.

Jury roześmiał się. Po odjeździe Planta skierował morrisa w stronę drogi na Sidbury.

Tym razem drzwi otworzył Darrington i zaczął mówić w tej samej chwili, gdy zobaczył Jury'ego:

- O co tu chodzi, do diabła? Egzemplarz mojej książki w rękach tego człowieka, którego znaleziono martwego „Pod Łabędziem”? - Jego oczy płonęły. Wyraźnie

bardziej przejmował się lekturą zwłok niż samymi zwłokami.

- Czy mogę wejść, panie Darrington?

Darrington otworzył z rozmachem drzwi i Jury zauważył w salonie Sheilę Hogg. Wyglądała pięknie, ale była zmartwiona i zdenerwowana. Inspektor wszedł i zajął to samo miejsce, co poprzedniego dnia. Oliver patrzył na niego spode łba, a Sheila kręciła się za sofą naprzeciwko, skubiąc jakąś niewidoczną nitkę z tyłu mebla. Tego popołudnia była całkiem ubrana - w kwieciste jedwabne spodnium - a mimo to udawało jej się wyglądać na nieubraną. Kształty Sheili wręcz wyskakiwały na człowieka z tego stroju i część umysłu Jury'ego, niezajęta myślą, jak skłonić Darringtona, żeby się przyznał, z aprobatą to zauważała.

- Mam tylko kilka pytań, panie Darrington. - Tamci wciąż jeszcze nie usiedli, więc Jury zwlekał, zapalając papierosa. - Na pewno dotarła już do państwa wieść, że zamordowano kolejnego człowieka. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan był wczoraj między dziesiątą a trochę po dwunastej?

- Tutaj. Sheila była ze mną.

Jury nie widział w ich twarzach nic, co by zadawało temu kłam, ale, z drugiej strony, wiedział, że nikt tak nie potrafi kłamać bez mrugnienia okiem, jak winni. Uśmiechnął się i powiedział:

- Chciałem też zwrócić panu książki. - Wyciągnął je przed siebie. - Są dość interesujące, głównie ze względu na to, co je różni. - Zauważył nerwowe skurcze w twarzy i dłoniach Sheili. - Właściwie to pomyślałem, że ktoś panu trochę pomagał. - Jury ujął to tak delikatnie, że nawet on sam był zaskoczony, gdy Darrington odwrócił się gwałtownie do Sheili.

- Suka!

- Nic mu nie mówiłam, Oliverze! Naprawdę!

Jego gniew przygasł tak samo szybko, jak zapłonął. Darrington westchnął.

- Do diabła, jedna zagadka z głowy. Równie dobrze możesz mu powiedzieć.

Jak zwykle, pomyślał Jury, wystawia Sheilę, żeby płaciła za jego winy.

- To mój brat - wyznała Sheila. - Zginął w wypadku motocyklowym. Przypadkiem - gdy przeglądałam rzeczy po śmierci Michaela - znalazłam list od Olivera na temat jego książki. Nie wiedziałam nawet, że mój brat napisał książkę, nie mówiąc o tym, że chciał ją wydać. Nie sądzę, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Michael był bardzo skryty. W każdym razie poszłam do wydawnictwa Olivera, chyba chciałam po prostu dopilnować wydania tej powieści jako pamiątki po bracie. Oliver był redaktorem, na którego biurko ona trafiła. Był bardzo życzliwy, poszliśmy razem na lunch i rozmawialiśmy o książce Michaela, o tym, jaka jest dobra. Potem poszliśmy na kolację. Później znowu lunch i znowu kolacja, aż... - Sheila westchnęła. - Cóż, straciłam dla niego głowę, co było - rzuciła na Darringtona zabójcze spojrzenie - po jego myśli, czyż nie tak, kochanie?

Darrington tylko wpatrywał się w swojego drinka.

- Wśród rzeczy w kufrze Michaela znalazłam też drugi rękopis, *Bent na wakacjach*. Oliver przeczytał go i powiedział, że jest tak dobry jak pierwszy. Pokusa była dla niego zbyt silna: mógłby opublikować pierwszą pod swoim nazwiskiem, a drugą odłożyć na gorsze czasy.

- Sheila zaśmiała się sztucznie. - A Oliver pisze naprawdę coraz gorzej.

- Dzięki - rzucił Darrington.

- Nie ma za co, kochanie - odparła z goryczą. Potem zwróciła się do Jury'ego: - Tak to wygląda. Podłość, ohyda - coż mogę powiedzieć?

Ładna pamiątka, skonstatował z ironią Jury. Miłość, pomyślał ze smutkiem. Doprowadziła ją do takiej hańby i nie nagrodziła nawet aktem zawarcia małżeństwa. Było mu jej żal.

- A więc zatrzymał pan drugi rękopis jako zabezpieczenie, na wszelki wypadek, gdyby ta, którą pan napisał sam, zrobiła klapę?

Oliver podniósł głowę. Przynajmniej miał tyle przyzwoitości, że wyglądał na upokorzonego.

- Zgadza się. Próbowałem trochę pisać. Myślałem, że stworzę coś dobrego, ale nie potrafiłem. Jako pisarz jestem do niczego. Gdy druga książka nie sprzedała się i dostała złe recenzje, wyciągnąłem drugi rękopis Hogga i znów odzyskałem przewagę. Myślałem, że na pewno za drugim razem mi się uda. A teraz... - Rozłożył ręce w bezradnym geście. To najwyraźniej przypomniało mu, że temat obecnej dyskusji nie jest największym problemem. - Zaraz, zaraz, inspektorze. Co to wszystko ma wspólnego z tym człowiekiem znalezionym dziś rano?

- Nie znał go pan?

Darrington wyglądał na rozzłoszczonego.

- Cholera! Oczywiście, że go nie znałem!

Jury'emu sprawiło przyjemność to, co miał do powiedzenia w zamian za podłe potraktowanie Sheili przez Olivera.

- Dziwne. A on był pańskim wielbiciele. Wie pan, ta książka. - Jury udał, że przyszła mu właśnie nowa myśl do głowy, i pstryknął palcami. - A może jednak nie wielbiciele. Istnieje coś takiego jak szantaż, wie pan, jako motyw morderstwa.

Darrington zerwał się ze swojego fotela.

- Mój Boże! Ja go nie z a b i ł e m . Nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka...

- Skąd pan wie, panie Darrington?

- Co?

- Zakładam, że nie widział go pan od c z a s u morderstwa. Skąd pan wie, w takim razie, że nigdy go pan nie widział?

- Próbuje mnie pan złapać w pułapkę, prawda? Moja książka w jego rękach wszystko zgrabnie w pana mniemaniu ze sobą wiąże, tak?

Sheila zauważyła z o wiele większą bystrością niż Darrington:

- Och, na miłość boską, Oliverze. Inspektor Jury na pewno nie sądzi, że trzech różnych ludzi przybyło cię szantażować, prawda, inspektorze?

Oliver patrzył to na jedno, to na drugie, jak dziecko, które zastanawia się, czy rodzice są przeciwko niemu w znowie. Jury zastanawiał się, co, u licha, Sheila widzi w tym mężczyźnie?

- Ta książka jest czymś, co sugeruje, że pan go n i e z a b i ł . - Jury wstał i schował papierosy do kieszeni.  
- Byłoby dziwne, gdyby pan sam zostawił w rękach zamordowanego trop prowadzący do pana, nieprawdaż? Tylko ktoś bardzo odważny, ktoś o żelaznych nerwach, nie wspominając o dość makabrycznym poczuciu stylu, mógłby się porwać na coś takiego. A w panu, panie Darrington, nie dostrzegam żadnej z tych cech.

Sheila wybuchnęła śmiechem.



## 13

Melrose Plant jechał drogą na Sidbury, uśmiechając się na myśl o tym, jak Agatha będzie cierpieć, gdy uświadomi sobie, że ona wciąż jest podejrzana, a o n nie. To naprawdę nie fair z jego strony tak się wywinąć ze stalowego uścisku Scotland Yardu, podczas gdy ją (mimo całego jej poświęcenia) zostawiono samą na polu walki. Tak na pewno będzie na to patrzeć Agatha. Dojdzie do wniosku, że to wszystko wina Melrose'a. Lub spisku między Melrose'em a Jurym.

Za oknem przesuwają się długie połacie rozświetlonych słońcem łąk. Melrose zsunął się niżej na siedzenie bentleya i rozważał, czy drzemie w nim nieuświadomione pragnienie bycia detektywem, jakaś ciemna strona jego natury, której istnienia dotychczas nikt nie podejrzewał. Zabawiał się przeglądem możliwych rozwiązań tej serii morderstw. Czy faktycznie tylko jedna z ofiar była prawdziwym celem mordercy, a dwie pozostałe zbrodnie popełniono, żeby to zamaskować? Stary chwyt z odwróceniem uwagi. Jest to, oczywiście, jakaś możliwość, ale nieco osłabia ją fakt, że wszyscy trzej zamordowani byli tu obcy. Po co, u licha, ktoś miałby sprowadzać obcych do miasteczka, żeby ich zabić? Czemu nie uśmiercić w zamian paru zbytecznych tubylców?

Melrose rozejrzał się dookoła z niejakim poczuciem winy; cóż, to naprawdę był dość bezduszny sposób myślenia o mieszkańcach miasteczka. Odpowiedziały mu spojrzaniem tylko owca i jagnię przeżuwające leniwie pokarm na polu. Co mogły znaleźć do jedzenia w takim zimnie?

Istniała też możliwość, że wszystkie dotychczasowe morderstwa miały tylko doprowadzić do kolejnego. Taką, dość wstrząsającą, perspektywę przedstawił Jury. Plantowi krew zastygała w żyłach na myśl o tym, gdyż pierwszą osobą, która przyszła mu do głowy jako prawdziwy cel, była Vivian Rivington. Tyle pieniędzy i tylu ludzi, którzy chcieliby je mieć. Ciemność, jaka ogarnęła na chwilę jego umysł, zobaczył skupioną w małym, czarnym punkcie znaku drogowego, który wyrósł przed nim naprzeciw pubu „Pod Kogutem i Butelką”, po lewej stronie.

Plant zdjął nogę z pedału i zwolnił, tak żeby nie zniszczyć tłumika, bo właśnie przejeżdżał przez wąski garb, mający zachęcać samochody do zwalniania przed następnym zakrętem. Wzniesienie nazywane było „śpiącym policjantem”. Gdy do niego podjeżdżał, coś błysnęło w silnym słońcu. Podskakując na „śpiącym policjancie”, wyjrzał przez okno i stwierdził, że refleks pochodzi z czegoś leżącego w błocie, pewnie kawałka szkła. Nagle dotarło do niego, co faktycznie zobaczył. Zahamował tak gwałtownie, że o mało nie wyrzuciło go przez przednią szybę. Siedział nieruchomo przez kilka sekund i wmawiał sobie, że pokryty ziemią przedmiot nie może być tym, czym mu się wydaje.

Pierścionek. Ale czy naprawdę tkwi na ludzkiej r ę c e ?

Sheila wciąż się śmiała. Jury nakładał płaszcz i skórzane rękawiczki.

- Będę miał więcej pytań, panie Darrington. Do obojga państwa. W tej chwili jednak nie mam na to czasu. Czy mógłbym skorzystać z pańskiego telefonu, żeby zadzwonić do mojego sierżanta?

- Tędy. - Darrington wskazał drzwi do holu. Widać było, że wraca mu trochę dawnej ironicznej pewności siebie, bo odezwał się: - Czy dobrze rozumiem, inspektorze Jury? Fakt znalezienia powieści *Bent bada morderstwo* w rękach tego człowieka, dowodzi, że nie miałem z tym nic wspólnego?

Drań do samego końca, pomyślał Jury. Żadnego względu na Sheilę, która poświęciła prawdopodobnie cały szacunek dla samej siebie, żeby Darrington mógł zrobić karierę. Cholerny głupek aż się prosił, żeby nim potrząsnąć.

- Powiedziałem, że wskazuje na to, iż pan tego nie zrobił. Ale w żadnym razie pana nie uniewinnia. Jest jeden motyw, który dotyczy tylko pana, panie Darrington: rozgłos. Byłoby to idealne dla pańskiej podupadłej reputacji, nieprawdaż, gdyby tak książka *Bent bada morderstwo* znalazła się na pierwszych stronach gazet? Sprzedaż pańskich powieści wzrosłaby niebotycznie. Więc pozbywa się pan szantażysty i na dobitkę zdobywa odrobinę sławy.

Darrington znowu pobrał.

- Gdzie ten telefon, panie Darrington?

Jakby na umówiony sygnał, telefon zadzwonił. Sheila, bardziej opanowana niż Darrington, poszła odebrać. Z holu zawołała:

- To do pana, inspektorze!

Podziękował jej, a gdy wziął słuchawkę i patrzył, jak Sheila idzie z powrotem do salonu, miał nadzieję, że znajdzie w końcu lepszego człowieka niż Darrington. Choć bynajmniej nie skreślił Sheili jako podejrzaney.

Odnaczała się większą siłą charakteru niż jej facet, to na pewno.

- Tu Jury - rzucił do słuchawki i z rosnącym zdumieniem słuchał słów Melrose'a Planta. - Panie Plant, niech pan zostanie tam, gdzie pan jest. Będę za dziesięć minut. - Rzucił słuchawkę na widełki, wykręcił numer posterunku w Long Piddleton i myślał, słuchając sygnału, że lepiej, by Wiggins lub Pluck tam byli. Wreszcie odebrał Pluck. Jury kazał mu powiadomić posterunek w Weatherington, ściągnąć specjalistę od medycyny sądowej i Appleby'ego, wziąć całą ekipę i przyjechać bezzwłocznie do „Koguta i Butelki”. Znalezione kolejne zwłoki. Biedny Pluck bełkotał, jękał się, aż wreszcie wykrztusił:

Tak, sir. Natychmiast, sir. Ale po całym posterunku rozpełzli się dziennikarze i chcą z panem rozmawiać. Przyjechali z Londynu jakieś pół godziny temu.

- Niech pan zapomni o dziennikarzach, sierżancie. I, na litość boską, niech im pan nic nie mówi o tej sprawie, bo inaczej na drodze do Sidbury będzie tyle samochodów, że nie dam rady przejechać.

- Dobrze, sir. Ale pomyślałem, że powinienem wspomnieć - zniżył głos - że lady Ardry gada jak najęta z ludźmi z londyńskich dzienników. I powinien pan chyba wiedzieć, że nadinspektor Racer próbuje się z panem skontaktować od godziny. Zdaje się, że jest strasznie zły.

- No to, sierżancie, następnym razem, gdy zadzwoni, niech mu pan da do telefonu lady Ardry.

Niebieski morris pokonał trzynaście mil od domu Darlingtona do „Koguta i Butelki” w dwadzieścia minut, wywołując pełne oburzenia reakcje spokojniejszych kierowców, którzy wybrali się na miłą wigilijną przejażdżkę.

Gdy Jury zobaczył pub „Pod Kogutem i Butelką” około ćwierć mili przed sobą, skręcił gwałtownie na prawe pobocze i zahamował tuż przed wzniesieniem usypanej ziemi. Wskoczył z samochodu, nie zatrzymując nawet za sobą drzwi, i podbiegł do miejsca, w którym klęczał Melrose Plant. Wzgórek nakryty był brezentem.

- Nie próbowałem jej odkopywać, bo ziemia jest bardzo twarda. Zresztą przypuszczałem, że i tak nie będzie pan chciał, żeby naruszać grunt. Strzepnąłem trochę luźniejszej ziemi z jej ramienia.

- Dobrze pan zrobił, panie Plant. - Z utwardzonego, pokrytego ziemią wzniesienia wystawała dłoń i przedramię, mniej więcej do połowy łokcia. Paznokcie u ręki były pomalowane na groteskowy jaskrawoczerwony kolor, a na jednym z palców widniał duży tani pierścionek. Jury pomacał ramię. Było sztywne jak sople lodu.

- Wydawało mi się całkiem jasne - rzekł Plant - że bez względu na to, do kogo należy ta ręka, ten ktoś raczej na pewno już nie oddycha. Więc zostawiłem wszystko, jak było. Przykryłem tylko znalezisko brezentem z uwagi na przejeżdżających kierowców. Pomyślałem, że nie chciałby pan, żeby zatrzymywali się ciekawscy przechodnie. Po prostu stałem tu i kierowałem ich na drugą stronę drogi. Prawdopodobnie sądzili, że jestem robotnikiem.

Jury nie mógł powstrzymać uśmiechu, nawet w tych okolicznościach. Garnitur, który miał na sobie Plant, raczej nie przypominał kombinezonu robotnika drogowego. Nagle Jury uzmysłowił sobie, że „śpiący policjant” znajduje się tuż przed pubem „Pod Kogutem i Butelką”, który stał w pewnej odległości od drogi, po lewej stronie. Jeszcze jeden pub. Gazety będą zachwycone.

Zwrócił się do Planta:

- Świetnie się pan spisał. Dobrze, że nie próbował jej pan odkopywać. Specjalista medycyny sądowej

zażądałby naszych głów, gdyby cokolwiek zostało tu poruszone.

Stali tak jakieś dziesięć minut, aż Jury usłyszał jęk syreny. No, przynajmniej Pluck sprawił się szybko. Weatherington było po drugiej stronie Sidbury, około dziesięciu mil od tego miasta targowego.

- Panie Plant, czy mógłby pan pójść do pubu i przygotować właściciela - zna go pan?

- Niezbyt dobrze. Kłaniamy się sobie. Zasnąłem kiedyś przy barze, gdy opowiadał mi swoje życie. Co mam mu powiedzieć?

Jury spojrział w dół na sztywną rękę. Samochód policyjny wyjeżdżał już zza zakrętu.

- Proszę go tylko uprzedzić, że zaraz przyjdę zadać mu kilka pytań.

Doktor Appleby czekał cierpliwie, paląc papierosa, gdy specjalista medycyny sądowej, człowiek o wyrazistych, rzeźbionych rysach, notował każdy szczegół. Na szyi ofiary były wyraźnie widoczne ślady duszenia. A ofiarą była, jak spodziewał się Jury, niejaka Ruby Judd, ostatnio pokojówka pastora.

Gdy fotograf policyjny zrobił już zdjęcia pod każdym możliwym kątem, doktor Appleby spojrział na głównego inspektora w sposób, w jaki czasem ojciec patrzy na dziecko, które zeszło z uczciwej drogi o jeden raz za dużo. Nawet Jury, któremu raczej nie zdarzało się unikać wzroku bliźnich, uciekł spojrzeniem.

- Inspektorze, jest pan pewien, że nie chciałby, abym włączył się po okolicy przywiązany do pańskiego boku? Jakoś często zjawiam się na miejscu pańskich zbrodni. - Pożółkle od nikotyny palce Appleby'ego zapaliły nowego papierosa od niedopałka starego.

- Bardzo śmieszne, Appleby. Ale tak naprawdę to nie jest „moja” zbrodnia, jak pan to czarująco ujął. Fak-

tycznie jest czyjaś inna. - Jury żałował, że przydzielili mu lekarza policyjnego-mądralę. Podejrzał, że Appleby doskonale, choć nieco perwersyjnie, się bawi. W końcu jak często wzywają go do czegoś innego niż odra, sprawy kobiece czy wrzody?

Doktor Appleby sapnął, miał już gotową odpowiedź:

- Tak, „czyjaś inna”. Ale pozostaje pytanie: czyja? Liczba mieszkańców okolicy systematycznie się zmniejsza. - Doktor strzepnął popiół do rozkopanego wzgórka.

Zwłoki, zawinięte w polietylenową płachtę, żeby zapobiec utracie przedmiotów, jakie ofiara miała przy sobie, zostały odniesione do karetki. Człowiek od odcisków palców, z włosami na jeża, pogwizdujący i żujący gumę, miał tu bardzo niewiele do roboty i właśnie wybierał się na plebanię, żeby spojrzeć na pokój Ruby Judd.

- Doktorze Appleby, proszę o fakty.

- Podawałem panu fakty już trzy razy, może pan skorzysta ze starych?

Niecierpliwość Jury'ego rosła.

- Doktorze Appleby...

Appleby westchnął.

- No dobrze. Sądząc po stanie, w jakim jest ciało, dał bym mu od trzech dni do tygodnia. Trochę trudno powie dzieć - zwłoki są dość dobrze zakonserwowane. Równie dobrze mogłyby leżeć w zamrażarce. - Appleby zapalił kolejnego papierosa, a Wiggins, który zapisywał informacje doktora w notesie, skorzystał z okazji, żeby wysiąkać nos i wyciągnąć drażetkę na kaszel z nowego opakowania. Doktor Appleby znudzonym głosem podjął swoją relację:

- Przyczyna śmierci: uduszenie. Może cienką chustką, może pończochą. Wylewy na twarzy i pod powiekami. Innych uszkodzeń nie widzę. Ale, oczywiście, nie wytrzepiemy teraz z rękawa patologa, to nie Londyn. Muszę sam wykonać sekcję. A propos, nie mam nic więcej, co mogłoby

się przydać w sprawie tego Creeda, skoro wie pan już, że został zabity między dziesiątą a południem. Ja z pewnością nie potrafiłbym tego ustalić lepiej.

Zajrzawszy jeszcze do karetki, Appleby zatrzaskał swoją torbę i oddalił się. Po jednej stronie drogi policjanci przeczesywali zimne łąki w poszukiwaniu dalszych dowodów. Jury miał nadzieję, że tam lub w lesie w pobliżu „Koguta i Butelki” znajdzie się jakaś torba, może walizka. Wyobrażał sobie, że ten, kto zamordował dziewczynę, skłonił ją do spakowania rzeczy, może pod pretekstem namiętnego weekendu (co wskazywałoby na mężczyznę). Wiedząc, że przynajmniej przez kilka dni nie będą mu zadawać pytań, Appleby orzekł, że nie ma śladów „penetracji seksualnej”, ale nie potrafił powiedzieć Jury'emu, czy dziewczyna jest w ciąży, dopóki nie zrobi sekcji zwłok. To mogło stanowić słaby, bardzo słaby ślad. Ale Jury miał rację co do jednego: Ruby Judd nie była tu kimś obcym.

Gdy Jury wreszcie wspiął się na wzgórze do pubu „Pod Kogutem i Butelką”, Melrose Plant siedział przy barze nad małym guinnessem. Krzepki właściciel nazwiskiem Keeble gadał oparty o ladę. Ocierał przy tym spocną twarz ścierką, bardzo przejęty. Jego żona natomiast, która właśnie wyszła z drzwi po prawej stronie baru, miała kamienną twarz i suche oczy.

Plant zaproponował Jury'emu papierosa ze swojej złotej papierośnicy, a Jury przyjął go z wdzięcznością.

- Co może mi pan powiedzieć o tej młodej kobiecie, panie Keeble?

- Cóż, jak właśnie mówiłem panu sierżantowi - wskazał Wigginsa, którego notes leżał otwarty na ladzie, obok nieodłącznej chusteczki - rzadko kiedy widywałem tę Ruby, może raz czy dwa w jakimś sklepie, więc nie przy-



dam wam się zbytnio. Tu od dawna trwały roboty nad tym „śpiącym policjantem”.

Pani Keeble wtrącała, jakie to niekorzystne dla interesu, wiecznie rozbabrana droga.

- A kiedy robotnicy skończyli pracę?

Keeble myślał z wysiłkiem.

- Chwileczkę, zaraz powiem panu dokładnie - tak, to było po południu piętnastego. We wtorek minął tydzień. Pa miętam, bo następnego wieczoru mieliśmy to duże przyjęcie, z kolacją, i byłem zadowolony, że droga nie jest już rozkopana. - Uczcił swoją rolę w okropnym wydarzeniu, nalewając sobie piwa; jego żona skrzywiła się z dezaprobatą. - Potem jeden z robotników jeszcze wrócił tamtego dnia, żeby do końca robotę. Wieczorem we wtorek piętnastego.

Wtorek był dniem, kiedy Ruby wyjechała, rzekomo, żeby odwiedzić rodzinę w Weatherington.

Gdy Keeble wspomniał o przyjęciu, Jury nagle poczuł głód. Zwrócił się do właściciela:

- Przekąsilibyśmy coś. Może nam pan coś upichcić? Jest pan głodny, prawda, panie Plant? A wy, sierżancie Wiggins?

Obaj kiwnęli głowami.

- Mamy tylko płastugę - odparła pani Keeble. Plant wydał z siebie jakiś gardłowy dźwięk, ale Wiggins podchwycił szybko:

- Poprosimy z frytkami i groszkiem.

Popatrzyła na nich trzech, jakby to oni przyciągnęli tu ciało tej dziewczyny, tylko po to, by ją narazić na kłopot. Miało się też wrażenie, że rozważa, czy oczekiwać, że Scotland Yard zapłaci, czy uznać podanie posiłku za swój obywatelski obowiązek. Plant zapytał ją, gdy przechodziła przez drzwi kuchenne:

- Czy moglibyśmy dostać butelkę Batard-Montrachet do popicia? - Zagapiła się na niego, on zaś dodał: - Rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt jeden?

Jej usta zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Nie mamy piwnicy z winem; to nie „Savoy”.

Plant przyjrzał się sali i jej nieskomplikowanemu wyposażeniu.

- Dziwne, mógłbym przysiąc...

Jednak pan Keeble, bardziej zainteresowany tym, by im dogodzić, zaproponował:

- A może nalać naszego najlepszego piwa, sir? Na koszt firmy. - Zniżył głos i zerknął w stronę kuchni.

- Miło z pana strony, panie Keeble - powiedział Jury. Przyjął z wdzięcznością piwo i wypił od razu połowę.

Plant opuścił bar i podszedł do okna z przodu pubu. Postąpił chwilę, wyglądając oknem.

- Przez te dęby nie widać tamtego miejsca z żadnego okna.

- To znaczy?

- Raczej nie było szansy, żeby tego robotnika zobaczył ktoś stąd, z pubu. Ani z drogi. Teren jest dość płaski, widoczność na dobre ćwierć mili w każdą stronę. Oczywiście, mamy spadek drogi, tam gdzie jest czarny punkt, ale tak czy inaczej...

- To znaczy, że robotnik nie był tak naprawdę robotnikiem? Tak, piętnastego wieczorem ziemię można było znowu dość łatwo przekopać. A gdyby ktoś go zobaczył, przejeżdżając tędy, wziąłby go za robotnika, który wrócił, żeby coś dokończyć. Mógł nawet pracować bezpiecznie przy świetle latarni.

- Gotowy grób, jakby tylko tam czekał - zauważył Plant. - Jeśli sprawca się odpowiednio przebrał, na przykład miał na głowie czapkę, nikt niczego nie podejrzewał.

- Zawsze ktoś mógł go zobaczyć, jak ciągnie ciało - skąd? - powiedzmy, że spomiędzy tamtych dębów - nie-daleko stamtąd do „śpiącego policjanta”. Ale kto? Stąd

można zobaczyć osobę pracującą na drodze, ale jeśli ciało zostało czymś osłonięte albo ukryte jakoś inaczej, było po prostu za daleko, żeby je rozpoznać.

- A skoro miał na tyle odwagi, żeby przeprowadzić swój plan, mógł też machać do ewentualnych kierowców, żeby omijali pobocze.

- Albo m o g ł a , panie Plant.

- Trudno mi jakoś uwierzyć, żeby to wszystko zrobiła kobieta.

- Ale to możliwe. Kobieta tak samo mogłaby się przebrać za robotnika.

- No tak. Mogła.

Pani Keeble wypadła z hałasem z kuchni i zestawiła jedzenie z tacy na stół. Mężczyźni zajęli sosnowy stolik pod ścianą przy wygasłym kominku. Leżały tam już sztucce, serwetki i trzy białe talerze. Teraz na każdym z nich znajdowała się taka sama porcja ryby, frytek i papkowanego zielonego groszku.

Melrose Plant tylko zerknął i odsunął swój talerz, po czym wrócił po kufel, który Keeble napełnił ponownie. Jury patrzył niepokieszony na rybę usmażoną z całą pewnością w jednej z tych panierek, które można dostać w papierowych torebkach. Tylko Wiggins wsuwał z zachwytem, uderzając w dno butelki, by wytrząsnąć ocet przez maleńkie dziurki.

- Wino - rzekł Plant - będzie tu już za chwilę. Mam tylko nadzieję, że ona będzie pamiętała, żeby pozwolić mu pooddychać.

Wiggins wydał z siebie coś pomiędzy chichotem a rżeniem. Jury był tak nieprzyzwyczajony do jego śmiechu, że początkowo nie miał pewności, co to za dźwięk.

- A propos, sir - zaczął Wiggins z pełnymi ustami - nadinspektor Racer mówił, że ma pan do niego na tychmiast zadzwonić. Powiedziałem mu, że prawie nie

ma pan chwili, żeby usiąść, od kiedy pan tu przyjechał, sir.  
- Sierżant niewątpliwie czuł się winny z powodu tego ranka, który spędził w łóżku, jednak wyszło mu to na dobre; uczyniło go bowiem zdecydowanie bardziej elokwentnym. Pałaszował rybę z frytkami i nawet się nie zawahał, gdy zarówno Plant, jak i Jury zsunęli swoje porcje na jego talerz.

Wtem otworzyły się drzwi frontowe pubu „Pod Kogutem i Butelką” i weszło trzech mężczyzn, z których jednym był komisarz Pratt. Jury westchnął, bo na miłą potrafił wyczuć dziennikarzy.

Oni równie sprawnie potrafili wyczuwać policjantów. Podeszli do nich. Fotograf pstrykał na prawo i lewo różne ujęcia baru, jakby to była modelka pozująca mu we frywolnych pozach.

- Pan to na pewno główny inspektor Jury z wydziału kryminalnego. Ja jestem z „Weatherington Chronicle”.

Płotki, pomyślał Jury, nietrudno będzie się ich pozbyć. Drugi mężczyzna nie zadbał o to, by się przedstawić, stał tylko z notesem i ołówkiem w pogotowiu. Obaj zadali standardowe pytania i otrzymali standardowe odpowiedzi. Nie, policja nie ma jeszcze podejrzanego, ale śledztwo jest w toku... Jury pomyślał, że mógłby kazać sobie to wyryć na nagrobku: *Śledztwo w toku*. Tak, będą mogli powiedzieć coś prasie za dzień lub dwa. Jeden z dziennikarzy uczynił złośliwą uwagę na temat tego, że Jury w tej szczególnej chwili pije sobie piwo, czym sprowokował gniewną reakcję Pratta: gdyby pracowali choćby w polowie tak ciężko jak główny inspektor, nie mieliby czasu zadawać głupich pytań. Wreszcie ekipa prasowa spakowała manatki i wyszła, powiewając połami płaszczy.

Jury przedstawił Melrose'a komisarzowi.

- To pan Plant znalazł zwłoki.

- Niech pan sobie tylko wyobrazi - powiedział Melrose - jak tę wiadomość przyjmie ciotka Agatha. Całkiem jej to zepsuje święta.

Gdy zamierzali już opuścić „Koguta i Butelkę”, wyrósł przed nimi posterunkowy Pluck z dumą prezentujący znalezisko, które położył na stoliku przed Jurym.

Była to ciemnoniebieska, tania winylowa walizeczka, w rodzaju takich, które zawierają zwykle kosmetyki i koszule nocne. Wysuwana plastikowa tacka ukazała buteleczki i słoiczki. Na spodzie walizki znajdowała się tylko czysta bielizna, koszula nocna i bluzka oraz tandetne wiszące kolczyki. Jury wyjął ubrania, zajrzał do słoiczków, powąchał buteleczki.

- Nic więcej nie leżało w lesie?

Pluck potrząsnął głową.

- Nie, sir. Walizka była zamknięta. Ukryto ją pod stertą mokrych liści i gałęzi.

- Bardzo dobrze. Zobacz, czy uda ci się dotrzeć do rodziny Juddów. Chciałbym z nimi dziś wieczorem porozmawiać, a gdy wrócę, może być bardzo późno. Choć i tak nie sądzę, żeby dzisiaj dużo spali.

- Nie rozumiem - powiedział pastor, któremu jakby jeszcze przybyło siwych włosów. - Czemu ktoś chciałby zabić tę biedną, niewinną dziewczynę? Nie miała chyba więcej niż dwadzieścia lat.

- Miała dwadzieścia cztery, pastorze Smith. I może nie była aż tak niewinna, jak chcielibyśmy wierzyć. Teraz chodzi o to, że być może będziemy musieli wrócić do niektórych spraw jeszcze raz; jej zabójstwo rzuca na nie całkiem inne światło. - Funkcjonariusz od odcisków palców był na górze, przystąpił do pracy po odejściu fotografów, ale Jury wiedział, że to się na nic nie zda.

Przypuszczał, że kiedy pani Gaunt sprząta, robi to dokładnie, a sprzątała w pokoju Ruby kilka dni temu. Technik od odcisków zszedł z hałasem po schodach, z walizeczką w rękę; stwierdził, że na górze nie ma żadnego odcisku zasługującego na uwagę, wszędzie są tylko identyczne kobiece - prawdopodobnie pani Gaunt, i męskie - być może samego Jury'ego, który badał pokój. Czy odciski palców Jury'ego znajdują się w kartotece? Policjant zachichotał.

- Tak jak panu mówiłem wcześniej, inspektorze - po wiedział wielebny Smith - to Daphne Murch podesłała mi tę dziewczynę. Chyba się przyjaźniły. Jeśli ktokolwiek będzie wiedział, dlaczego wyjechała, to chyba Daphne.

Pastor nalał sobie kieliszek porto i zaproponował to samo Jury'emu i Wigginsowi, ale obaj odmówili. Potem odchylił się na oparcie fotela i Jury przypuszczał, że próbuje przyzwyczaić się do myśli o śmierci swojej pokojówki. Smith jednak powiedział:

- „Pod Kogutem i Butelką”: większość ludzi sądzi, że słowo *cock*, kogut, to zniekształcone słowo *cork*, korek, co miałyby w tym kontekście większy sens. Ale nie. *Cock* to słowo, którego używano do określenia kraniku, takiego przy beczce. A więc tak naprawdę to słowo miało reklamować piwo z beczki, a butelka symbolizować piwo butelkowane. - Potem zaczerwienił się, widocznie uświadomiwszy sobie, że to nie pora na zgłębianie wiedzy o szyldach. - Pomyśleć, że te wszystkie morderstwa prowadziły właśnie do tego: do zabójstwa tej biednej dziewczyny.

- Prowadziły? - zapytał Jury. - Nie, myślę, że źle pan to zrozumiał, pastorze. Ruby została zamordowana p r z e d wszystkimi innymi. Oczywiście, nie twierdzę, że nie ma żadnych powiązań.

Wiggins wygrzebał z kieszeni papierosy tkwiące wśród pudełeczek z pastylkami do ssania, drażetkami na kaszel i kroplami do nosa, i podał je Jury'emu.

- Czy kiedykolwiek przyszło panu na myśl, że Ruby wie coś o kimś z miasteczka, a ten ktoś nie chciałby, żeby o tym wiedziano? - spytał inspektor.

- Sugeruje pan s z a n t a ż ?

Jury nie odpowiedział.

- Nie. Sporo trajkotała, ale ja nie zawsze słuchałem. Chociaż były jakieś plotki - naturalnie, nie słucham plotek - o Ruby i Marshallu Truebloodzie.

- M a r s h a l l u T r u e b l o o d z i e ? Jury i Wiggins wymienili niedowierzające spojrzenia, a Wiggins niemal się zakrztusił. Jury powiedział:

- Pastorze, nie sądzę. Trueblood jest homoseksualistą.

Pastor, zadowolony, że może wykazać się obyciem w tych sprawach, odparł:

- Ale może być tym, co się nazywa biseksualistą, inspektorze.

Była to prawda, a Trueblood istotnie dawał to po sobie poznać.

- Ale nie wie pan tego na pewno?

Pastor pokręcił głową.

- A w dniu, gdy Ruby wyjechała, nie wydawała się przypadkiem szczególnie podekscytowana, czy coś w tym rodzaju?

Pastor znów pokręcił głową.

Ponieważ Jury rozmawiał już z panią Gaunt i odkrył, że ona także nie wie nic o jakimś niezwykłym zachowaniu Ruby, doszedł do wniosku, że wyciągnął od nich wszystko, co mógł. Musiało mu to, przynajmniej na razie, wystarczyć. Jury wstał, a Wiggins zamknął notes.

Na dworze Jury zapytał Wigginsa, czy mógłby pojechać pierwszy do Weatherington i przygotować rodzinę

Juddów na jego wizytę. Bez względu na to, jak bolesne mogło to być dla rodziców Ruby, musiał porozmawiać z nimi jeszcze dziś wieczorem.

Gdy Jury wszedł do baru „Pod Huncwotem”, zastał Twiga w skórzanym fartuchu, polerującego szklanki. Ze znużeniem wsunął się na jeden z dębowych stołków i poprosił o whisky. W ukośnie ciętym lustrze zobaczył tylko jeszcze jedną klientkę - kobietę w średnim wieku, która, jak się zdawało, zaznaczała typy na kuponie wyścigów konnych.

- Gdzie jest pan Matchett, Twig?
- W jadalni na drinku przed kolacją, sir. Jury zaczął się podnosić.
- Z panną Vivian, sir.

Jury usiadł z powrotem. Wpatrywał się w bursztynowy płyn w szklance. Jest policjantem. Powinien tam być i zadawać pytania.

Zmusił się, żeby wziąć szklankę i przejść do jadalni.

Początkowo myślał, że jest pusta. Na pewno była ciemna - oświetlona tylko lampkami o czerwonych kloszach, których światło migotało na stołach i odbijało się na ścianach. Jury stanął w głębokim cieniu koło drzwi. Wtedy ich zobaczył, Simona Matchetta i Vivian. Byli niemal ukryci za kamiennym wspornikiem jednej z wnęk. Widział tylko profil Vivian i dłoń Matchetta, która spoczywała na jej przegubie.

Stał naprawdę całkiem blisko nich, nie więcej niż jakieś dwadzieścia stóp. Próbował poruszyć stopami, żeby przebyć tę krótką odległość, podejść i zacząć zadawać pytania. Ale nie zrobił tego. W tej chwili zrozumiał sens zwrotu „stał jak wmurowany”.

Teraz Matchett pochylał się w kierunku Vivian, a ręka, która otaczała jej przegub, sięgnęła przez plecy i spoczęła na oparciu krzesła.



Jury przesunął się w cieniu, nieco poza drzwi, gotów (jeśli zaistnieje potrzeba) udawać, że dopiero wszedł do sali, gdyby przypadkiem któreś z nich się odwróciło i zobaczyło go.

W chwili, gdy się tam pojawił, panowało zupełne milczenie - to było jak żywy obraz. Później uchwycił strzępek czegoś, co mówił Matchett:

- ...tu, gdzie mieszkamy, kochanie.

Jury stał bez ruchu w cieniu, ściskając swoją szklankę.

- ...nie mogłabym tu mieszkać, Simon. Już nie. Nie po tym wszystkim. A teraz - jeszcze biedna Ruby Judd. Mój Boże!

Vivian owinęła się szczelniej swetrem. Matchett jej pomógł, a potem położył dłoń na ramieniu kobiety.

- Dobry Boże, kochana! Ja też bym nie mógł. Musisz stąd natychmiast wyjechać. Powinienem powiedzieć: m y musimy. Zbyt wiele tu nieprzyjemnych wspomnień dla nas obojga. Vivian, kochanie... - Przesunął palce z jej karku w górę, ku włosom, gdzie zaplątały się w pułapkę ich złotawobrazowych pasm.

- Irlandia. Pojedziemy do Irlandii, Viv. To idealne miejsce dla ciebie. Byłaś kiedyś w Sligo?

Potrząsnęła głową, nie podnosząc wzroku.

- No to musimy tam pojechać - ten kraj jest dla ciebie stworzony. To dziwne, ale nic nie może zakłócić tam tejszego spokoju, nawet ta ich bezustanna wojna. Wciąż jest to jedno z najspokojniejszych miejsc na ziemi.

Oparła skrzyżowane ramiona na stole i rzuciła mu głębokie spojrzenie.

- Za dużo w tobie życia na takie miejsce jak Irlandia. Chyba że masz zamiar wstąpić do IRA.

Jego ręka przesunęła się z jej włosów powoli w dół, teraz jeden palec obrysowywał zaokrąglenie policzka.

- Bzdury. Pragnę spokoju tak samo jak ty, moja droga. Chcę siedzieć w wielkim pokoju, przy ogniu bucha-

jącym w kominku, z parą chartów u stóp. Posłuchaj, ten lokal pójdzie za bardzo dobrą cenę i będę mógł kupić coś tam na miejscu - może pub. Albo zostanę przemytnikiem broni, czymkolwiek, żebyśmy tylko mieli z czego żyć. Nastąpiła chwila ciszy.

- Nie sądzę, żebyśmy się musieli zbytnio martwić o utrzymanie.

Ręka przy jej twarzy opadła na ramię, a potem z powrotem na stół.

- Zrezygnuj, Vivian.

- Z czego?

- Z tych pieniędzy. Oddaj je na cele dobroczynne, czy coś. Nie potrzebujesz ich i ja ich nie potrzebuję, widzę, że są one tylko źródłem nieszczęścia, przynajmniej dla mnie. Mój Boże, i w dodatku nie pozwolisz mi nikomu o nas powiedzieć. Nawet świąt nie spędzasz ze mną!

Roześmiała się.

- Och, Simon, nie bądź dziecinny. - Zamknęła jego dłoń w swojej. - Obiecałam Melrose'owi całe wieki temu...

- To chyba jedyny znany ci mężczyzna, co do którego masz pewność, że nie jest łowcą posagów. Gdybym miał połowę jego pieniędzy, wyszłabyś za mnie jutro - powiedział Matchett z goryczą.

Próbujący wtopić się w ciemność Jury miał nierzewiste wrażenie, że ogląda przedstawienie w teatrze jednego widza.

- Bóg mi świadkiem, nie dziwię ci się, że masz takie wątpliwości - mówił Simon - zwłaszcza po tym okropnym dzieciństwie. Szczerze mówiąc, uważam, że lepiej by było dla ciebie, gdybyś uwolniła się od Isabel.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś miał coś przeciwko Isabel.

- Nie o to chodzi, że mam coś p r z e c i w k o niej, po prostu uważam, że powinnaś się jej pozbyć. Ona przypomina ci o dawnej tragedii. I nie jestem pewien, czy jej nie wyolbrzymia. Myślisz, że tyle jej zawdzięczasz. Kochanie - nikomu niczego nie zawdzięczasz, do licha. Jeśli nie chcesz za mnie wyjść, to chociaż zostań ze mną. Mieszkaj ze mną. Wtedy twoje pieniądze będą na zawsze poza moim zasięgiem...

Vivian była teraz na granicy śmiechu i lez.

- Posłuchaj, kochana. Kupimy tam sobie jakiś zrujnowany zamek. Wyobrażasz sobie, czym będzie Irlandia dla twojego pisania? Nie będę ci przeszkadzał. Będę się włóczył z cholernymi chartami, siedział w pubie, gdziekolwiek - bylebym tylko wiedział, że mam cię przy sobie. To kraj Yeatsa. Kupię ci wieżę, jak Yeats swojej żonie. Choć muszę powiedzieć, że cieszę się, że nie masz na imię George.

Teraz już n a p r a w d ę się śmiała.

- Jak on to pisał? „To wieża dla mej żony, George, / i niech ten zamek trwa na ziemi, / gdy wszystko inne w proch się zmieni...”

- Pięknie - rzekła Vivian. - Ale on nie był w niej bardzo zakochany, prawda? Czy to nie Maud Gonne kochał naprawdę?

- Przepraszam. A więc przypominasz mi Maud Gonne. Nie starą George.

Roześmiała się.

- Jakiś ty ustepliwy.

- Maud Gonne. A może Beatrycze? Albo Jane Seymour - czy to nie była ta, którą kochał Henryk Ósmy?

- Chyba tak. Na pewno jedna z niewielu, których nie zabił.

- Mniejsza o to. Przypominasz mi Kleopatę...

- To chyba już przesada.

- Nie, jeśli chodzi o ciebie. I Dydonę - ach! Dydona, królowa Kartaginy. Pamiętasz, co powiedziała, gdy po raz pierwszy ujrzała Eneasza?

- Ze wstydem przyznaję, że nie. Obsadzasz siebie w roli Eneasza?

- Oczywiście. *Agnosco ueteris uestigia flammae*. Czyli...

- „Znów czuję - odezwał się Jury, patrząc Vivian prosto w oczy i stawiając z rozmachem swoją szklankę na stoliku - iskrę dawnego płomienia”.

Wpatrywali się w niego z otwartymi ustami. Potem wykrzyknęły chórem:

- Inspektor Jury!

- Przepraszam, nie chciałem się tak do państwa podkraść. Byliście szalenie... pochłonięci rozmową.

Vivian zaśmiała się krótko.

- Niech pan nie przeprasza! Trochę mnie przytłacza obecność tak uczonych mężów. Prosimy, niech pan siada.

Jury odsunął dla siebie krzesło i zapalił papierosa.

- Nie jestem uczony. To po prostu wspaniały wers z *Eneidy* Wergiliusza, i tyle. Który mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógłby się temu oprzeć?

- Lub kobieta, inspektorze. - Uśmiechnęła się do niego, ale odwrócił wzrok. - To piękny wers.

- Cóż, brakuje nam czasu, żeby się zajmować pięknem, prawda? - rzucił, nieco zbyt energicznie odsuwając od siebie sztucę. - Mamy kolejne morderstwo. Może już państwo słyszeli. Wieści błyskawicznie się rozchodzą.

Zobaczył, że Vivian szybko odwraca wzrok i wbija go w obrus, jak skarcone dziecko.

- Ruby Judd - powiedziała tylko bardzo słabym głosem.

- Tak, Ruby Judd.

- Właśnie o tym rozmawialiśmy - oznajmił Mat-chett.

O, doprawdy? - pomyślał Jury.

- Zamierzamy zjeść kolację, inspektorze. Dołączy pan do nas?

- Tak. Dziękuję.

Twig, który wszedł do jadalni, został wysłany po sałatę.

- Isabel poszła do Bicester-Strachanów - oznajmiła Vivian. - Nie chciałam zostać w domu sama. - Wpatrywała się w kamienną kolumnę za krzesłem Matchetta, jakby na jej starej powierzchni było wypisane jakieś ostrzeżenie. - Chyba się tego spodziewaliśmy.

- Czego? - zapytał Jury zaskoczony. - Że Ruby Judd może zostać zabita?

- Nie. Ale że w końcu padnie na kogoś z Long Piddleton. Czyżbyśmy naprawdę wierzyli, że są to tylko bezcelowe zabójstwa?

- Nie wiem. Wierzyli państwo?

Wyglądała na zdziwioną - czemu trudno się było dziwić - tym zgryźliwym tonem. Cóż, jej związek z Matchettem to przecież nie jego sprawa. Matchett nalał hojną porcję białego medoca do wielkiego kieliszka Vivian; Jury odmówił.

Matchett zwrócił się do Vivian z uśmiechem:

- Mów za siebie. Myślę, że większość z nas w to właśnie wierzyła - że były bezcelowe. Dlaczego, u licha, ktoś chciałby skrzywdzić Ruby Judd? Byłaby ostatnią osobą, o której bym pomyślał.

Twig wniósł sałatę. Jury wywnioskował ze słów Matchetta, że ma on własną koncepcję przydatności społecznej ofiar: jeśli ktoś już ma zamiar popełnić morderstwo, powinien wybierać grube ryby, a nie wieśniaków.

Twig postawił drewnianą misę z sałatą, mniejsze talerzyki i buteleczki z oliwą. Gdy zaczął wyciskać na

zieleninę sok z cytryny, Matchett podniósł się ze słowami:

- Ja to zrobię, Twig. - Fachowo nakapał oliwy do misy i zaczął mieszać zawartość drewnianym widelcem i łyżką.

- Gdzie państwo byli we wtorek, tydzień temu, wieczorem?

Matchett spokojnie rozbijał jajko nad sałatą, ale Vivian z niejakim zdenerwowaniem odpowiedziała:

- W domu... nie pamiętam... Simon?

Czy Simon był też jej pamięcią?

Matchett potrząsnął głową.

- Nie potrafię tak od razu powiedzieć. Zaraz, proszę poczekać. To było dwa dni przed zamordowaniem tego Smalla... - Widelec i łyżka zawisły w powietrzu. - Byłem tutaj, pamiętam, całe popołudnie i wieczór.

- Ja musiałam być w domu - rzekła Vivian niepewnie. - Zdaje się, że wpadł Oliver.

Jury zauważył grymas Matchetta.

- Czy pan nigdy nie schodzi z dyżuru, inspektorze? - Simon stał świeży ser na sałatę i wrzucił do niej garść grzaneczek.

- Zszedłbym, gdyby tylko nasz morderca uczynił to samo.

Matchett nałożył sałatę na talerze. Gdy Jury jej spróbował, stwierdził, że jest wyśmienita. Pewnie niewielu znalazłoby się mężczyzn, którzy potrafiliby dyskutować o niedawnym morderstwie, mieszać sałatę Cezara i być wybrankiem tej uroczej istoty, Vivian Rivington. Kimkolwiek ten facet był, nie był Simonem prostaczkiem.

- Daphne, porozmawiajmy o Ruby Judd.

Godzinę później Jury siedział z Daphne Murch przy tym samym stole w jadalni. Matchett wyszedł, żeby odwiedzić Vivian Rivington do domu.

Daphne zgmiotła i wyrzuciła całą kieszeń chusteczek, które zmoczyła łzami, od chwili gdy Jury powiedział jej o Ruby.

- Przyjaźniłyście się, prawda? O ile wiem, to ty załatwiłaś jej pracę na plebanii? - Jury wyjął zdjęcie z portfela i położył je między nimi na stole. Była to standardowa, nieruchoma poza. Ruby miała długie czarne włosy, ładną bezmyślną twarz. Drugie zdjęcie ukazywało więcej sylwetki, hojnie wyposażonej: duże piersi, wypychające zbyt ciasny sweter, i zgrabne nogi. Usta dziewczyny ułożone były w ten niezbyt ładny grymas, który tworzy się od patrzenia zmrużonymi oczyma w słońce. Twarz była na wpół ukryta w cieniu.

- Tak, sir. To ja - Daphne odrzuciła wilgotne loki z czoła, które lśniło od nerwowego potu. Twarz miała opuchniętą i czerwoną od płaczu.

- Jak długo ją znałaś, Daphne?

- Och, od lat. Poznałyśmy się w szkole. Byłyśmy w jednej klasie. Wie pan, ja pochodzę z Weatherington. Gdy pokojówka pastora wyszła za mąż i została mu tylko ta pani Gaunt z miasteczka - stara sztywniaczka - zapytałam go, czy chciałby nową dziewczynę, bo znam jedną bez pracy, bardzo robotną. Powiedział, żeby ją przysłać. - Daphne opuściła wzrok na swoje buty i dodała dość słabo: - Pewnie powinnam to lepiej przemyśleć, sir. To znaczy, sir, chodzi o to, że ona nie była najbardziej odpowiedzialną osobą na świecie. - I uderzyła się dłonią w usta, bo powiedziała coś złego o zmarłej.

- Co masz na myśli, mówiąc, że była nieodpowiedzialna? - Jury zauważył, że Twig z wielkim zapałem

poleruje kryształowe kielichy; zajmował się tym już od pięciu minut.

Daphne zniżyła głos:

- Widzi pan, Ruby już parę razy wpadała w tarapaty.

- Jakie? - Ponieważ na twarz kelnerki wypłynął rumieniec, Jury był w pełni świadom, że tarapaty musiały być natury erotycznej. Dziewczyna nie zdołała jednak wykrztusić słowa, więc pomógł jej: - Czy Ruby była w ciąży?

- Och, nie, sir. To znaczy, o ile wiem. Nigdy mi o tym nie mówiła. Ale... no, kiedyś była. Raz. Może nawet więcej niż raz. - Daphne wyglądała niemal tak, jakby sama prowadziła życie pełne zakazanych uciech.

- Miała aborcję, o to chodzi? Może więcej niż jedną?

Daphne kiwnęła niemo głową, rzucając ukradkowe spojrzenie w kierunku Twiga. Ale stary oddalił się, odprowadzany wzrokiem Jury'ego wzdłuż stołów.

- Czasem jednak prawie mi jej żal. Co innego ma zrobić dziewczyna, jeśli nie może liczyć na pomoc rodziny? Rodzina Ruby to stare zgredy. Ona nie śmiałyby im o tym powiedzieć. Gdy była mała, zawsze wysyłali ją do wujka i ciotki. Ciotka Rosie i wujek Will. O wiele lepiej jej było u nich niż u mamy i taty. Oni chyba po prostu chcieli się jej pozbyć.

- Więc ty i Ruby byliście dosyć blisko?

Daphne wytarła nos chusteczką.

- W pewnym sensie. Ale jak mi coś mówiła, to bardziej tak, jakby się ze mną droczyła, chciała, żeby ją wypytywać, chyba nie całkiem mi ufała.

Jury był zadowolony, że dziewczyna potrafi dokonać tak subtelnego rozróżnienia. Większość dziewcząt uważałyby, że aluzje czynione wśród chichotów to objaw największego zaufania.



Daphne ciągnęła:

- Ru by nie chodziła z nikim tutaj, o kim bym wiedziała. Ale zawsze robiła jakieś aluzje, że miała różnych facetów, z którymi... - Daphne zarumieniła się i wygładziła spódniczkę swego czarnego uniformu.

- ...sypiała, to masz na myśli.

Kiwnęła głową; najwyraźniej fakt, że to słowo padło z ust policjanta, czynił je mniej wulgarnym.

- Chodzi o to, że Ruby z a w s z e się tak zachowywała - była skryta. Czy trzeba, czy nie. Ze wszystkiego robiła wielką tajemnicę. Pytała, czy nie chcę wiedzieć, skąd ma nową sukienkę, torebkę czy coś z biżuterii, jakby ktoś w Long Piddleton ją... no, u t r z y m y w a ł . I miała tę złotą bransoletkę, którą stale nosiła zawsze ją miała na sobie - o rany, ale się nad nią trzęsła! Najpierw mówiła, że ktoś ją jej dał, a potem, że znalazła. Nigdy nie było wiadomo, kiedy Ruby mówi prawdę. Do tego jeszcze to, co wyprawiała z panią Gaunt. Ruby nie robiła tego, za co jej płacili. Kiedy miała odkurzać czy sprzątać, zaczynała paplać do pastora, a on jej odpowiadał. Ona udawała, że słucha, a on nie zdawał sobie sprawy, że ona nie pracuje - machała tylko miotełką z piór po jego biurku. Gdy miała zamiatać w kościele, siadała w ławce i czytała magazyn filmowy lub pisała pamiętnik. Czasem nawet lakierowała paznokcie. - Daphne zachichotała.

- Ruby pisała p a m i ę t n i k ? Widziałas go kiedykolwiek?

- O nie, sir. Ona by mi go nie pokazała. Przecież była taka skryta.

Jury zanotował sobie w myśli, żeby Wiggins przepytał panią Gaunt na tę okoliczność.

- Kiedyś Ruby powiedziała coś, co mnie zdziwiło: że ma coś na kogoś w Long Piddleton.

- Tak powiedziała?

Daphne pokiwała głową.

- Domyślasz się, co mogła mieć na myśli?

Daphne pokręciła głową tak stanowczo, że brązowe loczki podskoczyły wokół jej wykrochmalonego białego czepeczka.

- Nie, sir. Byłam bardzo ciekawa, o co jej chodzi, i wiele razy próbowałam to z niej wyciągnąć, ale ona się tylko zaśmiewała i powtarzała, jaka to będzie niespodzianka. Mówiła, że wodzi kogoś za nos i że wszyscy będziemy zdziwieni.

Jury westchnął. Ciężko będzie w przypadku Ruby Judd oddzielić ziarno od plew. Jej „tajemnica” mogła być czymkolwiek, od wiedzy, że jedna z tutejszych dam ma romans z mleczarzem, do... morderstwa.

Weatherington było miastem średniej wielkości, mniej więcej dwa razy większym od Sidbury, które z kolei było dwa razy większe niż Long Piddleton. Leżały w jednakowej odległości od siebie, Sidbury jakieś dziesięć-jedenaście mil na zachód od Long Piddleton, Weatherington kolejne jedenaście na południowy zachód od Sidbury. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zorganizowało w Weatherington jedno ze swoich laboratoriów, żeby wesprzeć prowincjonalną policję. Był tu także niewielki szpital, gdzie Appleby miał pomieszczenie do wykonywania autopsji.

Na posterunku rzucała się w oczy farba oblażąca ze ścian, beżowych z połyskiem. Ale w końcu to miejsce nie miało być w założeniu piękne. Jury przeszedł do pokoju przesłuchań, minawszy centralę telefoniczną, gdzie dyżurowała kobieta o babciowatym wyglądzie robiąca na drutach czerwony szalik. W pokoju przesłuchań siedział oficer dyżurny, schylony nad książką pod jednym z żółtych napisów: „Nie przeszkadzać”. Jury często się zasta-

nawiał, kto chciałby przyjść do takiego miejsca tylko po to, by się tu snuć bez celu. Mijał lady i szafki, z których wylewały się stosy dokumentów, i ludzi, którzy zdawali się poświęcać większość czasu na przenoszenie z miejsca na miejsce maszyn do pisania, jak ekipa dziennikarzy. Poprosił o telefon do doktora Appleby'ego.

- Nie, nie była - odpowiedział doktor, gdy Jury za pytał go, czy Ruby Judd w chwili śmierci była w ciąży. - Wątpię, czy kiedykolwiek zaszłaby w ciążę. Nie po tym, jak była porozdzierana w środku. Powiedziałbym, że więcej niż jedna aborcja, z pewnością. Kilka lat temu.

W pewnym sensie Jury poczuł ulgę. Gdyby była w ciąży, musiałby pewnie zacząć poszukiwania jakiegoś kochanka, który nie chciał się żenić, a który byłby skompromitowany, gdyby Ruby zaczęła o tym paplać. Takie wyjaśnienie jej śmierci z pewnością oddzieliłoby zabójstwo dziewczyny od innych. Pastor się mylił, pomyślał Jury: pozostałe morderstwa nie prowadziły do morderstwa Ruby; one musiały prowadzić do niego.

- Dziękuję, doktorze Appleby. Przepraszam, że musiałem do pana zadzwonić tak późno.

- Późno? Jest dopiero wpół do jedenastej. My, chłopcy z prowincji, pracujemy całą dobę. - Appleby zachichotał i rozłączył się.

Jury podszedł do posterunkowego przy biurku. O tej porze było tu przynajmniej tuzin ludzi, chętnych, by wziąć udział w przedstawieniu, i zachwyconych, że pojawił się Jury.

- Nie ma komisarza, prawda?

- Nie, sir.

- Czy macie akta dotyczące sprawy Celii Matchett? Z tego pubu w Dartmouth, wiele lat temu?

- Tak, sir, proszę poczekać chwileczkę, ja zaraz...

- To nie takie pilne. Muszę pojechać do rodziny Juddów, więc odbiorę je, gdy będę wracał. - Jury zwró-

cił się do Wigginsa, który zgarniał swój notes i ołówki: -  
Dzwoniłeś do Juddów? Wiggins przytaknął.

- Więc chodźmy.

Państwo Judd mieszkali w nowszej dzielnicy Weatherington, na osiedlu identycznych bungalowów z cegły, nie do odróżnienia w nocy, a prawdopodobnie też w dzień. Może były odrobinę bardziej estetyczne niż szare budynki komunalne po drugiej stronie miasta, ale tylko odrobinę. Weatherington nie było atrakcyjne. Zostało zaprojektowane jako jedno z „miast-ogrodów”, a potem fundusze musiały gdzieś wycieknąć albo zostać przekierowane do innych nieestetycznych projektów. Efektem była bezkształtna masa budynków, bez określonego stylu.

Po ciemku w ogródku przed bungalowem Juddów Jury z trudem rozróżnił zarysy elementów dekoracyjnych, prawdopodobnie gipsowych gęsi i kaczek, teraz prawie całkiem skrytych pod śniegiem.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Stanowiła bardziej kościstą wersję Ruby, jeśli zdjęcie Ruby było wierną podobizną. To musi być siostra, pomyślał Jury.

- Tak?

Jej głos był nosowy, a udawanie, że nie wie, kim on jest, przypomniało mu Lorraine Bicester-Strachan. Tyle tylko, że panna Judd nie miała odpowiedniego wyglądu, żeby stanąć na wysokości takiego zadania.

- Panna Judd, prawda?

Kiwnęła głową, przy czym udało jej się utrzymać w górze nos, który i tak tkwił dość wysoko na chudej twarzy.

- Inspektor Richard Jury, panienko, wydział kryminalny. I sierżant Wiggins.

Wiggins uchylił czapki.

- O ile wiem, sierżant Wiggins dzwonił do państwa, że przyjdziemy.

Usunęła się na bok. Przechodząc obok niej z Wigginsem do ciemnego korytarza, Jury zauważył, że dziewczyna nie wygląda specjalnie na kogoś, kto jest w żałobie. Nie padła też propozycja zabrania od nich płaszczy, więc Jury przerzucił swój przez balustradę schodów.

- Tam - powiedziała tylko, wskazując pokój na końcu wąskiego, ciemnego korytarza na tyłach domu.

Prawdopodobnie tylny salon, ponieważ frontowy był nieoświetlony. Oszczędzany na niedzielny podwieczorek. W rogu pokoju stała byle jaka choinka, ozdobiona błyskotkami. Jej podstawa owinięta była sztucznym śniegiem.

Pod ścianą, podgrzewani elektrycznym kominkiem i grzejnikami, siedzieli państwo Judd, z niewiarygodnie suchymi oczyma.

Pani Judd, korpulentna kobieta, która, mówiąc, prawie nie podnosiła wzroku znad robótki ręcznej, a nawet wtedy brzmiało to, jakby Ruby była córką kogoś innego, zauważyła:

- To straszne, pomyśleć, że człowiek urabia sobie dla nich ręce po łokcie, a one tak się odpłacają.

Jury'emu trudno było nad sobą zapanować w obliczu takiej bezduszności.

- Wątpię, czy pani córka szukała dla siebie takiego losu, pani Judd. Nie sądzę, żeby chciała zakończyć życie w rowie. - Uczynił odpowiedź tak chłodną, jak odebranie przez panią Judd wiadomości o śmierci córki.

Pan Judd nic na to nie powiedział; przełykał tylko głośno ślinę. Był z tych, którzy zostawiają prowadzenie rozmowy żonie.

- Od małego, nie szło jej kontrolować. Jedyna, która mogła coś z Ruby zwojować, to była ciotka Rosie - siostra Jacka. Jak już nie mogliśmy sobie z nią dać rady,

posłaliśmy ją do Devon. A kiedy dorosła, pojawiała się i znikwała z naszego życia, jakbyśmy nie byli jej rodziną, co dopiero rodzicami. Nigdy nie przysłała do domu złamanego pensa, nigdy nie płaciła za swoje utrzymanie w te miesiące, co nie pracowała. Żyła u nas za darmo. Nie tak jak nasza Merriweather... - Tu matka uśmiechnęła się czule do chudej tyczki czytającej czasopismo filmowe przy kominku elektrycznym.

Merriweather uśmiechnęła się sztywno, a potem usiłowała przywołać na twarz wyraz smutku z powodu śmierci siostry. Nawet mięła w ręce chusteczkę, żeby otrzeć łzy, które nie chciały lecieć.

- Nasza Merry nigdy nie przysporzyła nam jednej bezsennej nocy. - Pani Judd zakotyła się i spojrzała z satysfakcją na dziewczynę, a druty stuknęły jeden o drugi. Judd, w podkoszulku i szelkach, wreszcie się wtrącił:

- Nie gadaj źle o zmarłych, mamuśka. To nie po chrześcijańsku.

Jury nigdy nie widział takiej obojętności wobec śmierci dziecka. Nawet nie śmierci, m o r d e r s t w a . Żadne z Juddów nie wykazywało najmniejszego zainteresowania okropnymi okolicznościami towarzyszącymi śmierci ich córki. No cóż, do diabła z tym. Będzie miał łatwiejsze zadanie. Żadnych kondolencji, żadnego modulowania głosu i oględnego formułowania pytań, żeby uszanować zranione uczucia.

- Pani Judd, kiedy ostatni raz widziała pani córkę? - Wiggins wyjął notes i pudełko pastylek z lukrecji. Zaczął ssać i stenografować, pani Judd natomiast odłożyła robótkę i spojrzała w sufit, zastanawiając się nad odpowiedzią.

^ To było chyba... zaraz, dzisiaj jest czwartek... w zeszły piątek minął tydzień. Tak, pamiętam, bo właśnie wróciłam ze sklepu rybnego. Mieli świeżą płastugę i pamiętam, że mówiłam o tym Ruby.

- Zdawało mi się, że pani mówiła, że rzadko się widywaliście. A to tylko niecałe dwa tygodnie temu. Załedwie kilka dni przed jej śmiercią. Sądzymy, że została zamordowana piętnastego.

- No, ale to było wtedy. Została tylko na noc. Mówiła, że musi wracać w sobotę, bo pastor jej do czegoś potrzebuje.

- Po co przyjechała?

Pani Judd wzruszyła ramionami.

- A kto ją tam wie? Pewnie do jakiegoś chłopaka. Miała ich zbyt wielu, żeby na tym dobrze wyjść, mówię panu. Ten policjant dzisiaj po południu mówił, że Ruby powiedziała ludziom w zeszłym tygodniu, że jedzie w odwiedziny do nas. Też coś. Pojechała z jakimś chłopem.

- Jak widać, nie, pani Judd - odparł Jury, kontrolując głos, ale przynajmniej strzała trafiła w tarczę, bo kobieta poczerwieniała. - Podobała się mężczyznom, prawda?

- Do tego dużo nie trzeba, panie inspektorze. -I omiotła go spojrzeniem od góry do dołu, jakby powinien to wiedzieć. - Ruby wiecznie się gdzieś szwendała, w te miesiące, gdy mieszkała w domu. A Merriweather...

Ale Jury nie był zainteresowany idealną Merriweather Judd, z jej trójkątną twarzą i kędzierzawą fryzurą. Gdy złapała spojrzenie Jury'ego, przyłożyła do oczu chusteczkę.

- Wobec tego gdzie była Ruby, zanim przyjechała, by zamieszkać z państwem? To znaczy, gdzie pracowała ostatnio?

- W Londynie. Niech pan mnie nie pyta, co tam robiła. Mówiła, że pomaga u fryzjerki, ale tak bez żadnego szkolenia?

- Nie wie pani, gdzie tam mieszkała albo kim byli jej znajomi w Londynie? Lub dlaczego wróciła tutaj?

Pani Judd spojrzała na niego, jakby sam był niezbyt świeżą płastugą.

- Mówiłam panu: bo nie miała pieniędzy, żeby żyć, jak się przyzwyczaiła, z fasonem.

- Pewnie nie tylko pomagała u fryzjerki - wtrąciła Merriweather. - Pewnie czerpała pieniądze z innych źródeł.

- Czy panie sugerują, że Ruby zajmowała się prostytutką?

Skutek był elektryzujący. Pani Judd zrobiła się buczkowa i rzuciła robótkę. Merriweather zachłysnęła się. Nawet Judd poruszył się w fotelu.

- To straszne, powiedzieć coś takiego o biednej, zmarłej dziewczynie! - Pani Judd wyszukała papierową chusteczkę w kieszeni fartucha.

Judd poklepał ją po ramieniu.

- Przepraszam, pani Judd. - Zwrócił się do Merriweather: - To przez tę uwagę o pieniądzach, panienko; założyłem, że to ma pani na myśli.

- Bo ona mówiła, że już niedługo będzie żyła dostatnio. Że będzie miała dużo pieniędzy.

Jury skupił uwagę na Merriweather.

- Kiedy to było?

Dziewczyna pośliniła palec i przewróciła kartkę czasopisma.

- Jak tu była. Co mama mówiła. W zeszły piątek minął tydzień. Robiła aluzje do tego i owego, jak zawsze. Ja nigdy nie zwracałam na to większej uwagi.

- Jakie aluzje? - przyciskał ją Jury.

- No, na przykład: „Teraz już będę kupowała ubrania w «Liberty», a nie w «Marksie i Spencerze»". Takie tam głupoty.

- Nic o tym, kto ma jej dać te pieniądze, ani dlaczego?

Merriweather tylko potrząsnęła głową, wpatrzona w czasopismo.



- O ile się orientuję, Ruby prowadziła pamiętnik. Czy ktoś z państwa kiedykolwiek go widziało?

Wszyscy troje pokręcili zgodnie głowami.

- Przyśle jutro oficera, żeby obejrzał jej pokój.

- Już raz go przetrząsali - poskarżyła się pani Judd. - Człowiek mógłby pomyśleć, że będziecie mieć więcej wyczucia. Żeby tak nachodzić biedną rodzinę...

Czuąc kwaśny smak w ustach z powodu tej rażącej hipokryzji, Jury wstał szybko. Wiggins także się podniósł i schował długopis do kieszeni bluzy.

- Ciało córki zostanie państwu wydane, jak tylko do staniemy zgodę z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Pani Judd udało się na koniec odegrać godną uznania scenę. Zapłakała.

- Och, Jack, nasza biedna Ruby. A

Judd zawtórował:

- Cicho, cicho, mamuśka.

Tylko Merriweather zapomniała swojej roli. Gdy odprowadzała policjantów do drzwi, uśmiechała się do zdjęcia Roberta Redforda.

W drodze powrotnej do Long Piddleton Jury zwolnił przed „śpiącym policjantem”, teraz oświetlonym latarniami za wygaszonym „Kogutem i Butelką”. Jeszcze raz zobaczył oczyma wyobraźni ramię Ruby Judd, wystające spod stwardniałej ziemi. Zadrżał i przesunął ręką po twarzy. Z głębi jego umysłu próbowała się wydostać jakaś zabłąkana myśl. Co to było? Wciąż jeszcze starał się wydobyć ją na powierzchnię, gdy uderzył morrisem we front pubu „Pod Huncwotem”.

Jury zasnął tej nocy z aktami sprawy morderstwa Celii Matchett opartymi na piersi.

## 14

25 grudnia, piątek

Gdy się obudził rankiem w Boże Narodzenie, akta leżały na podłodze. Podniósł je i dobrą godzinę przeglądał luźne kartki. Zawartość teczek potwierdzała to, co powiedział mu Matchett. Zarówno on, jak i ta dziewczyna, Harriet Gethvyn-Owen, posiadali alibi - mieli za świadków wszystkich ludzi na widowni. Pokojówka, Daisy Trump, przyniosła Celi Matchett tacę. Jej pani zawołała, żeby wniosła ją do środka (choć zwykle zostawiała tacę koło drzwi) i postawiła na małym stoliku przy drzwiach. Więc Daisy mogła poświadczyć, że widziała wtedy Celię Matchett żywą. W kakao znaleziono narkotyki, i to była jedyna rzecz, której policja nie mogła zrozumieć: po co zwykły złodziejaszek wsypywałby coś do kakao, a potem wracał, żeby okraść jej biuro? Dlaczego nie zaczekał, aż z niego wyszła? Jury zgadzało się, że nie miało to większego sensu. Spojrzał na rysunek przedstawiający biuro. Biurko naprzeciw okna, przy którym siedziała. Drzwi na korytarz naprzeciw biurka. Małe kwadraciki oznaczające stoły, krzesła, sekretarzyk.

Jury włożył papiery z powrotem do teczek. Boże. Dwa dni temu miał do rozwiązania tylko dwa morderstwa. Teraz, w bożonarodzeniowy ranek, ma pięć.

- Jeszcze kawy, sir? - zapytała Daphne, wisząc nad nim i czekając, aż się na coś przyda.

- Nie, dziękuję. Czy Ruby kiedykolwiek wspominała, że była pomocnicą fryzjerki w Londynie?

- Ruby? Dobrze sobie. Ona by się nie zniżyła do czegoś takiego. Miała dobrą robotę. Bardziej jak pozowanie - wie pan, do zdjęć.

Jury pomyślał o Sheili Hogg i jej rzekomej pracy modelki w Soho i zamyślił się. Poprzez te medytacje dobiegł go odległy dzwonek telefonu i już za chwilę wołał go Twig.

- Tu Jury.

- Jestem na posterunku w Long Pidd, sir. - Wiggins zaczął nazywać miasteczko pieszczotliwym zdrobnieniem. Jako tło dźwiękowe służył przenikliwy gwizd Pluckowego czajnika. - Nie ma żadnego pamiętnika w domu Ruby ani na plebanii. - Wiggins przerwał, żeby podziękować Pluckowi za herbatę. - A pani Gaunt - ta kobieta ma chyba serce z kamienia! - mówiła, że często widziała, jak Ruby coś pisze w zeszycie. Twierdzi, że był mały i ciemnoczerwony. Ale się obraziła, gdy ją zapytałem, czy do niego zaglądała! - Wiggins siorbnął herbaty. - Twierdzi, że nie pamięta, kiedy ostatni raz widziała, jak Ruby w nim pisze.

- W porządku. Potrzebuję paru informacji. Po pierwsze: William Bicester-Strachan. Pracował w Ministerstwie Wojny, więc zadzwoń do CI i sprawdź, czy uda ci się czegoś dowiedzieć o jakimś dochodzeniu, w czasie gdy mieszkał w Londynie. Po drugie: niech przejrzą informacje o wypadku, który wydarzył się jakieś dwadzieścia dwa lata temu w Szkocji - dokładnie w Sutherland. Chodzi o człowieka nazwiskiem James Rivington. Jestem szczególnie zainteresowany porą jego śmierci.

- Dobrze, sir. Wesołych świąt. - Wiggins wyłączył się.

Jury siedział czując się lekko zawstydzony. Chyba przez długi czas nie doceniał Wigginsa, który z całą pewnością dobrze się spisywał, jeśli tylko pozwalało mu na to zdrowie. Czy jego biedne zwłoki będą ścisnąć notes razem z chusteczką? Przez lata Jury próbował zwracać się do niego po imieniu, ale z jakiegoś powodu zaciął się na „Al...”. No cóż, Wiggins zawsze był pod ręką, ze swoim długopisem i drażetkami od kaszlu. Prawdopodobnie cieszy się już na kolację bożonarodzeniową z posterunkowym Pluckiem i jego rodziną. A Jury niewątpliwie cieszy się na swoją, z Melrose'em Plantem. I jego rodziną. Ale najpierw będzie musiał wpaść do Darringtona i Marshalla Trueblooda.

- Ta dziewczyna, Ruby Judd, była strasznie ciekawska. Nic dziwnego, że pastor ją lubił, ona potrafiła zagadać człowieka na śmierć. Na pewno nieraz uroczo sobie gawędzili. - W tym momencie Sheila Hogg była już przy trzecim dżinie z tonikiem.

- Gdzie pani ją poznała, Sheilo? - zapytał Jury.

- W sklepie. Zawsze kręciła się koło mnie w nadziei, że może zaproszę ją do domu i będzie mogła spojrzeć na wielkiego pisarza. - Siedziała obok Jury'ego, kiwając nogą w jedwabiu i stopą obutą w aksamitny pantofel pod kolor długiej spódnicy. Ale patrzyła na Olivera - a wyglądała, pomyślał Jury, posepnie, mimo tej ironii.

- I co? - zapytał Jury. - Zaprosiła ją pani?

- O, tak. Kilka razy, niosła mi sprawunki. Latała po całym domu; wydawała ochy i achy, zaglądała za każde drzwi i tak dalej. Mała wścibska - no cóż, już nie żyje.

- A pan, panie Darrington? Czy miał cokolwiek wspólnego z Ruby Judd?

Paauza była minimalna, ale jednak zbyt długa.

- Nie.
- Czyżby, kochanie? - zapytała Sheila. - To dlaczego ona nagle zaczęła być dla mnie nieprzyjemna? Nie pomać się jej sobie przypadkiem od czasu do czasu?
  - Boże, ależ ty jesteś wulgarna, Sheilo!
  - Panie Darrington, to dla nas bardzo ważne, żebyśmy wiedzieli o Ruby Judd jak najwięcej. Czy wie pan coś, co mogłoby pomóc? Na przykład, czy kiedykolwiek wspominała panu coś o kimś w Long Piddleton, co mogło być powodem do szantażu?
    - Nie wiem, o czym pan, do cholery, mówi. - Popchnął swój niemal pusty kieliszek w stronę Sheili. - Należ mi jeszcze drinka.
    - Gdzie byliście państwo we wtorek tydzień temu? W ten wieczór przed kolacją „Pod Huncwotem”?
      - Oliver opuścił rękę, która trzymała kieliszek; patrzył na Jury'ego oczami zamglonymi albo dżinem, albo *strachem*.
      - Pewnie teraz pan myśli, że zabiłem Ruby Judd, tak?
      - Muszę sprawdzić, gdzie byli wszyscy ludzie obecni w pubie tego wieczoru, gdy został zamordowany Smali. Z całą pewnością istnieje powiązanie.
    - Stopa Sheili zatrzymała się w powietrzu.
    - Chce pan powiedzieć, że to jedno z nas? Ktoś, kto był tamtego wieczoru „Pod Huncwotem”?
      - Zdecydowanie istnieje taka możliwość. - Jury przenosił spojrzenie z Sheili na Olivera. - Więc gdzie państwo byli?
      - Razem. - Oliver wysączył kieliszek. - Dokładnie tutaj.
- Jury spojrział na Sheilę, która tylko kiwnęła głową, ze wzrokiem utkwionym w Olivera.
  - Jesteście państwo pewni? - zapytał Jury. - Ludzie przeważnie nie mogą sobie od razu przypomnieć, gdzie byli dwa dni wcześniej. A to było ponad tydzień temu.

Oliver nie odpowiedział. Ale zrobiła to Sheila, kierując ku Jury'emu nieco zbyt promienny uśmiech, który przeczył ponurej determinacji w jej głosie:

- Może mi pan wierzyć, skarbie. Wiem, kiedy Oliver tu jest. - Uśmiech zgasł, gdy spojrzała na Darringtona.

- A także; kiedy go nie ma.

Z racji świąt sklep Trueblooda był zamknięty, więc Jury poszedł do jego domu przy głównym placu. Był to uroczy dom o wysoko sklepionym stropie. Elegancko wygięte dębowe belki odchodziły od podstawy i łączyły się na szczycie. Po lewej stronie były dwa równo rozmieszczone okna o szybkach w kształcie rombów.

Trueblood właśnie kończył toaletę (czy można było w jego przypadku nazwać to inaczej?), przygotowując się do kolacji u Bicester-Strachanów.

- Nie przyjdzie pan, stary? Miałby pan dobrą okazję, żeby nas wszystkich razem przepytąć. *Creme de la creme* Long Piddleton. Z wyjątkiem Melrose'a Planta. Jego nikt wołami nie zaciągnie na żadną z imprez u Lorraine. - Poprawił węzeł popielatego jedwabnego krawata.

- Jem kolację u pana Planta. - Jury szukał jakiegoś miejsca do siedzenia, ale każdy fragment umeblowania wyglądał na zbyt drogocenny, żeby unieść jego ciężar. Wreszcie zdecydował się na kozetkę obitą śliwkowym aksamitem. - O ile się orientuję, pani Bicester-Strachan była zainteresowana panem Plantem?

- Zainteresowana? Kochany, ona go kiedyś o mało nie powaliła na podłogę w pubie „Pod Huncwotem”.

- Trueblood wsunął krawat pod kamizelkę, poprawił świetnie skrojoną marynarkę i przyniósł kryształową karafkę, dwa kieliszki do sherry w kształcie tulipanów i miskę obranych orzechów włoskich, które postawił przed Jurym.

- Przypuszczam, że już pan wie o Ruby Judd.
- Boże, tak. Ta, która wymknęła się po kryjomu.

Szkoda.

- Nie było to dokładnie „wymknięcie się po kryjomu”, jak pan mówi. Myślę, że została przez kogoś namówiona. Morderca prawdopodobnie zasugerował jej, by spakowała walizkę, żeby stworzyć pozory. Inaczej nie obyłyby się bez pytań.

- I tak się bez nich nie obędzie, jak widzę. - Trueblood zapalił małe cygaro. - Chce pan wiedzieć, gdzie byłem tego wieczoru. Obojętne, który to był wieczór.

- Tak. Ale to tylko jedno pytanie. Drugie brzmi, co pana łączyło z Ruby Judd?

Trueblood był zaszokowany.

- Ł a c z y ł o ? Pan chyba żartuje. - Skrzyżował nogi w świetnie uszytym garniturze i strząsnął odrobinę popiołu do porcelanowej popielniczki. - Przecież gdybyście wy, starszuszowie ze Scotland Yardu, znaleźli mnie w zaułkach Chelsea z kolczykiem w uchu, zgarnęlibyście mnie, zanimbym zdołał zdjąć sztuczny biust.

Jury zakrztusił się sherry.

- Och, niech pan da spokój, panie Trueblood.

- Proszę mi mówić „Marsha”, jak wszyscy.

Jury nie miał czasu słuchać paplaniny Trueblooda.

- Spał pan z Ruby Judd czy nie?

- Tak.

Jury wciąż był przygotowany na odpieranie dalszych żartów Trueblooda. Bezpośrednia odpowiedź wytrąciła go z równowagi.

- Ale, uważa pan, tylko raz. Cóż, była z niej dość słodka łobuzica, jednak piekielnie nudna. Bezmyślna. Ale posłuchaj, kochany, nie pozwolisz, żeby to się rozniosło, prawda?

Jury pomyślał sobie, że bez tej afektowanej pozy Trueblood mógł być atrakcyjny dla kobiet.

Ten zaś kontynuował:

- To by wręcz z r u j n o w a ł o moją reputację. Mój interes poszedłby w błoto. W dodatku mam tego, no, p r z y j a c i e l a w Londynie, który by się załamał na wieść o mojej niewierności. Ruby była małym głuptasem. Ale co jest do roboty w takim zabitym dechami miasteczku poza słuchaniem kłótni wszystkich tych starych wron, jak panna Crisp czy Agatha. Pewnie będzie u Melrose'a i zepsuje całe święta. Och, n i e c h pan przyjdzie do Lorraine, będzie się pan o wiele lepiej bawił. Będzie tam tylu potencjalnych podejrzanych...

- Próbuję ustalić, czy był w miasteczku ktoś, o kim Ruby Judd wiedziała dość, by warto ją z tego powodu zabić.

Trueblood wyglądał na zdziwionego.

- Chyba nie rozumiem.

- Myślę, że ona kogoś szantażowała.

- Mnie? Typowy glina. Rozjeżdżacie się policyjnymi autami i zgarniacie pedałów, żeby na nich zwalić winę za wzrastający wskaźnik przestępczości...

- Jeśli już o to chodzi, j a nie sądzę, że to pan, ale owszem, mogę pana zgarnąć, choćby po to, żeby usłyszeć wreszcie jakieś sensowne odpowiedzi.

Trueblood odezwał się niższym, bardziej naturalnym głosem:

- No dobrze. Postaram się sobie przypomnieć, czy dziewczyna mówiła coś, co mogłoby panu pomóc. Miała tak niewiele do powiedzenia. Przeważnie trajkotała o swoim życiu, tego rodzaju rzeczy.

- W takim razie proszę mi o tym opowiedzieć.

- Ja ją tylko przeleciałem, inspektorze, nie spisywałem jej biografii. Prawie nie słuchałem.

Jury żałował, że ktoś raz porządnie nie wysłuchał Ruby Judd.



- Mówiła, że jej matka to stara nudziara, a ojciec tylko siedzi przy kominku i coraz bardziej się pograża. Dżin. Siostra spędzała wieczory przed telewizorem, marząc o amerykańskich detektywach. - Trueblood pociągnął sherry i zapalił kolejne małe cygaro. - I jeszcze miała ciotkę i wuja w Devon, gdzie spędziła większość swojego żalnego dzieciństwa. Potem miała się różnych dziwnych zajęć...

- Jak bycie „modelką”? Czytaj: porno?

- Kto, ona? Wątpię. Mogła czasem próbować ukrećić jakiś interesik na rogu ulicy, ale nie nadawałaby się na niegrzeczne pocztówki.

- Gdzie pan był wieczorem we wtorek, piętnastego grudnia?

- W domu, kochany, samiuteńki. A pan?

- Jeszcze gęsi, sir?

Ruthven stał koło Jury'ego, trzymając ogromny srebrny półmisek, na którym spoczywały resztki dwóch ptaków, wciąż ozdobione wiśniami i truflami. Ale Jury prawie go nie widział, bo jego wzrok skupiony był na siedzącej naprzeciwko Vivian Rivington. Jej bursztynowe włosy wiły się nad popielatym kaszmirowym swetrem. Wyglądała, jakby wyłoniła się z mgieł Dartmooru lub tajemniczych wrzosowisk West Riding w Yorkshire. Gdyby gęś nagle wstała i zaczęła gęgać nad stołem, Jury by tego nie zauważył. Siostra Vivian, Isabel, wybrała towarzystwo Bicester-Strachanów.

Przemówiła lady Ardry.

- Nie bardzo pan głodny, co, inspektorze? Może gdyby pan więcej pracował, miałby pan większy apetyt. Tak jak ja.

- Doprawdy, ciociu? A nad czym tak pracujesz?

- Nad śledztwem, Plant. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne morderstwo, prawda? - Nałożyła nadzieienia

kasztanowego na rozkrojoną babeczkę i wepchnęła sobie ten bogaty w skrobię zestaw do ust.

- Och, sam nie wiem - rzucił Plant. - Może na jeszcze jedno. Nie, dziękuję, Rutlwen.

- Ja poproszę - odezwała się Agatha. - A skoro już mówimy o śledztwie, czy masz gotowe alibi, Vivian?

Jury posłał Agacie wrogie spojrzenie. Oczywiście, nie wybaczyła mu, że ustalił alibi dla Melrose'a Planta.

- Prawdę mówiąc - odezwała się Vivian - mam chyba najłabsze alibi ze wszystkich. Może oprócz Simona. Byliśmy „Pod Łabędziem”, gdy zabito tego człowieka.

- Spojrzała na Jury'ego tak nieszczęśliwym wzrokiem, że musiał zacząć się wpatrywać w kieliszek z winem.

- Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, kochana - rzekła Agatha z udawaną słodyczą. - Z wyjątkiem, oczywiście, Melrose'a. Jedyny w Long Piddleton, który ma alibi. - Powiedziała to tak złośliwie i zaczepnie, że można by pomyśleć, że Melrose drukuje sobie różne alibi w pokoju na zapleczu i odmawia dzielenia się z innymi. Walczyła teraz z kęsem mięsa na gęsim udku, które nabiła na widelec na srebrnym półmisku, jakby ona i ptak to czyli ze sobą śmiertelny bój. - Nie ma pan co się śmiać, inspektorze. Plant nie jest jeszcze całkiem czysty. Niech pan pamięta, że był pan z nim od jedenastej trzydzieści do mniej więcej południa, czyli do mojego powrotu.

- Ale pani była z nim przez trzy godziny wcześniej, lady Ardry. - Co, u diabła, teraz knuła?

- To brzmi tak, jakby pani ż a l o w a ł a, że Melrose ma alibi - rzuciła Vivian.

- Rzucajmy monetą, Agatho - zaproponował Melrose, wyjmując pieniążek z kieszeni.

- Przestań sobie stroić żarty - zwróciła się lady Ardry do bratanka. Potem odpowiedziała Vivian: - Oczywiście, że c i e s z y ł a b y m się, gdyby Plant

Ilył czysty. Tylko że prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw...

- Prawda? Jaka prawda? - zapytał Jury.

Starannie odłożyła nóż i widelec, pierwszy raz w ciągu ostatniej półgodziny. Opierała brodę na złączonych palcach, z łokciami na stole i powiedziała:

- Chcę powiedzieć, że nie byłam z tobą w każdej minucie, nie pamiętasz, mój drogi? Wysłałam do kuchni, żeby dopilnować świątecznego puddingu. Martha lubi skąpić gałki muszkatołowej...

Jeśli Melrose zapomniał, to nie zapomniał Rutlwen. Choć nie uronił ani kropli wina, które nalewał, przymknął oczy z wyrazem bólu.

- Myślałem, że po prostu wyszłaś skorzystać z toalety. - Melrose westchnął i poprosił Rutlwena, żeby sprzątnął talerze. - Tak czy inaczej, twoja nieobecność nie mogła trwać długo. - Agatha nigdy nie uwalnia człowieka na długo od swej osoby, sugerował jego ton.

Jury patrzył z zazdrością, jak Vivian kładzie dłoń na dłoni Melrose'a, która obracała nóżkę kieliszka z winem.

- Agatho! Powinna się pani wstydzić!

- Wszyscy mamy obowiązki, moja droga, nieważne, jak są one bolesne. Nie możemy kryć naszych bliskich tylko dlatego, że życzylibyśmy sobie, żeby byli niewinni. Kręgosłup moralnego Wielkiej Brytanii nie zbudowano na...

- Mniejsza o kręgosłup moralny Wielkiej Brytanii, Agatho - przerwał Melrose. - Powiedz mi, w jaki sposób zdołałem dostać się do „Łabędzia”, zabić Creeda i wrócić do domu w tym czasie, gdy ty w kuchni do prowadziłaś do szafu Marthę?

Lady Ardry spokojnie smarowała herbatnik masłem.

- Mój drogi, nie myślisz chyba, że ja siedzę i obmyślam za ciebie szczegóły twoich zbrodni?

Jury zamrugał. Przeczytał w życiu parę książek na temat logiki formalnej, ale lady Ardry mogła zakasować je wszystkie.

- Jednakże - ciągnęła - skoro już spekulujemy, mogłeś wskoczyć w swojego bentleya, śmignąć...

Jury nie mógł się powstrzymać.

- Ale chyba pamięta pani, lady Ardry, że silnik samochoodu był całkiem zimny. Uruchomienie go zajęło nam dobre pięć minut.

Vivian Rivington obdarzyła Jury'ego urzekającym uśmiechem.

Gdy Agacie zrzęda mina, Melrose powiedział:

- Nie poddawaj się jeszcze, Agatho. Może rower? Nie, zbyt wolny. - Wydawał się rozważać ten mały problem. Wreszcie pstryknął palcami. - Mój koń! Tak jest! Mogłem dosiąść starego Bounce'a, pomknąć przez łąkę do „Ła będzia”, wysłać Creeda na tamten świat i wrócić - hop! jak króliczek.

Vivian powiedziała:

- To musiałyby faktycznie być hop! jak króliczek, biorąc pod uwagę twojego konia.

Melrose pokręcił głową.

- No i masz, Agatho. Tego nikt nie kupi. Wciąż mam alibi.

Gdy Agatha zacisnęła zęby, Ruthven wniósł deser wspinały pudding. Przytknął zapalną do jego nasączonej brandy powierzchni.

Gdy Melrose zauważył, że Agatha siedzi z ponurą miną, prawdopodobnie wymyślając kolejny sposób obalenia jego alibi, zwrócił się do Ruthvena:

- Na kominku leży mała paczuszka. Podaj ją jasnie pani, dobrze?

Gdy Agatha brała i otwierała prezent, twarz jej się rozjaśniła.

Vivian wydała stłumiony okrzyk, kiedy Agatha wyjęła z małego pudełeczka bransoletkę ze szmaragdów i rubinów. Pobłyskiwały, niemal strzelając niewielkimi płomykami, gdy złapały światło świec. Agatha podziękowała Melrose'owi wylewnie, ale bez śladu wyrzutów sumienia z powodu tego, co właśnie usiłowała zrobić. Podała bransoletkę Vivian, która wyraziła podziw i wręczyła ją przez stół Jury'emu.

Nie widział prawdziwych kamieni od czasu wczesnej młodości, kiedy to pracował w wydziale rabunków. Teraz wiedział, dlaczego rubiny opisuje się jako „krwistoczerwone”. Nagle do głowy przyszedł mu ten brakujący szczegół. Rubiny. Ruby. Bransoletka. To było to, ten obraz przegubu wystającego z ziemi. Przegub Ruby, ale bez bransoletki. *Zawsze ją nosiła, sir, nigdy jej nie zdejmowała*, przypomniał sobie relację Daphne.

Więc gdzie ona jest? Nie mógł oderwać wzroku od klejnotów, gdy podawał bransoletkę z powrotem Agacie. Myśli miał wciąż tak skupione na nagim przegubie Ruby, że prawie nie usłyszał komentarza Agathy:

- Całkiem ładna, Melrose. Jak na imitację.

Panie przeszły do salonu, zostawiając Jury'ego i Melrose'a nad portem. P r z e s z ł y nie było może najtrafniejszym opisem wyjścia lady Agathy. Vivian w końcu wyciągnęła ją z jadalni, ale Agacie udało się kilka nalotów powrotnych, wracała po różne drobiazgi, które dziwnym trafem pogubiła - chusteczki, guziki i bransoletkę, którą zostawiła ciśniętą byle jak na stół, jakby czerwono-zielone klejnoty były garścią oliwek.

Gdy wyszła z bransoletką, Jury powiedział:

- To bardzo hojny prezent, panie Plant.

- Wydaje mi się, że umknęła jej symbolika barw czerwonej i zielonej. Kolory Bożego Narodzenia. Pomyśla-

łem, że tak będzie ładnie. - Obejrzał końcówkę swojego cygara i dmuchnął na nią, żeby się rozżarzyła.

- Przepraszam, że pytam, ale co pan dostał od niej?

- Nic. - Plant się uśmiechnął. - Ona mi nigdy nic nie daje. Mówi, że oszczędza na wyjątkowo ładny prezent - coś, nad czym myśli od lat. Ciekawe, co to jest. Nowy samochód z wyposażeniem IRA?

Jury uśmiechnął się i powiedział:

- Chciałbym z panem omówić parę spraw związanych z tymi morderstwami.

- Słucham.

- Intryguje mnie ich ekstrawagancja. W jakiej głowie mogły powstać?

- Bardzo chłodnej. Za tym wszystkim może się kryć psychopata, ale założę się, że nieźle się maskuje. Jednak zgadzam się z panem. Zabójca robi z tego wszystkiego p r z e d s t a w i e n i e . Jeśli się chce kogoś zabić, czy nie lepiej zaaranżować p r y w a t n e spotkanie?

Jury wyciągnął z kieszeni marynarki złożoną kopię pierwszej strony „Weatherington Chronicle”.

- Chyba mogę panu podać dobry powód. - Postukał palcem w nagłówek: *Ciąg dalszy morderstw w pubach*. Było tam długie sprawozdanie na temat zabójstwa Ruby Judd, a dalej raport o morderstwie Creeda. - Chodzi o schemat. Te puby albo coś znaczą, albo nie...

Melrose Plant wydmuchnął kółko dymu.

- To stwierdzenie, inspektorze, prawdopodobnie obraca wniwecz milion lat filozoficznych spekulacji. „Albo to coś znaczy, albo nie”.

- Panie Plant, są chwile, gdy cieszę się, że nie jestem pańską ciotką.

- Niech pan dalej tak dedukuje, a wkrótce nie będę w stanie was rozróżnić.

- Panie Plant, ostrożnie. Mogę obalić pańskie alibi.

- Nie zrobi pan tego.
- Popelniono więcej niż jedno morderstwo. Co pan na to? Jest pan kryty tylko w przypadku zabójstwa Creeda.
- Dobrze, wróćmy do naszych teorii: czy morderca próbuje dostać się do czegoś w tych pubach? Na przykład do złota ukrytego w stoliku? Albo może Matchett ma oryginalny szyld malowany przez Hogartha i o tym nie wie - no, to brzmi raczej nieprawdopodobnie. Albo ta sprawa z pubami jest zasłoną dymną.
- Widzę, że też pan o tym pomyślał. A także: czasem najbardziej publiczny sposób popełnienia zbrodni jest najbardziej prywatnym. Jak w *Skradzionym liście* Poego, gdzie coś ważnego chowa się tam, gdzie wszyscy mogą to zobaczyć. A skoro nasz morderca nie chowa ciała, cóż, może próbuje ukryć motyw.
- Poza ciałem Ruby Judd. Odchodzimy tu na dwa sposoby od schematu. Została zakopana i nie była obca.
- To właśnie rozbieżności są interesujące. Co nie robiło różnicy, kiedy zostały odkryte pozostałe zwłoki, to r o b i ł o różnicę w przypadku Ruby Judd.
- Ale po co w ogóle mordować Ruby Judd? - Mel-rose obracał swój kieliszek porto.
- Może dlatego, że wiedziała coś o kimś w miasteczku.
- Szantaż? Wielkie nieba, do czego to doszło?
- Jury odpowiedział na to nie wprost.
- Są pewne poszlaki, że Ruby zadawała się z Olive-rem Darringtonem.
- Plant zdawał się zaskoczony.
- Tak, wygląda na to, że ta Judd naprawdę udzielała się towarzysko.
- Ta mała pyzata wieśniaczka? - Plant pokręcił głową.
- Niektórzy mężczyźni mają dziwne gusta.

- Łącznie z Marshalllem Truebloodem.  
Melrose omal nie upuścił butelki porto.
  - Żartuje pan.  
Jury uśmiechnął się.
  - Przyznaję, Trueblood faktycznie wydaje się stałym obiektem żartów w Long Piddleton.
  - Tak. Ale ja zawsze uważałem, że żarty z czyjejś rasy, religii czy orientacji seksualnej są godne ubolewania. Generalnie rzecz biorąc, są to rzeczy, na które nie można nic poradzić. Nie znaczy to, że go lubię. Nie mógłby być bardziej niemądry, gdyby przeszedł główną ulicą miasteczka na rękach. - Melrose pokręcił głową z niedowierzaniem.
  - I Trueblood naprawdę sypiał z tą dziewczyną?  
- Twierdzi, że tylko raz. Ale są rzeczy w przeszłości zarówno Trueblooda, jak i Darringtona, które obaj chcieliby za wszelką cenę ukryć, a o których Ruby Judd mogła się dowiedzieć. Dalej mamy Bicester-Strachanów...
  - Jeśli o mnie chodzi, głosowałbym za Lorraine. Zamordowałyby, żeby chronić swoją nieskazitelną reputację...
- W tej właśnie chwili Agatha wpadła z powrotem do jadalni, żeby sprawdzić, co się dzieje, pod pretekstem, że potrzebuje kropelki brandy na okropny ból głowy.
- Przynieś mi trochę, Ruthven, dobrze?  
Rutlwen, który właśnie wszedł, żeby posprzątać z kredensu, odwrócił się i odparł wyniośle:
  - Moje imię wymawia się „Riwin”, proszę pani. „Riwin”, jak jego lordowska mość często pani powtarza.
  - Więc dlaczego się go tak nie pisze?
  - Ja tak piszę, proszę pani. - Rutlwen, z tacą w ręce, skierował się w stronę kuchni.
  - Coś podobnego! - Agatha zwróciła się do Melrose'a.
  - Pozwalasz się tak odzywać służbie? I co to za oszczerstwa rzucałeś na Lorraine Bicester-Strachan?



Odwracając się jeszcze przy drzwiach, Ruthven prawie krzyknął:

- Proszę pani, mówi się „Bister-Stron”! „Bister-Stron”!
- Odwrócił się na pięcie i wszedł do kuchni.

Agacie opadła szczeka.

Melrose, któremu zdawało się, że poczuł w oddechu Ruthvena świąteczną whisky, uśmiechnął się szeroko.

- Jeden-zero dla Ruthvena, Agatho.

Odwróciła się raptownie i wypadła z pokoju.

Plant podjął wątek, który przerwała im Agatha.

- Sam Bicester-Strachan byłby chyba moim ostatnim typem. Ten miły staruszek z zamiłowaniem do szachów...

- Widywałem już miłych staruszków z zamiłowaniem do szachów, robiących bardzo dziwne rzeczy. Dalej mamy Simona Matchetta...

Plantowi zaświeciły się oczy.

- Prawda?! Żałuję, że nie wiem więcej o jego żonie i całej tej ohydnej sprawie, żeby otworzyć oczy Vivian, niemądrej dziewczynie.

- Czyżby był pan do niego uprzedzony, panie Plant?

- Nie tylko on, skarcił się w duchu Jury. - Jest pan zdecydowanie przeciwny temu, żeby Matchett ożenił się z panną Rivington, prawda?

- Poznał ją pan. Pan by nie był?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Jury wpatrywał się w swój talerz.

- Nie rozumiem, dlaczego to narzeczeństwo, jeśli w ogóle istnieje, jest takie niemrawe.

- Ja też nie. To tak zwane narzeczeństwo to robota Isabel. Popycha ich ku sobie, choć przysięgam, że nie potrafię zrozumieć d l a c z e g o , gdy się weźmie pod uwagę sposób, w jaki Isabel patrzy na Matchetta, i fakt, że straciłaby na tym, gdyby pieniądze przeszły nie

w ręce Vivian, gdy skończy trzydzieści lat, ale w jego. Cholerna zagadka.

- Nie, jeśli...

- Jeśli co?

- Nic. Co pan sądzi o tej historii z wypadkiem jej ojca?

- Zabawne, że pan o to pyta, bo sam się często nad tym zastanawiałem. Vivian wydaje się absolutnie przekonana, że była okropnym bachorem, wciąż kłóciła się z tatusiem i tak dalej. Chyba zgodzi się pan, że trudno sobie wyobrazić, aby jako dziecko była diabłem wcielonym. W dodatku gdy on zginął, miała siedem czy osiem lat. Czyż nie mamy skłonności do spychania w niepamięć traumatycznych wydarzeń z dzieciństwa? A jednak Vivian odmalowuje wszystkie szczegóły tego, co się wtedy stało, jakby to było wczoraj. Zastanawiam się tylko, widzi pan - Melrose przyjrzał się końcówce swego cygara przed strzepnięciem popiołu - kto tu prowadzi dłoń z pędzlem.

- Chce pan powiedzieć, że Isabel maluje dla niej ten obrazek?

- A kto? Nie mają innych krewnych.

- W takim razie może Isabel z jakiegoś powodu chciała przekonać Vivian o tym wypadku. Mogło to pomóc Isabel w ukryciu własnej przeszłości.

- Nie sądzi pan chyba, że tych morderstw potrafiłaby dokonać kobieta?

- Ależ pan sentymentalny, panie Plant.

Jury zapytał, czy może skorzystać z telefonu, a Melrose przeszedł do salonu, żeby dołączyć do pań.

Jury przeprosił posterunkowego Plucka, że odciąga go od świątecznej kolacji, ale musi porozmawiać z Wigginsem.

Gdy usłyszał: „Tak, sir?“, powiedział:

- Posłuchaj, Wiggins, jak skończysz kolację, skontaktuj się z policją w Dartmouth i sprawdź dla mnie listę nazwisk. Być może będziesz musiał w ostateczności zadzwonić do centrali. - Tu Jury odczytał listę. Były to nazwiska gości i służby pubu „Pod Kozłem i Cyrklem” sprzed szesnastu lat.

Biedny Wiggins nie był wcale zadowolony.

- Ale, panie inspektorze, podał mi pan dwadzieścia trzy nazwiska. Na pewno nie da się już znaleźć tych wszystkich ludzi.

- Wiem. Ale niektórych znajdziesz na pewno. Może choć jeden z nich ma dobrą pamięć. - Usłyszał jakiś trzask, a potem chrupanie. Widocznie Wiggins jadł łydęgę selera naciowego. Wymamrotał, że weźmie się do tej listy najszybciej, jak się da.

Gdy Jury wszedł do salonu, Agatha układała swoją spódnicę na ażurowym hebanowym krześle. Marshall Trueblood zemdlałby, widząc jej wielką sylwetkę wciśniętą w taki mebel. Poprawiła nową bransoletkę i rzuciła:

- Przypuszczam, że była dość droga? - Najwidoczniej zapomniała już o swojej wcześniejszej insynuacji, że kamienie nie są prawdziwe.

- Mogę ci powiedzieć dokładnie, ile kosztowała, Agatho...

- Nie bądź wulgarny, Melrose. Jest całkiem ładna. Oczywiście, nie jest s t a r a, jak biżuteria Marjorie.

- Kto to jest Marjorie? - zapytał Jury.

- Moja matka - wyjaśnił Melrose. - Miała wspaniałą kolekcję. - Spojrzał na sufit. - Trzymam ją w Tower. Razem z krukami. Można ją obejrzeć za pięćdziesiąt pensów.

- Och, nie staraj się być dowcipny, Plant. To ci nie wychodzi.

Vivian wstała.

- Melrose, to była wspaniała kolacja. Ale muszę już iść...

- Dobry Boże, dlaczego? - zapytał Melrose, także wstając. - Zostań jeszcze i pomóż obalić moje alibi...

- Melrose! - Vivian spojrzała na niego jak na krnąbrne dziecko.

- Ale Agatha będzie potrzebować czyjejś pomocy...

- Melrose, przestań! - Vivian wydawała się naprawdę poruszona.

Jury pomyślał, że ona bierze wszystko trochę zbyt poważnie - nie chodzi o to, oczywiście, że morderstwa są sprawą niepoważną. Jednak Plant wyraźnie próbował nieco rozładować napięcie. Być może tak mają wszystkie poetki? I policjanci. Ale nie. Jury mimo wszystko docenił humor Melrose'a Planta.

- Idziesz? - zapytała Agatha. - Ja chyba jeszcze zostanę.

- Ale przybrnęłaś tu, droga cioteczko, razem z Vivian. Pozwolisz jej odejść samej?

- Śmiem twierdzić, że Vivian jest dość dorosła, żeby zadbać o siebie - wykręciła się gładko Agatha. - Inspektor Jury może ją podwieźć.

Melrose uśmiechnął się.

- Nie powinienem nadużywać cierpliwości inspektora, cioteczko. - Stał przed marmurowym kominkiem, wydychając kółka dymu.

Jury pomógł Vivian włożyć płaszcz, a Melrose odprowadził ich do drzwi. Powiedział do Jury'ego:

- Naprawdę, to nie fair z pana strony uwozić Vivian i zostawiać mnie z Agatha.

- Nigdy nie byłem znany z gry fair, panie Plant.

- Co mogę panu zaproponować, inspektorze? Drinka? Kawy?

Szybko dał jej do zrozumienia, że nie jest to wizyta towarzyska.

- Nic, dziękuję. Chciałem zadać pani kilka pytań.

Westchnęła.

- Proszę pytać, inspektorze. Pan chyba nigdy nie zapomina o służbie.

Jury obruszył się:

- Trudno zapomnieć o służbie przy czterech morderstwach.

- Przepraszam. - Pocierała ramiona, jakby w domu zrobiło się nagle zimno. - Nie chciałabym lekceważyć tej sprawy. Tylko że... - Usiadła na sofie i wzięła pudełko z papierosami.

Jury usiadł w fotelu naprzeciw niej. Przedzielał ich niski stolik. Niemal obawiał się poczuć zbyt wygodnie.

- Po pierwsze. Rozumiem, że jest pani zaręczona z Simonem Matchettem.

Zauważył, że gdy podała mu papierosy, miała spojrzenie osaczonego lisa. Zapalił jej papierosa, potem własnego, czekając niecierpliwie na odpowiedź.

- Tak. Tak, chyba tak. - Wstała. - Napiję się. Proszę się napić ze mną.

Jury wpatrywał się w małeńki czerwony ogieniek swojego papierosa.

- Whisky.

Gdy podeszła do kredensu, by wyjąć kieliszki i butelki, on rozejrzał się po pokoju.

Wróciwszy na miejsce, powiedziała:

- Co do Simona, jeszcze się tak naprawdę nie zdecydowałam. - Podała Jury'emu drinka.

- Chce pani powiedzieć, że nie wie jeszcze, czy za niego wyjdzie? Dlaczego?

Stała przed nim, zapatrzona w jakąś przestrzeń, której nie mógł zgłębić.

- Dlatego, że chyba go nie kocham.

Wyposażenie wnętrza, którego Jury właściwie wcześniej nie zauważył, nagle zaczęło jaśnieć jak klejnoty w ciemności. Odchrząknął, zastanawiając się, czy zdoła wydać z siebie ludzki głos.

- Skoro pani go nie kocha, to po co za niego wychodzić? Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, że pytam - dodał szybko i wychylił swego drinka prawie duszkiem.

Siedząc teraz naprzeciw niego, Vivian przyglądała się swojemu kieliszkowi i obracała go w rękach niby kryształową kulę. Potem wzruszyła ramionami, jakby powody były dla niej niezrozumiałe.

- Samotne życie może znużyć. A wydaje się, że jemu naprawdę na mnie zależy...

Jury odstawił gwałtownie swój kieliszek.

- Nie zna pani lepszego powodu, żeby wyjść za mąż?!

Jej oczy rozszerzyły się.

- No, doprawdy, inspektorze Jury! A jakie powody pan by wymienił?

Jury wstał z fotela i podszedł do okna. Wpatrywał się w śnieg prószący w świetle ulicznej latarni.

- Namiętność! Zauroczenie! Seks, dlaczego nie. Jeśli ktoś nie jest w stanie trzymać rąk z daleka od kogoś albo nie potrafi myśleć o niczym innym! - Odwrócił się od okna. - „Zależy mu” - co za cholernie mdły zwrot! Czy pani nigdy nie doświadczyła żadnej z tych emocji?

Przez chwilę tylko na niego patrzyła.

- Nie jestem pewna. Ale pan najwidoczniej tak.

- Mniejsza o mnie. Jaką sumę pani dziedziczy?

- Ćwierć miliona funtów, jeśli to ma związek z tą dyskusją. - Teraz ton jej głosu nieco się podniósł.

- Czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, że Simon Matchert może być łowcą posagów?

- Oczywiście, że przyszło! K a ż d y mężczyzna może!

- To znów absurdalnie cyniczne. Wielu mężczyzn nie jest. Kobiety takie jak pani - myśli Jury'ego poszybowwały w kierunku niewielkiego zdjęcia w szufladzie jego mieszkania - przynoszą nieszczęście. Otulacie się swoją bezradnością jak płaszczem i jesteście zdumione, gdy ktoś to wykorzysta.

- To, co pan opisuje, to wcale nie cynizm. - Jej głos znów się obniżył. - Ale muszę powiedzieć, że brzmi dość poetycko.

- Do diabła z poezją. Jak dobrze знаła pani Ruby Judd?

Przyłożyła dłoń do czoła.

- Wielkie nieba. Rozmowa z panem jest jak trąba powietrzna. Kręci mi się w głowie.

- Znała pani Ruby?

- Tak, oczywiście. Ale niezbyt dobrze. Widywałam ją na plebanii.

- Co pani o niej sądziła? - Gdy się zawahała, Jury dodał: - Zależy mi na szczerej opinii, panno Rivington.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że nie lubiłam Ruby. Ale ona zawsze podsłuchiwała, gdy rozmawiałam z pastorem. Ta dziewczyna była po prostu zbyt ciekawska, to wszystko. Zawsze po coś wpadała i wypadała. Myślę, że była po prostu narwana. Słyszałam, że zagięła parol na większość mężczyzn w miasteczku. Na Olivera, może Simona. Nawet Marshalla Trueblooda, jeśli może pan w to uwierzyć. Chyba Melrose Plant jest jedynym mężczyzną, który uszedł cało. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Mówił pan o łowcach posagów. - Zaśmiała się sztucznie. - Przynajmniej mam pewność, że Melrose nim nie jest.

Powiedziała to w specyficzny sposób. Jury wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w płyn w swoim kieliszku, a raczej w jego resztkę na dnie. Czy nie mogła się zakochać w kim innym, w k i m k o l w i e k innym? Na przykład w Robercie Redfordzie?

- Isabel nie znosi Melrose'a. Nigdy nie udało mi się odkryć dlaczego.

Powód był oczywisty, jeśli Isabel planowała dla Vivian Simona. Ale znów: dlaczego Isabel miałaby chcieć, żeby pieniądze, które z całą pewnością dostanie Vivian, wpadły w ręce kogoś, nad kim nie miała żadnej kontroli, takiej jak nad swoją siostrą przyrodnią. Chyba że, oczywiście, m i a ł a nad Simonem kontrolę. Myśl, która owładnęła Jurym podczas rozmowy z Plantem, mroziła mu krew w żyłach.

- Jakie to ma znaczenie, czego chce czy nie chce pani przyrodnia siostra? - zapytał.

Odpowiedziała nie wprost.

- Czy ktoś opowiadał panu o moim ojcu? - Przymknęła, więc ciągnęła dalej: - Widzi pan, to była moja wina. Siedziałam na koniu, a on przyszedł do stajni. Było bardzo ciemno, bezksiężycowa noc, on podszedł do konia z tyłu, a koń stanął dęba i kopnął go. - Vivian sztywno wzruszyła ramionami. - Ojciec zmarł na miejscu.

- Strasznie mi przykro. - Jury myślał przez chwilę. - O ile wiem, wydarzyło się to na północy Szkocji.

Kiwnęła głową.

- W górach. Sutherland.

- Byliście tam tylko we trójkę - pani,-pani ojciec i Isabel?

- Tak. I bardzo stara kucharka. Już nie żyje. - Vivian wpatrywała się w nietknięty płyn w swoim kieliszku, jakby widziała ich twarze.

- Jak pani siostrze - przyrodniej - układały się stosunki z ojcem?



- Niezbyt dobrze. I prawdę mówiąc, wydaje mi się, że ona zawsze była zła, że nie dostała więcej dla siebie. Chodzi mi o testament.

- Przecież dziwne byłoby, gdyby pani ojciec zostawił pieniądze pasierbicy, którą miał tylko przez - ile? - trzy czy cztery lata.

- To prawda, z pewnością. - Vivian wyjęła kolejnego papierosa z porcelanowego pudełka. Pierwszy zamienił się w spiralę popiołu w popielniczce. Machnęła ręką, jakby chciała odegnać dym przeszłości.

- Była pani bardzo związana z ojcem, prawda?

Przytaknęła, nie podnosząc wzroku. Wydawało mu się, że jest bliska łez.

- Według Isabel, rozzłościła się pani na niego, wybiegła z domu do stajni i wskoczyła na konia. Czy pani to pamięta?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Czy pamiętam? No, tak. To znaczy, niedokładnie.

- Usłyszała pani taką w e r s j ę wydarzeń, prawda? Od pani...

- Zalewacie się razem?

Oboje spojrzeli zaskoczeni. Żadne z nich nie usłyszało, jak weszła Isabel, stojąca teraz w drzwiach wśród mieszających się cieni. Wyglądała tajemniczo i bardzo ładnie - choć może, jak dla Jury'ego, zbyt okazała. Zielony zamszowy myśliwski kostium ze spodniami, korale z rosyjskiego bursztynu i to futro ze srebrnych norek, które niedbale przerzuciła przez ramię.

- Jak pan się dziś miewa, inspektorze Jury? Jury wstał i skłonił się lekko.

- Dziękuję, dobrze, panno Rivington.

Weszła do pokoju, rzuciła futro na krzesło i podeszła do kredensu.

- Mogę do was dołączyć?

- Oczywiście, prosimy - powiedziała Vivian, choć bez entuzjazmu, jak zauważył Jury. Moralny dług wobec Isabel Rivington wydawał się jej nieco doskwierać.

Isabel nałała sobie hojnie burbona, wlała do niego wody sodowej, podeszła i objęła Vivian ramieniem, ścisnąc ją mocno. Gest ten uderzył Jury'ego jako nie tyle czuły, co zaborczy, jak potrzask. Potem Isabel opadła ciężko na sofę, uklepując poduszki za sobą.

- Macie oboje jakieś smętne miny. Czyżby Melrose nie nakarmił was porządnie? Trzeba było przyjść do Lorraine - nieźła wyżerka.

- Kolacja była wspaniała - poinformowała Vivian trochę złośliwie.

Jury ucieszył się, że widzi ślad animuszu.

- Simon nie był zbyt zadowolony, że cię nie było - dodała od niechcienia Isabel.

Vivian milczała.

- Niestety, był tam też wielebny Denzil Smith, więc przez większość wieczoru wysłuchiwalismy opowieści o tajnych skrytkach dla przemytników i prześladowanych księży w nadbrzeżnych pubach, no i historii sztyldów. Te morderstwa nieźle go nakręciły. A przez resztę czasu rozmawialismy o biednej Ruby. To naprawdę okropne. Pastor mówił, że przewrócił pan dom do góry nogami w poszukiwaniu jakiejś bransoletki. I pamiątnika tej dziewczyny.

Jury nie odpowiedział. Wolałby, żeby niektórzy mieszkańcy miasteczka trzymali język za zębami. Spojrzał na zegarek.

- Dziękuję za drinka. Muszę już iść.

Vivian odprowadziła go do drzwi, a gdy ruszył ścieżką w kierunku morrissa, zawołała:

- Niech pan zaczeka! - Pobiegnę prędko w głąb domu i wróciła z niewielką książką, którą wyciągnęła w jego

kierunku. - Nie wiem, czy pan lubi poezję... Pomyślałam, że każdy, kto cytuje Wergiliusza, musi...

Spojrzała na książkę - była to broszura w grubej, ciemnej, papierowej okładce, której tytułu nie mógł odczytać w ciemnościach.

- Tak, lubię poezję. To pani wiersze?

Rozglądała się dookoła, patrzyła wszędzie, tylko nie na niego, wyraźnie zażenowana.

- Tak. Moje. Zostały wydane trzy czy cztery lata temu. Nie sprzedawały się jak świeże bułeczki, zresztą może pan sobie wyobrazić. - Gdy nie odpowiedział, mówiła dalej, jakby chcąc wypełnić przestrzeń między nimi. - Oczywiście, przypuszczam, że brak panu czasu na czytanie czegokolwiek poza policyjnymi raportami. Ale tych wierszy nie ma zbyt wiele. Nie piszę znowu tak dużo. Prawdę mówiąc, ciężko mi napisać choćby j e d e n...

Gdy głos jej umilkł, Jury powiedział:

- Znajdę czas.

Spędził noc, czytając w łóżku wiersze Vivian. Z całą pewnością nie były dziełem młodej, niezrównoważonej psychicznie kobiety, która pozwala sobą dyrygować czy która dałaby sobie wyperswadować małżeństwo z upragnionym przez siebie mężczyzną.

A potem nagle pomyślał: może problem tkwi w tym, że Melrose Plant nie chce jej poślubić.

Książka z wierszami wypadła z jego rąk, gdy zasypiał, zastanawiając się, jak ktoś może nie chcieć Vivian Rivington.

## 15

26 grudnia, sobota

Sierżant Wiggins powiedział Jury'emu przy śniadaniu złożonym z kielbasek, smażonych jajek i śledzi, że zaraz po wczorajszej rozmowie z nim zadzwonił do Scotland Yardu, gdzie dali mu adresy dwójki dawnych służących z pubu „Pod Kozłem i Cyrklem”.

- Daisy Trump i Will Smollett, sir. Wydaje się, że to jedyni członkowie personelu sprzed szesnastu lat, którzy wciąż mieszkają w okolicy. Jak dotąd nie znaleźliśmy żadnych klientów tego pubu. Może spróbuję zadzwonić do tej Trump i tego Smolletta i zorganizuję panu spotkanie z nimi?

- Jak najbardziej. - Jury dobrał sobie śledzi. - To głównie nazwiska Trump i Rosę Smollett pojawiają się w związku ze znalezieniem ciała pani Matchett.

- Zrobiłem także kilka notatek o panie Rivington. - Wiggins pchnął kartkę w kierunku Jury'ego.

Jury przeczytał ponad pół strony schludnego maszynopisu i stwierdził, że skąpe fakty tam przedstawione nie wychodzą praktycznie poza to, co powiedziały mu Isabel i Vivian. Poza dokładnym czasem wypadku, a to Jury uznał za bardzo interesujące.

- Wielkie dzięki, sierzancie. Odwaliliście wczoraj całą dobrą robotę. Przepraszam, że zepsułem wam świętą kolację.

Wiggins wołał pochwałę Jury'ego od najlepszej świętą kolacji. Uśmiechnął się, ale uśmiech gwałtownie zniknął w ataku kaszlu. Przeprosił, że musi pójść na górę i spryskać sobie gardło sprayem.

- Po drodze powiedz Daphne Murch, że chcę z nią porozmawiać, dobrze?

Daphne ukazała się pięć minut później, z dzbankiem kawy w ręce.

- Chciał pan więcej kawy, sir?

- Chciałem tylko chwilę z tobą porozmawiać, Daphne. Usiądź. - Nie wahała się wcale, przyzwyczajawszy się już do swojej ważnej pozycji jako głównego świadka i przyjaciółki Ruby Judd.

- Daphne, dwie rzeczy, które należały do Ruby, nie odnalazły się, chociaż zdaje mi się, że powinny: bransoletka i pamiętnik. Mówiłaś, że ona nigdy nie zdejmowała tej bransoletki, tak?

- Tak mówiła, sir. I to prawda - nigdy jej bez niej nie widziałam.

- Nie miała jej na sobie, gdy ją znaleźliśmy.

- To bardzo dziwne. Zwłaszcza że gdzieś wyjeżdżała. Bo skoro jej nie zdejmowała nawet do sprzątania, na pewno by ją włożyła, wybierając się w podróż, prawda? Może zepsuł się zameczek, albo coś. Pamiętam, jak niedawno... - Daphne przerwała i odwróciła twarz.

- Tak?

Zakaszła nerwowo.

- Och, to chyba nic takiego. To było w jej pokoju na plebanii. Odwiedzaliśmy się. Czasem ona przychodziła tutaj, czasem ja szłam do niej. Wyglupialiśmy się - biliśmy się poduszkami - i waliłyśmy naprawdę mocno,

tak mocno, że Ruby stoczyła się pod łóżko. Zaczęliśmy się śmiać jak wariatki. Sięgnęłam w dół i próbowałam ją złapać - macałam pod łóżkiem - a ona schwyciła mnie za przegub tak mocno, że spadła moja bransoletka. Zapięcie nie jest zbyt mocne. Potem, kiedy się śmiałam i próbowałam ją podnieść z podłogi, Ruby wygramoliła się spod łóżka i powiedziała: „To dziwne”. Pamiętam wyraźnie. „To dziwne”. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Albo jakby doznała jakiegoś szoku. Siedziała tylko, trzymając moją bransoletkę, i wyglądała, jakby postradała zmysły. Potem popatrzyła na swoją bransoletkę i powiedziała: „Myślałam, że ją znalazłam”, jakby do siebie. Kazałam jej przestać się wygłupiać. Wtedy wstała z podłogi, ale usiadła ciężko na łóżku i kręciła głową. I niedługo potem zaczęło się to gadanie o tym, że coś wie, że ma na kogoś haka.

- Jak wyglądała ta bransoletka?

- Nic takiego. Zwykła bransoletka z wisiorami. Ale wydaje mi się, że złota. Przynajmniej ona tak mówiła, tylko że Ruby nie można było wierzyć. Pamiętam, że jeden z wisiorów był w kształcie funta. Był tam też maleńki konik. I serduszko. I jakieś inne wisioriki, których nie pamiętam. - Spojrzała na Jury'ego niemal ze strachem. - Myśli pan, że to, co się stało z Ruby, miało coś wspólnego z tą bransoletką?

- Wcale bym się nie zdziwił.

Jury wysiadł z niebieskiego morrissa przed posterunkiem policji w Long Piddleton i wszedł do środka. Zdejmował płaszcz, gdy odezwał się telefon. Dzwonił sierżant Wiggins.

- Dorwałem tę Trump, sir. I Smollettów - a raczej kuzynkę, która mieszka w sąsiedztwie. Smollett gdzieś wyjechał, a jego żona zmarła kilka lat temu. Miała na imię Rosamund.

Cholera, pomyślał Jury.

- A co z tą drugą kobietą? Mogę z nią porozmawiać?

- Z Daisy Trump? Tak. Mieszka w Robin Hood's Bay. W Yorkshire.

- Sprowadź ją tutaj. Chwileczkę. Pojeżdż po nią do Robin Hood's Bay - nie powinno ci to zająć więcej niż parę godzin. I zarezerwuj gdzieś tu pokój dla tej Trump. Mój Boże, czy jest jakiś pub w całym hrabstwie Northampton, w którym nie zostało popełnione morderstwo? Czy takich już całkiem zabrakło?

Wiggins odsunął słuchawkę od ucha i Jury usłyszał mamrotaną naradę, a potem sierżant podjął rozmowę na nowo:

- Jest „Pod Workiem Gwoździ”, sir. To pod Dorking Dean, sir. Kilka mil od „Łabędzia”. - Wiggins siorbnął herbaty. - Czy nie tak brzmiała nazwa jednego z pubów Matchetta? - zapytał bystro.

- Tak - odparł Jury. - To dość popularna nazwa. No nic, zarezerwuj jej tam miejsce i, na litość boską, przydziel tej biednej kobiecie obstawę.

- Tak, sir. Komisarz Pratt pytał, czy mógłby pan przyjechać do Weatherington. Chciałby omówić z panem pewne szczegóły sprawy. - Wiggins zniżył głos, jakby mogli być podsłuchiwani przez Londyn. - I dzwonił nadinspektor Racer, bardzo zdenerwowany. Czy mam mu coś powiedzieć następnym razem, gdy zadzwoni?

- Naturalnie. Złóż mu ode mnie życzenia wesołych świąt. Spóźnione, ale szczere. - Jury wyłączył się przy odgłosie chichotu Wigginsa. Żadnych cieplejszych uczuć dla zwierzchnika.

Melrose Plant siedział przy stoliku pod oknem, kończąc zapiekanekę Scroggsa z cielęciną i jajkiem, gdy drzwi

gwałtownie się otworzyły i wszedł Marshall Trueblood. Melrose nie lubił Trueblooda bardziej z zasady niż w jego własnej żywej osobie. W późne zimowe popołudnie nad piwkiem Trueblood potrafił być miłym kompanem.

- Hej, stary, mogę się przysiąść? - Trueblood otrzepał swój popielaty kaszmirowy szalik, po czym przewiesił go przez oparcie krzesła.

- Proszę bardzo. - Gdy Melrose pokazywał dłonią na krzesło przy oknie, drzwi znowu się otworzyły. Wtedy dodał z uśmiechem: - Możemy nawet wydać przyjęcie, skoro przybyła Jej Wysokość.

Pani Withersby stała w drzwiach, rozglądając się wokół podejrzliwie, jakby pub przez noc zmienił właściciela, a ona weszła do jaskini zbójców.

- Cześć, Withers, stara jędzo! - zawołał Trueblood. - Ty stawiasz kolejkę czy ja? Nie targujmy się, jesteś o wiele za hojna. - Trueblood odliczał drobne pieniądze.

Pani Withersby nie włożyła dzisiaj zębów, więc gdy się odezwała, usta jej się zapadały.

- Cóż podobnego, właściciel Pałacu Pedziów. Na ciebie kolej. Ja zem stawiała ostatnio, nie ma jeszcze tygodnia.

- Withers, ostatni raz, gdy zafundowałaś kolejkę, był w twoim poprzednim wcieleniu. Co pijesz?

- To, co zawsze - oświadczyła i klapnęła na siedzenie obok Melrose'a, którego natychmiast zaczęła strofować: - Czy nie czas, milordzie, wziąć się do porządnej roboty?

Melrose skłonił uprzejmie głowę i wyciągnął do Withers swoją złotą papierośnicę, jednocześnie odsuwając się od fali jej oddechu, w którym czuło się kombinację dżinu, czosnku i którejś z licznych natchnionych receptur jej matki na długowieczność.

- Więc co tu robisz, milordzie, w ciemności z na szym słodkim chłoptysiem, hm? Mam nadzieję, że twoja



droga ciotunia się o tym nie dowi. A! Dzięki, skarbie

- ciągnęła zmieniając ton, gdy Trueblood postawił przed nią piwo. - Słodki jesteś, sama sól ziemi, zawszem tak mówiła. Szkoda, że inne nie som tak hojne. - Tu rzuciła niezyczliwe spojrzenie na Melrose'a.

- Powiedz nam, Withers - odezwał się Trueblood uprzejmie, gdy zapalił lawendowego papierosa Bałkan Sobranie - co sądzisz o tych okropieństwach w Long Piddleton? Mam nadzieję, że pomagałaś policji w śledztwie. - Trueblood nachylił się do niej i zniżył głos: - Nie powiedziałem im, oczywiście, że cię widziałem pamiętnego wieczoru - wskazał w stronę okna - jak zląziłaś z tej drewnianej belki.

- Spadaj, cioto! Nic żeś podobnego nie widział! - Wyciągnęła z kieszeni swetra niedopałek, odskubała spaloną końcówkę i włożyła sobie resztkę do ust.

Zapaliła niedopałek, dmuchnęła obrzydliwym dymem prosto w twarz Melrose'a i powiedziała z dumą w głosie:

- Zdarłam dziś rano skórę ze skunksa.

Trueblood, który wyjął mały srebrny scyzoryk, czyścił sobie paznokcie. Informacja specjalnie go nie poruszyła.

- Mówisz, że zdarłaś skórę ze skunksa?

Pani Withersby kiwnęła głową, walnęła pustym kuflem w stół, spojrzała w górę, ku niebu, i prawie krzyknęła:

- Obdarłam skunksa ze skóry i przybiłam ścierwo do drzewa! - Najwyraźniej wysyłała ostrzeżenie do jakichś bogów na wysokościach. - Moja mama zawszem obdzierała ze skóry skunksa, jak miało nadejść zło. To odstrasza złe duchy...

Drzwi pubu otwały się ponownie i ukazała się lady Ardry spowita w pelerynę.

- Cóż - rzekł Melrose - nie wszystkie, jak widać.

- Obserwował, jak ciotka wyteża wzrok w ciemnym

wnętrzu i wreszcie dostrzega ich wesołą **gromadkę**. **Jaki** piękny żywy obraz musieli przedstawiać. Podeszła ciężkim krokiem.

- Tu jesteście!

- Cześć, staruszko - Trueblood złożył scyzoryk i schował go do kieszeni. - Przyłączysz się?

- Tak, prosimy - powiedział Melrose. - Oto troje twoich ulubionych mieszkańców Long Pidd, zgromadziliśmy się tu, aby cię powitać. - Wstał, żeby przysunąć jej krzesło.

Pani Withersby mamrotała słowa powitania. Lady Ardry, wymachując laską, omal nie skróciła jej o głowę.

- Muszę z tobą porozmawiać, Plant. - Spojrzała zło wrogo na pozostałych. - Sam na sam.

Trueblood nie ruszył się z miejsca, tylko dalej pił piwo.

- Usiądź. Withers obdarła ze skóry skunksa.

Po minie Agathy widać było, że chętnie zapędziłaby Trueblooda pod stół swoją laską.

- Szukałam pana wcześniej, panie Trueblood. Mogłam się domyślić, że będzie się pan tutaj upijał, zamiast pilnować interesu, a tam sklep stoi otwarty na oścież. Nie wie pan, że ktoś może wejść i coś sobie wziąć?

- Prawda. Co sobie wzięłaś? Wywróc kieszenie, bądź grzeczną dziewczynką. Pod tą peleryną mogłabyś przeszmuglować moją georgiańską kozetkę.

Agatha machnęła laską i Trueblood się odchylił.

- Słówko na osobności, Plant!

Melrose ziewnął.

- Może pojedziesz z nami do Torquay. Zaplanowali śmy piękne wakacje, mogłabyś dołączyć jako czwarta.

Gdy Agatha walnęła laską w stół, pani Withersby podskoczyła, wymamrotała coś i odeszła, szurając nogami.

- Scroggs! - wrzasnęła Agatha i zajęła krzesło pani Withersby. - Przynieś mi półsłodką sherry.

Ale pani Withersby wróciła.

- Jak do wieczora spadnie z drzewa, urok nie zadziała i zło się dokona! - I walnęła pustym kuflem w stół, tym razem sprawiając, że podskoczyła Agatha.

- Co ty bredzisz, moja dobra kobieto?

- Mówiłem ci - wyjaśnił Trueblood. - Chodzi o skunksa. Czekamy, aż spadnie z drzewa, żebyśmy znowu mogli spać spokojnie.

- Panie Trueblood - odezwała się Agatha z udawaną troską - ma pan w sklepie dziesięć osób czekających na obsługę. Czy nie powinien pan do nich pójść?

Trueblood dopił piwo i wstał leniwie.

- W życiu nie miałem dziesięciu klientów w sklepie. Ale widzę, że nie jestem mile widziany. Pa, pa. - I wyszedł.

- No, udało ci się oczyścić stolik, Agatho. O co, u diaska, chodzi?

Triumfalnie obwieściła:

- Znaleźliśmy bransoletkę Ruby Judd!

-Co? „My”, to znaczy kto?

- Ja. I Denzil Smith. - Rzuciła nazwisko pastora tak niedbale, że Melrose nabrał podejrzeń, kto naprawdę dokonał znaleziska.

- Przecież policja przetrząsnęła całą plebanię. Gdzie była?

Agatha zwlekała z odpowiedzią. Widział, jak gorliwie szuka w myślach odpowiedzi, która by jej nie zdyskredytowała.

- Chyba nie powinnam mówić. - Od niechcenia dodała: - Była na terenie plebanii.

- To znaczy, droga cioteczko, że nie w i e s z. W takim razie znalazł ją pastor. Oddał ją inspektorowi Jury?

- Oddałby, z pewnością - rzekła Agatha słodko. - Gdyby mógł go z n a l e ź ć . Zawsze, gdy jest potrzebny, włóczy się gdzieś po okolicy.

- Mówiłaś komuś jeszcze? - Melrose czuł się niespokojny na myśl, że wiadomość o tym odkryciu krąży po miasteczku.

- Ja? Nie ja! Ja zachowuję wiadomości dla siebie. Ale wiesz, jakim plotkarzem jest Denzil Smith. Właśnie wróciłam od Lorraine, i tam już wiedzieli - odparła z pewną irytacją, wyraźnie żalując, że to nie ona powiedziała im pierwsza.

Melrose westchnął.

- Inspektor Jury dowie się ostatni.

- Gdyby posiedział w miasteczku dłużej niż dwie minuty, mógłby wiedzieć pierwszy. Właśnie wracam z komisariatu. Nic nie dałam rady wyciągnąć z posterunkowego Plucka. Spędziłam cały ranek, robiąc to, co powinien robić Jury.

Melrose poważnie w to wątpił, ale nie mógł się oprzeć pytaniu:

- A co takiego robisz?

- Systematycznie przesłuchuję podejrzanych z mojej listy. - Wyciągnęła z kieszeni kawałek papieru, zwiędły jak liść sałaty, i podała go Melrose'owi, jednocześnie pokrzykując na Dicka Scroggsa, żeby przyniósł jej sherry, i to szybko. - Zaczęłam od głównej ulicy.

Melrose poprawił okulary i przeczytał listę. Były na niej dwa nagłówki: „Podejrzani” i „Motywy”.

- Co robią te wszystkie „zazdrości” pod „Motywami”? O kogo miałyby być zazdrosna Vivian Rivington? A na zwisko Lorraine całkiem wykreśliłaś.

- Gołym okiem widać, że ona tego nie zrobiła. A, jest moje sherry.

Dick stał nad Agathą i czekał, aż mu zapłaci, ale ona najwyraźniej liczyła na Melrose'a.

- A propos, wszyscy dziś wieczorem idziemy na kolację do „Huncwota”.

Melrose trzymał kieliszek w jednej ręce, listę w drugiej-

- Wszyscy? To znaczy kto?

- Bicester-Strachanowie. Darrington i ta cudzołożnica, z którą się prowadzi. I światło twojego życia, Vivian. -  
Dodała chytrze: - Gdy wpadłam tam dzisiaj, był u niej Simon.

Melrose zignorował to.

- Skąd wiesz, że Lorraine nie miała nic wspólnego z tymi morderstwami?

- Rasa, mój drogi, rasa.

- To tłumaczy, czemu nie zrobił tego jej koń, ale nie Lorraine.

Wciąż studiując listę, zauważył, że wśród innych nazwisk schowane jest jego własne, wciśnięte mniejszymi literkami między Sheilę a Darringtona, jakby po dłuższym namyśle. Pod „Motywem” widniał znak zapytania.

- Chcesz powiedzieć, że nie znalazłaś dla mnie motywu, cioteczko?

Chrząknęła.

- Najpierw w ogóle cię nie zapisałam. Przez to przekłete alibi, które sfabrykowaliście z Jurym.

- Widzę też, że nie ma tu twojego nazwiska.

- Oczywiście, ty wariacie. Ja tego nie zrobiłam.

- Ale pod nazwiskiem Trueblooda masz „narkotyki”.

Co on ma wspólnego z narkotykami?

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Mój drogi, Trueblood p r a c u j e w handlu antykami, prawda?

- Wiem o tym od jakiegoś czasu.

- Przy tych wszystkich rzeczach, które sprowadza z zagranicy - może nawet z Pakistanu i Arabii... - No, gdzie ty byś ukrył haszysz lub kokainę, którą chciałbyś przeschmuglować do kraju?

- Nie mam pojęcia. W uchu?
- Ci ludzie, którzy zostali zamordowani, byli, jak to się nazywa? Łącznikami. Mogła to być nawet wojna gangów.
- Ale Creed był emerytowanym policjantem. - Melrose musiał się z ciotką spierać wbrew sobie.
- No właśnie! On wpadł na ich trop, nie rozumiesz? Całego gangu narkotykowego. Więc Trueblood musiał... - Przeciągnęła palcem po gardle.
- Melrose nienawidził sam siebie za kolejne pytanie:
- A Ruby Judd?
- Pośredniczka.
- Między kim a kim? - Z a w s z e jest ktoś, kto pośredniczy. Melrose porzucił ten temat.
- Słuchaj, trzeba powiedzieć Jury'emu o bransoletce. Agatha dopiła swoją sherry.
- Może Interpol go namierzy. - Uśmiechnęła się złośliwie.

Jury siedział w pubie „Pod Huncwotem” i czekał na Melrose'a Planta. Umówili się tego ranka, że wieczorem się tutaj spotkają. Jury spojrzął na zegarek: ósma trzydzieści pięć.

Ziewnął. No, gdzież on jest? Patrząc na swoją twarz w długim barowym lustrze, zobaczył ją zniekształconą przez przyciemnione na brązowo szkło, zdobione kwasorytem w kunsztowne rośliny pnące. A może po prostu tak źle wyglądał. Czuł się bardzo zmęczony po całym popołudniu przeglądania zeznań z komisarzem Pratem.

Użalał się też nad sobą, obserwując intymną rozmowę Vivian Rivington i Simona Matchetta przy narożnym stoliku. Blisko nich siedzieli Sheila Hogg i Oliver Darrington, którzy, gdy wszedł, pogrążeni byli w burzliwym dialogu,

ale teraz udawali przed Lorraine Bicester-Strachan i Isabel Rivington, że się uśmiechają. Willie Bicester-Strachan błąkał się po pubie w poszukiwaniu pastora. Chwilę wcześniej pytał Jury'ego, czy nie widział Smitha.

Jury usłyszał swoje nazwisko i spojrzawszy w lustro, zobaczył stojącego obok Melrose'a Planta.

- Ja - m y - właśnie przyszliśmy. Przepraszam, że trwało to tak długo, ale moja droga cioteczka zanudzała mnie przez ostatnią godzinę. Teraz w holu dorwała Bicester-Strachanów. - Plant zajął stołek barowy obok Jury'ego. - Widział pan Denzila Smitha?

- Nie, ale ma tu być.

Plant wydawał się zatroskany.

- Proszę posłuchać, według Agathy...

- Agatha potrafi mówić za siebie, dziękuję ci bardzo! - Lady Ardry wcisnęła się między nich, spychając Jury'ego na bok. - Różowy dzin, proszę, Melrose.

Gdy Melrose zamówił drinki, powiedział:

- Może się pan zdziwi, inspektorze, ale nawet ja uważam, że powinien pan posłuchać, co ma do powiedzenia moja ciotka.

Jury zauważył rubinowo-szmaragdową bransoletkę lady Ardry, zapiętą wokół ładnej skórzanej rękawiczki. Zastanawiał się, co się stało z tamtymi bez palców - prawie czegoś mu brakowało. Agatha patrzyła teraz na niego tak, jak królowa mogłaby przesuwac wzrokiem po twarzy jakiejś niechlujnej służącej.

- Gdyby pan się zgłosił do mnie, inspektorze, mogłabym podsunąć panu kilka pomysłów.

- Z całą pewnością będę wdzięczny, jeśli podsunie mi je pani teraz, lady Ardry. - Jury starał się przybrać stosownie uniżoną minę i miał tylko nadzieję, że kobieta przejdzie wprost do rzeczy... czego oczywiście nie zrobiła. Najpierw musiała uporządkować różne drobiazgi

na swojej osobie, sprawdzić, czy mały guziczek przy rękawicze jest dobrze zapięty, przesunąć szczyrowato wyglądającego lisa o ułamek cała, przyglądać włosy, choć nie uczyniło to większej różnicy w ich wyglądzie. Gdy Melrose postawił przed nią różowy dzin, była wreszcie gotowa mówić.

- Dziś po południu poszłam do pastora. Wcześniej złożyłam wizytę paniom Rivington. I muszę powiedzieć, Melrose, że Vivian, światło twego życia, mogłaby być odrobinę bardziej gościnna. Jeśli interesuje pana moja opinia, inspektorze...

- Jakoś nie wierzę w cuda - wtrącił Melrose. -Przejdź do s e d n a , Agatho.

- Nie musisz do mnie mówić takim tonem. Przesłuchując podejrzanych, odkryłam sporo drobiazgów; inspektor wiele by dał, żeby je poznać. - Uśmiechnęła się głupawo.

Jury zachował powagę i czekał cierpliwie. Gdyby ją próbował popędzać, tylko pogorszyłby sprawę.

- Tak czy inaczej - ciągnęła - łatwo panu tak po prostu ignorować całkiem oczywiste rzeczy - jak na przykład to, że Trueblood jest handlarzem antykami...

- Przejdź do pastora, Agatho.

- Kto tu opowiada, Melrose?

Wzruszył ramionami.

- Święty Mikołaj?

- Po tym, jak odwiedziłam prawie wszystkich z mojej listy...

- Bransoletka, Agatho.

- Zmierzam do tego.

- Czy należy rozumieć, że ma to coś wspólnego z zaginioną bransoletką Ruby Judd, lady Ardry? - spytał Jury.

- Cały czas usiłuję to panu wyjaśnić, tylko mój bratanek wciąż mi przerywa. Znalazłam branso...



-On znalazł, chciałaś powiedzieć - poprawił Mel-rose. - Przyznałaś się, że nie miałaś nic wspólnego z jej znalezieniem.

- Ale g d z i e , lady Ardry? Przeszukaliśmy cały dom.

Agatha przyglądała się czubkom swoich butów.

- Nie jestem pewna, bo...

- O, do diabła, Agatho. Smith ci nie powiedział, bo nie chciał, żebyś zaraz wypaplała całemu Long Piddleton.

- Nie taki był powód. - Jakby się zamyśliła. - Nie chciał narażać mego życia! - Potem przybrała zmartwioną minę. - Dobry Boże, chyba nic mi nie grozi?

Jury poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie.

- Gdzie ją znalazł? Kiedy to się stało?

- Nie wiem dokładnie. Byłam u niego dziś rano. Próbował pana złapać, ale pan gdzieś się włoczył... niewątpliwie śledząc fałszywe tropy.

- A czy pani w ogóle w i d z i a ł a tę bransoletkę?

- Oczywiście!

- Gdzie ona teraz jest?

- Denzil gdzieś ją ukrył. Powiedział, że położy ją dokładnie tam, gdzie ją znalazł, bo to taka dobra kryjówka. Ale nie chciał mi powiedzieć gdzie. - Z nadąsa-ną miną obracała szklaneczkę swojego różowego ginu. Potem powiedziała: - Moja teoria, jeśli chodzi o cały ten okropny katalog zbrodni, ma związek z Marshallem Truebloodem...

- Co z Marshallem Truebloodem, staruszko?

Jury nie zauważył, jak Trueblood do nich podszedł. Nie wydawał się wcale urażony, że ktoś mówi o nim za jego plecami. Uśmiechnął się z zadowoleniem do wszystkich zebranych.

- I słuchaj, kochana, lepiej oddaj mi nożyk do rozcina nia listów, zanim pójde na policję - dodał antykwariusz.

Agatha poczerwieniała.

- Wypraszam sobie! Niepotrzebna mi żadna tania arabska tandeta!

- O, nie. Nie był tani. Kosztował mnie dwadzieścia funtów. Więc oddaj go, dobrze, skarbie? - Pstryknął palcami kilka razy.

Jury wstał od stolika i przeszedł do grupy z Bicester--Strachanami.

- Panie Bicester-Strachan, czy pastor mówił, że będzie tu o jakiejś konkretnej porze?

- Tak. - Bicester-Strachan wyjął duży zegarek-cebulę. - Godzinę temu. Dokładnie o ósmej, tak powiedział.

- Chryste - mruknął Jury. Podbiegł z powrotem do stolika i zawołał: - Panie Plant, możemy skorzystać z pańskiego bentleya?

Wypadli przez drzwi, zanim pozostali zdolali zamknąć otwarte usta.

## 16

Nóż do rozcinania listów wbito w jego pierś aż po rękojęć z kości słoniowej. Ciało Denzila Smitha leżało na podłodze pośrodku biblioteki, twarzą do góry.

Choć nie było bałaganu, biblioteka na plebanii została przeszukana: świadczyły o tym książki porzucane z półek, powyciągane szuflady, otwarte szafy.

- Nie rozumiem - rzekł Melrose Plant. - Jeśli mordercy chodziło tylko o bransoletkę, w jakim celu się ujawnił, tylko po to, żeby ją odzyskać? Czy nie była to zwykła bransoletka dla wszystkich poza nim i Ruby Judd?

- Nie sądzę, żeby chciał dostać tylko bransoletkę. Może przyszedł po coś jeszcze: po pamiętnik Ruby. Znalazł się jeden zaginiony przedmiot, więc przypuszczalnie uznał, że pastor ma i drugi. Z pewnością nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko. - Jury przeszedł za biurko, usiadł i ostrożnie ujmując słuchawkę przez chusteczkę, zadzwonił na posterunek w Weatherington. Zostawił instrukcje dla Wigginsa, żeby przyjechał z ekipą z laboratorium. Potem zadzwonił do posterunkowego Plucka.

- Mój Boże, sir, jeszcze jedno? - Plucka dosłownie zatkało.

- Tak, kolejne. Proszę natychmiast przyjść do pubu „Pod Huncwotem” i zacząć zbierać zeznania - od Simona

Matchetta, Bicester-Strachanów, Isabel i Vivian Rivington, Sheili Hogg i Darringtona. A także lady Ardry. Reszty niech się pan pozbędzie.

Pluck odpowiedział takim tonem, jakby mówił o poważnej chorobie dziecka:

- Nie wiem, czy będę mógł tam przyjechać, sir. Chodzi o morrisa. Wydaje jakieś dziwne brzęczenie, nie...

- Panie posterunkowy - rzekł Jury z ujmującą bezpośredniością - jeśli natychmiast nie przyjedzie pan do „Huncwota”, usłyszysz pan dziwne brzęczenie między uszami. Na litość boską, człowieku! Weź czyjkolwiek samochód. Choćby panny Crisp z sąsiedztwa; zatrzymaj kogoś na ulicy...

Słyszając ton Jury'ego, Pluck chyba stanął na baczność. Nawet w jego głosie dał się słyszeć jakby salut:

- Tak jest, s i r!

Jury z trzaskiem odłożył słuchawkę i zwinął w kulkę kawałek papieru, na którym narysował morrisa wjeżdżającego w drzewo. Gdy chciał ją wrzucić do kosza, zauważył kartkę leżącą pod przypominającym bryłę lawy kamieniem, który służył jako przycisk do papieru. Jury wyciągnął ją i zobaczył coś, co wyglądało na jakieś chaotyczne notatki, prawdopodobnie do kazania.

- Niech pan posłucha - zwrócił się do Melrose'a, który wciąż stał na środku pokoju i wpatrywał się w ciało pastora. - Pastor porobił tu jakieś dziwne notatki: Po wtorku pościć... W morze wlaży żartem... Podwiozłem bi cyklem... Jak pan myśli, co to miało, u licha, znaczyć?!

Plant wszedł za biurko, spojrzał na papier i potrząsnął głową.

- Weźmiemy tę kartkę, jak tylko skończy z nią nasz człowiek od daktyloskopii. Ale szczerze mówiąc, nie robię sobie nadziei co do odcisków. - Obejrzał pozostałe rzeczy na biurku: blok do pisania, buteleczkę z atramentem, pió-

ra, wazon ze zwiędłymi różami. Jego wzrok powędrował w dół rzędu otwartych szuflad i zarejestrował, że ich wartość została naruszona, ale nie zniszczona. Za oknem na tyłach plebanii zachrzęściły opony i przez ciemną szybę zobaczyli błyskające niebieskie światło - albo policji, albo karetki pogotowia. Następnie do środka weszła ekipa z Weatherington, razem z sierżantem Wigginssem. Wszyscy wyglądali, jakby byli skołowani tymi ciągłymi wezwaniem do Long Piddleton. Zaczął padać deszcz posepnymi, ukośnymi falami. Co jakiś czas dawał się słyszeć grzmot, jak werbel z odległej planety, i niebo rozświetlała nagle błyskawica. Idealna noc na morderstwo.

- Kogo tu mamy tym razem? - zapytał Appleby, z uśmiechem szerokim jak bożonarodzeniowy wieniec.

Jury, który czuł się podle i miał wyrzuty sumienia z powodu śmierci pastora - czy mógłby jej zapobiec, gdyby był w Long Piddleton zamiast w Weatherington? - odparł ponuro:

- Wielebny Smith. Denzil Smith. Był pastorem w kościele Świętego Regulusa.

Fotograf policyjny - oni zawsze przypominali Jury'emu turystów o smętnych twarzach - robił zdjęcia zwłok pod każdym możliwym kątem, wyginając się jak akrobata. Jury wysunął z paczki papierosa i obserwował, jak człowiek od odcisków palców ze swoim szkłem i pędzlem omiata wszystko od klamek po abażury. Jeden posterunkowy ustawił się przy drzwiach, inny włóczył się na górze, a jeszcze inny czekał w pokoju na wskazówki od kogoś, kto zechce ich udzielić.

Gdy skończyło się fotografowanie, doktor Appleby pochylił się nad ciałem, Wiggins zaś stanął nad nim, z notesem w ręku. Wyglądał mizernie. I nic dziwnego. Appleby ciągnął monotonną, szczegółową relację na temat sposobu zadania śmierci, stanu ofiary - wzrost, waga,

wiek. Określi! czas morderstwa na godzinę między szóstą a ósmą tego wieczoru. Ale stopień stężenia mięśni nie był, według niego, tak jednoznaczny. Istniała w tym wszystkim jakaś drażniąca powtarzalność, jakby bez przerwy puszczano ten sam film.

Usłyszeli kolejny chrzęst opon, trzaskanie drzwiczek, otwieranie drzwi, i weszli noszowi, aby zabrać zwłoki. Stali w milczeniu na baczność, czekając na znak od Appleby'ego. Appleby skończył pobieżne oględziny, a oni zawinęli ciało w gumowe prześcieradło.

Gdy skończyły się czynności w bibliotece, a człowiek od odcisków palców powlókł się na górę z sierżantem, Appleby zapalił papierosa. Wydmuchnął małe kółko dymu i rzucił:

- Myślałem kiedyś, żeby kupić gdzieś tu domek, jak już pójdę na emeryturę. Ale w tych okolicznościach - nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

Zatrzasnął swoją torbę i już był przy drzwiach frontowych, gdy odwrócił się, żeby powiedzieć Jury'emu „do zobaczenia”. Wkrótce.

- Ten doktor ma dziwne poczucie humoru - zauważył Melrose.

Jury wrócił do biurka, chwycił kartkę i wpatrywał się w notatki, które zrobił pastor. Na palcu zamordowanego była plama z atramentu, jak zauważył Jury, i podobna plama widniała na papierze.

Drzwiczki samochodów na dworze otwierały się i zamykały z trzaskiem. Gdy wozy zaczęły się wycofywać, światła zabarwiły mgłę na żółto. Wiggins wrócił, klapnął na sofę i wyciągnął chusteczkę do nosa. Long Piddleton nie wpływało najlepiej na jego mityczne dolegliwości. Uderzenie pioruna i przerażony krzyk Wigginsa sprawiły, że Jury obrócił się i zobaczył w rozbłysku błyskawicy jakiś kształt i zarys bladej twarzy za oszklonymi drzwiami

za biurkiem. Rzucił się do okna, a potem zatrzymał się, widząc, kto to.

- Lady Ardry! Co, u d i a b l a?...

- Agatha! - wykrzyknął Melrose.

Weszła do środka, ociekając wodą.

- Nie ma potrzeby używać wyrazów, inspektorze.

Obserwowałam procedurę.

Jury miał dość.

- Wiggins! Zakuj ją w kajdanki!

Na jej twarzy odmalowały się różne uczucia, od niedowierzania do kompletnego przerażenia. Wiggins, który nie miał przy sobie kajdanek, i nigdy ich nie nosił, patrzył na Jury'ego ze zdumieniem.

Odzyskała głos.

- Melrose! Powiedz temu szalonemu policjantowi, że nie może...

Melrose tylko zapalił bez pośpiechu cygaro.

- Nie ma obawy, załatwię ci dobrego adwokata.

Chciała się rzucić na bratanka, ale Jury stanął między nimi.

- No dobrze. Nie zatrzymamy pani jeszcze teraz. Ale co pani tam robiła?

- Obserwowałam, oczywiście. Chyba pan nie myśli, że się opalałam - burknęła.

- Nie przybierałbym takiego tonu wobec inspektora, Agatho. Niewykluczone, że jesteś ostatnią osobą, która widziała pastora żywego!

Przełknęła ślinę i śmiertelnie pobladła. Może i chciała być świadkiem, ale nie aż do tego stopnia.

- Cóż, jechałam za wami. Zaraz jak wyszliście z pubu. Pożyczyłam rower od Matchetta. Okropna przejażdżka.

- Stałaś na dworze przez cały ten czas?

- Dotarłam tu, gdy ten doktor kręcił się przy ciebie. Widziałam go! Nóż do otwierania listów Trueblooda!

Mówiłam wam przecież! - Potem przypomniała sobie chyba, że Denzil był jej przyjacielem, i ukryła twarz w dłoniach. Usłyszeli jęk. Jury zapytał:

- Widziała tu pani wcześniej tę bransoletkę?

Kiwnęła głową.

- Trochę mi słabo. Może kropelkę brandy?

Plant poszedł po drinka dla niej, a Jury usiadł na przeciwko.

- Lady Ardry, co robił pastor, gdy pani tu była?

- Rozmawiał ze mną, oczywiście.

Jury rzucił niecierpliwie:

- Ale co jeszcze?

- Nie wiem. Zaraz. Tak, przygotowywał kazanie. Próbował przelewać z pustego w próżne, jak zwykle. Jakieś bzdury o budowaniu kościoła. - Przyjęła koniakówkę z rąk Melrose'a, opróżniła połowę, otarła dość nieelegancko usta nową skórzaną rękawiczką i rozejrzała się posepnie po pomieszczeniu.

Jury pokazał jej kartkę z biurka.

- Czy to wygląda na coś, czego pastor mógł potrzebować do kazania?

Agatha wyjęła okulary, przyjrzała się zapiskom i rzekła zdziwiona:

- Co to za bełkot? „Po wtorku pościć”? To nie ma sensu. Nie w stylu Denzila. On nie był tak religijny.

Jury złożył kartkę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni.

- Skoro widziała pani bransoletkę, gdzie wtedy była?

- Wyjął ją z szuflady w biurku.

- I powiedział, że odłoży ją na to samo miejsce, w którym ją znalazł, tak?

Kiwnęła głową.



- Przeszukaliśmy ten dom od góry do dołu - poinformował Jury, kręcąc głową.

- A kościół? - zapytał Melrose.

- Mój Boże! - wykrzyknął Jury. - Oczywiście - nikt nie pomyślał o kościele. Zajrzyjmy tam więc. - Kazał Wigginsowi zostać w domu.

- Niech pan się trzyma z dala od psiej strony - szepnęła Agatha, gdy szli ścieżką do kościoła; ona wlokła się z tyłu.

- Od czego?

- Och, wie pan. Zawsze chowają jakiegoś psa pod nieochrzczonymi dziećmi i samobójcami, żeby ich duchy nie chodziły po cmentarzu.

- Interesujące - rzekł Jury.

Jury miał ze sobą latarkę, a Plant przyniósł drugą z bentleya. Kościół był wilgotny, bardzo zimny i oświetlony pajęczynami księżycowego światła, rozproszonego przez maswerk w oknach. Jury włączył latarkę i przesunął snop promieni po ławkach, które zajmowały całą długość nawy. Puste kwadraty na bokach ławek świadczyły o tym, że kiedyś były tam tabliczki z nazwiskami - teraz demokratycznie usunięte. Pomyślał, że jedna z nich na pewno należała do rodziny Melrose'a Planta. Większe ławki wyłożono zielonym lub fioletowobrazowym sukniem. Rzędy zwykłych, przeznaczonych dla chłopów i prostego ludu, zrobiono z gołego drewna.

Jako że Agatha nie miała latarki i nie mogła jej wyjąć z ręki Planta, trzymała się najpierw rękawa jednego z nich, potem drugiego. W pewnej chwili jej obcas uwiązał w rzadko tkanej miękkiej wykładzinie, leżącej na zabytkowych tablicach pamiątkowych wpuszczonych

w posadzkę, i omal nie upadła. Jury i Plant podźwignęli ją do góry.

- Gdzie, u licha, jest światło? - zapytał Jury. Nikt nie wiedział.

Idąc wzdłuż nawy, omiatali przejścia latarkami, a Agatha chwyciła się kurczowo ich rękawów jak niewidoma.

Znajdował się tam balkonik, pozostałość po ścianie tęczowej, bez wątplenia przebudowanej po reformacji. W murze zostały wykute schody. Tak wysokiej ambony Jury jeszcze nigdy nie widział. Była to jedna z tych osiemnastowiecznych trójkondygnacyjnych konstrukcji, ambona, pulpit i siedzenie dla duchownego. Pastor wszedł na nią po niewielkich schodkach.

- Zjrzyj tam - rzucił Jury, wchodząc na wąski stopień. Dookoła ambony biegła wewnętrzna półeczka, gdzie leżało kilka książek, które oświetlił latarką. Zobaczył tylko zacytany Nowy Testament i księgę liturgii.

- Znalazł pan coś? - zapytał Melrose.

Jury potrząsnął głową, a potem zauważył lampę, która wisiała nad amboną na mosiężnym ramieniu. Sięgnął w górę i pociągnął za sznurek z koralików. Kałuża ciepłego światła rozlała się po ambonie i rozeszła półkolem przez prezbiterium, by osłabnąć przed ołtarzem.

Zszedł po schodkach i we trójkę weszli pod łuk prezbiterium. Lady Ardry wciąż trzymała się płaszcza Planta, jakby morderca w tym momencie dyszał ciężko w ciemnym zakamarku jednego z nieoświetlonych przejść między ławkami. Ołtarz został świeżo przystrojony kwiatami na nabożeństwa świąteczne. W słabo oświetlonym i wilgotnym pomieszczeniu rośliny wydzielaly odurzający i egzotyczny zapach. W południowo-wschodnim rogu znajdowała się mała zakrystia, do której wchodziło się drzwiami w ścianie prezbiterium. Jury przeszedł przez

nie, omiół światłem maleńki pokoi i zatrzymał się przez moment na kielichu. Może to tylko jego nienasycona policyjna ciekawość. Podeszedł do niego i zdjął serwetkę z góry.

W środku naczynia była złota bransoletka.

Szybko wyjął z kieszeni spodni chusteczkę, rozłożył ją, potrząsając, i sięgnął do kielicha. Wrócił do ołtarza, gdzie stała dwójka pozostałych.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Agatha, gdy zobaczyła, co Jury ma w ręce.

- Była w kielichu, jeśli możecie w to uwierzyć. Nastąpiła chwila ciszy, w jakiej przyglądali się zna lezisku.

- Ale czy nie zostałaby znaleziona zeszłej niedzieli?

- Nie było komunii - wyjaśniła lady Ardry. - Denzil zawsze zapominał o komunii. Zresztą tak czy inaczej nie użyłby tego kielicha. Uważał to za niehigieniczne. Używał małych srebrnych kubeczków. Od czasu do czasu.

- Myśli pan - odezwał się Melrose - że to Ruby zostawiła ją tutaj? Zanim zniknęła?

- Tak. To naprawdę całkiem sprytne. Myślę, że był to rodzaj zabezpieczenia. Wiedziała, że bransoletka jest ważna i że w końcu zostanie znaleziona, jeśli sama po nią nie wróci. Można by wręcz pomyśleć, że miała głowę na karku.

- To - rzekła lady Ardry - jest wątpliwe.

Gdy piętnaście minut później wrócili do pubu „Pod Huncwotem”, Jury stwierdził, że Pluckowi udało się przyjechać i zatrzymać towarzystwo, które nie było tym szczególnie uszczęśliwione. Przy barze siedzieli Trueblood, Simon Matchett, Bicester-Strachanowie i Vivian Rivington. Isabel, sama, popijała słodki likier. Sheila Hogg, według Plucka, wyszła, zanim on tu dotarł, najwyraźniej

w ataku złości z powodu flirtu między Darringtonem a panią Bicester-Strachan.

Jury poprosił Daphne Murch, żeby przyniosła mu papierosy, i przeczytał zeznania, które spisał Pluck. Ani jedna z tych osób nie miała alibi na godzinę czy dwie, zanim pojawiła się w pubie. Pamiętał, że Plant mówił mu, że lady Ardry w tym czasie była z nim, a jeśli tak, ona może być czysta. Ale Jury z całą przyjemnością postanowił zachować to jeszcze jakiś czas dla siebie. Co do pozostałych, każde z nich mogło opuścić pub o dowolnej porze, nie zwracając niczyjej uwagi. Stąd do plebanii było tylko kilka minut, a z brukowanego dziedzińca bez przerwy odjeżdżały jakieś samochody. Jury przeczytał w notatkach Plucka, że Darrington odwiózł Lorraine do domu po jej książeczkę czekową. Niezła bajeczka. Sheila Hogg też musiała tak pomyśleć. W pewnej chwili Jury przypomniał sobie, jak Matchett opuszczał bar. A później na chwilę zniknęła Isabel. Może tylko w toalecie, ale jednak. Wszyscy i nikt.

Gdy podniósł wzrok znad notatek, obecni wpatrywali się w niego albo bawili się ubraniem lub włosami. Jury powiedział Wigginsowi, żeby pojechał za Sheilą Hogg i spisał jej zeznanie; on zostanie tutaj i zweryfikuje notatki posterunkowego Plucka.

W końcu Simon Matchett przerwał napięcie, mówiąc:

- Mam wrażenie *deja vu*. Wszyscy byliśmy tutaj tego wieczoru, gdy ten Smali... - Ale przy ostatnich słowach głos mu się załamał.

- Święta prawda, panie Matchett. Czy mógłbym teraz prosić państwa kolejno, indywidualnie? Panie posterunkowy, sądzę, że najlepsze miejsce będzie w tym pokoiku od frontu.

- Panie Bicester-Strachan, jestem pewien, że to bardzo dla pana bolesne. Wiem, że przyjaźnił się pan z pastorem.

Bicester-Strachan odwracał głowę, wyjmował chusteczkę, potem wpychał ją na powrót do kieszeni.

- Zdaje się, że mówił pan, że miał się spotkać z pastorem Smithem tutaj?

Bicester-Strachan pokiwał głową.

- Tak. Mieliśmy zagrać w warcaby po kolacji. To znaczy, on nie zamierzał tu przyjść na kolację, ale kiedy już skończył kazanie na jutro... - Głos mu się załamał.

- Kiedy się panowie umawiali?

- Dziś po południu. Chyba około drugiej. - Wzrok starszka wędrował po pokoju, jakby ten starał się skupić na czymś, co pozwoli mu przestać myśleć o śmierci pastora.

- Wychodził pan na spacer - czy opuścił pan teren lokalu?

- Co? O nie. Chodziłem tylko tam i z powrotem pod budynkiem. W barze robi się czasem strasznie duszno od dymu papierosowego. I martwiłem się o Denzila. Zawsze był taki punktualny. - Bicester-Strachan odwrócił się do drzwi, jakby spodziewał się, że pastor jeszcze przez nie wejdzie.

- Czy rozpoznaje pan to, panie Bicester-Strachan?

- Bransoletka Ruby Judd leżała na stole z rozkładanym blatem, na chusteczce Jury'ego. Bicester-Strachan pokręcił głową i wyglądał na zirytowanego, jakby uważał rozmowę o biżuterii - w tych okolicznościach - za absolutnie niepoważną.

- Ale wiedział pan, że pastor znalazł ją dziś rano.

Bicester-Strachan zmarszczył brwi.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Czy pastor nie powiedział panu, że znalazł bransoletkę należącą do Ruby Judd?

- Ruby? To ta biedna dziewczyna, którą... tak, chyba mówił. Ale nie myślałem o tym wiele.

Jury podziękował mu i zwolnił go, myśląc, że ten człowiek wygląda, jakby postarzał się w ciągu dwóch godzin o dobre dziesięć lat.

- Panie Darrington, odwiózł pan do domu panią Bicester-Strachan po jej książeczkę czekową, zgadza się?

- Tak. - Oliver unikał jego wzroku.

- Po co jej była potrzebna?

- Po co? Dobry Boże, skąd mam wiedzieć?

- Przecież z pewnością pan Bicester-Strachan miał pieniądze na kolację. Matchett też na pewno zapisałby każdą sumę na rachunek dla każdego z państwa.

- Inspektorze, nie w i e m, po co Lorraine była ona potrzebna.

- Czy rozpoznaje pan tę bransoletkę, panie Darrington?

- Mam wrażenie, że skądś ją znam.

Nieznosny kłamca, pomyślał Jury. Darrington nie mógł od niej oderwać wzroku.

- Widział ją pan wcześniej?

Oliver zapalił papierosa, wzruszył ramionami i powiedział:

- Być może.

- Może na ręce Ruby Judd?

- Możliwe.

- Z pańskiego zeznania wynika, że wysadził pan panią Bicester-Strachan pod jej domem i pojechał do swojego. Po co?

- Po co? Potrzebowałem pieniędzy, to wszystko.

- Dziś wieczorem jakoś dziwnie wszystkim brakuje pieniędzy. Jest pan pewien, że nie wszedł do domu z panią Bicester-Strachan?

- Wie pan co, inspektorze? Mam dość pańskich in-synuacji...

- A ona nie pojechała z panem do pańskiego domu?

- Nie!

- Rozumiem. To fatalnie, w pewnym sensie oczywiście. Bo widzi pan, g d y b y p o j e c h a ł a , oboje mielibyście alibi, nieprawdaż?

Lorraine Bicester-Strachan przysunęła swoje krzesło tak blisko do Jury'ego, jak tylko mogła, i skrzyżowała nogi w jedwabnych pończochach. A ponieważ jej długa tweedowa spódnica była zapięta tylko od talii do kolan, ukazywała dość duży fragment nogi.

- Nie, nigdy jej nie widziałam - oświadczyła na wi dok bransoletki. - Sugeruje pan, że jest moja i znaleziono ją na miejscu zbrodni?

Jury'ego zawsze zdumiewała bezdusność niektórych ludzi.

- Pani mąż jest strasznie przejęty śmiercią pastora. Musieli być bliskimi przyjaciółmi.

Na tę uwagę strzepnęła tylko popiół z papierosa do kominka.

- Oczywiście, bardzo możliwe, że przyjaźń - i lojalność - nie znaczą dla pani aż tak wiele.

- Jak mam to rozumieć?

- Chodzi o te informacje, które pani mąż miał przekazać jakiś czas temu w niepowołane ręce. To były pani ręce, prawda? A przynajmniej pani ręce przekazały te informacje komuś, kto niekoniecznie był wyznawcą tradycyjnych wartości.

Zdawała się wyrzeźbiona z lodu.

- To był pani kochanek, tak? A także „przyjaciół” pani męża. Ale dla ratowania pani reputacji pan Bicester-Strachan postanowił poświęcić własną. I wciąż to robi.

To dopiero jest lojalność. Niektórzy nawet nazwaliby to miłością...

Lorraine pochyliła się nagle ku niemu; jej ręka śmignęła w górze. Ale Jury tylko chwycił ją w powietrzu, prawie jak piłkę, i popchnął kobietę z powrotem, niezbyt delikatnie, na krzesło.

- Może przejdziemy do obecnej sprawy? Nudziło się pani dziś wieczorem, pani Bicester-Strachan? To dlatego zaprosiła pani pana Darringtona do siebie?

Teraz była nie tylko wściekła, ale i zaskoczona. Nie mogła wyczytać z nieruchomej twarzy Jury'ego, czy Oliver faktycznie coś mu powiedział.

- No więc? - zapytał Jury, rozbawiony, że Darrington i Lorraine znaleźli się między młotem a kowadłem.

- Kłamie, jeśli twierdzi, że z nim poszłam. - Skręcała w palcach wysadzaną brylantami bransoletkę od zegarka.

Jury uśmiechnął się.

- Nie powiedziałem, że tak twierdził, pani Bicester-Strachan. Uczyniłem tylko takie założenie.

Chciało mu się śmiać z jej samozadowolenia, z lekkiego półuśmiechu na myśl o własnym sprycie. Gdy wychodziła, kręcąc biodrami, przyszło mu do głowy, że wizja Olivera i Lorraine kochających się w jakimś ciemnym kącie jest niewymownie nudna.

Pluck przysłał Simona Matchetta.

- To własność Ruby Judd - potwierdził Matchett bez wahania. Obrócił w ustach cienkie cygaro.

- Skąd pan ma tę pewność, panie Matchett?

- Bo dziewczyna przychodziła tutaj dość często do Daphne. Zawsze miała tę bransoletkę na ręce.

Jury kiwnął głową.

- Czy opuszczał pan swój lokal dziś wieczorem? Po wiedzmy, między szóstą a ósmą?



- To znaczy, czy mam alibi? Inspektorze, naprawdę nie wiem.

Jury zapytał drugi raz:

- Czy opuszczał pan lokal?

- Nie. Wyszedłem tylko sprawdzić korki. Było jakieś spięcie w kuchni.

- O której?

!.' - Około siódmej, wpół do ósmej.

- Według tego - Jury wskazał notatki Plucka - pojechał pan do Sidbury i wrócił tutaj około szóstej trzydzieści.

- Tak, o ile pamiętam. Sklepy zamykają tam o szóstej, a powrót zajmuje pół godziny.

- Rozumiem. - W notatkach była nazwa ostatniego sklepu, który Matchett odwiedził. Można łatwo sprawdzić, czy tam był. Jury zmienił temat. - Panie Matchett, co pana łączy z Isabel Rivington?

- I s a b e l ?

- Tak. Isabel.

- Chyba pana nie rozumiem.

- Rozumie pan. Mam wrażenie, że jej uczucia dla pana to coś więcej niż przyjaźń. Jestem pewien, że pan też tak uważa. - Jury uśmiechnął się słabo.

Matchett długo zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie powiedział:

- Wie pan, to skończyło się dawno temu. B a r d z o dawno temu. Rzykując, że nie będę szarmancki, dodam tylko, że przynajmniej dla mnie się skończyło.

To zabiło Jury'ego z tropu. Z jakiegoś powodu nie wziął pod uwagę, że mogło być coś w p r z e s z ł o ś c i . To by z pewnością wyjaśniało jego podejrzenia co do uczuć Isabel dla Matchetta.

- A czy Vivian wie o tym dawnym związku?

- Boże, mam nadzieję, że nie.

Jury rzucił mu piorunujące spojrzenie.

- Co za wielkoduszność, panie Matchett.

Isabel Rivington siedziała naprzeciw niego, wyglądając zamożnie i statecznie. Jury mógł się założyć, że jej niby to całkiem prosta sukienka z grubego brązowego materiału kosztowała majątek.

- Gdzie pani była, panno Rivington, zanim przyszła pani do „Huncwota” dziś wieczorem? - Pochylił się, by zapalić jej papierosa wyciągniętego z paczki, którą balan sowała na poręczy krzesła.

- Mówiłam już posterunkowemu Pluckowi.

Uśmiechnął się.

- Wiem. Teraz niech pani powie mnie.

- Poszłam na spacer. Główną ulicą. Pozaglądałam do sklepów. Potem doszłam do Sidbury Road i dalej ścieżką, która prowadzi przez pola.

- Ktoś panią widział? - Isabel jakoś nie wyglądała mu na gorliwą spacerowniczkę.

- Na ulicy chyba tak. Ale później nie. - Gdy pochyliła się do stołu, żeby strząsnąć popiół z papierosa do porcelanowej popielniczki, jej wzrok padł na bransoletkę. Nie powiedziała jednak nic i odchyliła się z powrotem na oparcie krzesła.

- Widziała pani wcześniej tę bransoletkę, panno Rivington?

- Nie. Dlaczego?

- Co panią łączy z panem Matchettem?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła ją.

- Z Simonem? O co panu chodzi? Jesteśmy przyjaciółmi, i tyle.

Jury chrząknął w sposób, który, jak miał nadzieję, sugerował, że jej nie wierzy, i znów zmienił temat. Od dwóch dni nie mógł się doczekać, kiedy zada następne pytanie.

- Panno Rivington, dlaczego pozwoliła pani Vivian żyć przez te wszystkie lata w przeświadczeniu, że to ona jest odpowiedzialna za śmierć swojego ojca?

Z otwartymi ustami, papierosem zastygłym w powietrzu, wyglądała jak figura z wosku lub manekin kra- wiecki. Gdy przemówiła, jej głos był nienaturalny, wysoki i drżący:

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- Spokojnie, panno Rivington. Zakładając, że to w ogóle był wypadek, to pani siedziała na tym koniu, prawda? Nie Vivian.

- Przypomniała sobie? Vivian sobie przypomniała?

No, pomyślał z westchnieniem ulgi, wreszcie. Gdyby zachowała więcej zimnej krwi, mogłaby wybrnąć z tego z godnością. Jakkolwiek było, i tak nie miał dowodu.

- Nie. Nie przypomniała sobie. Tylko że ani pani wersja, ani jej nie miały większego sensu. A historyjka Vivian wydawała się niemal wyuczona na pamięć. Dzięki pani, jak przypuszczam. Vivian najwyraźniej była bardzo związana z ojcem, a jeśli jako dziewczynka choć trochę przypominała kobietę, jaką jest teraz, trudno uwierzyć, że się z nim bezustannie kłóciła. Jednak przede wszystkim chodzi o wasz opis tamtej nocy. Gdy ona rzekomo wybiegła do stajni, „było bardzo ciemno, bezksiężycowa noc”. Miała tylko o s i e m lat, i choć możliwe jest pewnie, że dziecko w tym wieku jeszcze nie śpi po zmroku, mówimy tutaj o S u t h e r l a n d . Mam znajomego malarza, który kocha góry Szkocji, uwielbia tam malować. Nie tylko z powodu widoków, ale i światła. Żartuje, że można tam stać na rogu ulicy i czytać książkę o p ó ł n o c y , bo wciąż jest jasno. Wydaje się wielce nieprawdopodobne, żeby mała dziewczynka była ubrana i kręciła się po podwórzu o p ó ł n o c y . - Jury wyciągnął przepisana na maszynie raport z wypadku Jamesa Rivingtona

z teczki, którą trzymał w ręce. - Czas wypadku: jedenasta trzydzieści. Dziwię się, że policja wtedy nie wyciągnęła z tego wniosków. - Obserwował, że w miarę jak mówi, Isabel staje się coraz bledsza. - Więc ja wyciągnąłem kilka wniosków: czy ta sprawa z koniem była „wypadkiem”, czy celowym działaniem z pani strony, nie wiem. Wyobrażam sobie coś takiego: siedzi pani na koniu, koń kopie pani ojczyrna, pani biegnie do pokoju swojej małej siostrzyczki, wciąga na nią jakieś ubranie i przyprowadza ją do stajni. Nie musi pani nawet wsadzać jej na konia. Wystarczyło, że zaszczepiła pani w jej umyśle przekonanie, że to ona na nim siedziała. I przez całe lata wciąż wbijała pani siostrze do głowy te bzdury o jej „kłótniach” z Rivingtonem, żeby nie przestawała czuć się winna, żeby pozostawała w takim stopniu, w jakim to możliwe, pod pani wpływem. - Jury, który rzadko pozwalał sobie na komentarze osobiste, nie mógł się teraz powstrzymać: - Jakie to podłe, panno Rivington. Jakie strasznie podłe z pani strony. Dlaczego pani go zabiła? Ten jego testament musiał być dla pani ogromnym rozczarowaniem.

W bladej twarzy usta Isabel były tak czerwone, że wyglądała jak ktoś w delikatnym makijażu klauna.

- Co pan teraz zrobi?

- Zawrę z panią umowę. Będzie pani musiała powiedzieć Vivian...

Gdy zaczęła protestować, wyciągnął rękę.

- ...powiedzieć jej tyle prawdy, żeby nie musiała żyć przytłoczona nieznośnym poczuciem winy. Powie jej pani, że to pani spowodowała wypadek. Jako powód zrzucenia winy na nią może pani podać, że gdyby przyznała się pani policji, że to pani siedziała na tym koniu, zostałyby oskarżona o zabójstwo. Może pani odegrać wielką kome-dię, że była przerażona, i tak dalej, i tak dalej. Trochę

popłakać. Jestem pewien, że pani to potrafi. Oszukiwała ją pani przez dwadzieścia lat, więc na pewno zdoła pani odegrać jeszcze jedno przedstawienie.

Na twarz Isabel wróciło trochę koloru i sporo poprzedniej wyniosłości.

- A jeśli tego nie zrobię? Nie może pan nic udowodnić!

Jury pochylił się do przodu.

- Być może. Ale proszę pamiętać, że ma pani piękny, po prostu piękny motyw morderstwa, nieprawdaż?

- To absurd...

Jury pokręcił głową.

- A jeśli pani jej nie powie, niech pani będzie pewna, że ja to zrobię. I mogę przy tym nie wspomnieć, że to był wypadek.

Wstała gwałtownie z krzesła i skierowała się ku drzwiom.

- I jeszcze jedno, panno Rivington, wystarczy, że szepnę to na ucho komuś tutaj, a będzie pani skończona.

Przy drzwiach odwróciła się.

- To absolutnie nieetyczne. Żaden przyzwoity policjant by czegoś takiego nie zrobił.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem przyzwoity.

Vivian siedziała naprzeciw Jury'ego w prostej różowej wełnianej sukience, splatając i rozplatając ręce.

- Nie mogę w to uwierzyć. Któż chciałby skrzywdzić pastora? Tego niewinnego staruszka?

- Ofiary są przeważnie niewinne. Tylko nie dla mordercy. Czy poznaje pani tę bransoletkę, panno Rivington? - Popchnął ozdobę w kierunku Vivian.

- To ta, którą znalazł.

- To pani o tym wiedziała? Kiedy pani powiedział?

- Dzisiaj. Po południu. Wpadłam na plebanie, żeby z nim porozmawiać.

Jury załamał się w duchu.

- O której godzinie?

- Och, około piątej. Może później. Ja nie... - Zakryła twarz rękami. - Tylko nie to. Nie powie mi pan chyba, że znowu byłam w pobliżu, gdy to się stało.

- Nie, nic pani nie powiem. - Jury uśmiechnął się, choć wcale nie było mu do śmiechu. Dlaczego, u diabła, nie została w domu, żeby pisać wiersze? Spojrzał na notatki, które sporządził Pluck. - Była pani jeszcze potem w domu? Pomiędzy opuszczeniem plebanii a przybyciem tutaj?

- Tak. - Głowę miała spuszczoną, a jej ręce mięły spódnice.

- Może brandy, panno Rivington? Albo coś innego?

- zapytał Jury łagodnie. Opuścił nieco głowę, próbując zajrzeć jej w twarz. Widząc, jak poruszają się jej ramiona, skonstatował, że płacze - tak, był tego pewien. Odruchowo wyciągnął do niej rękę, ale gwałtownie ją cofnął. Czuł się ogromnie przygnębiony, wyobrażając sobie jej twarz

- której nie widział - skrzywioną jak u dziecka. Wyjął złożoną chusteczkę i położył Vivian na kolanach. Potem wstał, odszedł w kierunku jednego z okien i stamtąd kontynuował przesłuchanie:

- Czy po przyjsciu do domu była pani z siostrą?

Pokręciła głową, nie podnosząc jej.

- Nie. Isabel wyszła.

- A pokojówka?

Vivian wytarła nos.

- Też jej nie było.

Jury westchnął. A to pech.

- Dziękuję, panno Rivington. Czy mam poprosić kogoś, **żeby** odwiózł panią do domu? Posterunkowego Plucka?

Wstała już, ale wciąż wpatrywała się w podłogę. Potrząsnęła głową. Lewa ręka wciąż trzymała chusteczkę, a prawa zaginała fałdy spódnicy. Milcząca, wciąż z opuszczoną głową, podeszła do drzwi.

- Panno Rivington!

Odwróciła się.

Jury czuł się okropnie.

- Ma pani... ach, ładną sukienkę. - Idiota, dodał w duchu, wściekły na siebie.

Ale ona uśmiechnęła się lekko. Wreszcie spojrzała na niego, z twarzą tak śmiertelnie poważną, z tymi oczami jak kamienie szlachetne, tak smutnymi, że nagle się przestraszył, że zaraz przyzna się do morderstw - wszystkich.

Gdy otworzyła usta, o mało nie wyciągnął ręki, żeby powstrzymać jej słowa.

- Inspektorze Jury...

- W porządku...

- Wypiorę panu tę chusteczkę. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

- Lady A. zakuje mnie za chwilę w kajdanki, inspektorze. - Marshall Trueblood skromnie założył nogę na nogę. - Jest absolutnie przekonana, że to ja. Rety, ja bym przecież muchy nie zabił. Co dopiero tego kochanego staruszka.

- Kiedy ostatnio widział pan ten nóż do rozcinalia listów, panie Trueblood?

Patrzy! przez chwilę w sufit, potem rzekł:

- Nie potrafię powiedzieć na pewno. Chyba kilka dni temu.

- Często zostawia pan sklep bez opieki?

- Wpadam czasem obok, do Scroggsa, tak, bez zamykania.

- Więc dziś po południu każdy mógł wejść i wyjść bez pana wiedzy?

- Tak, ale po co ktoś by miał to robić? Czy nie istnieje coś, co się nazywa *modus operandi*, inspektorze? Chodzi mi o to, dlaczego tym razem nóż? Pozostali zostali uduszeni.

- Trueblood zreflektował się. - Przepraszam, że tak to ująłem.

- Nie ma za co. Faktycznie, jest pan spostrzegawczy, panie Trueblood. Przypuszczam, że nóż mógł mieć ten sam cel, co książka Darringtona zostawiona „Pod Łabędziem o Dwóch Szyjach”, czyli służyć wplątaniu kogoś innego. Kto był dzisiaj w sklepie?

- Panna Crisp przestała na chwilę wykorzystywać swoją siłę roboczą i przyszła sprawdzić, czy uda jej się wcisnąć mi trochę śmieci. Myślę, że ta kobieta robi interesy z jakimiś włóczęgami, a potem próbuje mi wmówić - uważa pan, m n i e - że to georgiańskie srebra. Prędeż cygańskie...

Jury westchnął.

- Moglibyśmy się trzymać tematu?

- Przepraszam. A potem przyszła jakaś para z Manchesteru, jeszcze się z nich osypywał pył węglowy, szukali art deco, profani. Potem Lorraine pytała o Simona Matchetta, którego ściagała po głównej ulicy, potem - nie wiem. - Zapalił różowego papierosa.

- Kiedy zauważył pan, że nie ma tego noża?

- Nożyka, skarbie. Dziś po południu. Po tym jak lady A. przyszła do Scroggsa i wymiotła wszystkich z pubu dzięki swojej niezrównanej osobowości.

Jury zobaczył, że Trueblood spogląda na bransoletkę, odwraca wzrok, a potem nachyla się, żeby znów na nią spojrzeć.

- Skąd pan wziął to brzydactwo? Czy to nie własność tej Judd?



- Rozpoznaje ją pan?

- Tak. Tandetna ozdóbka. - Odchylił się na oparcie i przykrył ręką usta z udawanym przerażeniem. \_ Chyba właśnie sam wydałem na siebie wyrok - no tak, najpierw mój nożyk w ciele biednego Smitha - podejrzenie mrowane, nieprawdaż? - Pomimo żartobliwie zaczepnego tonu wyglądał trochę blado.

- Przecież trzeba wziąć pod uwagę motyw. Czy jest coś w pana przeszłości, panie Trueblood, co wołałby pan, żeby nie wyszło na jaw?

Trueblood wyglądał na autentycznie zdumionego.

- Żartujesz sobie, staruszk?

## 17

### 27 grudnia, niedziela

Jury i Plant siedzieli ponurym świtem na posterunku w Long Piddleton. Jury wpatrywał się w kartkę, którą wziął z biurka pastora.

- Jeśli to nie notatki do kazania, to w takim razie co?

Melrose Plant zajął mu przez ramię.

- „Po wtorku pościć”. To nie w stylu wielebnego Smitha. Po raz pierwszy w życiu zgadzam się z moją ciotką. - Wziął kartkę do ręki. - „W morze wlaży żartem”. Czy to coś panu mówi?

Jury pokręcił przecząco głową. Siedzieli tak przez dobre pięć minut, wpatrzeni w niezrozumiałe słowa, aż Jury rzucił ze złością swój długopis.

- Chyba jestem po prostu tępy. Ale nie mogę tego rozgryźć. - Wziął papierosy, wyciągnął jednego i zapalił, mówiąc równocześnie: - Załóżmy - choć możemy się bardzo mylić - że morderca przyszedł złożyć Smithowi „przyjacielską” wizytę, żeby sprawdzić, czy wyciągnie od niego jakieś informacje. Chciał się dowiedzieć, ile pastor wie. I w trakcie rozmowy pastor zdał sobie sprawę, że jego gość może być winny tych morderstw. Więc usiadł spokojnie przy biurku i zaczął robić notatki. Dlaczego

po prostu nie zapisał nazwiska winnego? Pewnie Smith doszedł do wniosku, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie i że morderca dołoży wszelkich starań, by usunąć wszystkie obciążające go dowody z otoczenia. Chyba nie docenialiśmy pastora. Oby tylko on nie przece- nił nas. Miał nadzieję, że będziemy na tyle inteligentni, żeby wpaść na coś, na co nie wpadnie morderca. - Jury palił i myślał. - Cóż, ta teoria ma sens. W każdym razie nie mam nic do stracenia, zakładając, że te notatki coś znaczą. Ale mogę mieć o wiele za dużo do stracenia, jeśli je zignoruję. - Wstał i przeciągnął się. Potem rzucił kartkę Melrose'owi Plantowi. - Proszę. Pan potrafi rozwiązać krzyżówkę w „Timesie” w piętnaście minut. Więc może pan rozszyfruje i to.

Odpowiedź Planta przerwał dzwonek telefonu.

- Tu Jury.

- Inspektorze Jury - odezwał się Racer z przesadną uprzejmością - od kiedy pan tam jest, popełniono trzy kolejne morderstwa. Czym się pan zajmuje? Reklamą?

Jury westchnął w duchu i zaczął szukać w szufladach biurka Plucka czegoś do jedzenia. Znalazł paczkę starych herbatników.

- A, nadinspektor Racer. Miałem nadzieję, że pan zadzwoni. - Żuł ciasteczko.

- O, doprawdy, Jury? Dzwonię codziennie, odkąd tam pojechałeś, chłopcze. I żadnej odpowiedzi - Jury, żujesz mi do ucha! Nie *możesz się obejść* bez jedzenia i picia nawet na czas raportu, chłopcze? Powinieneś zostać właścicielem pubu, pracownikiem cateringu! Ale dość tego, Jury. Możesz się mnie spodziewać w Northamptonshire jutro w południe. Nie, d z i ś w południe. Widzę to w ten sposób, Jury. Dzisiaj jest dwudziesty siódmy. Przyjechałeś tam dwudziestego drugiego. Nie licząc dzisiejszego dnia, wychodzi średnio dwie trzecie morderstwa na każdy dzień twojego pobytu!

- Tak, sir. Przypuszczam, że można to tak postrzegać. W kategoriach ułamków. - Jury rysował małe repliki szyldów na bloku do pisania Plucka, podczas gdy Racer wyliczał kary, jakie czekają głównego inspektora. Zaczynały się one od wypatroszenia i poćwiartowania (głowa zatknięta na Tower Bridge), a kończyły na połączeniu części z powrotem w całość, tak żeby można go było dowieźć na miejsce publicznej egzekucji. Kary Racera zawsze miały średniowieczny charakter.

- Przepraszam, że w tej sprawie postęp jest tak niewielki, sir. Ale nawet z j e d n y m morderstwem bywa ciężko, a proszę pamiętać, że mam tu pięć.

- Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć i B, Jury.

- Jest podwójnie trudno z powodu Bożego Narodzenia...

- B o ż e g o N a r o d z e n i a? -W ustach Racera zabrzmiało to tak, jakby chodziło o jakieś nowe święto, całkiem niedawno wprowadzone do kalendarza przez parlament. Potem kontynuował uprzejmym tonem: - Jakie to dziwne, Jury, że zbrojeńcy nie obchodzą świąt, tylko wciąż grasują po parkach. Czy Kuba Rozpruwacz zawieszał działalność na święta? A Crippen?

Jury skorzystał z okazji.

- Właściwie to nie wierzę, żeby Kuba Rozpruwacz wychodził na ulice w dzień Bożego Narodzenia, sir. O ile pamiętam...

Cisza.

- Starasz się być dowcipny, Jury?

- O nie. To raczej nie powód do żartów, prawda?

Znowu cisza. Potem Racer warknął:

- Przyjeżdżam pociągiem w południe. Biorę ze sobą Briscowe'a.

- Świetnie, sir. Jeśli pan nalega. - Jury zaczął rysować maleńką lokomotywę, wypuszczającą dym z komi-

na, w zderzeniu czołowym z innym pociągiem. Trzymał słuchawkę kilka cali od ucha i przenikliwy głos Racera rozlegał się w całym pokoju.

- I nie chcę noclegu w żadnym zapluskwionym pu bie ani snobistycznym pensjonacie. Załatw mi kwatere w najlepszym miejscu w okolicy... - Racer zniżył głos.

- I spróbuj znaleźć takie, w którym nie zostanę uduszony we śnie. Skoro tylko t y tam jesteś do ochrony, mam poważne obawy, chłopcze. I sprawdź, czy to miejsce ma przyzwoite menu i zapasy wina w piwniczce. I najlepiej...

- lubieżność w jego głosie była wręcz namacalna - ...żeby mieli przyzwoicie wyglądającą dziewczuchę za barem.

To może znajdzie się jakiś hotel „Pod Ogniem Piekielnym”? - pomyślał Jury.

- Chociaż przypuszczam, że w takim zapyziałym miasteczku nie można mieć wszystkiego. Na razie. - Racer trzasnął słuchawką.

- Tak, sir. - Jury ziewnął w milczący już telefon. Gdy odłożył ją na miejsce, Plant zapytał:

- Znajomy?

- Mój zwierzchnik, Racer. Nie obchodzi go, w jaki sposób ja prowadzę sprawę. Przyjeżdża tu osobiście i chce zostać zakwaterowany... właściwie to w „Savoyu”. Życzy sobie najlepszego miejsca w miasteczku. - Jury uśmiechnął się szelmowsko.

- Wie pan co, z wielką przyjemnością dam znać Ruthvenowi...

Jury potrząsnął głową i przesunął telefon w kierunku Planta.

- Nie miałem na myśli Ardry End.

Melrose przerwał zapalenie cygara i przez kłąb dymu uśmiechnął się do Jury'ego szeroko.

- Chyba rozumiem, co pan ma na myśli. - Wybrał numer i czekał dłuższą chwilę, aż po drugiej stronie

odezwał się skrzeczący głos. - Ciotka Agatha? Przepraszam, że budzę cię tak wcześnie, ale inspektor Jury zastanawia się, czy nie oddałabyś mu wielkiej przysługi...

Godzinę później wciąż siedzieli nad notatkami pastora, gdy weszli Wiggins i Pluck, strząsając warstwę puszystego śniegu z okryć.

- Jest tutaj, sir - oznajmił Wiggins. - Daisy Trump.

Pluck wtrącił się:

- Umieściliśmy ją „Pod Workiem Gwoździ” zaraz koło Dorking Dean. Nie chciała się zatrzymać w żadnym innym pubie i wcale jej się nie dziwię. Zostawiliśmy przy niej miejscowego glineę, nigdy nie wiadomo, który pub następny padnie ofiarą, prawda? - Pluckowi najwyraźniej podobała się jego rola w tym wszystkim.

- Kto to jest Daisy Trump? - zapytał Plant.

Pluck już chciał odpowiedzieć, ale zreflektował się, że może zdradzić poufne informacje, i gwałtownie zamknął usta.

- W porządku, panie posterunkowy. Pan Plant mi pomaga. - Potem Jury zwrócił się do Melrose'a: - Jedźmy więc do tego pubu.

- Chce pan, żebym ja pojechał?

- Tak, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Tu jako załogę fortu zostawimy Wigginsa. A posterunkowy Pluck może prowadzić.

Pluck rozpromienił się i zasalutował.

Kelnerka, która podała im kawę „Pod Workiem Gwoździ”, powiedziała, że panna Trump poszła się odświeżyć do swojego pokoju i za chwilę zejdzie.

- Daisy Trump - wyjaśnił Jury, sypiąc cukier do kawy - pracowała „Pod Kozłem i Cyrklem”. Dziwna nazwa. To zrozumiałe, że pańska ciotka tak się zmagą z aniel-

SECzyzną. „Bicester-Strachan" zamiast „Bister-Stron" i tak dalej.

Plant uśmiechnął się.

- I Rutlwen, Ruthven, Ruthven zamiast „Riwin".  
- Plant gwałtownie chwycił oddech i wpatrzył się w Jury'ego. - Pluck!

Jury uśmiechnął się.

- Och, „Pluck" potrafi chyba wymówić nawet pańska ciotka.

Plant nie uśmiechał się. Wyrzekł tylko jeszcze raz:

- Pluck!

Jury patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Człowieku, zawołaj Plucka!

Jury, nieprzyzwyczajony, żeby Plant mu rozkazywał, z zaskoczenia uczynił, co mu kazano. Za chwilę był z powrotem razem ze zdziwionym posterunkowym Pluckiem.

- Powiedźcie to jeszcze raz, Pluck! - rozkazał Melrose, bez wstępów; jego zielone oczy błyszczały.

Biedny Pluck stał, mnąc czapkę w rękach, jak człowiek właśnie zatrzymany pod zarzutem kłusownictwa na ziemi swojego pana.

- Co mam powiedzieć, milordzie?

- To, co mówiliście przedtem. Gdy przyjechaliście z sierżantem Wigginsem na posterunek. No, prędzej, człowieku!

Pluck spojrział na Jury'ego błagalnie. Jury tylko wzruszył ramionami, ale powiedział:

- Mówiliście, że przywieźliście Daisy Trump i... - urwał.

Melrose kiwał głową.

- Tak, i że umieściliście ją... - Zachęcająco kiwał głowę do Plucka, próbując wyciągnąć z niego te słowa.

Pluck podrapał się gapiowato w głowę.

- Tak, sir. Powiedziałem, że umieściliśmy ją „Pod Workiem Gwoździ”.

Melrose spojrział na Jury'ego, ale Jury miał tak samo głupią minę jak Pluck.

- Tak jest! - wykrzyknął Plant. Zamknął oczy i wypo wiedział bezgłośnie jakieś słowa. Lady Ardry niewątpliwie miałyby dowód na szaleństwo Melrose'a. - Tak, to jest to! Jak mogłem być tak głupi! - Zazwyczaj poważna twarz Melrose'a rozplynęła się w szerokim uśmiechu.

- Powiedźcie to jeszcze raz, Pluck.

- Aha, chodzi panu o pub „Pod Workiem Gwoździ”, sir?

- Słyszysz pan, inspektorze? Brzmi nieco inaczej, gdy mówi to Pluck, ponieważ jego dykcja - przepraszam, panie posterunkowy - nie jest najlepsza. On to trochę rozmazuje. No, inspektorze. „Pod Workiem Gwoździ”.

Jury nagle uderzył się w czoło.

- Mój Boże. „Po wtorku pościć”! - Spojrział na Plucka, który wydawał się kompletnie ogłupiały, czoło miał zmarszczone ze zdumienia. Tym lepiej, ponieważ Jury nie chciał, żeby „miejski herold” wiedział, o co chodzi.

- Pluck, niech pan jedzie na posterunek i powie sierżantowi Wigginsowi, żeby siedział przy telefonie. Prawdopodobnie będzie do niego dzwonił.

Pluck zasalutował, odwrócił się z rozmachem i wyszedł.

- A teraz, inspektorze - powiedział Melrose Plant - „Pod Kozłem i Cyrklem”. Niech pan powtórzy to kilka razy, niewyraźnie.

Jury zrobił to, bezgłośnie wymawiając słowa.

- Podwoziłem bryklem! Matchett! To Matchett. To jego dwa puby. Ale jaki był trzeci? Nie ma takiej nazwy „W morze wlaży żartem”.



- Oczywiście, że nie. To nazwa pochodna, jak pozostałe. Dobry Boże, nic dziwnego, że pastor sądził, że będzie pan w stanie zrozumieć tę wiadomość. Opowiadał nam przecież o sztydach. Miał pan rację, nie docenialiśmy go. Jakie to cholernie sprytne.

- I odważne. Ilu ludzi zachowałoby taką przytomność umysłu?

- Jak się nazywał trzeci pub Matchetta?

Jury już przeszukiwał papiery, które przyniósł ze sobą, teczkę ze sprawą Matchettów.

- „Pod Kozłem i Cyrklem”. Devon, Devon... o, jest. A niech mnie!

- Jak brzmi nazwa?

- „Pod Żelaznym Czartem”.

Daisy Trump miała pięćdziesiąt parę lat - była to okrągła mała osóbką, przypominała piłeczkę, która zaraz odbije się od ziemi. Nie mogła zrozumieć, jak wyznała, czego od kogoś takiego jak ona może chcieć Scotland Yard, ale chyba potraktowała całą sprawę jako urlop, za który płaci firma. Jej włosy wyglądały na świeżo zaondulowane.

- Jak długo mieszka pani w Yorkshire, panno Trump?

- Och, będzie z dziesięć lat. Pojechałam tam, żeby prowadzić dom mojego brata, kiedy zmarła bratowa, Panie świeć nad jej...

Jury przerwał, zanim relacja stała się zbyt szczegółowa:

- Panno Trump, szesnaście lat temu była pani pokojówką w pubie w Dartmouth, w hrabstwie Devon, prowadzonym przez państwa Matchettów?

- Tak. Tam, gdzie wydarzyło się to okropne morderstwo. To dlatego chcieliście ze mną rozmawiać? Zamor-

dowano moją panią. I nigdy nie wykryli, kto to zrobił, kto włamał się do jej gabinetu tej nocy i uciekł z pieniędzmi.

- Pewnie pani pamięta Smollettów? Ona była kucharką, ale nie jestem pewien, co robił on.

- Przeważnie nic. Will Smollett był starym obibokiem. Rosę była moją najlepszą przyjaciółką. Już nie żyje, biedaczka. - Tu z rękawa sukienki wyłoniła się chusteczka, która powędrowała do twarzy. - Kochana Rosę. Sól ziemi. Ten jej mąż miał się różnych zajęć. On i ten Ansy-Pansy\*. - Skrzywiła się.

Jury uśmiechnął się.

- A kto to był?

- Taki jeden, bardziej jak panienka. Ale nie odstępował się ze Smollettem na krok.

Jury nie pamiętał, żeby raport wspominał coś o takiej osobie.

- Jak on się nazywał? To znaczy, poza przydomkiem.

Daisy Trump wzruszyła ramionami.

- Chyba Andrew Nie bardzo pamiętam. Wołaliśmy na niego „Ansy”. Tak, to chyba musiało być Andrew.

- Próbowaliśmy znaleźć pana Smolletta, żeby sprawdzić, czy coś pamięta. Przypuszczam, że nie jesteście w kontakcie?

- Nie, od kiedy Rosie zmarła, to nie. Byłam na jej pogrzebie. Mieszkali gdzieś pod Londynem. - Zapytała, czy może dostać jeszcze jedną filiżankę herbaty.

Jury przywołał gestem kelnerkę i znów zwrócił się do pani Trump:

- Jak pani myśli, czy mogłaby sobie pani przypomnieć wydarzenia tamtego wieczoru? Wiem, że minęło już dużo czasu, ale...

\* *Pansy* (ang.) - mięczak, lalusz; ciota.

- Przypomnieć? No pewnie. Czasem bym chciała je z a p o m n i e ć . Przecież nawet ja, uważając panowie, byłam podejrzana. Chcieli wiedzieć, czy wsypałam tej biednej kobiecie jakiś narkotyk do kakao. No, powiedziałam im, że pani Matchett zawsze brała na noc tabletki na spanie. Pewnie tego wieczoru wzięła więcej niż zwykle. To ja zawsze zanosłam wieczorem tacę do pani biura. A potem albo Rose, albo ja, jedna z nas, przychodziła, żeby ją zabrać. Wtedy trafiło na Rose, biedaczkę. Na pewno doznała wielkiego szoku, jak zobaczyła panią tak zgietą nad biurkiem. Najpierw myślała, że pani po prostu śpi. Ale potem zobaczyła, że w pokoju jest bałagan. Wszystkie pieniądze zniknęły. Chociaż wciąż mówię, że to było za mało, żeby kogoś zabić. Kilkaset funtów...

Jury wtrącił się:

- Z dziedzina pubu zrobiono teatr, prawda? A gabinet pani Matchett znajdował się tuż obok sceny, wchodziło się tam z wąskiego korytarzyka?

- Tak jest, sir. Ona chyba zawsze chciała wiedzieć, co robi pan Matchett. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak mu się udało na tyle wymknąć spod jej kontroli, żeby się zająć z tą dziewczyną.

- Harriet Gethvyn-Owen.

- Tak. Dziwne nazwisko, i z niej też była dziwna sztuka.

Jury się uśmiechnął.

- O wiele młodsza od niego. Ale on też był młodszy od pani, dziwiłam się w ogóle, że się z nią ożenił. Może dla ciepłej posadki.

Jury wyciągnął z kieszeni bransoletkę z wisiorami, owiniętą w chusteczkę.

- Widziała to pani kiedyś, panno Trump?

Wzięła bransoletkę, obejrzała ją dokładnie, wreszcie uniosła twarz ku Jury'emu. Była wstrząśnięta.

- Skąd pan ją wziął, sir? Ta bransoletka - to mojej pani. Głowę bym za to dała. Pamiętam to tak dobrze, bo każdy z tych małych wisiorków coś znaczył, choć nie wiem dokładnie co. Ten lis - ona lubiła polować na nie z psami. A tutaj ta kostka z pieniędzmi. Pamiętam, że miała jakiś zakład o nią z panem Matchettem... - Daisy patrzyła na bransoletkę zdumiona.

- Tamtego wieczoru wystawiali sztukę, prawda? *Otel-la*? Pan Matchett grał główną rolę, a ta dziewczyna - Harriet Gethvyn-Owen - też w niej występowała. Jako Desdemona?

- Nie pamiętam, jaka to była sztuka. Jakaś makabryczna. Ale ja nie mam głowy do takich rzeczy. Kiedy szłam z tacą do gabinetu pani, słyszałam jak on, pan Matchett, krzyczy na kogoś z aktorów.

- Tak. I co dalej?...

- Miałam właśnie zostawić tacę na zewnątrz, kiedy zauważyłam, że drzwi są uchylone, i pani Matchett zapytała, czy to ja i czy mogę postawić tacę w pokoju, na małym stoliku kolo krzesła, więc weszłam.

- Gdzie była pani Matchett?

- Przy swoim dużym biurku, jak zwykle. Podziękowała mi i wyszłam.

- Czy mogłaby pani zamknąć oczy i przywołać w myślach ten pokój, panno Trump? A potem opisać dokładnie, co się wydarzyło, tak jak to pani widzi we wspomnieniach?

Daisy posłusznie zacisnęła mocno oczy, jakby Jury był hipnotyzerem na scenie.

- Ona mówi do mnie przez drzwi: „Daisy. Proszę, postaw tacę na stoliku kolo krzesła”. Wtedy ja wchodzę, stawiam tacę, a ona mówi do mnie, jakby przez ramię: „Dziękuję”. A ja ją pytam: „Czy coś jeszcze, proszę pani?” Ona mówi: „Nie, dziękuję”. Potem wraca do

swoich ksiąg. Trzymała wszystkie rachunki. Z pani była mądra kobieta. Ale taka zimna. Nie jak pan Matchett, wcale nie. On był zawsze taki miły. Panie go lubiły, i ja się nie dziwię, bo był taki przystojny, i w ogóle. To ją tak bolało. Wiem, że urządziła sobie gabinet tak blisko teatru, żeby pamiętać, że ona cały czas tam jest. Trzymała go krótko, mówię panom. Nigdy nie widziałam takiej zazdrosnej kobiety.

- Kto, pani zdaniem, zabił panią Matchett? - zapytał Jury.

Bez wahania, jakby to była wyuczona lekcja, odparła:

- No jasne, że ten złodziej. Tak jak powiedziała w końcu policja. Wszedł przez okno i uciekł ze wszystkim. - Zniżyła głos. Prawdę mówiąc, nawet się zastanawiałam, czy to nie ten Smollett i Ansy-Pansy. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to był któryś z nich. Chociaż nigdy bym tego nie wyjawiała, za nic w świecie, z powodu Rose, rozumiem panowie.

- A jednak wszyscy, którzy tam wtedy byli, zostali oczyszczeni, panno Trump, łącznie ze służbą.

Skrzywiła się, wciąż nieprzekonana.

- Ale czy pani nie podejrzewała także męża swojej pani, Matchetta?

Z godną podziwu szczerością przytaknęła:

- Oczywiście. Rosie i ja bez przerwy słyszałyśmy, jak się kłócą w pokoju nad kuchnią. On cały czas mówił, że chce rozwodu. Ona, jak ją poniosło, potrafiła wrzeszczeć jak opętana. Taka była pani. Co należało do niej, należało do niej, i miała zamiar to utrzymać, bez względu na wszystko. Pamiętam, że i Rosie, i ja pomyślałyśmy zaraz po tym, jak została zabita: „No, wreszcie, wziął i to zrobił”. Ale potem policja ustaliła, że ani on, ani jego dziewczyna nie mogli tego zrobić. Jak to mówią Francuzi? Crime-coś tam?

- *Crime passionnel* - odpowiedział Jury z uśmiechem.

- Piękne słowo. Widzi pan, tam chodziło o czas: ona musiała zostać zabita między tym czasem, gdy ja przyniosłam jej kakao, a tym, jak Rosę przyszła po tacę i odkryła ciało biedaczki. Policja to rozpracowała prawie co do minuty. A pan Matchett, ani ta jego panna, nie mogli tego zrobić, bo oboje grali w tej sztuce przez cały czas. Biedna Rosie wychodziła z siebie...

Coś odwróciło się w głowie Jury'ego, jak karta starej książki. Devon. Dartmouth było w hrabstwie Devon. Czyżby naprawdę był tak ślepy? Rosę. Rosie. Pani Rosamund Smollett. Will Smollett. *Pojechala do ciotki Rosę i wujka Willa*. Wróciły do niego echem słowa pani Judd. Will Smollett. William Smali. Do takiej zmiany nie trzeba było zbyt wiele wyobraźni.

Z teczki wyjął zdjęcia Smalla i Ainsleya i podał je jej.

- Panno Trump, czy rozpoznaje pani tych mężczyzn?

Wzięła do ręki zdjęcie Smalla i przyjrzała mu się bacznie.

- Zdaje mi się, że tak. To wypisz, wymaluj... tak, to Will. Tylko on miał wąsy. - Jej wzrok przeniósł się na drugie zdjęcie. - Dobry Boże w niebiesiech, jeśli to nie jest Ansy-Pansy. A tamten znów nie miał wąsów.

- Nie Andrew - rzekł Jury - Ainsley. „Ansy” oznaczało Ainsley.

Daisy wpatrywała się w niego.

- „Ainsley”. A i n s l e y . Tak jest. Ale my zawsze się z niego śmiałyśmy, że opuszczał „h”. Nazywał się H a i n - s l e y . Rufus H a i n s l e y . „Nawet nie potrafisz wymówić swojego nazwiska” - takeśmy się z nim droczyli.

Tak jak Smollett po prostu zmienił nazwisko na Smali, pomyślał Jury.

- Ale skąd pan wziął te zdjęcia, sir?

Jury nie odpowiedział.

- Czy Smollettowie mieli siostrzenicę, która do nich czasem przyjeżdżała?

- A jakże! - Daisy uniosła ręce z udawanym przeżeniem. - Ruby Panna Ciekawska, wszędzie jej było pełno. Ale tak to jest: matka i ojciec wciąż ją odsyłali, jak tylko im się spodobało, to czego można się było spodziewać po tej malej biedaczce?

Jury podniósł bransoletkę.

- Mogła to wtedy ukraść?

- To? Raczej nie, sir. Pani Matchett nosiła ją bez przerwy, była do niej bardzo przywiązana. Prawie jak niektóre kobiety do obrączki ślubnej. O nie. Ruby nie tknęłaby jej palcem. Chyba że po pani trupie.

Daisy Trump została odwieziona z fasonem przez policję z hrabstwa z powrotem do Yorkshire. Jury siedział przy stole, zimną kawę odsunął na bok i wpatrywał się w szkic biura, w którym pracowała Celia Matchett feralnego wieczoru „Pod Kozłem i Cyrklem”. Matchett musiał zabić żonę; to był jedyny motyw obecnych morderstw. Ergo: ta mała scenka w gabinecie została zaaranżowana dla jednego widza: Daisy Trump, jedynego świadka, że w tej chwili Celia Matchett wciąż żyła. Ale Jury mógł się założyć o swoją odznakę, że już wtedy była martwa. Ergo: kobieta przy biurku nie była Celią Matchett, lecz dublerką. A jedyną potencjalną kandydatką na dublerkę była kochanka, Harriet Gethvyn-Owen. Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć, a Daisy Trump spodziewała się, że zobaczy Celię. Pani Matchett stała tyłem, w jakimś kostiumie, może peruce, a pokój tonął w cieniu.

Jednak wciąż pozostawał jeden problem, pozornie nie do rozwiązania, mianowicie alibi. Jury przeczytał jeszcze raz raport policyjny. W chwili morderstwa Celi Matchett zarówno Matchett, jak i Gethvyn-Owen rzekomo byli na scenie. Mieli całą widownię świadków. Jury zastanowił się nad rolą Otella. Wymagała bardzo mocnego makijażu dla Maura, co było wystarczająco dobrą charakterystyką dla każdego. Ale gdyby Matchetta w tym przedstawieniu zastąpił inny aktor, oznaczałoby to udział kolejnego spiskowca, a to zdawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. A może nie? Może wtajemniczony był któryś z tych trzech mężczyzn - Ainsley, Creed, Smali? Nie, na pewno nie. Żaden nie był dość wysoki, poza tym nie nadawali się zbytnio na aktorów. No i gdyby chodziło tylko o to, żeby ktoś zajął miejsce Matchetta na scenie, po co jego kochanka miałaby udawać Celię w jej biurze?

Jury dał za wygraną, kompletnie sfrustrowany. Wstał i wyrzwał przez okno, gdzie zobaczył Melrose'a Planta, który stał obok niebieskiego Morrisa i rozmawiał z posterunkowym Pluckiem. Pluck miał wrócić na posterunek dobre pół godziny temu. Jury westchnął i otworzył okno.

- Panie posterunkowy, czy sprawiłoby to panu kłopot, gdyby wypełnił pan moje polecenie? - krzyknął.

- O, już to zrobiłem, sir. Byłem w Long Piddleton i wróciłem. Myślałem, że będzie pan potrzebował Morrisa, sir.

- Rozumiem. W porządku, dziękuję. Panie Plant, czy mógłby pan tu do mnie wejść na chwilę? Chciałbym z panem o czymś porozmawiać.

Plant oderwał się od samochodu i Plucka i wszedł do środka.

Jury poprosił o więcej kawy, potem powiedział:



- Chciałbym, żeby pan nad czymś pogłównkował. Jestem już pewien, że Matchett zabił swoją żonę w tamtym pubie w Devon. Ale pozostaje pytanie, jak, do diabła, mu się to udało?

Jury wyliczył wszystkie fakty i zakończył tak:

- Szkopuł to oczywiście ich alibi. W zasadzie żadne z nich nie mogło znaleźć się w pobliżu Celi w porze, kiedy - według policji - popełniono morderstwo.

- Ale przecież tak się robi zawsze, inspektorze! To znaczy, zabija się kogoś, a potem ukrywa zwłoki w studni czy gdzieś, aranżując odegranie przez kogoś innego ofiary w czasie popełniania zbrodni, żeby załatwić sobie alibi?

Jury potrząsnęła głową.

- Robi się, owszem. Ale nie w tym wypadku. Celia Matchett była żywa, zanim sztuka się zaczęła. Przynajmniej pół tuzina osób widziało ją w różnych okolicznościach tuż przed rozpoczęciem spektaklu. Więc pozostaje problem, w jaki sposób ten człowiek mógł być w dwóch miejscach naraz?

Plant zamyślił się.

- Cóż, w pewnym sensie, aktor zawsze jest w dwóch miejscach naraz...

- Nie rozumiem.

- Kiedy zaczęła się sztuka?

Jury otworzył teczkę:

- O ósmej trzydzieści, może kilka minut później.

- A kiedy Celię - a właściwie tę drugą kobietę - widziano w biurze?

Jury przewrócił kartkę i przesunął palcem po papierze.

- Około dziesiątej czterdzieści, według tego, co zeznała Daisy Trump.

Przez dobre dwie czy trzy minuty Plant palił w milczeniu. Jego zielone oczy wydawały się oświetlać ciemny kąt, w którym siedzieli. Wreszcie powiedział:

- Rozwiązanie jest w tej sztuce, inspektorze.

- Słucham? Nie mówi pan chyba, że wie, jak on to zrobił?

- Tak. Ale wolałbym to panu pokazać, niż powiedzieć; będę musiał coś przygotować, więc przepraszam, ale muszę zadzwonić do Ruthvena. - I zanim Jury zdążył zaprotestować, Plant już zmierzał w kierunku telefonu.

Pół godziny później Pluck wysadził Jury'ego na posterunku w Long Piddleton. W środku był Wiggins, który wpuszczał sobie krople do nosa.

- Będę w Ardry End, Wiggins.

- Tak, sir. Ale jest tu nadinspektor Racer - to znaczy, był tu. Pojechał z komisarzem Pratem do Weatherington.

- Nic nie szkodzi. Posłuchaj, chcę, żebyś skoczył do „Huncwota” i miał baczenie na Matchetta. Nie spuszcza go z oka, ale tak, żeby się nie zorientował.

Wiggins był zdumiony.

- To znaczy, że pan go podejrzewa?

- Zgadza się, sierżancie. I jeszcze jedno - Jury'ego dopadł nagły atak kaszlu. Miał nadzieję, że nie złapał jednej z tajemniczych chorób Wigginsa. Wytarł nos i ciągnął dalej: - Jeszcze jedno: gdy wróci Racer - gdybyś tak przypadkiem zapomniał, gdzie jestem, to cóż, nie będę ci miał tego za złe.

Wiggins uśmiechnął się szeroko.

- Mam beznadziejną pamięć, sir. Ale proszę... - Sięgnął do kieszeni i wyjął nowiutkie pudełko drażetek na kaszel. - Proszę to wziąć. Wie pan, takiego kaszlu nie

wolno lekceważyć. - Wiggins był zachwycony, że może podzielić się lekami ze swoim zwierzchnikiem. Jury próbował się wymówić:

- Naprawdę nie trzeba...

Ale Wiggins, choć czasem niepewny w sprawach procedur policyjnych, w tym wypadku był nieubłagany.

- Nalegam. Niech pan je schowa do kieszeni.

Jury potulnie zrobił, co mu *kazano*.

## 18

Gdy weszli do salonu w Ardry End, Jury ze zdziwieniem ujrzał tam lady Ardry i Vivian Rivington.

Agatha wydawała się równie zaskoczona, że widzi głównego inspektora Jury'ego.

- Więc tu pan jest! Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nadinspektor Racer - bardzo niesympatyczny człowiek, muszę powiedzieć - próbuje pana złapać, od kiedy tylko przyjechał? - Była wyraźnie rozdarta między obowiązkiem pomocy Racerowi a chęcią wtajemniczenia w swoje strzępy informacji. Odwróciła się do Melrose'a. - Pytałam cię, gdy dzwoniłeś, gdzie on jest, Plancie, a ty powiedziałeś, że cały dzień go nie widziałeś.

- Kłamałem.

- A gdzież jest teraz Racer? - zapytał Jury, chcąc się upewnić, których miejsc unikać.

- Absolutnie nie wiem. Przygotowałam mu ładny pokój - zawsze cieszę się, gdy mogę pomóc - a ten okropny człowiek wszedł, obrzucił go jednym spojrzeniem, odwrócił się na pięcie i wymaszerował. Nic dziwnego, że w tym kraju jest taki bałagan...

- Przepraszam najmocniej, sir - odezwał się Ruthven, zakaszlawszy uprzednio dyskretnie. - Ale wydaje mi się, że pan Racer wprowadził się do pubu „Pod Huncwotem”,

sir. Mam wrażenie, że chciał być na miejscu zbrodni.

- Ruthven nie wydawał się ani trochę zaniepokojony.

- Dziękuję, Ruthven. - Raczej na miejscu z piwnicą pełną win. Matchett miał najlepszą w promieniu wielu mil, a do tego świetną kucharkę.

- Czy Martha jest gotowa? - zapytał Plant, a Ruth-ven kiwnął głową. - I widzę, że przygotowałaś alkowę. Świetnie, świetnie.

Jury zobaczył wtedy, że alkowa po drugiej stronie pokoju została odgradzona zasłoną, jakby to była miniaturowa scena. Oszklone drzwi prowadziły do ogrodu na tyłach, teraz pokrytego śniegiem. Ale w miejsce stołu i krzeseł w stylu królowej Anny, które zazwyczaj stały przed tymi drzwiami, przyniesiono tam szezlong pokryty stosem poduszek i aksamitnych kap, który wyglądał jak łóżko.

- Co się tu dzieje? - zapytał Jury.

-Mnie niech pan nie pyta! - zawołała Agatha, uderzając się pięścią w obfity biust. - To jeden z szalonych pomysłów Melrose'a. Zawsze miał upodobanie do teatralnych gestów.

- Jakby pani przestała narzekać - zauważyła Vivian - moglibyśmy wreszcie zacząć. Choć muszę przyznać, że też bym chciała wiedzieć, co się dzieje.

- Żadne z was nie musi tego wiedzieć - odparł Melrose. - Po prostu grajcie swoje role. A teraz, inspek torze, przeprosimy pana na chwilę, muszę zrobić próbę z moimi aktorami.

Ruthven wyprowadził Jury'ego z pokoju w taki sposób, że ten poczuł się niemal jak aresztowany. Zostawiono go, by pooglądał dzidy i buławy w holu. Kilka minut później jakaś kobieta, która, jak przypuszczał, była Martha, żoną Ruthvena, przeszła przez hol i wykonała przed nim krótki dyg, po czym zniknęła w salonie. Po kolejnych

dziesięciu minutach Plant otworzył drzwi i przywołał go skinieniem.

Plant przysunął Jury'emu krzesło, umieszczając je jakieś trzydzieści stóp od osłoniętej alkowy.

- A więc, inspektorze Jury, przedstawimy teraz scenę - lub część sceny - z *Otella*. Otella zagram ja; Martha będzie Emilia, Vivian Desdemona. Wszyscy mają swoje role?

Agatha odezwała się zaczepnie:

-Wy macie swoje role. Ja mam tylko...

- Nie mów, co masz zrobić, po prostu to zrób - powiedział Melrose.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie mam być Desdemona, przecież Vivian nie ma...

- Boże! To nie jest casting dla Royal Shakespeare Company, tylko pokaz dla inspektora. On to musi zobaczyć. No już, idź za zasłonę i rób, co ci kazałem.

Wymaszerowała nadąsana.

- Nie mam nawet jednej kwestii do wygłoszenia.

- Gdybym ci ją dał, powtarzałabyś tekst cały dzień.

Agatha wykrzywiła się za plecami Melrose'a i opuściła za sobą zasłonę.

Wtedy Melrose zwrócił się do kucharki, Marthy:

- Martho, przeczytaj tylko te kilka wersów, które zaznaczyłem, i w ogóle się nie martw, jak ci to wyjdzie.

- Martha zrobiła się buraczkowa. Musiała naprawdę mieć wrażenie, że to jej debiut sceniczny.

- Niech pan sobie wyobrazi, że ten obszar - Melrose ogarnął gestem przestrzeń przed zasłoną - to scena. Osłonięta wnęka to łóżko Desdemony. Otello jest już od jakiegoś czasu z nią na scenie. Toczy się rozmowa o chusteczce i Jagonie. Vivian - to znaczy, Desdemona - leży w łóżku.

Vivian zajęła miejsce, kładąc się dość niezgrabnie wśród poduszek i kap, i rzekła:

- Zabij mnie jutro, daj przeżyć tę noc.

- Tutaj didaskalia mówią: „Dusi ją”. - Melrose podniósł z łóżka poduszkę i przytrzymał ją przez chwilę nad twarzą Vivian. Potem odwrócił się od łóżka, upuścił poduszkę i zaciągnął przed nim zasłonę. Martha, stojąca z boku na lewo, z przejęciem obserwując przebieg wydarzeń, podeszła i udawała, że puka w niewidoczne drzwi.

Zza zasłony dobiegł szelest i jęk.

- Panie, mój dobry panie, panie, panie! - Martha wciąż waliła w drzwi, czyli w powietrze, obiema rękami.

Melrose odwrócił się dramatycznie w kierunku Marthy, potem spojrzął na łóżko i wyrecytował:

- Co, wciąż żyje? Nie umarła? - Podeszedł i odsunął znów zasłonę, gdzie leżała Desdemona, częściowo zakryta skłębioną kapą i poduszkami. Melrose stanął przed nią, uniósł poduszkę i opuścił ją ze słowami:

- Nie dam ci się tak męczyć... - Z łóżka dobiegły znowu odgłosy miotania się i jęki.

Tymczasem Martha-Emilia wciąż udawała, że wali pięściami w drzwi. Melrose wstał z łóżka, gdzie pochylał się nad biedną Desdemona, i znów zaciągnął zasłonę. Podeszedł do nieistniejących drzwi, udał, że je otwiera, i Martha weszła, recytując drętwo:

- Dobry panie, otwórz, chcę z tobą zamienić dwa słowa.

Plant położył jej rękę na ramieniu.

- Wystarczy, Martho. Udowodniliśmy, co trzeba. Od tego miejsca, inspektorze, musiałyby nastąpić jedna zmiana. W sztuce Emilia podchodzi do łóżka, Desdemona mówi do niej: „Pozdrów ode mnie... mego pana” i umiera. To trzeba ominąć. Ponieważ Desdemona - i Melrose odsunął zasłonę - już nie żyje.

W łóżku siedziała Agatha, pocierając szyję i mówiąc:

- Zrobiłeś to specjalnie, Plant; o mało mnie nie za-  
biłeś, ty głupi...

Tymczasem z zewnątrz przez oszklone drzwi weszła  
trzęsąca się z zimna Vivian.

- Dobry Boże, Melrose. Następnym razem, jak każesz  
mi grać Desdemonę, daj chociaż płaszcz. Jest lodowato.

Jury na chwilę zaniemówił. Podmiana. To była pod-  
miana - odurzone ciało Celi Matchett położono do łóżka  
zamiast Harriet Gethvyn-Owen. Jury zakłaskał.

Melrose uklonił się i powiedział:

- To wszystko, moje panie. Dziękuję wam.

Agatha, która wygramoliła się z łóżka i obciągała  
spódnice, otworzyła szeroko usta.

- Wszystko? W s z y s t k o ? Ciagniesz nas tutaj,  
każesz odgrywać jakąś pożałowania godną szaradę, a po  
tem nie tłumaczysz, o co chodzi? Idiota!

Nawet Vivian wydawała się trochę urażona.

- Właśnie, Melrose. O co chodzi?

Dobrze jej pytać, pomyślał Jury. Nie wiedziała o tym,  
ale Melrose Plant prawdopodobnie właśnie uratował jej  
życie.

Kiedy już Plant pozbył się pań, on i Jury usiedli przed  
kominkiem z whisky i takimi kanapkami, jakie zdołała  
zrobić Martha po swoim krótkim flircie z Melpomeną.

- Nie musiała być wyjątkowo uzdolnioną aktorką,  
żeby rzucić parę słów przez ramię do służącej - powiedział  
Jury.

- Nie. I myślę, że miała pod kostiumem ubranie Celi  
Matchett i jej uczesanie pod sceniczną peruką. Być może  
Harriet Gethvyn-Owen postarała się, żeby gabinet nie był  
dobrze oświetlony. Musieli być pewni, że ktoś zobaczy  
„Celię” żywą w czasie trwania sztuki. A ona tak naprawdę  
leżała martwa na scenie. - Plant zapalił cygaro.



- Na scenie. Boże, co za tupet - udusić ją na oczach całej widowni.

- Myśli pan, że została odurzona narkotykami? - zapytał Plant. - A potem przyniesiona - przez Matchetta, jak przypuszczam - do zasłoniętej niszy, zanim odegrali tę scenę. Za łóżkiem też była zasłona. W ten sposób Celia wydostała się stamtąd i wróciła. Gdy zasunąłem zasłonę, Vivian (wtedy Harriet) wstała z łóżka, wyszła przez oszklone drzwi, a Agatha po prostu położyła się na łóżku. Oczywiście, Harriet musiała w c i a g n ą ć na nie Celię, ubraną w identyczny kostium. Ale z odległości, wśród poduszek i kap, i przy Otellu zasłaniającym widok, nikt z widowni nie podejrzewał, że Desdemony są dwie, prawda?

- Potem Gethvyn-Owen idzie ten kawałeczek do biura Celi, zdejmując kostium i perukę i siada przy biurku - ciągnął Jury. - Wchodzi Daisy i myśli, że kobieta przy biurku to Celia. Później Harriet musiała wrócić na sceniczne łóżko i zanieść teraz już nieżywą Celię do gabinetu. Pani Matchett była drobną kobietą, więc sądzę, że Harriet dała sobie radę. Przecież to było bardzo niedaleko. I wreszcie Harriet wychodzi do ukłonów. Jaka zimna krew!

- Jeśli była tak opanowana, dziwne, że nie wstała po prostu z tego łóżka, nie poszła do biura pani Matchett i tam jej nie wykończyła. Byłoby o wiele prościej.

- A pan by tak zrobił? Na miejscu Harriet? I zostawił kochanka z doskonałym alibi, sam nie mając żadnego? Kobieta była bezwzględna, ale najwyraźniej nie głupia. A w ten sposób tkwią w tym razem - rzekł Jury i wzruszył ramionami. - Oczywiście, moglibyśmy rozważyć zabicie przez nią Celi w biurze, tylko że w Long Piddleton właśnie popełniono pięć innych morderstw, żeby zatrzeć to, co się wydarzyło szesnaście lat temu. - Jury pochylił się do przodu. - Zgaduję, że Ruby Judd znalazła tę

bransoletkę gdzieś kolo scenicznego łóżka. Dla Simona Matchetta była to niespodziewana komplikacja, prawda? Co, u licha, robi bransoletka jego żony, bransoletka, którą zawsze nosiła, na ręce Ruby Judd szesnaście lat później? Na pewno odgadł, gdzie ją znalazła. I nie miał sposobu, by ją odzyskać. Musiał żyć w nieustannym zagrożeniu, że ona sobie przypomni. - Jury dołał whisky do swojej szklaneczki. - Potem odkrywa, że wie o tym więcej niż jedna osoba. Może Ruby wtajemniczyła wujka Willa, pytając go o radę. Następnie Will uświadomił swojego starego druha Ansy-Pansy. Który z nich znał Creeda, możemy tylko zgadywać. Czyli mamy udział policjanta, na wypadek gdyby Matchett się wkurzył. Można tylko przypuszczać, że sprawa zaczęła się dla Matchetta sypać jak kostki domina. Najpierw okazuje się, że Ruby powiedziała wujkowi, potem wujek daje mu do zrozumienia, że powiedział Hainsleyowi i, być może, Creedowi. Więc Matchett musiał ściągnąć tu Hainsleya i Creeda. Prowadził wyścig z czasem, a tak czy inaczej, nie mógł opuścić miasteczka. Ponieważ był aktorem, bez trudu udało mu się naśladować głos Smolletta i zwabić ich tutaj. I to może tłumaczyć ten dziwny, publiczny charakter zbrodni. Nie jest tak łatwo pozbyć się jednego ciała, a co dopiero c z t e r e c h . Nie mógł przecież paradować po ulicach Long Piddleton z łopata, żeby wszystkie zwłoki zakopać. Więc robi coś wręcz przeciwnego - wystawia je na widok publiczny. Co za tupet. Żeby wszyscy myśleli, że na swobodzie grasuje jakiś maniak.

- Myśli pan, że Ruby sama szantażowała Matchetta?

- Bardziej prawdopodobne, że był to szantaż seksualny. Może sądziła, że zmusi go, żeby się z nią ożenił. W końcu próbowała tego prawie ze wszystkimi mężczyznami w miasteczku, a Matchett jest najbardziej atrakcyjny. Dokąd jechała, jeśli nie spotkać się z kimś? Głupia

dziewczyna. A jednak zostawiła bransoletkę. I gdzieś, do cholery, ten pamiętnik!

- Ale jeśli Smali i jego znajomkowie zamierzali szantażować Matchetta, to przecież Matchett nie ma grosza przy duszy... ach, co za głupiec ze mnie! Za to Vivian Rivington ma pieniądze. Nie zapominajmy że Matchett, by je dostać, musiałby ożenić się z Vivian.

- Matchett mógł powiedzieć Ruby że kiedy już zdobędzie pieniądze, cóż, potem, no, pozbędzie się Vivian, i ożeni z Ruby. Szczerze mówiąc, sędzę, że Simon Matchett potrafiłby przekonać samego diabła. Tak jak... - Jury przerwał.

- Tak jak?

- Jak na przykład Isabel Rivington.

Plant milczał przez chwilę.

- Co pan ma na myśli?

- No cóż, zastanawiał się pan, nieprawdaż, dlaczego Isabel, sama tak zauroczona Matchettem, miałaby pchać Vivian w jego ramiona? Nie mówiąc o tym, że utraciłaby wówczas kontrolę nad pieniędzmi?

- Nie sugeruje pan chyba, że Simon i Isabel mają coś w rodzaju umowy? Tak jak mieli Simon i Ruby?

- Tak, oczywiście. Choć wątpię, czy kiedykolwiek dowiemy się prawdy o tym. Ale tak zawsze myślałem.

Melrose patrzył na Jury'ego przez długą chwilę.

- Co, pana zdaniem, stało się z Harriet Gethvyn-Owen?

Jury zamyślił się, po czym powiedział:

- Zastanawiam się nad czym innym: co miało się stać z Vivian Rivington?

Dopili swoją whisky z wodą sodową i spojrzeli po sobie, a potem zapatrzili się w ogień.

## 19

Jury jechał wolno w kierunku głównej ulicy, oddalając się od pubu „Pod Huncwotem”. Odwlekał nieuniknione irytujące spotkanie z Racerem. Może zatrzyma się „Pod Jackiem i Młotem” i pani Scroggs przyrządzi mu kolację.

Gdy dotarł do podjazdu prowadzącego do kościoła, zatrzymał się i zaparkował samochód. Przynajmniej w kościele Racer nie będzie węszył, a on potrzebuje czasu, żeby pomyśleć.

Kościół Świętego Regulusa był tak wilgotny i zimny jak we wczesnych godzinach porannych, a teraz zaczynało się w nim robić tak samo ciemno. Gdy usiadł w jednej z tylnych ławek, słabe wieczorne światło uciekało z przejść między ławkami wręcz na jego oczach. Zsunął się niżej na twardej ławce i rozejrzał dookoła - patrzył na łuki, ozdobne guzy na sklepieniu, trójkondygnacyjną ambonę i małą czarną tablicę z boku, gdzie wypisane były numery hymnów, które wierni śpiewaliby tego ranka, gdyby odbyło się nabożeństwo. Małe zbiorki hymnów leżały rzędem na wąskiej półce, która biegła przez całą długość ławki przed nim. Jury wziął jeden do ręki, otworzył na numerze 136 i zaintonował kilka taktów „Naprzód, żołnie-

rze Chrystusa". Potem, czując się trochę głupio, zamknął książkę i popatrzył z roztargnieniem na okładkę.

Wytłoczony był na niej dość wytartymi złotymi literami tytuł: *Hymny*. Była nieduża, tylko jakieś pięć na sześć czy siedem cali. Czerwona skóra. Usłyszał w głowie głos pani Gaunt - a może to była Daphne? *Wchodziłam i widziałam, jak pisała. To był jej pamiętnik. Mała czerwona książeczka.*

Zabrało mu to nie więcej niż piętnaście minut: wchodził za każdą ławkę, przeglądał zbiory hymnów i kładł je z powrotem, aż wreszcie go znalazł. Był nieco grubszy niż książki z hymnami i w innym odcieniu czerwieni, trochę bardziej jaskrawy. Łatwy do znalezienia, ale pod warunkiem, że ktoś go szukał, ponieważ wszystkie śpiewniki częściowo skrywała wąska drewniana półka, która przytrzymywała je z tyłu ławki. Gdyby któryś z parafian usiadł właśnie tam ostatniej niedzieli, znalazłby go. Ale w kościele było o wiele więcej śpiewników niż mieszkańców miasteczka chętnych do śpiewania. Czy Ruby zostawiła go tam jako zabezpieczenie przed czymś, tak samo jak być może bransoletkę? Czy po prostu go tam wcisnęła, a potem zapomniała?

Na okładce, mniej więcej w miejscu, gdzie na innych wypisane było słowo *Hymny*, widniało jedno słowo, *Pamiętnik*, wypisane spłowiałą złotą kursywą. Pierwszą stronę ozdabiały dramatycznie powiększone drukowane litery: RUBY JUDD.

Światło już całkiem zniknęło, więc szukając wśród ławek, musiał użyć latarki. Teraz wszedł z pamiętnikiem po małej drabince na ambonę, a potem skierował wąską mosiężną lampę w dół, tak żeby światło padało jasno na strony zeszytu. Większość, ta część, która obejmowała pierwsze miesiące tego roku, to były jakieś bzdury o chłopcach z Weatherington albo mężczyznach z Long

## 19

Jury jechał wolno w kierunku głównej ulicy, oddalając się od pubu „Pod Huncwotem”. Odwlekał nieuniknione irytujące spotkanie z Racerem. Może zatrzyma się „Pod Jackiem i Młotem” i pani Scroggs przyrządzi mu kolację.

Gdy dotarł do podjazdu prowadzącego do kościoła, zatrzymał się i zaparkował samochód. Przynajmniej w kościele Racer nie będzie węszył, a on potrzebuje czasu, żeby pomyśleć.

Kościół Świętego Regulusa był tak wilgotny i zimny jak we wczesnych godzinach porannych, a teraz zaczynało się w nim robić tak samo ciemno. Gdy usiadł w jednej z tylnych ławek, słabe wieczorne światło uciekało z przejść między ławkami wręcz na jego oczach. Zsunął się niżej na twardej ławce i rozejrzał dookoła - patrzył na łuki, ozdobne guzy na sklepieniu, trójkondygnacyjną ambonę i małą czarną tablicę z boku, gdzie wypisane były numery hymnów, które wierni śpiewaliby tego ranka, gdyby odbyło się nabożeństwo. Małe zbiorki hymnów leżały rzędem na wąskiej półce, która biegła przez całą długość ławki przed nim. Jury wziął jeden do ręki, otworzył na numerze 136 i zaintonował kilka taktów „Naprzód, żołnie-

rze Chrystusa". Potem, czując się trochę głupio, zamknął książkę i popatrzył z roztargnieniem na okładkę.

Wytłoczony był na niej dość wytartymi złotymi literami tytuł: *Hymny*. Była nieduża, tylko jakieś pięć na sześć czy siedem cali. Czerwona skóra. Usłyszał w głowie głos pani Gaunt - a może to była Daphne? *Wchodziłam i widziałam, jak pisała. To był jej pamiętnik. Mała czerwona książeczka.*

Zabrało mu to nie więcej niż piętnaście minut: wchodził za każdą ławkę, przeglądał zbiory hymnów i kładł je z powrotem, aż wreszcie go znalazł. Był nieco grubszy niż książki z hymnami i w innym odcieniu czerwieni, trochę bardziej jaskrawy. Łatwy do znalezienia, ale pod warunkiem, że ktoś go szukał, ponieważ wszystkie śpiewniki częściowo skrywała wąska drewniana półka, która przytrzymywała je z tyłu ławki. Gdyby któryś z parafian usiadł właśnie tam ostatniej niedzieli, znalazłby go. Ale w kościele było o wiele więcej śpiewników niż mieszkańców miasteczka chętnych do śpiewania. Czy Ruby zostawiła go tam jako zabezpieczenie przed czymś, tak sarno jak być może bransoletkę? Czy po prostu go tam wcisnęła, a potem zapomniała?

Na okładce, mniej więcej w miejscu, gdzie na innych wypisane było słowo *Hymny*, widniało jedno słowo, *Pamiętnik*, wypisane spłowiałą złotą kursywą. Pierwszą stronę ozdabiały dramatycznie powiększone drukowane litery: RUBY JUDD.

Światło już całkiem zniknęło, więc szukając wśród ławek, musiał użyć latarki. Teraz wszedł z pamiętnikiem po małej drabince na ambonę, a potem skierował wąską mosiężną lampę w dół, tak żeby światło padało jasno na strony zeszytu. Większość, ta część, która obejmowała pierwsze miesiące tego roku, to były jakieś bzdury o chłopcach z Weatherington albo mężczyznach z Long

Piddleton - kupcy, jakiś sprzedawca; żadnej wzmianki o Truebloodzie czy Darringtonie - ckliwe brednie, jakich mógł się spodziewać. Dopiero później zaczął się pojawiać temat Simona Matchetta, przeplatany uwagami o Truebloodzie (zaskakująco dobry w łóżku jak na mężczyznę o jego orientacji seksualnej) i o Darringtonie (zaskakująco zły). Ale wciąż wracała do Matchetta, który był „taki przystojny”. *Oczy jak jezioro Rydal Water*. Jury złagodził na widok tej zaskakująco uroczej metafory, będącej wytworem tępego umysłu Ruby Judd. *Pomyśleć, że Daphne ma to na co dzień, a ja tu tkwię ze strażniczką - niewątpliwie pani Gaunt - / pastorem. Pewnie nie byliby zachwyceni, wiedząc, że siedzę tu i piszę to, kiedy mam sprzątać. No cóż, nie dostają tyle pieniędzy co Daphne, a ona jeszcze w dodatku cały czas pracuje dla niego*. Potem następowały opisy jej seksualnych wyczynów z Darringtonem, chłopakiem od kioskarza i innymi, przerywane uwagami o nudzie życia w Long Piddleton. Jury przerzucił kilka kartek i znalazł, czego szukał: opis walki z Daphne na poduszki. *Stoczyłam się pod łóżko, a gdy ona sięgnęła w dół, chcąc mnie złapać, ta bransoletka, którą nosi, zwyczajna tandeta, zsunęła jej się z ręki. Nagle wszystko do mnie wróciło. Leżałam pod łóżkiem, i nade mną tak samo zwisała ręka z bransoletką. To było całe lata temu*. Czy podobna, że Ruby, mała wścibska dziewczynka, faktycznie w c z o ł g a ł a się pod tamto łóżko na scenie i leżała tam podczas przedstawienia? Mogła tam nawet być, gdy Matchett udusił Celię, i nie zdawać sobie sprawy, co się dzieje. *Boże!!! Potem nagle sobie przypomniałam, co to była za bransoletka i z czyjej ręki się zsunęła. Należała do niej, do tej pani Matchett, która została zabita. Co to znaczy???* Podkreśliła to pięć razy. Przez kilka dni nie było wpisów. Potem Ruby, zdaje się, pojechała do biblioteki w Weatherington, przejrzała stare gazety i przeczytała wszystko o morderstwie „Pod Kozłem



i Cyrklem". Ale teraz już wiedziała, że Celia Matchett została zamordowana w łóżku, a nie w biurze. Wrócił do niej nagłym wspomnieniem siedmioletki dotyk tamtej bezwładnej ręki.

Teraz zaczęła chodzić do pubu „Pod Huncwotem”, wciąż próbując, mimo tego, co wiedziała, wciągnąć Simona Matchetta w jakąś seksualną grę. Potem zaczęła planować: *Dziś zadzwoniłam do wujka Willa, bo jeśli on coś pamięta, to każdy może. Najpierw mi powiedział, że jestem stuknięta: „Ruby, miałaś siedem lat, nie wiedziałaś, co się dzieje”. No, zabrało mi to trochę czasu, ale w końcu go przekonałam, że Simon musiał to zrobić, musiał ją zabić. Albo on, albo ta dziewczyna, Harriet, co o niej było w gazecie. Pamiętam do dziś, jaka byłam przerażona. Ta ręka. Uch!!! I nigdy nikomu nie powiedziałam, że zabrałam bransoletkę. Bałam się, że będą kłopoty.*

Następnego dnia: *Wujek Will oddzwonił do mnie i powiedział, że bym nic nie robiła, że on dzwoni po swoich znajomych, w tym do jakiegoś gliny. Zapytałam, czy chce, żeby Simona aresztowali, a on się tylko jakoś dziwnie roześmiał. Zrozumiałam, że chodzi mu o wyciągnięcie od Simona pieniędzy. Pamiętam, mówiłam mu, że chodzą plotki, że Simon ma się ożenić z tą starą dziedziczką, co to zawsze jest niemodnie ubrana. Ona ma górę forsy.*

I kolejny dzień: *Ale skoro on może od niego dostać pieniądze, czemu ja bym nie mogła innych rzeczy? Jury prawie wyobrażał sobie błyszczące oczy Ruby i jej infantylny chichot, odbijający się od kościelnych krokwi.*

Opuściła kilka dni, a potem napisała: *Poszedł do piwnicy po wino na kolację, a ja sobie po prostu tam zesłam, wyjęłam bransoletkę i zapytałam go, czy ją pamięta. Na pewno pamięta, dodałam, bo widziałam, jak lubi się nią bawić, gdy ją mam na ręce. A potem po prostu powiedziałam mu, co wiem. Najpierw myślałam, że mnie uderzy. Ale on sięga,*

*przyciąga mnie do siebie i całuje!!!! Uznał, że to bardzo źle, że powiedziałam wujkowi, i zapytał, czy mówiłam komuś jeszcze. Powiedziałam, że nie. Nie skłamałam przecież. Powiedział, że trudno i że bardzo szkoda, bo zawsze coś do mnie czuł, ale nie śmiał niczego próbować, bo jestem o tyle młodsza. Wyglądał tak smutno. I wtedy poprosił, żebym wyjechała z nim na weekend, żebyśmy sobie mogli wszystko wyjaśnić. Ale ja nie jestem głupia. Powiedziałam mu, że nie potrzebuje próbować na mnie swoich sztuczek. Chciał się po prostu upewnić, że nikomu nie powiem. Otworzył butelkę szampana i siedzieliśmy tam, śmialiśmy się i całowali. Teraz wiem, że ma względem mnie poważne zamiary. Mam spakować torbę i powiedzieć, że jadę do Weatherington, tak żeby nikt się dziwił. Przypomniałam sobie jednak, że wujek Will kazał mi zdjąć tę bransoletkę, zostawić ją gdzieś i więcej jej nie nosić. Jeśli o mnie chodzi, to nie ma sprawy. I tak niedługo będę nosiła wielki brylant. Właśnie wymyśliłam świetne miejsce do schowania bransoletki! Ale będzie zabawa!!*

I ostatni wpis: *Nie mogę teraz pisać. Ona tu idzie. Pewnie pani Gaunt. Muszę kończyć. WIĘCEJ JUTRO!!!*

Ruby musiała po prostu wcisnąć zeszyt do tego kącika, w rzędzie ze śpiewnikami, i wziąć do ręki miotłę. A więc pamiętnik prawdopodobnie został odłożony, miała wyjąć go później, a potem, w podnieceniu, całkiem o nim zapomniała.

*WIĘCEJ JUTRO!!!* Jury przeczytał te żalosne słowa jeszcze raz. Głupia dziewczyna. Dla Ruby Judd nie było już żadnego jutra. Stał na ambonie, w ciemnym kościele, tylko mała lampka rzuciła krąg światła na białe kartki. Tak pochłonęła go cieleca namiętność Ruby Judd do Simona Matchetta, że ledwo usłyszał, jak ciężkie, dębowe drzwi kościoła otwierają się, a potem zamykają ze skrzypnięciem.

Jury nie mógł nic dostrzec w ciemnym przedsionku kościoła, ale poznał głos Matchetta.

- Zobaczyłem światło z ulicy i zastanawiałem się, kto tu może być o tej porze. To dziwne, zastać policjanta na ambonie.

Zapadła cisza, dał się słyszeć jakiś ruch, i Jury przypuszczał, że Matchett usiadł w jednej z tylnych ławek.

- A pan, panie Matchett? Co p a n robi w kościele o tej porze? A może właściciele pubów są bardziej religijni od policjantów?

- Nie. Ale na pewno tak samo wścibscy.

Było coś irytującego w tym prowadzeniu rozmowy z głosem bez twarzy. Jedynym punktem świetlnym w kościele był krąg rzucany przez lampę nad amboną. Jury czuł się jak osaczony jeleni.

- Przypuszczam, inspektorze, że przyszło nam do głowy to samo. Jeśli pamiętnika nie ma na plebanii, to może w kościele?... Zdaje się, że nie wszedł pan tam, żeby czytać książkę do nabożeństwa?

- Gdyby tak było, panie Matchett, to pan by tu teraz chyba nie siedział.

W ciemności rozległ się krótki śmiech.

- Niech pan da spokój. Pański sierżant deptał mi po piętach jak pies myśliwski. Nie chciał mnie nigdzie puścić, choć bardzo się starałem. Nie, niech pan się nie martwi. Nic mu nie jest, śpi przy kominku. Gorący rum z masłem, hojnie doprawiony środkami uspokajającymi. A teraz lepiej niech mi pan odda ten zeszytek, inspektorze.

Jury zakładał, że tamten trzyma wymierzony w niego pistolet. Świadczyła o tym pewność siebie Matchetta, że on mu odda pamiętnik.

- A jeśli ma pan pistolet, proszę go tu też rzucić. Nie zauważyłem, żeby pan go nosił, ale nigdy nic nie wiadomo.

Jury nie nosił broni. Dawno temu doszedł do wniosku, że na ogół bardziej niebezpiecznie jest ją mieć niż nie mieć. Ale nie było sensu przekonywać o tym Matchetta. Jury chciał teraz przede wszystkim dać sobie trochę czasu, żeby przemyśleć swoją sytuację. Nad amboną, w odległości około trzech stóp, był nieco wystający balkonik.

- Panie Matchett, jeśli chce mnie pan wykończyć - bo taki ma pan zamiar, prawda? - skąd pan może mieć pewność, że nikt poza mną nie wie, że to pan zamordował tych ludzi? - Jury nie zamierzał wspominać o Plancie, ale musiał zająć Matchetta rozmową.

- Niech pan da spokój, inspektorze Jury. Niech pan nie próbuje na mnie tej starej sztuczki. Nawet ten pański szef nie wie wszystkiego. Sierżant pewnie tak, ale potrafię sobie z nim poradzić.

Wysokość i odległość balkoniku nie były wielkie, lecz Bóg jeden wiedział, że Jury nie jest już tak zwinny jak kiedyś.

- Czy zaspokoi pan moją ciekawość co do paru rzeczy, panie Matchett? Dlaczego zdecydował się pan zrobić taką dziwną wystawę z ciał? Mógł pan po prostu zostawić Hainsleya nieżywego w łóżku, a Ruby zakopać w lesie. - Jury wiedział, że seryjni mordercy, tacy jak Matchett, są strasznie próżni. Uważają, że ich inteligencji nie można się oprzeć. W końcu włożyć w coś tyle wysiłku i nie móc nikomu dowieść, jak bardzo się jest błyskotliwym, to musi być tortura. Najpierw jednak myślał, że Matchett nie odpowie. W tym ciemnym, wysoko sklepionym wnętrzu najmniejszy dźwięk ulegał wzmocnieniu, i Jury'emu wydawało się, że słyszy trzask odbezpieczanego magazynka. Ale nie pomylił się co do skłonności mordercy do autoreklamy.

- Zgadł pan, inspektorze, że chodziło o odwrócenie uwagi. Najlepszym sposobem zagłuszenia hałasu jest zro-

bić większy hałas. Nie miałem czasu, żeby pozbyć się tych ludzi cicho i dyskretnie. Judd, jej wujek, Hainsley i ten ich znajomy policjant, Creed - wszyscy osaczyli mnie mniej więcej jednocześnie. Skoro nie mogłem tego zrobić po cichu, postanowiłem wybrać drugą skrajność: wywołać hałas tak głośny i tak dziwaczny, by został przypisany jakiemuś szalonemu mordercy bez motywu. Zabójcy-psychopacie.

- I tak było, przez jakiś czas. - Jury nie dbał za bardzo o odgłosy, które wskazywały na to, że Matchett wstał i idzie wzdłuż nawy. Dostać się od balkoniku do galerii biegnącej wzdłuż trzech pozostałych boków kościoła - to nie będzie problem. Ale musi to zrobić szybko.

- Teraz ja zadam panu pytanie, inspektorze Jury. Przypuszczam, że musiał pan odkryć, że zamordowałem moją żonę. Ale jak, u licha?...

- To głupie, panie Matchett, czynić takie przypuszczenie, jednocześnie się przyznając. Zastanawiałem się jednak przez cały czas, co dokładnie łączy pana z panną Rivington.

Matchett milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Z którą panną Rivington?

- Chyba mam już odpowiedź. - Jury wciąż szacował odległości. - Czy to Smali - to znaczy Smollett - ściągnął tu dwóch pozostałych? Czy pan?

- Ja. Głos Smolletta był łatwy do naśladowania. Kiedy już dowiedziałem się od niego, że powiedział Haisleyowi i Creedowi, po prostu do nich zadzwoniłem i powiedziałem - jako Smollett - że muszą tu natychmiast przyjechać. Kazałem im zarezerwować pokoje „Pod Jackiem i Młotem” i „Pod Łabędziem” - nie mogłem przecież dopuścić, żeby wszyscy zginęli „Pod Huncwotem”, prawda?

- Więc przyjechał pan do pubu „Pod Łabędziem”, nie o jedenastej, ale o dziesiątej trzydzieści. Zaparkował pan

w lesie... musiał pan wiedzieć, że odkryjemy to okno. I ślady opon.

- Tak, oczywiście. Chciałem, żebyście je odkryli; po nieważ siedziałem „Pod Łabędziem” z Vivian w porze morderstwa - mniej więcej - nie obchodziło mnie, kto, waszym zdaniem, przedostał się przez to okno. Za duże buty i kombinezon, żeby nie zabrudzić ubrania - to było bardzo łatwe.

Jury'emu zależało, żeby Matchett nie przestawał mówić.

- Jak pan zdołał zająć Creeda od tyłu?

- Sądził - a raczej ja go przekonałem - że po prostu sprawdzam instalacje. Pomógł mi kombinezon. No i j e s t e m aktorem, inspektorze...

- Zauważyłem. Dlaczego, u licha, nie spotkał się pan z Creedem w jakimś i n n y m miejscu, zamiast sprowadzać go do Long Piddleton?

- Cóż, nie pozwoliłby nam pan stąd wyjechać, prawda? Jaki miałem wybór? I zaczynał mi się podobać „motywy pubu”, który stworzyły gazety.

- Rozumiem. - Jury był zbyt zajęty ocenianiem siły, jakiej będzie musiał użyć, żeby marnować emocje na tego niewidocznego człowieka w atramentowej ciemności.

- Czy morderstwo z czasem wchodzi w krew?

- Być może. Ale naprawdę, muszę już od pana zażądać tego pamiętnika. Niech pan będzie tak miły i zjedzie b a r d z o w o l n o po tych schodkach z ambony...

- Nie mam wielkiego wyboru, prawda, kolego? - Jury nagle wyłączył światło i dał nura za ambonę, gdy pierwszy strzał rozszczepił drewno nad jego głową. Potem doskoczył do jej krawędzi i podźwignął cały swój ciężar w kierunku balkoniku. Kompletna teraz ciemność była jedyną jego osłoną. Uczynił niezwykle wysiłek, żeby

złapać krawędź balkoniku. Chwyciwszy ją, zawisł na chwilę, aż ostatnim zrywem podciągnął się do góry i na balkon. Kolejny strzał padł w kierunku ozdobnego guza na sklepieniu nad jego głową, a potem nastąpiła cisza; starał się nie oddychać, choć miał wrażenie, że zaraz pękną mu płuca. Z balkoniku łatwo mógł przeskoczyć na galerię - co za ironia, pomyślał Jury, kościół przypomina teatr - ale w tej chwili jego umysł zaprzątnięty był próbą odgadnięcia, jaki pistolet ma Matchett i ile mu zostało naboji. Facet nie był na tyle głupi, żeby marnować je na dalsze strzelanie w ciemność.

Jury usłyszał kroki po lewej stronie, co znaczyło, że Matchett wchodzi na balkonik po schodkach wykutych w ścianie. Jury, skulony, przemieścił się na drugi koniec i przeskoczył z balkoniku na galerię po prawej właśnie wtedy, gdy Matchett dotarł do szczytu schodów. Rozległ się kolejny błysk i strzał. Jury mógłby przysiąc, że kula przeleciała mu koło ucha. Wciąż skulony, przemieścił się między ławkami w głąb galerii, po czym się zatrzymał. Znów chwila ciszy. Powoli wyjął latarkę z kieszeni płaszcza, położył ją na półce galerii, zapalił i popędził wzdłuż zachodniej ściany galerii przy odgłosie kolejnego strzału. Latarka stoczyła się z trzaskiem do nawy na dole.

Wyjmując latarkę, Jury wyczuł w wewnętrznej kieszeni płaszcza pudełko drażetek na kaszel, które dał mu Wiggins. Gdyby tylko mógł zdjąć celofan, nie zdradzając swojej pozycji - bo w drugiej kieszeni miał procę, którą dał mu mały Double. Dzięki, James. Odkleił lepki cukierek od pozostałych w pudełku, umieścił go w gumce, i wycelował w najbliższe okno. Rozległ się brzęk szkła, a w ślad za nim kolejny strzał. Próbował podtrzymać tę serię odruchów ze strony Matchetta, szybko odciągając gumkę i celując kolejnym pociskiem z drażetki niżej, w nawę. Wystrzelił w ciemną niszę i usłyszał trzask.

Prawdopodobnie zranił w ramię gipsową statuetkę Matki Boskiej. Jury modlił się. Och, jak się modlił.

Ale w odpowiedzi zamiast strzału dał się słyszeć odgłos stóp biegnących w dół po schodkach z balkoniku do nawy.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy, a potem na galerii rozbłysło półkolem światło. Jury schylił się.

- Podziwiam pańską taktykę dywersyjną, inspektorze - usłyszał głos z dołu. - Ale porzucenie przez pana latarki było tak samo głupie, jak z mojej strony to, że nie przyniosłem swojej. I skoro jest całkiem oczywiste, że nie ma pan broni, a ja wciąż mam, nie sądzi pan, że lepiej będzie, jeśli pan już zejdzie?

Ponieważ Matchett nie miał zamiaru marnować kolejnego strzału, Jury przypuszczał, że nie ma wielkiego wyboru. Czy zostanie po prostu zastrzelony, gdy znajdzie się w zasięgu wzroku Matchetta? Czy tamten zaczeka, aż dostanie pamiętnik do ręki? Jury miał nadzieję, że zaczeka.

- Czy mógłby pan zejść tu do nawy, inspektorze? Naprawdę muszę dostać ten pamiętnik. A potem udamy się na małą przejażdżkę.

Jury przestał się na chwilę pocić. Między obecną sytuacją a grobem w lesie na pewno da radę coś wymyślić.

- Schodzę, Matchett.

- Tylko ostrożnie.

Jury przeszedł obok ławek na wschodnią stronę w kierunku kamiennych schodków, których Matchett użył przed chwilą. Spoglądając w dół, Jury zauważył, że Matchett stoi mniej więcej w połowie nawy, między rzędami ławek. Gdy przechodził między ławkami, szybko wyjął jeden zbiór hymnów zza niewielkiej drewnianej listewki i trzymał go w dłoni. Potem zszedł po schodach, a gdy



dotarł na dół, uniósł książkę nad głowę, obie ręce trzymając w powietrzu.

- Teraz niech pan przyniesie tu pamiętnik...

Jury szedł w jego kierunku, a Matchett kazał mu się zatrzymać, gdy był jakieś dziesięć stóp od niego.

- Chyba wystarczy...

W tej chwili Jury rozluźnił uchwyt i książka upadła na miękką wykładzinę, która pokrywała tablice pamiątkowe w posadzce. Stali na niej obaj.

- Niezgrabiasz z pana - rzucił Matchett.

Jury zaczął się pochylać, świetnie wiedząc, że Matchett go powstrzyma.

- Nie, nie, inspektorze. Niech pan go tu do mnie kopnie, z łaski swojej.

Tego właśnie chciał i miał tylko nadzieję, że zostało mu jeszcze dość siły w nogach, żeby zrobić, co zamierza. Kopnął cienką wykładzinę od spodu, jednocześnie szarpiąc ją gwałtownie ku sobie, a zrobił to tak szybko, że Matchett kompletnie stracił równowagę. Rozległ się ostatni strzał, kula musnęła ramię Jury'ego a potem inspektor rzucił się naprzód. Nie było trudno popchnąć Matchetta do tyłu na ławkę, a Jury był tak wściekły - wychodził z niego teraz cały tłumiony gniew na tego szaleńca - że cios, który trafił w szczękę Matchetta, i drugi, w żołądek, były niemal jednoczesne i bardzo skuteczne. Matchett zgiął się wpół i padł na kamienną posadzkę między dwie ławki.

Jury podniósł śpiewnik. Pamiętnik leżał wciąż na ambonie. Wsunął go wcześniej pod wielką ilustrowaną Biblię, gdy rozmawiał z Matchettem. Spojrzał teraz na leżącego i dziwił się człowiekowi, który potrafił zasmakować w morderstwie, tak jak niektórzy gustują w ostrzygach. Jury powiedział do nieprzytomnej postaci:

- Panie Matchett, nie musi pan nic mówić, jeśli pan sobie tego nie życzy, ale to, co pan powie, może być spisane i użyte jako dowód. Zrozumiano?

Odwrócił się, poszedł z powrotem w kierunku ołtarza i wszedł jeszcze raz na ambonę. Włączył lampę, podniósł Biblię i wyciągnął pamiętnik Ruby Judd. Oparł ręce na ambonie - całkiem jak duchowny - i spojrział w dół na zeszytik, który miał być końcem Simona Matchetta.

Jeszcze raz usłyszał, jak otwierają się ciężkie drzwi z tyłu i delikatnie zamykają. Z ciemnej niszy przedsionka doszedł go złośliwy, sarkastyczny głos nadinspektora Racera we własnej osobie:

- Wreszcie znalazłeś swoje powołanie, co, Jury?

Matchetta zabrano na posterunek w Weatherington. Został „oficjalnie” aresztowany przez Racera i jego prawą rękę, inspektora Briscowe'a, który towarzyszył swojemu przełożonemu do Long Piddleton, żeby „wreszcie zakończyć sprawę”, jak to ujął Racer w rozmowie z dziennikarzami później tej samej nocy. Sprawa cudownie się rozwiązała dokładnie w chwili, gdy w miasteczku pojawił się on. Racer wprawdzie nie powiedział tego jednoznacznie, jednak sugerowany związek przyczynowo-skutkowy zrobił na londyńskich dziennikarzach należyte wrażenie.

- A to padalec - orzekła Sheila Hogg o północy, na lewając Jury'emu whisky dosłownie strumieniem. - Facet przypisze sobie wszystkie zasługi, tylko że to przecież pan odwalił całą robotę. I w dodatku o mało nie zginął. Proszę. - Wcisnęła wielką szklankę w wolną rękę Jury'ego, bo na drugiej był opatrunek, który założył o wiele już mniej złośliwy doktor Appleby.

W godzinę po aresztowaniu Matchetta wiedziało o nim całe Long Piddleton - niewątpliwie była to robota Plucka.

(Jury'emu podobało się, jak Pluck usiłował wypchnąć Briscowe'a z zasięgu fotograficznych fleszy.) Sheila wręcz zaciągnęła Jury'ego do domu na drinka. Wyraźnie był dla niej bohaterem.

W odpowiedzi na jej zastrzeżenia Jury stwierdził:

- Och, no cóż. Skoro sprawa się w końcu wyjaśniła, to bez różnicy, prawda?

- I ma pan szczęście, że się wyjaśniła - odezwał się Darrington, któremu zazdrość przywróciła teraz tradycyjną niechęć do wszystkich mężczyzn. - O mało pan się nie przejechał na mnie, co? - Darrington uśmiechnął się złośliwie.

Jury uniósł brwi z udawanym zdumieniem.

- Na pana? Och, niech pan da spokój. Nigdy pana nie podejrzewałem. Myślałem, że to jasne. Pan nie ma takiej wyobraźni. Niech pan tylko spojrzy na styl Matchetta. Gdyby nie ta cała perwersyjna otoczka, mógłby być pisa rzem.

Sheila zachichotała, trochę pod wpływem drinka, trochę z zachwytu. Darrington zaczerwienił się i wstał.

- Do diabła, czemu pan się stąd nie wyniesie? Uprzykrza mi pan życie, od kiedy się pan tu zjawił. Nie ma pan tutaj już nic więcej do roboty!

Sheila odstawiła gwałtownie kieliszek.

- Ja też nie! - Podniosła się trochę niepewnie, a jednocześnie usiłowała przyjąć królewską postawę. - Oliver, ty także jesteś padalcem. Później przyślę po moje rzeczy.

Darrington znów usiadł. Prawie na nią nie patrzył.

- Jesteś pijana - rzucił, wpatrując się we własny kieliszek.

Jury wyciągnął rękę, żeby ją przytrzymać, gdy odwróciła się gwałtownie do Darringtona.

- Wolę być pijana, ty cholerny głupku, niż... n i e mieć w y o b r a ż n i ! Prawda, inspektorze?

Chociaż jej słowa rozmazały się trochę w wymowie, i chyliła się ku niemu, jakby popychana wiatrem, Jury zgadzał się z nią całkowicie. Nawet posłużył jej ramieniem i wyprowadził z pokoju.

- On myśli, że ja żartuję. Wcale nie. Załatwię sobie pokój u Scroggsów. Chyba że... - Popatrzyła z nadzieją na niego spod gęstych rzęs.

Uśmiechnął się.

- Przykro mi, kochana. Do „Huncwota” wstęp wzbroniony. Żadnych gości więcej. - Gdy pomagał Sheili włożyć płaszcz, dostrzegł rozczerwanie na jej twarzy i mrugnął do niej. - Ale zawsze jest jeszcze Londyn. Jeździ pani do Londynu, prawda?

Odzyskując humor, odparła:

- Pewnie, że jeżdżę, skarbie!

Gdy szli do samochodu, Jury zobaczył sylwetkę Darlingtona stojącego w otwartych drzwiach holu.

- Sheila? Co, u diabła...

Po oddaniu Sheili w macierzyńskie ręce pani Scroggs Jury pojechał, lekko zamroczony, z powrotem do pubu „Pod Huncwotem”. Gdy wysiadł z morrisa, zauważył światło w barze na dole.

To była Daphne Murch, która czekała na niego, wyłamując niecierpliwie palce. Jury przypomniał sobie, że musiała tu być, gdy przyszli po rzeczy Matchetta.

Podbiegła do niego i wykrzyknęła:

- Nie mogłam w to uwierzyć, nie mogłam! Pan Matchett, sir! On przecież zawsze był taki uczciwy!

- Naprawdę mi przykro, Daphne. Musisz się czuć okropnie. - Siedzieli przy jednym ze stolików, na którym Daphne nakryła do herbaty. Nie od dziś wiadomo, że

filizanka herbaty jest lekarstwem prawdziwego Anglika na wszystko, od bolących nóg do seryjnych morderstw. Daphne wciąż kręciła głową z niedowierzaniem.

- Słuchaj, Daphne. Nie masz teraz pracy, prawda?

Zrobiła bardzo przygnębioną minę, a Jury dodał:

- Mam znajomych w Hampstead Heath. - Wyjął notes i zapisał jej adres. - Nie wiem, czy Londyn ci się spodoba... (po jej twarzy widać było wyraźnie, że jest zachwycona) - ...ale zapewniam cię, że to są bardzo dobrzy ludzie, i przypadkiem wiem, że szukają służącej. - Jury wiedział także, że mają bardzo atrakcyjnego młodego szofera. - Jeśli chcesz, skontaktuję się z nimi, jak tylko wrócę do Londynu, i...

Przerwała mu Daphne, która wybiegła zza stolika i ucałowała go. Potem wypadła z baru zaróżowiona i zmieszana.

## 20

### 28 grudnia, poniedziałek

Gdy Jury obudził się następnego ranka, nie mógł sobie przypomnieć, jak pokonał schody i rzucił się na łóżko, oczywiście bez rozbierania się. Te drinki u Dar-ringtonów łącznie z tym, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spał bardzo mało, musiały być zabójcze. Obudziło go dopiero dość niepewne pukanie do drzwi. Na jego „wejść” głowę w drzwi wsadził Wiggins.

- Strasznie przepraszam, że pana budzę, sir. Ale nadinspektor Racer jest na dole w jadalni i pyta o pana od godziny. Zniechęcałem go, ale chyba już dłużej nie dam rady. - Straszliwe wyrzuty sumienia Wigginsa, że pozwolił, by Matchett mu się wymknął, złagodziła dopiero opowieść Jury'ego o tym, jaki zrobił użytek z drażetek na kaszel.

- Gdyby nie wy, sierżancie... - Sugestia, że prawie ocalił Jury'emu życie, dodała Wigginsowi odwagi. Wszedł teraz pewnie do pokoju i mówił bez ogródek:

- Prawdę mówiąc, sir, uważam, że on się zachowuje karygodnie. Nie spał pan niemal od tygodnia. Pracuje pan za ciężko, proszę mi wybaczyć, że tak mówię. Więc powiedziałem Racerowi, że obudzę pana o przyzwoitej godzinie, nie wcześniej. - Sierżant Wiggins przerwał nag-

le, jakby słowa, które wymówił, mogły dostać skrzydeł i poszybować do Scotland Yardu.

- Naprawdę tak mu powiedziałaś? - Jury podparł się na łokciu i patrzył na Wigginsa.

- Naprawdę, sir.

- Więc mogę tylko powiedzieć, że masz tysiąc razy więcej odwagi niż ja, Wiggins.

Rozpromieniony sierżant zostawił Jury'ego, żeby mógł się przebrać. A Jury zauważył, że sierżant ani razu nie wyjął chusteczki do nosa.

- Chciał pan mnie widzieć? - Jury celowo ominął „sir”. - Mam usiąść?

Nadinspektor Racer siedział w jadalni, a przed nim na talerzach leżały resztki obfitego śniadania: okruszki bułeczek, szczątki jajek sadzonych, ości po śledziu. Gdy obracał w ustach świeżo zapalone cygaro, światło skrzyło się na jego onyksowym sygnecie.

- Korzystamy z wiejskiego powietrza, żeby się wyśpać? To cholernie dobrze, że ta sprawa zakończyła się wtedy, kiedy się zakończyła, Jury - Jury zauważył, że nie wspomina się, kto się do tego przyczynił - bo inaczej miałbyś tu komendanta jak nic.

Daphne Murch, z porannym rumieńcem na twarzy, postawiła przed Jurym srebrny dzbanek z kawą, uśmiechnęła się szeroko i wyszła, nieświadoma, że wzrok Racera śledzi jej łydki.

- Niezła ta mała - mruknął, a potem przechylił się przez stół i spiorunował Jury'ego wzrokiem. Płaszcz, efektownie udrapowany na plecach, opadł mu z jednego ramienia, więc go poprawił. - Jury, chociaż z całą pewnością nie pochwalam każdego ruchu, który zrobiłeś w tej sprawie, jednak udało nam się ją zakończyć, więc nie chowam urazy. Nigdy nie uważałem cię za złego

policjanta, mimo że jesteś trochę zbyt popularny, jak na mój gust. Twoi ludzie mają cię za „równego gościa”. Musisz sprawiać, żeby oni cię szanowali, Jury. Nie lubili. Dalej: nie słuchasz rozkazów. Dostałeś polecenie, żeby dzwonić codziennie. Nie dzwoniłeś. Dostałeś polecenie, żeby mnie informować o każdym ruchu. Nie informowałeś. W ten sposób nigdy nie awansujesz, Jury. Musisz umieć postępować z tymi na górze i z tymi na dole.

W uszach Jury'ego zabrzmiało to jak tytuł kiego amerykańskiego filmu.

- No, idę. Możesz się stąd zwijać. - Racer rzucił na stolik garść drobnych - trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie był skąpy - i rozejrzył się po pomieszczeniu. - Nie złe miejsce jak na takie zapyziałe miasteczko. Dali mi tu wczoraj wieczorem porządną kolację. Właściciel pubu, który warzy własne piwo, ma sporo zalet...

Gdyby tak Kuba Rozpruwacz warzył własne piwo, pomyślał Jury, smarując masłem kawałek zimnej grzanki.

- Co jest, Wiggins? - warknął Racer.

Sierżant Wiggins wyskoczył przy ich stoliku jak korek z butelki.

- Sierżant Pluck przyprowadził samochód, sir.

- Bardzo dobrze. - Gdy Wiggins odwrócił się, żeby odejść, Racer przywołał go z powrotem: - Sierżancie, nie podobał mi się specjalnie ton, jakim rozmawialiście ze mną dziś rano...

Cierpliwość Jury'ego wyczerpała się.

- Sierżant Wiggins w istocie uratował mi życie. - Na widok uniesionej brwi Racera, Jury ciągnął: - Słyszał pan o żołnierzu uratowanym dlatego, że jego stara matka uparła się, żeby trzymał w kieszeni na piersi Biblię? - Jury cisnął na stolik pudełko drażetek na kaszel.

- A to co ma znaczyć? - zapytał Racer, odpychając pudełko końcem palca jak zdechłą mysz.



- Te drażetki mnie uratowały, razem z procą. - Jury dopił kawę i postanowił upiększyć opowieść. - Wiggins wiedział, że nie mam pistoletu. Co do mnie, uważam, że było to bardzo bystre z jego strony.

Na obliczu Wigginsa, absolutnie zachwyconego tą niespodziewaną i (jak podejrzewał) niezasłużoną pochwałą, malowały się kolejno radość i zmieszanie. Wydawał się niepewny, jak rozszyfrować ten tajemniczy komunikat, który Jury właśnie przedstawił swemu zwierzchnikowi.

Racer przeniósł wzrok z jednego na drugiego i tylko chrząknął. Potem odezwał się, z jadem doprawionym słodyczą w głosie:

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, inspektorze Jury, nie będziemy informować opinii publicznej o fakcie, że Scotland Yard ma do obrony tylko proce, dobrze?

Odwlekając, jak długo się da, swoje pożegnanie z Vivian Rivington, Jury siedział na posterunku policji w Long Piddleton, przewracając papiery i słuchając niewielkiej sprzeczki między Pluckiem a Wiginsem. Pluck, chwalać zalety życia na prowincji, przeglądał „Timesa”, wyszukując ostatnie gwałty, napady i morderstwa w londyńskich zaułkach. Nagle drzwi otworzyły się, jakby pchnięte niewidzialną ręką, i weszła lady Ardry. Za nią podążał Melrose Plant, z przepaszającą miną. Na widok Agathy Pluck i Wiggins wymienili spojrzenia i wycofali się z herbatą i gazetami do sąsiedniego pokoju.

Lady Ardry wyrzuciła w przód rękę jak nóż sprężynowy i energicznie uściskała dłoń Jury'ego.

- No, udało nam się, prawda, inspektorze? - Jej wcześniejsze urazy całkiem rozwiały się na wietrze, który łopotał teraz flagą zwycięstwa.

- Nam, droga cioteczko? - zapytał Melrose, sadowiać się w krzesło w rogu pokoju, tak że znajdował się

za jej plecami i w cieniu. Zapalił cygaro o wyjątkowo przyjemnym aromacie. Jury uśmiechnął się.

- Cóż, ktokolwiek tego dokonał, cieszymy się po prostu, że sprawa jest zakończona.

- Przyjechałem, żeby zaprosić pana na lunch, inspektorze, i przypadkiem spotkałem moją ciotkę, idącą ulicą...

- Lunch? - zastrzygła uszami lady Ardry, układając fałdy peleryny na krześle jak szaty koronacyjne. - Wspornale. O której godzinie?

- Zaproszenie, droga cioteczko, jest dla inspektora...

Ale ona tylko machnęła ręką do tyłu.

- Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia niż jedzenie. - Położyła mocno obie ręce na swojej lasce, a Jury z zadowoleniem zobaczył z powrotem w łaskach ręką wiczki bez palców.

Na przegubie jednej z brązowych rękawiczek zapięta była szmaragdowo-rubinowa bransoletka od Planta. Jury pomyślał, że jej królewski splendor już zaczął się szargać.

- To musiał być on, prawda? Matchett. Zawsze tak myślałam. To zawsze można poznać po oczach, inspektorze. Paranoiczne, całkiem szalone, takie ma Matchett. Twarde i zimne... No! - Walnęła dłonią w biurko. - Mogę tylko powiedzieć, że dobrze, że pan tu był, szybki Bill, a nie ten o k r o p n y człowiek, pański zwierzchnik. Pewnie by pan nie chciał, żebym opowiedziała panu, w jak niegodny sposób ten człowiek zachował się w moim domu...

- Z pewnością byśmy nie chcieli, Agatho - zapewnił Melrose, którego spowijała chmura dymu niczym półprzezroczysta zbroja.

Rzuciła do niego przez ramię:

- Dobrze mówić komuś, kto siedzi sobie w Ardry End, wałkoniąc się nad porto i orzechami...

- Lady Ardry - odezwał się Jury, świadom, że naraża na szwank swoją nowo zdobytą popularność - gdyby nie pan Plant, nigdy byśmy nie zdobyli dowodów, żeby wsadzić Matchetta za kratki.

- To bardzo uprzejme z pana strony, mój drogi Jury, ale w końcu z pana zawsze był wielkoduszny, szlachetny człowiek...

Z tyłu za nią Plant zakrztusił się cygarem.

- Ale - ciągnęła -my wiemy, kto wykonał r o - b o t ę w tej sprawie. - Rzuciła mu lizusowski uśmiech. - I że to nie Plant ani też ten wariat Racer, który był zbyt zajęty węszeniem za dziewczętami w miasteczku. - Po tarła kilka szmaragdów w bransoletce ręką w rękawicze bez palców, potem nachyliła się i szepnęła: - Słyszałam, że był wczoraj wieczorem „Pod Jackiem i Młotem” i kręcił się koło Nellie Lickens.

Jury pozwolił sobie na ciekawość:

- A kim jest Nellie Lickens, gdy siedzi w domu, a nie w pubie?

- To córka Idy Lickens, która ma sklep ze starzyzną. Nellie od czasu do czasu pomaga u Scroggsa, a taka z niej bezwstydnica...

- Bezpodstawne plotki, Agatho.

- Niech już ciebie o to głowa nie boli, Plant. Może moje skromne mieszkanko to nie Ardry End - odwróciła się, by spojrzeć ironicznie w kierunku Planta - ale pan Racer-kim-by-tam-był nie miał prawa potraktować mnie tak obcesowo. Wszedł do środka, rzucił jedno spojrzenie, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Nawet przygotowałam kolację, mój pyszny gulasz z węgorka - Plant, nie musisz udawać, że cię mdli - a ten człowiek miał czelność wejść do mojej kuchni i zajrzeć do garnka!

- Strasznie mi przykro, lady Ardry, jeśli Nowy Scotland Yard naraził panią na jakiegokolwiek kłopoty...

- Cóż, powiem panu, że na pewno potrafię zadowolić moich gości. Prawdę mówiąc, właśnie dzisiaj myślałam, czyby nie wywiesić szyldu: „Pensjonat”. Zdaje się, że mam dryg do tych rzeczy...

- Pięknie - pochwalił Melrose przez zasłonę z dymu - czyli nasza następna seria będzie się mogła nazywać „Hrabstwo Northampton. Morderstwa Turystów”.

- A tak szczerze mówiąc, Plant - rzuciła przez ramię - dziwię się, że nie pomyślisz o tym samym. Wyszło by ci na dobre, gdybyś zaczął zarabiać na życie.

- Sugerujesz, żebym zamienił Ardry End w pensjonat?

- Oczywiście. Zrobiłbyś kapitalny interes.

Po tym, jak zaświeciły się jej oczy, Jury poznał, że właśnie przyszedł jej do głowy jakiś donkiszotowski pomysł. Teraz będzie atakować każdy wiatrak, który pojawi się na jej drodze.

- Dwadzieścia dwie sypialnie? - wielkie nieba! - dlaczego nie pomyśleliśmy o tym wcześniej? Z Martha, która robiłaby śniadania, i mną jako kierowniczką? - kopalnia złota!

- Nie mam czasu - odparł Melrose spokojnie.

- Czasu? Ty masz t y l k o czas. Ten uniwersytet nie zajmuje ci więcej niż godzinę dziennie. Potrzebujesz czegoś do r o b o t y , Melrose...

- Ale ja m a m coś do roboty. Postanowiłem zostać pisarzem. - Melrose uśmiechał się dziwnie do Jury'ego przez pasma dymu. Piszę książkę.

Omam nie przewracając krzesła, skoczyła na równe nogi.

- O czym ty, u licha, mówisz?

- Właśnie o tym, Agatho. Piszę książkę o całej tej makabrycznej sprawie.

- Ale nie możesz! Nie możemy oboje! Mówiłam ci przecież, że piszę coś w rodzaju powieści paradokumentalnej. Jak Capote o tych morderstwach w Ameryce.

- Nie „Ka-put”, na litość boską. Ca-po-te. Trzy sylaby, długie „o”. Czy musisz masakrować nazwiska własnych rodaków?

- Mniejsza o to. Wszystko już obmyśliłam.

- Cóż, w takim razie lepiej się pośpiesz. Inaczej ja skończę przed tobą.

- Skończysz! No, to nie jest takie proste. Trzeba znaleźć wydawcę. My, którzy gryzmolimy cały dzień przy naszych biurkach, wiemy, jak trudna jest ta zabawa w pisanie...

- W takim razie po prostu kupię sobie wydawcę. - Melrose nie spuszczał wzroku z Jury'ego.

- Och, to całkiem w twoim stylu, Plant.

- Prawda? Mam już gotowy pierwszy rozdział. - Melrose starannie strząsała popiół z papierosa na swoją dłoń.

Agatha odwróciła się gwałtownie do Jury'ego, jakby w nadziei, że ten powstrzyma szaleńca. Jury tylko wzruszył ramionami.

- Cóż, wy dwaj możecie się tu obijać całe popołudnie. Ja muszę wracać do pisania. - Wyszła tak pośpiesznie, że niemal potknęła się o swoją laskę.

- Przynajmniej - odezwał się Melrose - mamy ją z głowy na całe popołudnie, inspektorze. Czas na spokojny lunch. To znaczy, jeśli pan przyjdzie. - Plant wstał i wsypał popiół z cygara do popielniczki na biurku.

- Z wielką przyjemnością.

Plant wyciągnął rękę i Jury podniósł się z miejsca.

- Może nie powinienem czegoś takiego mówić w tych okolicznościach - rzekł Melrose - ale szkoda mi, że to już koniec. Rzadko spotykam człowieka, którego umysł

w obliczu problemów nie pruje się jak stara koronka.

- Wciągnął rękawiczki z koźlęcej skóry i nałożył czapkę.

Gdy odwrócił się do drzwi, Jury zapytał:

- Panie Plant. Jedno pytanie: Dlaczego pan zrzekł się swego tytułu?

- Dlaczego? - Plant zamyślił się. - Zdradzę panu, jeśli pan tego nie rozpowie.

Jury uśmiechnął się i skinął głową. Plant zniżył głos do szeptu:

- Gdy nakładałem tę togę jak peleryna i tę perukę, inspektorze, wyglądałem dokładnie jak ciotka Agatha.

- Wyszedł. Zanim jednak zamknął drzwi, wsunął jeszcze głowę przez szparę. - Miałem powód. Powiem panu kto regoś dnia. Do widzenia, inspektorze. - Dotknął palcami czapki w geście pozdrowienia.

Wychodząc wkrótce po Plancie, Jury usłyszała, jak Pluck i Wiggins się sprzeczą.

- Popatrz tylko, co się stało wczoraj w Hampstead Heath - mówił Pluck, uderzając palcami w stronę „Telegraphu”: „Napadnięto piętnastoletnią dziewczynkę”. - Od rzucił gazetę. - A ty mówisz, że Londyn to dobre miejsce. Ha! Za nic w świecie bym tam nie pojechał. - Gdy Jury zamknął drzwi, Pluck siorbnął herbaty i dodał: - Tam mogą człowieka zabić.

Jury umówił się z Vivian około południa. Południe już dochodziło, a on wciąż odkładał spotkanie. Gdy zobaczył Marshalla Trueblooda za jego oknem w stylu regencji, pukającego palcem w szybę, ucieszył się z chwilowego odroczenia wyroku.

- Mój drogi panie! - wykrzyknął Trueblood, gdy Jury wszedł do sklepu. - Powiedzieli mi, że pan wyjeżdża! Nie mogłem absolutnie uwierzyć, gdy usłyszałem, że

to Simon! Simon, akurat on! Taki a t r a k c y j n y mężczyzna! Czy ten podlec próbował mnie w to wplątać, biorąc mój nożyk do rozcinania listów?

- Prawdopodobnie. W każdym razie, wątpię, czy mógł zaskoczyć pastora tak jak innych i udusić go.

- Mój Boże, właśnie sobie pomyślałem: biedna Vivian. Co by było, gdyby p o ś l u b i ł a tego człowieka? - Trueblood zadrżał, zapalając jaskraworóżowego papierosa. - Więc to Matchett zamordował swoją żonę?

- Tak. W końcu się przyznał. - Jury spojrział na zegarek i wstał. - Jeśli pan kiedyś będzie w Londynie, panie Trueblood, niech pan do mnie wpadnie.

- Nie s t r a c i ł b y m takiej okazji, skarbie!

Na skwerze stała ławka, a plac był znowu czystą, skrzącą się bielą, ponieważ w nocy padał śnieg. Jury usiadł tam, gapiąc się na kaczki. Potem zapatrzył się na ciemny kamień domu Rivingtonów po drugiej stronie placu. Powinien tam pójść, jak obiecał. Ale tylko siedział. Wreszcie zobaczył, jak drzwi domu otwierają się i wychodzi jakaś postać w płaszczu owinięta szalem. Idąc w jego kierunku, zostawiała za sobą rząd bardzo równych śladów na gładkiej, kruchej bieli. Gdy dotarła do brzegu stawu, podniósł się.

- Myślałam - uśmiechnęła się - że przyjdzie pan o jedenastej. Wyglądałam przez okno, a potem zobaczyłam, że ktoś tu siedzi, i zastanawiałam się, czy to może być pan. - Jury milczał, a ona ciągnęła: - Chciałam panu po prostu za wszystko podziękować.

Usta miał zeszywniale od mrozu. Ale w końcu wykrztusił:

- Mam nadzieję, że nie była pani zbyt... przybita wiadomościami, panno Rivington.

Jej oczy wędrowały po jego twarzy.

- Przybita. Jak trafnie dobrane słowo. Nie. Byłam po prostu ogromnie wstrząśnięta. Wygląda na to, że ota czałam się ludźmi, którym nie powinnam ufać. - Objęła się ramionami, żeby było jej cieplej, i czubkiem buta rozgrzebywała śnieg. - Isabel powiedziała mi prawdę. O tym, co się stało z moim ojcem. - Podniosła na niego wzrok, ale Jury nie skomentował tego w żaden sposób. - Powiedziała, że sumienie jej tak bardzo ciążyło. Dziwne. Po tylu latach nagle zaczęłoby jej dokuczać sumienie? To pan był jej sumieniem, nieprawdaz? - Vivian uśmiechnęła się.

Jury patrzył w dół na śnieg, jakby mogły z niego nagle wyrosnąć stokrotki, niczym na zdjęciach w przyspieszonym tempie. Gdy nic nie odpowiedział, ona ciągnęła:

- Ale jest jedna rzecz, którą muszę wiedzieć.

- Jaka? - Własny głos wydawał mu się dziwny.

- Simon i Isabel. - Wcisnęła ręce do dużych kieszeni płaszcza, a głowę zwiesiła tak nisko, że widział tylko czubek jej włóczkowej czapki. - Czy oni byli kochankami?

- Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz. - Czy zamierzali się mnie bezceremonialnie pozbyć, a potem zbiec - jak to się mówi - z łupem?

Uśmiechała się lekko, ale ból w jej oczach przeniknął Jury'ego na wskroś. Inspektor był pewien, że właśnie taki plan miał Matchett. Potrzebował Isabel, żeby pchnęła Vivian w jego kierunku. Wizja narzeczonego i siostry, uprawiających miłość i śmiejących się z niej za plecami

- taki obraz musiała nosić w myślach.

- Czy to było właśnie tak? - zapytała.

- Nie. Pani - i pieniądze, jak przypuszczam - wystarczyłyby Matchettowi.

Vivian wyrzuciła z siebie długo wstrzymywany oddech.



- Nie wiem, dlaczego tak mnie to obchodzi, teraz gdy go aresztowali. Ale obchodzi. - Westchnęła. - To straszne, co powiem, ale chyba czuję ulgę. Że nie muszę za niego wychodzić.

- „Nie muszę”? Nigdy pani nie musiała.

- Tak. Wiem.

- Tak czy inaczej, nie sędzę, żeby on był mężczyzną dla pani. - Jury spojrział w górę na chmury płynące po bladym błękitnie zimowego nieba. - Nie był w pani typie. - Stał tak, czekając, aż Bóg rozwiąże jego problem.

- A kto w takim razie jest w moim typie?

- Och, może ktoś bardziej refleksyjny.

Milczała. Potem zapytała:

- Jak brzmiał ten wers, który pan cytował? *Agnosco...* coś tam?

- *Agnosco oeteris uestigia flammae*. Znów czuję iskrę dawnego płomienia.

- Musiał być ważny.

- Kto? Eneasz?

- Nie. Ten dawny płomień. Skoro nawet **Eneasz nie** mógł zająć jego miejsca.

- Rzecz chyba w tym, że może mógł.

- Wątpię. - Ona też podniosła wzrok na wyblakły błękit nieba. - Chyba pojedę do Francji albo, jeszcze lepiej, do Włoch.

Albo na Marsa.

Stała jeszcze chwilę, patrząc na niego, a potem odwróciła się w stronę domu.

- Do widzenia. I dziękuję. Słowa są takie niewystarczające. - Jej dłoń ledwie musnęła jego.

Gdy patrzył, jak odchodzi, zostawiając kolejną równą linię śladów w czystym śniegu, pomyślał: szatan z ciebie, jeśli chodzi o kobiety, Jury. Nic dziwnego, że wszystkie

wypadają z krzykiem z krzaków i rwą na tobie ubranie za każdym razem, gdy przechodzisz.

Z tej odległości miał złudzenie, że obserwuje lalkę, która wchodzi do domu dla lalek i zamyka za sobą drzwi.

Nie wiedział, jak długo tam stał, patrząc na kaczki. Podskakiwały na cieplejszej wodzie pod brązowym tatarakiem, niektóre parami, jakby nawet one były lepsze w tych sprawach niż Jury. Miał iść na lunch do Melrose'a Planta. Gdy zwlekał się z ławki, usłyszał szelest w krzakach za sobą i odwrócił się w samą porę, by dojrzeć czubek jasnobrazowej głowy znikającej pod linią zarośli.

- Dobra. Wychodzić stamtąd, ale już. - Jury użył swego najgroźniejszego tonu. - Jeśli użyję mojego kumpla magnum czterdzieści pięć, będziecie mieć brzuchy jak ciastka z dziurką.

Chichot. Potem powoli ukazali się Double'owie. Dziewczynka wpatrywała się w ziemię, czubkiem starego bucika rysując na niej kółka.

- A więc, James. I James. Dlaczego mnie dzisiaj śledzicie? No, gadać!

Usłyszał cienki śmieszek dziewczynki, która jeszcze bardziej opuściła głowę, jakby chciała ją umyć w śniegu. Chłopiec zaczął:

- Słyszeliśmy, że pan wyjeżdża, sir. Przyszliśmy dać panu to. - Wyciągnął z obwisłej kieszeni płaszcz dość brudną paczuszkę, owiniętą w resztki papieru gwiazdkowego. Była płaska i obwiązana kawałkiem wymiętej wstążki, która niegdyś była biała.

- Prezent? O, bardzo wam dziękuję. - Odwiązał paczuszkę i wyjął kawał wyciętej tektury, służącej jako prymitywna ramka, na której przyklejony był obrazek. Widniał na nim jakby występ skalny pokryty gęstym

śniegiem, a w oddali ciemna bezkształtna istota, coś jak rozmazany King Kong. Zdjęcie pochodziło z jakiegoś czasopisma. Jury podrapał się w głowę.

- To jest Człowiek Śniegu - wyjaśnił James. - Mieszka w - jak się nazywa to miejsce?... - i spojrzął na siostrę, szukając pomocy, ale odpowiedziało mu tylko energiczne potrząśnięcie głową. Jej usta, jak zwykle, milczały jak zaklęte.

- W Himalajach?

- O, właśnie, sir. Prawda, że wygląda jak on?

Jury nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Ale rzekł:

- To wspaniałe zdjęcie, James. Naprawdę, wygląda całkiem jak on.

- I nich pan tylko spojrzysz na te ślady, panie Jury. Pomyślałem, że to się panu spodoba - te ślady. Niech pan tylko pomyśli, co on mógłby zrobić tutaj! - I James rozpostarł ramiona, obejmując gestem cały miejski zieleniec. Potem, zauważywszy równe linie, które zrobiła Vivian, zapytał: - Kto tu tak napaskudził?

Jury uśmiechnął się, owinął z powrotem zdjęcie papierem i powiedział:

- Wasz pierwszy prezent prawie uratował mi życie. - I zdał im szczegółowo sprawę z konfrontacji w kościele.

Oczy o mało nie wyszły im z orbit, gdy słuchali tej niesamowitej powieści.

- Jezus, Maria, Józef! - wykrzyknęła dziewczynka i szybko uderzyła się dłonią po ustach.

Jury oświadczył:

- Tak więc przysługa za przysługę. Pomyślałem, że może chcielibyście się ze mną wybrać na małą przejażdżkę. - Wskazał samochód policyjny.

- Hejku! - krzyknął James. - W tym p o l i c y j n y m samochodzie? - Pełni nabożnego lęku spojrzeli po sobie,

a potem stanowczo kiwnęli głowami. Podwójne potwierdzenie.

Gdy Jury upychał ich w samochodzie, zauważył, o ile lepiej się czuje. Wyobraził sobie wielkie, rozległe połacie Ardry End, gładkie i lśniące, pokryte skorupką śniegu.

Gdy główna ulica przeszła w drogę na Dorking Dean, Jury pomyślał: A co mi tam?

1 włączył syrenę.

15 kwietnia, list Melrose'a Planta  
do Richarda Jury'ego

*Drogi Jury,*

*Nie ma już Pana trzy miesiące, a ponieważ towarzystwa dotrzymuje mi tylko moja ciotka, mam wrażenie, że to trzy lata. Jej wizyty są, jednakowoż, znacznie ograniczone, z uwagi na przekonanie, że bierzemy udział w szaleńczym wyścigu, kto pierwszy ukończy swoją książkę. Ja jej po prostu mówię, że mam gotowy kolejny rozdział, co każe ciotce pędem wracać do domu.*

*Skoro już mówimy o pisarzach, Darrington wyjechał do Ameryki, żeby cofnąć powieść amerykańską o jakieś kilkaset lat. Nie byłem specjalnie zaskoczony, gdy się dowiedziałem o jego plagiacie - nie sądził pan chyba, że Pluck będzie milczał jak grób w tej sprawie, prawda? Sheila była zadowolona, że się go pozbyła. Mówi coś o opisaniu tego ich oszustwa w gazetach, nawet jeśli w rezultacie sama wyląduje w więzieniu. Ta dziewczyna ma sumienie.*

*Lorraine starzeje się coraz bardziej. Często odwiedza Londyn i wspomina od czasu do czasu, że do Pana wpadnie. Niech Pan się dobrze zamyka, stary. Willie znalazł drugiego kompana w osobie nowego pastora. Jest to człowiek*

*o wiele młodszy, choć pastorzy zawsze wyglądają, jakby trzeba ich było codziennie odkurzać.*

*Isabel i Vwian wyjechały, ale bynajmniej nie razem. Vivian przekazała Isabel drogą prawną trochę pieniędzy, pod warunkiem że siostra zniknie z jej życia. Vwian kupiła willę w Neapolu. Nie należą się Panu przypadkiem wakacje?*

*Ja mam psa. Już wcześniej myślałem, żeby wziąć jakiegoś - jednego z tych eleganckich, jak na przykład whippet, które widać na obrazach w salonach właścicieli ziemskich. Jednakże któregoś deszczowego popołudnia pojechałem rowerem do pubu „Pod Huncwotem” (być może z sentymentu - czy to może brzmi zbyt makabrycznie?) i obszedłem teren. Obejrzałem stajnie, okap, stary szyld kapiący deszczem i powlokłem się na tył stajni, gdzie znalazłem - niech Pan zgadnie kogo? - Mindy. Suczkę Matchetta, o którą ten w ogóle nie zadbał. Mogę zrozumieć, że człowiek zabija sześciu ludzi, ale zostawić psa na pastwę losu - to naprawdę poniżej wszelkiej krytyki. W każdym razie, pozwoliłem, żeby bydlę poszło za mną do domu. Trochę to trwało, ponieważ, jak może pan pamiętać, Mindy nie jest zbyt szybka.*

*Te dziwne dzieci - Double 'owie? - odwiedzają mnie od czasu do czasu. Wystawiają głowy z krzaków przy różnych okazjach. Szczególnie podziwiam dziewczynkę za to, że w tak młodym wieku nauczyła się sekretu dobrej konwersacji: milczenia. Człowiek nie musi się przy niej silić na błyskotliwy dowcip, więc prowadzimy wiele interesujących, acz jednostronnych rozmów.*

*Czy mogę mieć do Pana prośbę? Jeśli kiedykolwiek trafi pan na kolejną sprawę - doprawdy, nie jestem zbyt wybredny - i jeśli mógłby mi Pan pozwolić przydać się na coś, proszę dać mi znać. Moje życie tutaj oferuje niewiele wyzwań dla wyobraźni.*

*Nie ma już śniegu.*

Pod listem, na ciężkiej wytłaczanej papeterii, widniało wypisane grubym czarnym atramentem jedno słowo: PLANT.

Jury wsunął list z powrotem do koperty i położył ją na gzymsie kominka, jak wiadomość od kogoś, kto pojawił się i zniknął. Gdy patrzył na mały biały kwadracik listu Planta, z czarnymi literkami adresu, przypomniały mu się wielkie połacie zamrożonego śniegu z ciemnymi liniami śladów. Cóż, jak napisał Plant, nie ma już śniegu. Wyjrzał przez okno, szare i posępne od deszczu.

Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy z kołka obok drzwi i wyszedł z domu.

Jury lubił też deszcz.